

ZESZYT CZTERNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1968

ZESZYT CZTERNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1968

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 161

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

DO CZYTELNIKÓW

Bezpośrednio po wojnie można było zaobserwować ogromne zainteresowanie Najnowszą Historią Polski. Było to zjawisko zupełnie zrozumiałe. Po bezprzykładnej klęsce wszyscy chcieli dowiedzieć się, zorientować, czym była ona spowodowana, czy były obiektywne dane dla jej uniknięcia, jakie popełniono błędy i czy daliśmy z siebie absolutnie wszystko, by katastrofy uniknąć. Zainteresowanie to zostało tym więcej pogłębione, że w kraju fałszowano historię, przykrawając ją do żądań Moskwy i rządzącej grupy partii komunistycznej, zaś na emigracji powstały rozliczne tabu i zahamowania wynikające z odruchowej potrzeby „krzepienia serc”, chołoniewszczyzny, no i w dużym stopniu z rozgrywek personalnych i partyjnych.

Od początku powstania *Kultury* ten dział był w piśmie szeroko uwzględniany. Z biegiem czasu materiały tak się rozrastały, że powstała potrzeba wydzielenia tej problematyki w osobne wydawnictwo. W r. 1962 stworzyliśmy *Zeszyty Historyczne* jako półrocznik. W polityce redakcyjnej *Zeszytów* w pierwszym rządzie położyliśmy nacisk na dwie rzeczy:

Drukowanie dokumentów i ocen z największym obiektywizmem, nie wahając się poruszania spraw kontrowersyjnych czy niepopularnych, jeśli tylko mogło to służyć poznaniu prawdy.

Drukowanie materiałów w sposób żywy, mogący zainteresować każdego kto interesuje się sprawami Polski, unikając żargonu pseudonaukowego i jałowych przyczynków.

Byliśmy przekonani, że przy istniejącym zainteresowaniu wydawnictwo to nie tylko się utrzyma, ale że w krótkim czasie będziemy mogli przekształcić *Zeszyty* na kwartalnik. W tym celu dla prenumeratorów *Kultury* ustaliliśmy niezmiernie niską cenę prenumeraty, nie mówiąc już o tym że i cena *Zeszytu* jest niska, niższa od ceny przeciętnej książki tej samej objętości. Gdyby co

drugi choćby prenumerator *Kultury* abonował *Zeszyty* wydawnictwo mogłoby stanąć na mocniejszych podstawach finansowych, płacić wyższe honoraria, przeznaczyć większe środki na szukanie i opracowywanie źródeł. Niestety po 7 latach wychodzenia, po wydaniu 14 numerów ilość prenumeratorów nie o wiele przekracza cyfrę tysiąca osób. Nie mogąc nadal pokrywać deficytu, powiększającego się stale na skutek wzrostu cen druku i papieru — decydujemy się na kontynuowanie *Zeszytów Historycznych* jedynie w przyszłym 1969 roku. Jeśli w ciągu roku 1969 ilość prenumeratorów odpowiednio nie wzrośnie będziemy musieli z żalem zawiesić wydawanie *Zeszytów*.

W związku z tym:

Przyjmujemy prenumeraty jedynie na rok 1969.

Wszyscy którzy opłacą prenumeratę do końca br. będą korzystali z obecnych stawek: tj. prenumerata zwykła 6 dol., prenumerata dla prenumeratorów *Kultury* 3 dol. Z dniem 1. I. 1969 prenumerata na rok 1969 będzie podniesiona. W sierpniu 1969 w nrze 16-tym *Zeszytów Historycznych* poinformujemy naszych czytelników, czy nasz apel odniósł skutek i czy ilość prenumeratorów na tyle wzrosła byśmy mogli kontynuować wydawnictwo, nie mówiąc już o przejściu na kwartalnik. Informacje te będą podane również we wrześniowym nrze *Kultury* w roku 1969.

Przyszłość *Zeszytów Historycznych* jest obecnie w rękach czytelników.

REDAKCJA

Kazimierz IRANEK-OSMECKI

POLACY I ŻYDZI 1939-1945

POMOC WOJSKOWA

„W rezultacie desperackie wysiłki (ŻOB — przyp. autora) aby otrzymać broń i amunicję przez Delegaturę przyniosły mizerny tylko wynik — pisze Filip Friedman w swej książce „Their Brother's Keepers”. „Pod koniec grudnia 1942, gdy nazistowskie eksterminacyjne oddziały chwytały tysiące Żydów i zamieniały getta w Polsce w płonące piekło — ŻOB w Warszawie otrzymała od AK prezent 10 pistoletów z amunicją. Pięćdziesiąt granatów i rewolwerów dostarczono w lutym. Żydzi w obliczu straszliwej przewagi żelaza posyłali naglące prośby o więcej broni, lecz AK i jej szefowie okazali się nieustępliwi, odmawiając wysłania czegokolwiek więcej...”

„Dowódca podziemnych sił w Warszawie przyrzekał przy wielu okazjach zaopatrzyć bojowców ŻOB w dodatkowy transport broni i materiału dywersyjnego, lecz obietnica ta zmateriałizowała się tylko w małej skali”.

Z powyższych słów można odnieść wrażenie, że stosunek A.K. do walki Żydów w getcie polegał na obojętnym wysłuchiwaniu ich wołania o broń i że A.K. nie robiła wysiłku aby dać pomoc przygotowującym się do walki Żydom.

W rzeczywistości było inaczej.

Pomoc w uzbrojeniu

Od 1939 r. do jesieni 1942 r. Żydzi zachowali postawę bierną, o wystąpieniu zbrojnym nie myśleli ani się do niego nie przy-

Zamieszczamy dwa rozdziały z książki płk. Kazimierza Iranka-Osmeckiego pt. Kto uratuje jedno życie... Polacy i Żydzi 1939-1945. Książka ta z przedmową dr. J. Lichtena ma się ukazać w najbliższym czasie w Londynie, nakładem księgarni „ORBIS”. Spodziewane jest również wydanie w języku angielskim. (Redakcja).

gotowywali, A.K. nie miała podstawy do zajmowania się sprawą wojskowego przysposobienia Żydów. Dopiero decyzja samoobrony i powołanie Ż.O.B. zmieniły sytuację, a rozkaz z 11. XI. 1942 roku dowódcy A.K. gen. Stefana „Grotą”-Roweckiego, aprobujący Ż.O.B. jako organizację paramilitarną, — i zgoda Delegata Rządu Jana Piekalkiewicza, były punktem wyjścia do udzielania Żydom pomocy wojskowej. Wykonanie tego rozkazu dla Warszawy powierzył gen. „Grot” komendantowi Okręgu A.K. Warszawa, płk. Antoniemu Chruścielowi (Monter, Konar).

Za pośrednictwem referenta dla spraw żydowskich Wolińskiego przedstawiciel ŻOB Jurek skontaktowany został z płk. Monterem. W pierwszych dwóch rozmowach z płk. Monterem, w obecności szefa sztabu Okręgu mjr. Stanisława Webera (Chirurg), Jurek przekazał zlecenia otrzymane od dowódcy ŻOB Mordechaja Anielewicza. Oświadczył, że celem ŻOB jest walka z Niemcami. Przedstawił stan organizacyjny i ilościowy, możliwości rozwinięcia sił ŻOB oraz stan przygotowań.

Prosił o wskazanie konspiracyjnej formy organizowania ŻOB, o pomoc w opracowaniu planu walki w getcie, o przeszkolenie instruktorów ŻOB po stronie aryjskiej, o przydział broni, amunicji i materiałów dywersyjnych, o ułatwienie zakupów broni i wreszcie o pomoc w rozbudowie schronów i o ułatwienie wydobycia się w razie potrzeby z getta.

Podczas tych spotkań ustalono — zgodnie z rozkazem gen. „Grotą” — organizowanie sił ŻOB w piętki (1 + 4) i łączenie piętek po sześć w plutony.

Zalecono by w planie walki, opracowanym wspólnie przez mjr. Chirurga i Jurka, przewidzieć najwięcej punktów oporu w pobliżu murów getta. Pozwolić to miało, przez uderzenie oddziałów AK z zewnątrz, na odciążenie obrońców getta; a w wypadku zrobienia przez AK wyłomu w murach getta — na wydobycie się stamtąd oddziałów ŻOB i ludności.

Przyrzeczono Jurkowi w miarę możliwości AK pomoc w dostarczeniu broni, instrukcji oraz przeszkolenie instruktorów.

Po tych początkowych rozmowach następne spotkania z Jurkiem zlecił płk. Monter majorowi Chirurgowi. Odbywały się one dwa razy w tygodniu na przemian, raz w lokalu konspiracyjnym mjr. Chirurga przy ul. 6 Sierpnia, następnie w lokalu Jurka przy ul. Wspólnej lub przy ul. Wilczej. Podczas tych konferencji ustalono kolejne etapy współdziałania i sposoby udzielania pomocy.

Do czynności związanych z udzielaniem pomocy wyznaczono zarówno oddziały podległe płk. Monterowi jak również i komórki Komendy Głównej AK.

Do szkolenia instruktorów oraz dla dostarczania do getta materiału dywersyjnego został wyznaczony kpt. sap. inż. Zbigniew Lewandowski (Szyna), szef Biura Badań Technicznych w Wydziale Saperów Komendy Głównej AK. Była to komórka naukowo-badawcza dla prowadzenia walki sabotażowo dywersyjnej.

W szkoleniu bojowców ŻOB wraz z kpt. Szyną brał udział por. Leon Tarajkowicz (Gryf). Szkolenie odbywało się od grudnia 1942 r. począwszy, w lokalu konspiracyjnym AK przy ul. Marszałkowskiej 62, na parterze w lewej oficynie. Szkoleni instruktorzy ŻOB zaopatrzeni zostali w drukowane instrukcje obchodzenia się z bronią i materiałem wybuchowym, zwalczania broni pancernej, produkcji środków i butelek zapalających oraz min i granatów ręcznych. W zajęciach tych bojowcy ŻOB, między którymi była również kobieta, wykazywali wielki zapał i gorliwość.

Dla opracowania szczegółów planu współdziałania i ustalenia techniki wykonania Jurek dostarczył szkic rozmieszczenia sił ŻOB i punktów oporu w getcie. Płk. Monter, mając te elementy, na odprawie odbytej w styczniu 1943 r., omówił plan pomocy zbrojnej z dowódcami oddziałów AK, które miały wykonać najważniejsze zadania. Były to oddziały dywersyjne dzielnic Praga, Wola, Ochota i Śródmieście oraz oddziały Kedywu* Okręgu Warszawa i Komendy Głównej AK. Odprawa odbyła się w lokalu konspiracyjnym przy ul. Wspólnej z udziałem płk. Montera, mjr. Chirurga, kpt. Szyny, kpt. Chuchro (Jerzy Lewiński) i kpt. Chwackiego (Józef Pszeny).

Zgodnie z zamierzonym rozmieszczeniem sił ŻOB w getcie wybrano jako najdogodniejszy odcinek dla polskiego uderzenia ul. Bonifraterską obok szpitala Jana Bożego. Uderzenie to miało na celu odciążenie obrońców, zrobienie wylomu w murach getta i umożliwienia wydostania się Żydów na stronę aryjską. Zadanie to powierzono jednemu z najlepiej wyposażonych i wyszkolonych oddziałów dywersyjnych dzielnicy Praga pod dowództwem kpt. Chwackiego. Zarówno podczas tego uderzenia jak i w czasie późniejszych walk w getcie inne, wyznaczone do tego oddziały miały wykonywać wokół getta akcje dywersyjne. Miejsca te wytypowano i wskazano oddziały, które miały te akcje wykonać. Ich dowódcy mieli przeprowadzić rozpoznanie terenu i przygotować oddziały. Po zatwierdzeniu przez płk. Montera planu przesłano go za pośrednictwem Jurka do dowódcy ŻOB do getta dla uzgodnienia współdziałania. Przesłano również plan sieci kanalizacyjnej dla umożliwienia wykorzystania jej do komunikacji ze stroną aryjską.

* Skrót od słów Kierownictwo Dywersji; organizacja w ramach A.K. przeznaczona do zadań dywersyjnych.

Wyznaczeni dowódcy AK przystąpili zgodnie z planem do rozpoznania terenu i do przygotowań.

Równocześnie z planowaniem walki AK rozpoczęła dostarczanie ŻOB broni i materiału dywersyjnego. Pochodziły one z dwu źródeł: broń i amunicja zostały na rozkaz płk. Montera odebrane oddziałom dzielnicy Wola, materiał zaś dywersyjny pochodził z zapasów Saperów Okręgu Warszawa i Saperów Komendy Głównej AK.

Wobec surowej niemieckiej kontroli ruchu ulicznego jak również szczelnego zamknięcia wstępu do getta, dostarczanie czegokolwiek, a szczególnie broni, było operacją niebezpieczną i trudną do wykonania. Proceder ten wymagał przygotowania melin pośrednich, w pobliżu getta, dla złożenia tam sprzętu pobranego z miejsc ukrycia. Przerzucenie do getta mogło nastąpić dopiero w odpowiednio wybranej chwili i w sprzyjających warunkach. Konieczne było rozpoznanie dogodnych do przerzucenia miejsc oraz pomysłowe opakowanie sprzętu uzbrojenia, by nie wzbudzić podejrzeń w wypadku zatrzymania transportu i niemieckiej kontroli. Do tych czynności zaangażowano wiele komórek AK, a czynności te wykonywały przeważnie łączniczki.

Przerzucenie materiału bojowego odbywało się w kilku etapach. Oddzielnie organizowano przerzut materiału dywersyjnego, oddzielnie przerzut broni i amunicji.

Dostarczeniem do getta materiału dywersyjnego pod nadzorem kpt. Szyny kierowała dr Zofia Franio (Doktor) z pomocą Kazimiery Olszewskiej (Mira), Marii Piotrowicz (Zonia) i Michaliny Petrykowskiej (Micia). W tej partii materiału był „plastic” pochodzenia angielskiego ze zrzutów spadochronowych, szedyt, potaż, saletra, zapalniki, lonty, miny i pewna ilość granatów ręcznych. Z miejsca ukrycia przewożono materiał najpierw do meliny przejściowej przy Krakowskim Przedmieściu Nr 4, a z niej do meliny wyczekiwania przy ul. Marszałkowskiej 77. Stąd dopiero — w dogodnej chwili — przerzucano go poza mury getta. Dla zmylenia czujności Niemców materiał zapakowany był w puszkach po marmoladzie; materiał umieszczano na dnie, na wierzchu zaś kładziono warstwę marmolady.

Broń, pochodząca od oddziałów AK z dzielnicy Wola, gromadzona była w piekarni na Burakowie, gdzie pod nadzorem oficerów broni Okręgu i dzielnicy Wola odbywał się przegląd, naprawa i czyszczenie. Jako jedną z melin przejściowych dla przerzutu broni posługiwano się sklepem jubilerskim przy ul. Chmielnej. Stąd pod kierownictwem por. Romana Polkowskiego (Sternik) przerzucano do getta w rejonie ul. Dzielnej i ul. Okopowej pod osłoną granatowych policjantów, członków AK. Część broni

pod nadzorem mjr. Józefa Rybickiego (Andrzej), dowódcy samodzielnego Oddziału Dywersji Bojowej, dostarczono łącznikowi ŻOB „Romanowi” w ruinach getta przy ul. Chłodnej.

Przekazywanie większych partii broni nadzorował osobiście mjr. Chirurg, szef sztabu Okręgu.

Pierwszy transport broni, 10 pistoletów z magazynkami zapasowymi i amunicją, przerzucono do getta w grudniu 1942 r. Następny, w tej samej ilości, w styczniu 1943 r. Dalsze przerzuty miały miejsce w lutym, marcu i na początku kwietnia.

Według Bartoszewskiego ŻOB otrzymała od AK w sumie: 1 rkm., 1 pm., 90 pistoletów (z dwoma magazynkami każdy), 600 granatów ręcznych, materiał dywersyjny i materiał do produkowania butelek zapalających oraz granatów ręcznych, bomby zegarowe i zapalniki czasowe.

Według mjr. Chirurga ŻOB otrzymała od AK:

- 1 lkm z amunicją (polski),
- 2 rkm z amunicją (niemieckie),
- 10 kb z amunicją (polskie),
- 50 pistoletów ręcznych (różnych), każdy z dwoma magazynkami i amunicją,
- 500 granatów ręcznych obronnych z zapalnikami,
- 100 granatów zaczepnych z zapalnikami,
- 30 kg materiału wybuchowego „plastic” produkcji angielskiej,
- 15 kg tego materiału w różnego rodzaju bombach wybuchowych,
- 120 kg szedytu dla produkcji granatów ręcznych (materiał wybuchowy produkcji konspiracyjnej AK),
- 400 zapalników do granatów (produkcji konspiracyjnej),
- 30 kg potasu potrzebnego do produkcji butelek zapalających, dużą ilość saletry do produkcji prochu czarnego.

Wszystkie półfabrykaty dostarczono z instrukcjami objaśniającymi sposoby produkcyjne.

Podczas spotkań z Jurkiem mjr. Chirurg przekazał mu dwa kontakty na Dworcu Towarowym na zakup broni. W źródłach archiwalnych nie można znaleźć danych czy i ile broni ŻOB uzyskała przez te kontakty.

Z relacji Ringelbluma o jego odwiedzinach w kwaterze głównej Ż.Z.W. w getcie, przytoczonej w rozdziale III, wiemy że był on świadkiem zakupu broni za pośrednictwem polskiego oficera.

Spotyka się zarzuty, że wyposażenie przez AK Żydów było skromne, że nie zaspokoiło potrzeb ŻOB i że AK mogła dostarczyć więcej broni.

Twierdzenie, że zaopatrzenie ŻOB było skromne i że nie zaspokoiło potrzeb — jest słuszne. Jednak, aby osądzić że AK

mogła dostarczyć więcej broni, trzeba znać stan jej posiadania, a ta prawda jest zapoznawana.

Nie zdawał sobie sprawy z małego zaopatrzenia AK w broń Filip Friedman, gdy zbierał materiały do uwag przytoczonych na wstępie niniejszego rozdziału. Pomniejsza on ilość broni i materiału dywersyjnego dostarczonego ŻOB przez AK. Dokładne ilości dostarczonego ŻOB materiału bojowego stanowiły, w stosunku do zapasów AK, uszczerbek trudny do zastąpienia. Podobny zarzut pod adresem władz Polski Podziemnej powtarza się w dwóch innych wydawnictwach żydowskich.

Mark przytacza list z 13 marca 1943 r., podpisany pseudonimem „Kalacki”. Autorstwo tego listu przypisuje Mark komendantowi ŻOB Anielewiczowi.

Ten sam list w brzmieniu angielskim przytoczony jest w wydawnictwie „Ghetto Fighters House”, pt. „Extermination and Resistance” jednak z datą 18 marca 1943 i podpisany pseudonimem „Malachi”.

„Czy jesteśmy przygotowani? — czytamy w tym liście — materialnie bardzo źle. Z 49 przydzielonych nam sztuk — do użytku nadaje się tylko 36, a to z powodu braku amunicji. Nasz stan posiadania pogorszył się po licznych akcjach przeprowadzonych w ostatnich tygodniach, w których zużyliśmy dużo amunicji. W chwili obecnej przypada na jedną maszynę z górą 10 naboju. Jest to stan katastrofalny”.

„Proszę przekazać władzom w naszym imieniu, że jeżeli nie przyjdzie natychmiast wielka pomoc, uznamy to za obojętność delegatury i władz wobec losu Żydostwa warsz. Przydzielanie maszyn bez amunicji robi wrażenie naigrwania się z naszego losu i potwierdza przypuszczenie, że jad antysemityzmu trawi nadal koła rządzące Polską, pomimo tak okrutnego i tragicznego doświadczenia ostatnich trzech lat”.

Niedostateczne zaopatrzenie ŻOB w amunicję skwalifikowane jest w tym liście jako cyniczne naigrwanie się władz Polski Podziemnej z losu Żydów.

Doświadczenia ostatnich trzech lat dały inny obraz aniżeli przedstawiono go w omawianym liście. Po trzech latach bierności, dopiero gdy wybiła ostatnia godzina, gdy straciło się trzy lata drogiego czasu, trzeba było kołatać o pomoc do tych, którzy trwając przez ten czas w uciążliwej i nierównej walce, gromadzili zapasy aby okrutnemu i tragicznemu losowi móc się zbrojnie przeciwstawić. Toteż nasuwa się zgoda inny wniosek z tych doświadczeń: Polska Podziemna, widząc zupełnie nieprzygotowanych do walki Żydów, oddała swój materiał bojowy i wspomogła Żydów na tyle, na ile było ją stać.

O wspomnianym liście tak pisze Wanda Pełczyńska w wydawnictwie „Polemiki”:

„Wśród przytoczonych przez Marka dokumentów na specjalną uwagę zasługuje 'List Anielewicza w sprawie broni oraz samoobronie marcowej. Warszawa Getto. 13 marca 1943 r.'”.

„Mark wyjaśnia, że dokument znajduje się w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, 'zespół materiałów ŻKN, kopie listów Anielewicza, dokument uszkodzony'. Nie jest to więc list autentyczny, tylko kopia maszynowa z podpisem maszynowym 'Komendant Ż.O.B. (—) Kalacki'. Mark wyjaśnia w odsyłacz: 'Powinno być Malachi' — był to pseudonim Anielewicza (Anioł oznacza po hebrajsku — malach). 'Kalacki' to po prostu chochlik maszynowy”.

„Sprawa nie jest prosta ani z chochlikiem maszynowym ani z autorstwem listu. Uszkodzona kopia maszynowa, przez nikogo wiarygodnego nie poświadczona — to nie jest dokument, który można traktować jako autentyczny list Anielewicza. Ale to nie wszystko. Taki list mógł być napisany przez człowieka niezrównoważonego, utrzymany jest bowiem w tonie nerwowym i agresywnym w stosunku do tych czynników Polski Podziemnej, o których pomoc Żydzi zabiegali. Taki ton mógłby być jeszcze zrozumiały, gdyby list był pisany w ogniu walki, a tak nie było. Obrażliwe zarzuty i pogrożki zawarte w liście mogły jedynie utrudnić otrzymanie pomocy. Ton i forma tego listu nie pasują do Anielewicza. Był to człowiek dojrzały, opanowany, spokojny, taktowny. W tak młodym wieku wzbudzał powszechny szacunek i zaufanie. Jego skromność jednała mu przyjaciół. Takim go znamy z jego wypowiedzi. List Kalackiego jest zaprzeczeniem wszystkich cech charakteru Mordechaja Anielewicza. To nie tylko podpis, ale cały list ma cechy apokryfu”.

Z zarzutów stawianych przez Friedmana i „Kalackiego” ktoś nie obeznany ze stanem materialnym AK, mógłby sądzić że miała ona pełne magazyny sprzętu jak normalna armia podczas mobilizacji, a tylko zła wola wstrzymywała ją od udzielenia Żydom pomocy.

Faktem jest, że w owym czasie AK tylko w małym procencie mogła zaspokoić własne potrzeby. Podobnie jak ŻOB kołatała o zaopatrzenie do AK, tak ona kołatała o to samo do władz na Zachodzie. Dowódca AK depeszował do Londynu 19 lutego 1943 roku:

„Biegnie 7 miesiąc zrzutów, dostaliśmy 17 niepełnych zrzutów zamiast obiecanych blisko 100. Pozostaje nam 2 miesiące. Nie otrzymaliśmy reszty pieniędzy za rok ubiegły, a nie na 43 r. broni i materiałów wybuchowych nawet na bieżący dywersyjny użytek, dosłownie nic na wyposażenie powstania. Jeśli tak dalej będziemy zaopatrywani, nie tylko że nie ma mowy o wyposażeniu nas do akcji powstańczej, ale nie będę w stanie wyposażyć nawet bieżącej akcji dywersyjnej w najniezbędniejsze środki”.

Nawet przy tym katastrofalnym niemal stanie zaopatrzenia część otrzymanego z Zachodu uzbrojenia oddała AK Żydom.

Inne źródła zaopatrzenia AK również nie były wówczas wydajne. Produkcja własna dopiero była zapoczątkowana. Źródło zakupu broni od Niemców było przypadkowe i zaczęło być wydajne dopiero pod koniec wojny, gdy jej losy się ważyły. Broń

zakopana po kampanii wrześniowej przestała być zdolna do użytku.

Broń, zarówno dla dowódców poszczególnych szczebli AK jak i dla każdego żołnierza, była wartością trudną do zdobycia, wartością bezcenną. Strata każdej sztuki broni, konieczność jej wyzbycia się — była ciężkim przeżyciem dla dowódcy i dla żołnierza.

W wypadku przekazywania — drogocennej dla AK — broni Żydom występował jeszcze czynnik psychologiczny. Obawiano się, że broń ta nie będzie odpowiednio użyta, że będzie zmarnowana.

Dotychczasowa, trzy lata trwająca bierność Żydów, była rzeczywistością znaną powszechnie w Polsce. Polacy byli świadkami nie dawno przedtem przeprowadzonego na gigantyczną skalę „wysiedlania” Żydów bez cienia oporu z ich strony, bez żadnego gestu sprzeciwu.

Decyzja Żydów zbrojnego przeciwstawienia się Niemcom, tak zasadnicza przemiana postawy, utworzenie ŻOB — były znane tylko osobom wtajemniczonym na kierowniczych szczeblach Delegatury i AK. Do jakiego stopnia przemiana, jaka nastąpiła u Żydów, zdoła wyrwać ich z dotychczasowej bierności i przemienić w bojowników zdolnych do przeciwstawienia się potędze niemieckiej — nie można było jeszcze wówczas ocenić. Tym bardziej, że z przedstawienia przez Jurka stanu przygotowania bojowego ŻOB wynikało jasno iż zaczyna ona swą organizację od zera; od prośby o wskazanie form organizacyjnych, o dostarczenie wstępnych, podstawowych instrukcji obchodzenia się z bronią. Były więc uzasadnione wątpliwości czy stać będzie Żydów na wydobywanie potrzebnej woli do stoczenia walki, czy zdołają uformować oddziały zdolne do zbrojnego działania.

Członkowie ŻOB spodziewali się, że tego rodzaju wątpliwości mogą się zbudzić u Polaków. Aby je rozwiązać, przy każdym spotkaniu z przedstawicielami AK — przed przystąpieniem do rozmów — składali oświadczenia iż walka z Niemcami — niezależnie od tragicznego jej wyniku — jest celem ŻOB, że walka ta będzie Niemców drogą kosztować.

O atmosferze nieufności pisze Woliński w swym raporcie:

„Ta niechęć i nieufność były doskonale wyczuwane przez przedstawicieli Żydów, z którymi utrzymywałem kontakt służbowy. Powiadano mi niejednokrotnie o tym, że oficerowie Konara* przy współpracy z Jurkiem, którego lubili i cenili, deklarowali wobec niego niepotrzebnie swoją niechęć i nieufność do Żydów, co ten odczuwał boleśnie. Np. przed bardzo efektywnym z punktu widzenia propagandowego konwojem broni (do) getta, złożonym z naszych ludzi a prowadzonym przez Jurka, oficerowie wykonujący rozkaz wypowiadali poglądy negatywne w stosunku do Żydów, choć transport przeprowadzili precyzyjnie i odważnie oraz zdali go za murami getta”.

* Płk. Antoni Chruściel.

O istnieniu tych wątpliwości pisze Bartoszewski:

„Trzeba stwierdzić ponadto, że niezależnie od rzeczywistych trudności — w niektórych kołach Akowskich odnoszono się z pewną rezerwą do zaopatrywania getta w większą ilość drogiej broni i amunicji. Istniały uzasadnione wątpliwości co do celowości tej akcji: niedawne doświadczenia wskazywały na brak gotowości do walki sterroryzowanych mas ludności getta, a trudno było przewidzieć czy Ż.O.B. uda się w krótkim czasie wpłynąć na radykalną zmianę tej postawy”.

Od 18 stycznia 1943 r. getto warszawskie było terenem powtarzających się utarczek zbrojnych ŻOB z Niemcami. Od 19 kwietnia ŻOB była przez kilka tygodni w walce z przeważającymi siłami niemieckimi i przeciwstawiała im zacięty opór. W walce tej brało udział 700 bojowników ŻOB i 400 bojowników ŻZW.

Brak jest danych archiwalnych o stanie uzbrojenia sił ŻOB. Nie zachowały się bodaj (o ile były sporządzone aktualnie) raporty broni ŻOB, wykazujące ilości posiadanego sprzętu uzbrojenia. Ogólnie wiemy, że była to broń palna ciężka maszynowa, lekka maszynowa, ręczna długa (karabiny powtarzalne) i krótka (pistolety) oraz granaty ręczne obronne i granaty ręczne zaczepne, butelki zapalające, wreszcie materiał minerski.

Uzbrojenie, które umożliwiło bojownikom żydowskim prowadzenie tych kilkumiesięcznych walk, pochodziło z 4 źródeł:

- dostarczone przez AK z jej zapasów,
- wyprodukowane przez Żydów w getcie z dostarczonego przez AK materiału wraz z instrukcjami o sposobie produkcji (granaty ręczne i butelki zapalające oraz miny),
- zakupione od Niemców,
- zdobyte w utarczkach z Niemcami.

Ilość broni uzyskana przez ŻOB z tego ostatniego źródła była znikoma. Znakomita część posiadanej przez ŻOB broni — pochodziła z wyżej wymienionych pierwszych trzech źródeł. Pierwsze dwa są wyłącznie polskie, z trzeciego zaś mogła ŻOB korzystać tylko za pośrednictwem Polaków. Wobec niemożności kontaktowania się Żydów z Niemcami dla zakupu broni, pośredniczyli w tym Polacy. Po zakupie broni ukrywali ją i w wielu wypadkach sami przemycali do getta.

Walka więc stoczona przez Żydów w getcie warszawskim była możliwa dzięki broni dostarczonej przez Polaków lub uzyskanej przy ich pomocy. Taka jest odpowiedź na postawione na wstępie rozdziału pytanie: jak wyglądała rzeczywistość w zaopatrzeniu ŻOB w broń.



POMOC W CZASIE WALKI

6 marca 1943 Gestapo aresztowało Jurka w jego mieszkaniu przy ul. Wspólnej. Mimo torturowania Jurek nie wydał żadnych tajemnic ŻOB ani polskich lokali konspiracyjnych, z których korzystał. Udało się wprawdzie Jurkowi ująć z rąk Gestapo, był jednak całkowicie zdekonspirowany i postanowił wrócić do getta.

Po aresztowaniu Jurka referent do spraw żydowskich Komen dy Głównej AK Woliński domagał się od przedstawicieli ŻKK Borowskiego i Mikołaja przysłania przez ŻOB nowego łącznika. Przybyły po kilkunastu dniach na stronę aryjską wysłannik ŻOB Zygmunt wpadł w ręce Gestapo jeszcze przed skontaktowaniem się z AK.

Dopiero w połowie kwietnia, na kilka dni przed wybuchem walk w getcie, nawiązał z AK łączność nowy wysłannik Icchak Cukierman (Antek), zastępca komendanta ŻOB Anielewicza.

Trwające parę miesięcy kontakty mjr. Chirurga z przedstawicielami ŻOB zorientowały obie strony w stanie przygotowań. Dowództwo AK zdawało sobie sprawę, że przy aktualnym stanie ilościowym i wyposażenia ŻOB będzie mogła — niemieckiej akcji na wielką skalę — przeciwstawić tylko krótkotrwały opór. Komenda ŻOB wiedziała, że ze strony polskiej może liczyć tylko na akcje dywersyjne po drugiej stronie murów.

Filip Friedman, rozpatrując możliwości udzielenia przez AK pomocy zbrojnej ŻOB, pisze:

„Władze Polski Podziemnej były w 1943 r. przeciwne wybuchowi powstania powszechnego. Obawiały się, że powstanie Żydów może wpłatać Polskę Podziemną w przedwczesne starcie z nieprzyjacielem”.

Na wiosnę 1943 r. armia niemiecka była w pełni sił; front wschodni przebiegał na wschód od Dniepru i był oddalony od środkowej Wisły o 600 km.; inwazji kontynentu europejskiego przez armie sprzymierzone nie można było się spodziewać wcześniej jak za kilkanaście miesięcy. Liczebność i uzbrojenie AK na wiosnę 1943 r. nie dawały żadnych szans by przez uderzenie na Niemców nawet całością sił przynieść walczącym w getcie Żydom realną pomoc. Podejmowanie walki na taką skalę byłoby nie tylko dla AK aktem samobójczym, ale naraziłoby kraj na krwawe ofiary. Żydom zaś nie przyniosłoby ratunku. Toteż ocena Filipa Friedmana jest słuszna.

Akcja na Bonifraterskiej

Na wiadomość o wybuchu walk w getcie, płk. Monter wydał 19 kwietnia rozkaz wykonania przygotowanych akcji dywersyj-

nych. Za pośrednictwem łącznika ŻOB Antka kierownik referatu żydowskiego Woliński przekazał do getta rozkaz płk. Montera. Po powitaniu żołnierskiego czynu Żydów warszawskich przez płk. Montera, rozkaz wskazywał w jakich miejscach murów możliwe jest współdziałanie AK z obrońcami getta. Brak jest w archiwach potwierdzenia czy przesłany przez Antka rozkaz płk. Montera został przez Komendę ŻOB odebrany.

Zgodnie z tym rozkazem główne zadanie — zrobienia wyłomu w murach getta przy ul. Bonifraterskiej — miał wykonać oddział kpt. Chwackiego. Inne oddziały miały wykonywać uderzenia nękające dla odciążenia obrońców.

Kpt. Chwacki — według przygotowanego planu — podzielił swój oddział na 6 grup, z których każda miała określone zadanie.

Wyłomu w murach miała dokonać sekcja minerska Władysława Babczyńskiego (Pastor) + Zbigniew Pszenny, Marian Dukalski (Marek), Włodzimierz Malinowski (Tygrys), Zygmunt Puchalski (Atomek), Zygmunt P. (Kowal), Eugeniusz Morawski (Młódek) i Edward Branicki (Baran).

Sekcję minerską osłaniać miały z obu stron sekcje Zbigniewa Malinowskiego (Kruk + 2 żołnierzy i Mieczysława Zborowicza (Gajowy) + 2 żołnierzy.

Ubezpieczenie skrzydeł akcji miały wykonać: prawego — sekcja Kreta + 5 żołnierzy, lewego — sekcja Józefa Łapińskiego (Chmury) + 2 żołnierzy.

Na drodze odwrotu dozorować miał Czesław Młynarski (Oliwa).

Na odprawie 19 kwietnia, o godz. 16.00, dowódcy sekcji otrzymali ostatnie instrukcje. O godz. 18.00 sekcje zajęły wyznaczone stanowiska. Ul. Bonifraterska zatłoczona była ludźmi przyglądającymi się walce w getcie. Było to z jednej strony korzystne, z drugiej zaś — utrudniało utrzymanie między sekcjami łączności.

Okolicznością niesprzyjającą było umieszczenie na dachach domów i na balkonach niemieckich karabinów maszynowych oraz krążenie wzdłuż murów patroli niemieckich.

Sygnalem do rozpoczęcia akcji miał być wystrzał z pistoletu oddany przez kpt. Chwackiego. Pod osłoną ognia sekcji osłaniających i ubezpieczających, sekcja minerska — miała wysadzić przygotowane w bramie domu przy ul. Sapieżyńskiej miny — po założeniu ich pod mury getta.

Na podstawie relacji uczestników „Kronikarz Warszawy” Władysław Bartoszewski tak opisuje przebieg akcji, gdy sekcje zajęły wyznaczone im stanowiska:

„... nagle na Bonifratskiej pojawia się niespodziewanie samochód z granatowymi policjantami. Najwidoczniej dostrzeżono coś podejrzanego w tym rejonie. 'Marek' strzela do pierwszego policjanta wyskakującego z auta; to staje się hasłem do rozpoczęcia ognia na całym odcinku Bonifratskiej, obsadzonym przez żołnierzy 'Chwackiego'. Odzywają się z różnych stron serie z niemieckiej broni maszynowej. Tłum ludzi zalegający Bonifratską rzuca się w panice do ucieczki, powodując zamieszanie i zupełnie rozdzielając dowodzącego akcją 'Chwackiego' od dowódców poszczególnych sekcji i ich żołnierzy.

„Sekcja 'Kreta' ostrzeliwuje spod murów szpitala Jana Bożego Niemców po drugiej stronie ulicy. W tym samym czasie, u zbiegu Sapieżyńskiej i Bonifratskiej, grupa minierów usiłuje wykonać zadanie w najcięższych warunkach. Pod ogniem niemieckim 'Młódek', 'Jasny', 'Tygrys' i 'Marek' wychodzą z minami na środek Bonifratskiej. Tuż przy rogu Sapieżyńskiej pada 'Młódek', w pobliżu niego 'Orlik' (Józef Wilk) z sekcji 'Chmury'. 'Jasny' jest kompletnie unieruchomiony — ciężko ranny w obie nogi. Ranni są poza tym: 'Atomek' (w trakcie wymiany strażów), 'Miś' i 'Karcz'. Ulica opustoszała. 'Chmura' i 'Kujawa' związani są walką z silną grupą SS-manów, którzy zajęli stanowiska pod samym murem getta, naprzeciwko Franciszkańskiej”.

„Żołnierze z oddziału 'Chwackiego' znajdują się teraz w sytuacji niemal bez wyjścia, pod ogniem niemieckim z kilku stron: spod murów getta, z placu Krasieńskich i od strony Muranowskiej. 'Chwacki' podpala osobiście na jezdni miny, których nie zdołano donieść do muru i zarządza odwrót. Czas już najwyższy. Zaledwie zdążyli odskoczyć Sapieżyńską w kierunku Sławskiej, wlokąc za sobą rannych, gdy miny wybuchają, rozrywając na strzepy pozostawione na Bonifratskiej martwe ciała kolegów — 'Młódka' i 'Orlika’”.

Akcja nie dała pożądanego rezultatu; nie doprowadziła do zrobienia wyłomu w murach getta. Odciążyła w nieznacznym stopniu obrońców i miała znaczenie moralne. Solidarność walczących po obu stronach murów została zadokumentowana śmiercią 2 żołnierzy AK — Józefa Wilka (Orlika) i Eugeniusza Morawskiego (Młódka) — oraz zranieniem 4 innych: Jasnego, Atomka, Misia i Karczka.

Akcje dywersyjne

Na wiadomość o niepowodzeniu płk. Monter nakazał jak najszybsze przeprowadzenie wysadzenia murów getta w innym miejscu. Wybrano jako obiekt zamkniętą bramę getta przy ul. Okopowej, w przewidywaniu że ul. Bonifratska będzie czujnie przez Niemców strzeżona. Zrezygnowano z użycia oddziału kpt. „Chwackiego”, który poniósł straty. Początkowy zamiar użycia do akcji oddziału Jotesa z tej dzielnicy odrzucono z uwagi na jego słabe uzbrojenie, a wobec nagłości zadania płk. Monter

polecił je wykonać grupie oficerów z odpowiednią ilością żołnierzy.

Po rozpoznaniu terenu zamierzonej akcji i po odprawie w Wielki Czwartek 22 kwietnia, przystąpiono do jej wykonania następnego dnia w południe. Grupa uderzeniowa składała się z kpt. Chuchry (Jerzy Lewiński), kpt. Szyny (Zbigniew Lewandowski), por. Marynarza i 7 żołnierzy. Założenie miny pod bramę getta miał wykonać kpt. Szyna z dwoma żołnierzami, reszta stanowiła osłonę.

Okolo godz. 12.00 grupa zajęła stanowiska wypadowe. Zbiegło się to z momentem zmiany wartowników niemieckich, rozmieszczonych wzdłuż murów getta. Podwoiło to ilość przeciwników, których należało zwalczyć. Na wycofanie się było już za późno. Wszystkie grupy zaatakowały ogniem znajdujące się w ich zasięgu posterunki niemieckie.

Strzały ściągnęły z kilku stron pomoc niemiecką. Przybiegł patrol pieszy, nadjechały samochód ciężarowy tzw. „buda” załadowana wojskiem i samochód osobowy z oficerami. Mimo tej przewagi wszystkie grupy polskie, odstrzeliwując się, wycofały się upatrzonymi przechodnimi bramami i podwórkami. W tej walce Niemcy ponieśli straty w zabitych i rannych.

Akcja zmierzająca do zrobienia wyłomu w murach getta i tym razem nie dała rezultatu.

Po tych dwóch nieudanych próbach płk. Monter zarządził uderzenia odcinające i nękające wokół murów. W wykonaniu tego rozkazu „Kedyw” Okręgu Warszawskiego AK wykonał w Wielkim Tygodniu i okresie poświętecznym kilka uderzeń tego typu.

„Kronikarz Warszawy” Władysław Bartoszewski na podstawie relacji uczestników opisuje przebieg dwóch takich akcji.

Dwa patrole Dywersji Bojowej „Mokotów” zlikwidowały posterunki niemieckie na Lesznie i na ul. Orlej. Akcją dowodził Zbigniew Stalkowski (Stadnicki).

Oddział Żoliborski AK pod dowództwem por. Tadeusza Kern-Jędrychowskiego (Szrapnel) zlikwidował posterunek SS na zapleczu getta przy ul. Zakroczymskiej, róg ul. Konwiktorskiej.

Solidarnościowe z walką w getcie wystąpienie zbrojne opisuje Mark. Grupa GL im. Waryńskiego, pod dowództwem Franciszka Bartoszka, z kilkoma bojownikami zaatakowała 20 kwietnia baterię niemiecką przy ul. Nowiniarskiej i zabiła 2 żołnierzy niemieckich z obsługi baterii i 2 granatowych policjantów.

Wykorzystanie kanałów

Z dwóch przygotowanych sposobów wyprowadzenia bojowców ŻOB poza bramy getta naziemnego przez wyłomy w murach i podziemne kanałami — tylko ten drugi okazał się skuteczny. Jeszcze w okresie przygotowań, z początkiem 1943 r., mjr. Chirurg dostarczył Jurkowi plan miejskiej sieci kanalizacyjnej i skontaktował go z przewodnikami kanałowymi. Droga ta była wykorzystana przez ŻOB dla łączności ze stroną aryjską jeszcze przed rozpoczęciem walk w getcie. Pozwoliło to rozpoznać trasy i nabrać doświadczenia w tych ryzykownych wyprawach.

Jest kilka opisów wykorzystania kanałów podczas walk dla wydostania się z getta bojowców ŻOB.

Mjr. Chirurg tak o tym pisze w swej relacji:

„Akcji kanałowych oddziały A.K. przeprowadziły trzy: jedną przy wiadukcie na Żoliborzu, drugą przy ul. Siennej i trzecią przy ul. Krochmalnej. W akcji przy ul. Siennej musieliśmy wysłać do kanałów naszych przewodników. Tą drogą uratowaliśmy kilkudziesięciu żołnierzy Ż.O.B., którzy po zamelinowaniu, przebraniu i wypoczęciu odsyłani byli do rejonu Puszczy Kampinoskiej lub do lasów Otwockich, skąd mieli być przekazani do oddziałów leśnych A.K. Gros, niestety, opuściło getto w stanie całkowitego wyczerpania fizycznego i nadawało się jedynie do szpitali i sanatoriów. Obserwując osobiście akcję kanałową przy ul. Siennej, przekonałem się o tragicznym stanie fizycznym żołnierzy Ż.O.B.”.

Wspomniany już był w rozdziale IV opis wypraw Symchy Ratajzera* kanałami na stronę aryjską.

W książce „Lewy Nurt” Dawid Klin opisuje podobny epizod:

„Przygotowaniem transportu zajmował się bundowiec Frydrych „Zygmunt” (zginął później), wyprowadzeniem kanałami tej grupy miał się zająć działacz Żydowskiej Organizacji Bojowej „Kazik” (żyje w Izraelu), rolę eskorty-gestapowca miał odegrać Stefan Sawicki”.

„Wszystko odbyło się według planu. Grupa bojowników przedostała się z tak zwanego dużego getta do opustoszałego już wówczas małego getta, poprzez bunkry i podkopy. Przeczekawszy noc w kanałach, wyszli nad ranem z wjazdu po stronie aryjskiej. Było to w trójkącie ulic Grzybowskiej, Twardej i Śliskiej. Tam wdarli się do najbliższego domu i opanowali go, sterroryzowawszy uprzednio dozorcę. Natychmiast podjechała ciężarówka, zabrała grupę i rozpoczęła się 'podróż' po Warszawie. Miejsce przy kłapie ciężarówki zajął Stefan w mundurze esesmana. Stefan otrzymał ode mnie rewolwer z amunicją i płaszcz na drogę powrotną, już jako 'cywil'”.

„Grupę tę udało się wywieźć do lasów wyszkowskich, przylączając ją do innej, poprzednio już tam przywiezionej poprzez Łomianki”.

U Marka czytamy:

„27 kwietnia do bunkra ŻZW przy Karmelickiej 5 przybył tunelem ze strony 'aryjskiej' łącznik Polski Podziemnej (tj. A.K. — przyp. autora)

* Symcha Ratajzer — „Kazik”.

'Tadek' (nazwisko dotychczas nie ustalone) i zaalarmował znajdującą się w bunkrze grupę. Przywiózł wiadomość, że bunkier został nakryty i że na-
zajutrz Niemcy wysadzą go w powietrze. 'Tadek' przywiózł jednocześnie
instrukcję, że należy natychmiast opuścić bunkier i tunelem przejść do
kanału i tą drogą przedostać się do przygotowanego lokalu konspiracyjnego
po stronie 'aryjskiej'.

Do wjazdu wszedło 36 osób, w tym 5 kobiet. Byli wśród nich zarówno
bojownicy ŻZW, jak i cywile. Przewodnicy długo błądzili w kanałach, aż
wreszcie grupa wyszła w okolicy Grzybowskiej i została umieszczona na
Grzybowskiej 13, gdzie czekała już od dawna inna grupa, mianowicie ta,
która w drugim dniu walk opuściła ul. Muranowską. Na czele grupy stał
znaną już nam Paweł Frenkiel".

Niestety, próba wyjścia tych dwóch grup poza Warszawę
z zamiarem udania się do partyzantki skończyła się niepowodze-
niem i tylko niedobitki zdołały się uratować.

O wyprowadzeniu grupy bojowców ŻOB w nocy z 29/30
kwietnia kanałami przez wjazd na rogu ul. Ogrodowej i Żelaznej
przy pomocy A.L. wspomina Mark. Grupa ta miała dotrzeć
szczęśliwie do Łomianek, o 7 km. poza Warszawą.

Prasa podziemna o walkach w getcie

Prasa podziemna dawała wyraz stosunkowi społeczeństwa pol-
skiego do zbrodni niemieckich. Organy prasowe, zarówno władz
Polski Podziemnej jak i kierunków politycznych, zamieszczały
opisy krwawych wydarzeń w getcie i piętnowały niemieckie okru-
cieństwa. Wzywały społeczeństwo polskie do udzielania ratowa-
nym Żydom pomocy.

W organie AK, „Biuletynie Informacyjnym”, Nr 17(172) z
29 kwietnia 1943, w artykule „Ostatni akt wielkiej tragedii”,
czytamy:

„Tydzień temu rozpoczął się akt drugi bestialskiego niszczenia Żydów
w Polsce. Niemcy przystąpili do wywożenia pozostałych w Warszawie 40.000
Żydów. Getto odpowiedziało zbrojnym oporem. Żydowska Organizacja Bo-
jowa rozpoczęła nierówną walkę...”

„Dotychczasowa bierna śmierć mas żydowskich nie stwarzała nowych war-
tości — była bezużyteczna; śmierć z bronią wnieść może nowe wartości
w życie narodu żydowskiego, nadając męce Żydów w Polsce blask orężnej
walki o prawo do życia. Tak pojęło obronę getta społeczeństwo Warszawy,
z uznaniem wsłuchując się w trzask salw obrońców i z niepokojem śledząc
łuny i dymy coraz rozleglejszych pożarów. Walczący obywatele Państwa
Polskiego zza murów getta stali się bliżsi, bardziej zrozumieli społeczni-
stwu stolicy, niż bierne ofiary, bez oporu dające się wlec na śmierć...”

„Pomoc dla zbiegłych z płonącego getta Żydów jest dla nas surowym
chrześcijańskim obowiązkiem, do czasu aż odrodzona Rzeczpospolita przy-
wróci tej części Europy pełne bezpieczeństwo, prawdziwą wolność i pano-
wanie naszej starej europejskiej kultury”.

Organ Delegatury Rządu „Rzeczpospolita” w Nrze 8(59) z 6 maja 1943 zamieścił „Oświadczenie”, podpisane przez Pełnomocnika Rządu na Kraj, inż. Jana Stanisława Jankowskiego, które w wyjątkach brzmi:

„Naród Polski, przepojony duchem chrześcijańskim, nie uznający w moralności dwu miar, z odrazą traktuje antyżydowskie bestialstwa niemieckie, a gdy, po dniu 19 kwietnia, w getto warszawskim rozgorzała nierówna walka — z szacunkiem i współczuciem traktował mężnie broniących się Żydów, a z pogardą ich niemieckich morderców. Kierownictwo polityczne kraju dawało już wyraz swego najgłębszego potępienia przeciwżydowskich bestialstw niemieckich i słowa tego potępienia dziś z całym naciskiem ponawia. A społeczeństwo polskie słusznie czyni, żywiąc dla ściganych i przesładowanych Żydów uczucia litości i okazując im pomoc. Pomoc tę winno okazywać w dalszym ciągu”.

„Piętnując obłudę Niemców, którzy popełniają sami nieustannie potworne zbrodnie, a przy pomocy przewrotnej propagandy starają się przedstawić siebie jako obrońców cywilizacji chrześcijańskiej oraz pozyskać dla swych celów społeczeństwo polskie — wzywam wszystkich zdających sobie sprawę z istoty i celów niemieckich machinacji politycznych do demaskowania ich i bezwzględego zwalczania”.

PPS, w swym organie „WRN” (Wolność-Równość-Niepodległość) Nr 9(115) z 7 maja 1943 nie ograniczyła się tylko do piętnowania zbrodni niemieckich i nawoływania do udzielania Żydom pomocy, ale skierowała apel do ludów świata:

„Towarzysze i Obywatele!

„Od 18 kwietnia w getto warszawskim trwa akcja przeciwdziałania zamiarom okupanta, który postanowił ostatecznie wymordować resztki Żydów polskich. Skazani przez Hitlera na śmierć postanowili nie poddać się biernie katom na pastwę i broniąc honoru człowieka i obywatela stawiają mężny opór krwawym siepaczom...”

„Robotnikom i pracownikom narodowości żydowskiej, którzy w obliczu niechybnej śmierci postanowili raczej zginąć z bronią w ręku niż poddać się biernie przemocy, przesyłamy braterskie pozdrowienia i zapewnienia, że czyn ich nie przebrzmi bez echa. Wejdzie on w legendę Polski walczącej, stanie się wspólnym dorobkiem ludu Polski, dorobkiem na którym wzniesiony zostanie gmach odrodzonej Rzeczypospolitej”.

„Do ludów świata wołamy: oto w obliczu potwornych planów zniszczenia, jakie od trzech lat urzeczywistnia okupacja hitlerowska, pod jarzmem najstraszniejszego terroru który szaleje na naszych ziemiach, raz po raz wybucha płomienny protest mordowanych i maltretowanych synów polskiej ziemi. Woła o ratunek, o pomoc jak najszybszą, aby dzień pokonania wroga przyszedł przed ostatecznym wyniszczeniem naszych sił żywotnych”.

„Wołając o jak najszybsze uderzenie z zewnątrz w potęgę niemiecką, wzmocnijmy nasz wysiłek dla przygotowania powszechnego powstania polskiego, które wraz z ofensywą sprzymierzeńców zada śmiertelny cios totalizmowi wszelkich odcieni. „Wolność-Równość-Niepodległość”.

W dwutygodniku „Polska Walczy” (Głos Polskiej Myśli Demokratycznej), w Nrze 8 z 30 kwietnia 1943 czytamy:

„Każdy odgłos dochodzący z pola walki broniącego się getta wstrząsa naszym sumieniem i wywołuje mękę. Wypełnia się miara straszliwych zbrodni. Wypełnia się miara bohaterstwa człowieka w patosie miażdżącego życie tragizmu”.

Z zagranicy, na falach radiowych, odezwał się głos Premiera Rządu R.P. i Naczelnego Wodza PSZ, gen. Władysława Sikorskiego, wzywający społeczeństwo polskie do udzielania Żydom pomocy. Głos ten przytoczymy później.

Od chwili rozpoczęcia walk w getcie warszawskim Komenda Główna AK i Delegatura Rządu na kraj informowały stale rząd polski w Londynie o przebiegu działań. Niezależnie od własnych informacji, Delegatura Rządu przekazywała na Zachód depesze Ż.K.N., kierowane do przedstawicielstwa Żydów w Radzie Narodowej w Londynie i do światowych organizacji żydowskich. Ważniejsze z tych depesz przytoczone są w rozdziale VII.

Ż.K.N. nie tylko informował o przebiegu wydarzeń, ale żądał od Zachodu pomocy i interwencji dla położenia kresu zbrodniom niemieckim. Żądał odwetu. Obciążał Zachód „odpowiedzialnością dziejową za bezczynność”.

Jednak te dramatyczne błagania o pomoc Zachodu pozostały bez echa. Na znak protestu przeciwko milczeniu i bierności Zachodu b. członek Rady Miejskiej stołecznego miasta Warszawy i członek Rady Narodowej w Londynie — Szmul Zygielbojm — odebrał sobie życie. Pozostawiony przez niego list pożegnalny z wyrzutem, że jego starania o pomoc dla getta nie znalazły odzewu — umieszczony jest w rozdziale VIII.

Rozdział IX

POMOC FINANSOWA

Pomoc doraźna

Po skonfiskowaniu Żydom całego majątku nieruchomego Niemcy ograbiali swe ofiary doszczętnie z wszelkich dóbr ruchomych. Poza zwykłym rabunkiem stosowali przemyślnie sposoby, by zmusić Żydów do wydobywania ze schowków walut, kosztowności, złota i innych wartości. Czego nie wyłudzili Niemcy, pochłaniała drożyzna w gettach.

Zbiegowie z gett, gdy znaleźli się po stronie aryjskiej, byli

wyglądzeni, obdarcie, pozbawienie najniezbędniejszych przedmiotów podręcznych i ogołoceni z gotówki. Ponieważ zaś w rzadkich tylko wypadkach mogli zarabiać na utrzymanie, znakomita większość była skazana na korzystanie z funduszy publicznych. Udzielanie natychmiastowej pomocy prawie każdemu zbiegowi — było nieodzowną koniecznością.

Żydzi, którym udało się zabezpieczyć swe fundusze lub wartościowe przedmioty — nie było ich zbyt wielu — byli w korzystniejszym położeniu. Mogli się nie tylko sami utrzymać, ale wspomagali materialnie krewnych i przyjaciół, łożyli również na cele ogóln żydowskie.

Utrzymanie łączności między skupiskami Żydów, dostarczanie im pomocy w obozach koncentracyjnych i obozach przymusowej pracy, przygotowania do walki w gettach i zakup broni — wymagały również finansowania tych poczyną.

Kraj był całkowicie wydrenowany ze środków finansowych. Delegatura Rządu i AK pokrywały swe wydatki z funduszy nadsyłanych z Londynu przez Rząd R.P., wobec zaś zubożenia kraju nie można było liczyć na wydatną ofiarność publiczną. Potrzeby zaś były ogromne. Źródłem skąd można było otrzymać pomoc był Zachód, Rząd R.P. i bratnie organizacje żydowskie.

W okresie, gdy nie było jeszcze ścisłej współpracy polsko-żydowskiej polityczne organizacje żydowskie różnymi, określonymi drogami międzynarodowymi otrzymywały z Zachodu od swych bratnich organizacji drobną pomoc finansową. Jest o tym wzmianka w liście z 16 marca 1942 r. przedstawicielstwa Bundu, nadesłanym z Warszawy za pośrednictwem Delegatury Rządu do towarzyszy bundowców w Londynie:

„Od czasu wyjazdu Salomona, z funduszy nam przekazanych różnymi drogami, podjęliśmy tylko 1.700 emanuelków*, na awizowanych 7.000. Jeżeli różnicy nie otrzymaliśmy z powrotem, to ktoś podszywając się pod naszą firmę, nieprawnie je sobie przywłaszczył. Proszę sprawdzić i zbadać dokładnie tę sprawę. Ostatnio otrzymaliśmy w Mieście tu 25.000 (zapewne zł. polskich, przyp. autora), co wynosi 500 efektywnych loksza**, a nie wiemy ile mieliśmy dostać. Uważamy, że na przyszłość wszystkie drogi są niepewne, a zwłaszcza bardzo kosztowne. Wydaje nam się tylko możliwa droga przez Delegata Rządu na Kraj. Ale to Wy musicie ją stworzyć i otrzymać gwarancję, że otrzymamy wysłane przez Was sumy. Dotychczas dawaliśmy sobie radę, zaciągając pożyczki na spłnienie w przyszłości”.

Blizsze szczegóły tej tajemniczej, kosztownej drogi dla przekazywania z Zachodu funduszy opisuje w swych wspomnieniach Bernard Goldstein, również członek Bundu:

* Kryptonim na walutę dolarową.

** Kryptonim na walutę funtową.

„Drogi, przez które otrzymywaliśmy pieniądze i utrzymywaliśmy naszą łączność, nie zawsze były całkiem pewne. Lecz musieliśmy ryzykować, inaczej nie byśmy nie dostali. Następujący przykład jest typowy jak te kontakty działały.

W lecie 1941 r. P.P.S. zawiadomiła nas że nasi towarzysze Szloma Mendelson i Emanuel Scherer wysłali dla nas i dla P.P.S. za pośrednictwem członka ambasady japońskiej pieniądze ze Sztokholmu do Berlina. Specjalny kurier miał być wysłany do Berlina by podjąć dolary z ambasady. P.P.S. zwróciła się do pewnego Ukraińca, który prowadził interesy z Niemcami i miał prawo wyjazdu do Berlina. Nasz wysłannik otrzymał pieniądze od Japończyka i przywiózł je do Warszawy. Taka transakcja kosztowała zwykle 15 % lub 20 % za pośrednictwo.

W kilka miesięcy później mieliśmy otrzymać następną przesyłkę tą samą drogą. Ukrainiec został znowu wysłany do Berlina na spotkanie z pośrednikiem japońskiej ambasady, lecz pieniędzy nie zobaczyliśmy. Po powrocie oznajmił nam, że był aresztowany, rewidowany i wszystko zostało skonfiskowane, z trudem tylko uszedł z życiem. Nie mieliśmy możliwości sprawdzenia i oczywiście w innych wypadkach nigdy nie wiedzieliśmy ile pieniędzy, które otrzymywaliśmy, pozostało w rękach przez które przechodziły”.

Ta uwaga Goldszteina dotyczy tylko kwot przesyłanych przez przypadkowe okazje. Gdy później otwarto Żydom drogę łączności i przekazywania funduszy przez Delegaturę Rządu, obawy te znikły.

Niefortunne pośrednictwo

Światowe organizacje żydowskie przez długi czas bądź nie zdawały sobie sprawy z narastających potrzeb Żydów w Polsce, bądź też ociągały się z nadsyłaniem pomocy. Gdy zaś na to się zdecydowały, wybrały drogę jej przekazywania jeszcze mniej fortunną aniżeli wyżej opisana. Pośrednikami mieli być Niemcy. Paradoks? Tragiczne nieporozumienie? Wówczas gdy komory gazowe z największą wydajnością zgładzały w Polsce setki tysięcy Żydów, gdy szalały masakry w gettach — Żydzi z Zachodu udzielanie pomocy swym współbraciom powierzyli ich oprawcom. Niemcy zresztą tę drogę przekazywania pomocy z Zachodu w podstępny sposób zasugerowali. W dokumentach znajduje to częste echa.

Już w lipcu 1943 r. Delegat Rządu w Kraju uprzedził Rząd Polski w Londynie o zamierzonym przez Niemców podstępie. Depeszował:

„Od dnia 1 kwietnia br. Niemcy powołali Komitet Samopomocy z Weichertem i dr. Hilfsteinem, którym nawet wolno zamieszkać w dzielnicy aryjskiej w Krakowie. Ci dwaj stanowią Komitet i ich zadaniem jest rzekomo załatwienie spraw żydowskich w zarządzie GG. Komitet jest utworzony dla zagranicy”.

Wkrótce potem i Żydzi uprzedzili Zachód o tej pułapce. Centralne kierownictwo Bundu w Polsce, w liście z 15 września 1943 r. do przedstawicielstwa Bundu w Londynie, donosiło:

„Po akcji likwidacyjnej getta krakowskiego i innych, powołali Niemcy w Krakowie do życia instytucję zwaną Jüdische Unterstützung Stelle (J.U.S.), prowadzoną przez dr. Weicherta przy nieoficjalnej współpracy dwóch poważnych osób z organizacji syjonistycznej Krakowa. Organizacja ta (JUS) ma rzekomo na celu rozdział leków i innych przedmiotów przesyłanych przez Żydów z zagranicy za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, a to po obozach żydowskich w G.G. W istocie jednak jest to dywersyjna afiera okupanta, który ma na celu nadal podstępnie okłamywać opinię zagraniczną w przedmiocie jego stanowiska do Żydów, a ponadto potrzebne leki zabierać dla siebie...”

„Komisja Koordynacyjna w tej sprawie wystosowała do Was i do dr. Schwarzbarta depesz, przestrzegającą opinię zagraniczną przed Jusem i całą tą aferą oraz domagającą się wstrzymania wysyłki leków i innych przedmiotów dla Jusu”.

Ostrzeżenie to jednak nie poskutkowało, gdyż w pół roku później w liście z 17 lutego 1944 r. dr Tartakower pisze z Londynu do Żydowskiego Komitetu Narodowego w Warszawie:

„Udało nam się uzyskać zgodę rządu amerykańskiego na przekazanie bardzo poważnej sumy do Genewy, która ma być użyta na akcję pomocy dla Was, chodzi o 3 miliony dolarów. Suma ta zostanie zmobilizowana na terenie Stanów Zjednoczonych. Rząd amerykański i rząd angielski zgodziły się też na skutek naszych starań wyasygnować 10 milionów dolarów przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, która to suma ma być zużyta na akcję pomocy żywnościowej i w medykamentach dla Was”.

W tym czasie, poza gettem w Łodzi i poza Żydami uwięzionymi w obozach koncentracyjnych i w obozach przymusowej pracy, nie było już w Polsce skupisk żydowskich. Pomoc, o którą z kraju Żydzi kołatali, potrzebna była dla tych, którzy się przed Niemcami ukrywali.

Wiele depez wysyłanych na ten temat z kraju nie budziło wątpliwości dla jakiej kategorii Żydów pomoc ta jest potrzebna. Oto kilka przykładów takich depez:

„Warszawa, 21 stycznia 1943 r. Nr 15. Pan Minister Mikołajczyk z prośbą o przekazanie. New York — Wise, Goldman, Joint — Backer. Donosimy Wam o największej zbrodni wszelkich czasów, o wymordowaniu milionów Żydów w Polsce. W obliczu niebezpieczeństwa zagłady żyjących jeszcze Żydów — żądamy od Was: 1) zemsty na Niemcach. 2) Zmuszenia hitlerowców do zaprzestania mordów. 3) Walki o nasze życie i o naszą cześć. 4) Kontaktu z krajami neutralnymi. 5) Uratowania przez wymianę 10 tysięcy dzieci. 6) Pięciuset tysięcy dolarów na cele pomocy. Bracia — resztki Żydów w Polsce żyją w przeświadczeniu, że w najstraszniejszych dniach naszej historii Wy nie udzieliliście nam pomocy. Odezwijcie się przynajmniej w ostatnich dniach naszego życia. Jest to nasz ostatni apel do Was. Żydowski Komitet Narodowy w Polsce”.

„Warszawa, 6 kwietnia 1943 r. Nr 67. Przesyłam z prośbą o przesłanie adresatowi. Sobol*. Egzekutywa Syjonistyczna — Londyn, Jerozolima. Pozostałym przy życiu, po straszliwej rzezi, dziesiątkom tysięcy Żydów grozi zagłada ostateczna. Zaalarmujcie cały świat. Użyjcie wszystko, co w Waszej mocy, aby nas ratować, ocaleje aktyw drogą wymiany. Na cele doraźnej pomocy i ratowania aktywu wyślijcie natychmiast 100 tysięcy dolarów. Każdy dzień zwłoki spowodować może katastrofę. Ratujcie póki czas. Żydowski Komitet Narodowy w Warszawie”.

„Warszawa, 1 maja 1943 r. Nr 92. Stem**. Proszę o przekazanie adresatowi. Sobol. Dr Schwarcbart. Nie rozumiemy Waszego milczenia. Na pięć wysłanych depesz nie otrzymaliśmy odpowiedzi i mimo apelów i alarmów fundusze dla nas nie nadchodzą. Dlaczego Joint nie przysłała pieniędzy. Możemy jeszcze uratować od zagłady i niechybnej śmierci tysiące Żydów, kobiet i dzieci. Musimy mieć znaczne fundusze. Zaalarmujcie natychmiast Joint i wszystkie inne organizacje żydowskie. Na ratowanie resztek Żydów musimy mieć sto tysięcy dolarów. Czekamy na Waszą pomoc. Żydowski Komitet Narodowy”.

Przekonanie Żydów na Zachodzie, że przesyłana przez nich za pośrednictwem Niemców pomoc trafi do rąk ukrywających się współbraci, dowodzi jak na Zachodzie fałszywie wyobrażano sobie rzeczywistość w Polsce. Czyżby Niemcy mieli po to dostarczać Żydom pomoc, by ułatwiać im ukrywanie się przed pościgiem i tropieniem? O taką naiwność trudno było Niemców posądzać.

Toteż pomysł posyłania z Zachodu pomocy dla Żydów za pośrednictwem Niemców doprowadzał organizacje żydowskie w Polsce do pasji. Każda wiadomość o takiej przesyłce wywoływała stanowcze sprzeciwy. List dr. Tartakowera spotkał się z natychmiastową reakcją. Ażeby zaś wzmocnić protest, wysłano z Warszawy wspólną depeszę podpisaną przez Radę Pomocy Żydom i przez Komisję Koordynacyjną:

„Warszawa, 6 września 1944 r. Nr 28. W połowie ubiegłego roku Komisja Koordynacyjna Bundu i Ż.K.N. przesłały do Londynu ostrzeżenie przed Jüdische Unterstützung Stelle — JUS — kierowaną przez dr. Weicherta, a utworzoną przez Niemców jako dywersja oszukańczej propagandy i domagały się zaprzestania dalszej przesyłki leków i darów z zagranicy dla JUS. Dr Weichert odmówił podporządkowania się KK*** i patronował całej oszukańczej imprezie niemieckiej. Obecnie dowiadujemy się, że ze Szwajcarii idzie nowy wagon leków i darów od Żydów z zagranicy dla JUS. Zwracamy się ponownie do wszystkich czynników oficjalnych i społecznych z apelem katerycznego ostrzeżenia wszystkich ośrodków żydowskich zagranicą, szcze-

* Pseudonim Delegata Rządu na Kraj inż. Jana Stanisława Jankowskiego.

** Pseudonim ministra spraw wewnętrznych Rządu R.P. w Londynie Stanisława Mikołajczyka.

*** Komisja Koordynacyjna (żydowska).

gólnie w Szwajcarii, przed JUsem jako organizacją niemiecką. Domagamy się wstrzymania odrębnych wysyłek dla JUSu, gdyż przedmioty te w znacznej mierze zasilają Niemców. Rada Pomocy Żydom. Komisja Koordynacyjna”.

Protest podobny jeszcze mocniej i wyraźniej sformułował Żydowski Komitet Narodowy w liście do Londynu z dnia 24 maja 1944 roku:

„Byliśmy oszołomieni i wstrząśnięci wiadomościami w Waszych listach, że gros pieniędzy na pomoc dla Żydów w Polsce posyłacie przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż do Krakowa dla JUSu, na ręce Weicherta!! Przecież parokrotnie depešowaliśmy do Was i przestrzegaliśmy kategorycznie przed JUsem, jako agenturą niemiecką! Czyżby genewskie biuro kongresu posyłało medykamenty i żywność do Krakowa bez porozumienia się z Wami? Nie rozumiemy jak to się mogło stać. Komunikujecie, że w 1943 r. wydałście 70.000 funtów, z czego wystaliście przez Delegaturę Rządu do nas tylko 15.000, a więc przeszło 50 tysięcy funtów (!) w naturze wpadło w niemieckie ręce! Obecnie piszecie, że macie zgodę rządu amerykańskiego na 3 miliony dolarów, znów via Genewa, że rząd amerykański i angielski zgodził się na skutek Waszych starań wyasygnować 10 milionów dolarów (!!), znów przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, na pomoc żywnościową i medykamenty!! Nowy, potężny podarunek dla Niemców! To jest nie do wiary...”

„Działalność Weicherta budziła u nas wszystkich jeszcze przed akcjami likwidacyjnymi najwyższą odrazę... Metody Weicherta stawały się coraz bardziej „niemieckie”. Przeprowadzał konsekwentnie i z energią godną lepszej sprawy 'glajehszaltowanie' dawnych centralnych żydowskich organizacji opiekuńczych, jak Centos*, Toz** i inne. Rządził się po dyktatorsku, wbrew dążeniom całej niezależnej żydowskiej opinii publicznej, pragnącej zachować swe centralne instytucje, pod których płaszczykiem koncentrowało się całe niemal niezależne, podziemne życie społeczne, polityczne i kulturalne. Narzucał społeczeństwu żydowskiemu wolę Niemców... Dopiero po dłuższym czasie, w połowie 1943 r., już po walkach w getcie warszawskim, dowiedzieliśmy się, że Niemcy powołali do życia nową instytucję... pomocy Żydom, 'Jüdische Unterstüzung Stelle' (JUS), z tymże Weichertem na czele... W tym samym czasie, gdy przeprowadzali krwawe masakry na setkach tysięcy Żydów w całym kraju! Fakt, że Żyd mógł stanąć w takiej chwili na czele niemieckiej agentury, odczuliśmy jako straszliwą hańbę. Wyrachowanie Niemców jest jasne. Chcą osłabić wrażenie swych masakr zagranicą i mieć alibi, zwłaszcza wobec Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Jest to oczywiście hitlerowski trick propagandowy. Jednocześnie jest to afera! Stwierdzamy z całą stanowczością, że przeważająca większość medykamentów nie dociera do obozów! Najlepsze leki zabierają Niemcy. Również paczki żywnościowe nie docierają do Żydów. Weichert tę niemiecką aferę firmuje. Swą rozgałęzioną zagraniczną korespondencją 'oficjalną' szerzył wśród Żydów w różnych krajach europejskich złudzenia, że jednak w Polsce Żydom nie powodzi się tak źle, jeśli mają własną organizację opiekuńczą... Żądamy, aby wszelkie bez wyjątku fundusze przesyłane były przez Rząd tylko do Warszawy....”.

* Centrala Opieki nad dziećmi i sierotami.

** Towarzystwo Ochrony Zdrowia.

Niezależnie od opinii o JUSie wyrażonej przez ciała zbiorowe, działacze żydowscy z Warszawy w indywidualnych listach do Londynu wypowiadali się w tej materii:

„Bardzo niemile dotknęła nas wiadomość o popieraniu akcji dr. Weicherta w Krakowie — pisze w liście z 17 maja 1944 r. Szymon Gotesman do Londynu. — Prosiłiśmy przecież o stopowanie jego imprezy. Działalność jego wychodzi na korzyść wyłącznie ciemiężcy, a w świecie wywołuje wrażenie, że Niemcy tolerują żydowską akcję samopomocową. Dopiero dzisiaj otrzymałem wiadomości od człowieka, któremu udało się zbiec z obozu w Płaszowie, z których wynika, że do obozu nic nie dociera, bo wszystko prawie Niemcy zabierają. Od czasu do czasu dostarcza dr Weichert jakieś ochłapy lekarstw do szpitala, ale są to takie leki jak aspiryna, czy coś podobnego. O środkach dezynfekcyjnych, o insulinie itp. nie można nawet myśleć. Tak samo nie dostarcza się tam żadnej żywności, bo tej dostarczać i tak nie wolno, bo regulamin obozowy nie pozwala na to...”.

Zaś 24 maja 1944 r. w liście do Anzelma* piszą Józef Sack, Szulim Grajek i Lejzor Lewin:

„Wszelkie na szeroką skalę zakrojone akcje w ramach działalności Międzynarodowego Czerwonego Krzyża są chybione, a włożone w taką imprezę kapitały popłyną do kas niemieckich. Żadne środki lecznicze i żywnościowe do obozów (o Żydażach zakonspirowanych oczywiście mowy nie ma) nie dotrą.

Wszystkie relacje i potwierdzenia ze strony JUS (bezwolnego, pod terrorem Niemców stworzonego narzędzia) i p. Weicherta (pachołka Gestapo) są elaboratami z gruntu kłamliwymi, obliczonymi na mydlenie oczu zagranicy i płynące z tego źródła zyski. Jediną faktyczną reprezentacją tego, co pozostało z Żydostwa polskiego, jest ŻKN** względnie ŻKK***, które mimo niestychanie trudnych warunków docierają wszędzie. Pieniądze posyłajcie jedynie na adres Delegatury Rządu...”.

Wydaje się, że protesty te nie poskutkowały, gdyż 21 lipca 1944 r. Rada Pomocy Żydom, tym razem z opinią Delegata Rządu, wysłała znowu depezę w tej sprawie:

„Przesyłam depezę Rady Pomocy Żydom. Popieram ich żądania. Sobol... Wstrzymajcie zagraniczne przesyłki Szwecją i Szwajcarią dla JUS, które wbrew naszemu depeżom napływają. Prezydium Rady”.

Uporczywe nawracanie do tej sprawy w korespondencji z Polski wreszcie poskutkowało i w liście z 17 sierpnia 1944 r. dr Schwarcbart pisze do Żydowskiego Komitetu Narodowego:

„W sprawie JUS zastosujemy się w całości do Waszych poleceń”.

Mimo tych zapewnień jakieś siły oddziaływały na Zachodzie by tę drogę pomocy zachować, gdyż jeszcze 1 września 1944 r. dr Reiss depeżuje z Londynu do Warszawy, że:

* Inż. Anzelm Reiss.

** Żydowski Komitet Narodowy.

*** Żydowska Komisja Koordynacyjna.

„Konferowaliśmy z Jointem w sprawie JUS. Oświadczają, że posyłki dla obozów idą. Zapewniliśmy ich że Wy ponownie zbadacie i oni zbadają. Na razie zatrzymują. Zbadajcie i donieście natychmiast”.

Na tych wyjaśnieniach zamyka się korespondencja w sprawie JUS, znajdująca się w polskich archiwach.

Pomoc finansowa Rządu R.P.

Po nawiązaniu łączności Żydów z Delegaturą Rządu w Kraju otwały się z końcem 1942 r. dla nich dwa źródła pomocy finansowej. Pierwszym źródłem były dotacje udzielane Radzie Pomocy Żydom przez Delegaturę Rządu z polskiego budżetu państwowego. Drugim źródłem były zbierane przez Żydów na Zachodzie fundusze i przekazywane Żydom w Polsce za pośrednictwem Delegatury Rządu.

Zanim jeszcze powołano Radę Pomocy Żydom, gdy po akcji lipiec-sierpień 1942 r. w getcie warszawskim znalazło się po stronie aryjskiej wielu Żydów, Delegatura Rządu już wówczas zaczęła przyznawać dotacje na pomoc Żydom. Samorzutnie rozpoczęła — w październiku 1942 r. przez Front Odrodzenia Polski — akcja pomocy Żydom była wspierana przez Delegaturę Rządu dotacją po 50.000 zł. miesięcznie.

Od stycznia 1943 r. powołana podówczas Rada Pomocy Żydom zaczęła otrzymywać z Delegatury regularne dotacje. Powiększane one były systematycznie w miarę jak narastały potrzeby Żydów.

Sprawozdanie Rady Pomocy Żydom z 23 października 1943 r. za dziesięciomiesięczny okres jej działalności, nadesłane z Warszawy do Rządu R.P. w Londynie, zawiera zestawienie kwot otrzymanych z Delegatury Rządu. Wyniosły one:

W styczniu	1943 roku	150.000 zł.
lutym	”	”	300.000 zł.
marcu	”	”	250.000 zł.
kwietniu	”	”	900.000 zł.
od maja do października 1943 roku			
		po 400.000 zł 2.400.000 zł.
od czerwca do października 1943 roku			
Okręgowe Rady Pomocy Żydom otrzymały			
		po 150.000 zł. miesięcznie	750.000 zł.

Razem za okres sprawozdawczy 4.750.000 zł

Sprawozdanie to donosi, że Delegatura przydzieliła Radzie Pomocy Żydom za listopad i grudzień 1943 r. po 750.000 zł. — 1.500.000 zł. — zaś od stycznia 1944 r. po 1.000.000 miesięcznie, co wynosi za 1944 rok 12.000.000 zł.

Członek Rady Pomocy Żydom i referent spraw żydowskich w Delegaturze Rządu Władysław Bartoszewski w książce swej pt. „Ten jest z ojczyzny mojej” uzupełnia to notatką, że dotację tę powiększyła Delegatura Rządu od sierpnia 1944 r. o 1.000.000 zł. miesięcznie, co wynosi

$$1.000.000 \times 5 = 5.000.000 \text{ zł.}$$

Bartoszewski pisze, że po Powstaniu Warszawskim w listopadzie 1944 r. wypłacono Radzie Pomocy Żydom dodatkowo

.....	6.000.000 zł.
a w grudniu 1944 r.	8.000.000 zł.

Razem	<u>37.250.000 zł.</u>
-------------	-----------------------

Razem więc Rada Pomocy Żydom otrzymała z polskiego budżetu państwowego na pomoc Żydom 37.250.000 zł., zaś Front Odrodzenia Polski również na ten cel 150.000 zł., co daje sumę: 37.400.000 zł.

Przekazywanie Funduszków z Zachodu

Fundusze dla Żydów pochodzące z Zachodu przekazywane były do kraju drogą powietrzną. Od czasu uruchomienia regularnych zrzutów spadochronowych nad Polską, tj. od jesieni 1941 r., jedynie tej drogi używano dla zaopatrywania Polski Podziemnej w pieniądze i te możliwości otwarto i dla Żydów.

Fundusze zbierane przez organizacje żydowskie na Zachodzie — przeznaczone dla Żydów w Polsce — przekazywano Rządowi R.P. w Londynie, który — wraz z własnymi dotacjami na ten cel z budżetu państwowego — kierował je do Oddziału VI (Specjalnego) Sztabu Naczelnego Wodza, zajmującego się sprawami krajowymi. Oddział ten organizował m.in. zrzuty powietrzne nad Polską.

Na bazach odlotowych, skąd spadochroniarze wyruszali do Polski, gotówkę — przeważnie dolary — pakowano do pasów, specjalnie do tego celu przystosowanych. Miały one pojemność do 100.000 dolarów. Pasami tymi przewiązywali się spadochroniarze przed odlotem. Każdy pas znaczony był znakiem rozpoznawczym, z wymienieniem zapakowanej kwoty, oraz zaszyfrowanym adresem dla kogo pieniądze są przeznaczone. W kraju było

kilku odbiorców: Delegatura Rządu, dowództwo Armii Krajowej, stronnictwa polityczne i organizacje żydowskie.

Dwoma drogami biegły z Londynu zawiadomienia o przesyłkach cywilnych. Oddział VI (Specjalny) Sztabu N.W. zawiadomił dowództwo AK depezbami radiowymi, którym samolotem, na jaką placówkę odbiorczą przeznaczonym, którzy spadochroniarze przewożą pasy, z podaniem znaku rozpoznawczego oraz kwoty i adresata. Jednocześnie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zawiadomiło Delegata Rządu, również depezbami radiowymi, jakie kwoty są wysyłane dla władz cywilnych, z podaniem znaku rozpoznawczego pasa i adresata.

Oto dla przykładu jedna z depezb donosząca o przerzuceniu pieniędzy z W. Brytanii do kraju:

„Londyn. 4. XII. 1944 r. Nr 285. Delegat. Dnia 22. XI. br. zostały przerzucone do kraju pasy:

Dr 161/22 — dolarów 100.000 dla Delegata Rządu.

Dr 247/25 — dolarów 72.000 w czym 45.000 dla Żyd. Kom. Narodowego oraz 27.000 dla Delegata Rządu.

Dr 248/25 — dolarów 89.563 w czym 10.625 dla Żyd. Kom. Narodowego i 78.938 dla Bundu*.

Prosimy o potwierdzenie odbioru. Berezowski”.

Odebrane po zrzucie na placówce odbiorczej AK pasy z pieniędzmi melinowano z dala od miejsca zrzutu, a później przewożono konspiracyjnie do Warszawy i oddawano w komórce AK, kierującej łącznością z Londynem, w tzw. „Imporcje”. Stąd w odpowiednich skrytkach przekazywano pieniądze przeznaczone dla Delegatury Rządu i dla organizacji żydowskich Wydziałowi Finansowemu Delegatury Rządu. I wreszcie stąd wypłacano pieniądze Radzie Pomocy Żydom, która przekazywała je zgodnie z przeznaczeniem Żydowskiemu Komitetowi Narodowemu, Bundowi i innym organizacjom żydowskim.

Jak widać z opisanej procedury — była to droga skomplikowana; pieniądz musiał przejść przez wiele ogniw zanim z Nowego Jorku dostał się do rąk Żyda potrzebującego pomocy w Kielcach, Radomiu czy też w lesie. Widać też ile wysiłku organizacyjnego wymagał ten sposób zaopatrzenia i na jakie zagrożenia ludzie byli narażeni, jak również i przesyłki.

Nic też dziwnego, że nie wszystkie przesyłki docierały do miejsc przeznaczenia. Nieraz samoloty musiały zawracać z drogi,

* W następnej depezbie z Londynu Nr 313 sprostowano, że kwota w pasie Dr 248/25, przeznaczona dla ŻKN, wynosi nie 10.625 dol. lecz 3.625, a dla Bundu nie 78.938 lecz 85.938.

ginęły wskutek uszkodzenia motoru, lub były zestrzeliwane przez myśliwców niemieckich na trasie i nad Polską. Jak trudne były te loty świadczą o tym cyfry strat. Z 858 startów do lotu tylko 483 samoloty wykonały udane zrzuty nad Polską. Do baz nie powróciły 63 samoloty, a na zrzuconych 345 spadochroniarzy — 11 poniosło śmierć w drodze i podczas lądowania ze spadochronem. Wraz z samolotami i spadochroniarzami ginęły i pieniądze.

Brak jest danych w archiwach ile pieniędzy przeznaczonych dla Żydów przepadło w ten sposób. Dysponujemy tylko cyframi strat poniesionych przez AK i one rzucają światło na to zagadnienie. Pomijając inne waluty przekazywane do Polski, dolarów dostarczono 34.823.163. W czasie drogi powietrznej stracono 1.763.000 dolarów.

Ale na przesyłki z W. Brytanii nie tylko w powietrzu czyhało niebezpieczeństwo. Na ziemi czatowali na nie Niemcy. Toteż już po dostarczeniu przesyłek do kraju pewne kwoty przepadały na melinach lub podczas przenoszenia w mieście. Kontrola bowiem niemiecka i rewizja były zmorą dającą się konspiracji dotkliwie we znaki. Wraz ze znalezionymi przy rewizji pieniędzmi ginęli żołnierze AK i pracownicy Delegatury.

Pieniądze, przesyłane drogą powietrzną z Zachodu Żydom w Polsce za pośrednictwem Delegatury Rządu, były przeznaczone dla kilku odbiorców: Żydowskiego Komitetu Narodowego, Rady Pomocy Żydom, Bundu, Poale Sion Lewica i Poale Sion Prawica. Jedna przesyłka, pochodząca od rządu holenderskiego, przeznaczona była dla Żydów holenderskich, osadzonych w obozach koncentracyjnych i w obozach przymusowej pracy. Było ponadto przesłanych kilka drobnych kwot dla Żydów, osób prywatnych. Przesyłki te wymienione są poniżej.

Początkowo, w latach 1942 i 1943, gdy przekazywane kwoty nie przekraczały 10.000 dolarów, wypłata Żydom w Polsce następowała szybko. Wypłatę zlecał depeszą radiową minister spraw wewnętrznych z Londynu Delegatowi Rządu w kraju, gdyż zapasy gotówkowe Delegatury Rządu na taką wypłatę przeważnie pozwalały.

Oto przykład takiego zlecenia:

„Londyn, 21 grudnia 1942 r. Nr 126. A. Delegat. W ślad za 126 proszę wypłacić dla Bundu panu Berezowskiemu pięć tysięcy dolarów, które tu wpłacił Zygielbojm. Stem”.

W rozliczeniu Bundu z 23. XI. 1943 r. przesłanym z Warszawy do Londynu figuruje wypłacone Bundowi w grudniu 1942 r. kwota 5 tysięcy dolarów. A więc w kilka dni po wydaniu zlecenia z Londynu.

Wyplacone Żydom w kraju kwoty były Delegatowi zwracane drogą łączności powietrznej.

Gdy jednorazowe przekazy dla Żydów dochodziły później do setek tysięcy dolarów, wypłacano je adresatowi dopiero po otrzymaniu przesyłki w Polsce drogą lotniczą; względnie wypłacano część zaliczkowo w miarę posiadanych przez Delegaturę rezerw dolarowych.

Procedurę tę oświetla poniższa depesza:

Londyn, 27. VIII. 1944 r. Nr 186. Delegat. W początku lipca oddałem Oddziałowi Specjalnemu Sztabu do przewiezienia i wypłacenia Delegatowi w Kraju sześćset tysięcy dolarów, w tym sto tysięcy od Jointu, z życzeniem wypłacenia pięćdziesiąt tysięcy dla Bundu i pięćdziesiąt tysięcy dla Żydowskiego Komitetu Narodowego.

Ponadto proszę wypłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów Radzie Pomocy Żydom z funduszy państwowych oraz pięćdziesiąt tysięcy dolarów Żydowskiemu Komitetowi Narodowemu, wpłaconych przez Agencję Żydowską, z czego część już wysłano, resztę najbliższą okazją. Kwoty te proszę wypłacić zaraz. Orkan**.

Zaopatrzenie Żydów w kraju w fundusze, pochodzące z Zachodu a dostarczane im przez spadochroniarzy AK, znajduje odbicie w licznie prowadzonej na ten temat korespondencji między Londynem a Warszawą. Są depesze z Londynu (jak wyżej depesza Nr 186), zawiadamiające o przesłanych do Polski dotacjach pieniężnych oraz zarządzenia Rządu R.P. zlecające Delegatowi Rządu wypłacenie Żydom przeznaczonych dla nich kwot. Są to również rozliczenia wysyłane przez Żydów z Polski do organizacji żydowskich na Zachodzie, potwierdzające odebrane kwoty i zdające sprawozdanie ze zużytkowania otrzymanych sum. Korespondencja ta pozwala na ustalenie wysokości kwot dostarczonych Żydom w Polsce drogą powietrzną z Zachodu.

Kwoty przekazane Bundowi

Pierwszą organizacją żydowską, która korzystała z pośrednictwa Delegatury Rządu dla przekazywania z Zachodu funduszy, był Bund. Przekazy dla Bundu rozpoczęły się w jesieni 1942 r., gdy dla innych organizacji żydowskich dopiero w połowie 1943 r.

Rozliczenie między przedstawicielem Bundu Berezowskim w Warszawie a dr. Schererem w Londynie za okres od października 1942 r. do listopada 1943 r. obejmuje kwotę 81 tysięcy dolarów

** Pseudonim ówczesnego Ministra Spraw Wewnętrznych Rządu R.P. w Londynie Władysława Banaczyka.

otrzymanych z Zachodu za pośrednictwem Delegatury Rządu.
Berezowski pisze 23. XI. 1943 r.:

„... kwituję Lucjanowi* odbiór po 5 tysięcy dolarów w październiku i grudniu ub.r., 20 w lutym, 13 w kwietniu, we wrześniu równowartość 10, w październiku 15, w listopadzie 5 plus 8 efekt”.

Zgodność tego rozliczenia z kwotami wysłanymi z Londynu potwierdza dr Scherer Berezowskiemu depeszą z 8. III. 1944 r.
W depeszy z 15. IX. 1944 r. dr Scherer zawiadamia Berezowskiego:

„... kwoty dostarczone przez Komitet Robotniczy i Joint i wpłacone w tutejszym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na Wasze ręce w czasie od Waszego sprawozdania z listopada ub.r. do 31 sierpnia r.b. wynoszą przeszło ćwierć miliona dolarów efektywnych, z czego należy się siedem tysięcy Borowskiemu, pięć tysięcy Szomrowi, 400 bliźniętom od ojca, reszta tj. blisko 240 tysięcy dolarów do wyłącznej dyspozycji Bundu”.

Ponadto depeszą z 4. XII. 1944 r. minister Spraw Wewnętrznych zawiadamia Delegata Rządu o przesłaniu drogą powietrzną w listopadzie tego roku 85.938 dolarów dla Bundu.

Można więc przyjąć, że za pośrednictwem Delegatury Rządu Bund otrzymał z Zachodu przewiezione przez spadochroniarzy AK kwoty:

między październikiem 1942 a listopadem 1943 r.	81.000	doł.
między grudniem 1943 a sierpniem 1944 r.	240.000	”
w grudniu 1944 r.	85.938	”
ponadto za pośrednictwem Bundu dla Szomru ..	5.000	”
dla Borowskiego	7.000	”
dla bliźnięt ...	400	”
Ogółem	419.338	doł.

W rozliczeniach przesyłanych z Warszawy do Londynu Berezowski, przedstawiciel Bundu, podaje dr. Schererowi na co zostały wydane otrzymane pieniądze; w liście z 15. XI. 1943 r. pisze:

„Co obejmowały nasze wydatki? Utrzymanie naszych paruset towarzyszy, ich rodzin, mieszkanie, zaopatrzenie w odzież, bieliznę, obuwie, leki, schrony (o ile potrzebne), wykupywanie z więzień (na ten cel wydaliśmy ogółem 2.000 dolarów), opłacanie szantażystów (komendant odcinka frontu O.B.** nasz towarzysz Rozowski uległ podwójnemu szantażowi, który kosztował 20.000 złotych, a jednak po drugim wypadku zginął) oraz wsparcie dla osób na prowincji, kryjących się w dzielnicach aryjskich, względnie dla rodzin naszych towarzyszy pozostałych przy życiu”.

* Lucjan Blit.

** Organizacja Bojowa (ŻOB).

Z rozliczenia tego dowiadujemy się, że niezależnie od pośredniczenia w przekazywaniu z Zachodu funduszków, Delegatura Rządu udzielała również pożyczek Bundowi, gdy był w potrzebie.

„Z wpływów wymienionych pod A — pisze w tym sprawozdaniu Berzowski do dr. Scherera — zwróciliśmy Delegaturze udzieloną nam przedtem pożyczkę (byliśmy bez grosza) w kwocie 15.000 zł., co wynosiło według ówczesnego kursu około 300 dolarów”.

Kwoty przekazywane Żydowskiemu Komitetowi Narodowemu

Przekazy funduszków dla ŻKN rozpoczęły się dopiero latem 1943 r. Otrzymane przez rząd polski w Londynie od Agencji Żydowskiej 10.000 funtów szterlingów Delegatura Rządu wypłaciła ŻKN-owi ratami po 10 tysięcy dolarów między lipcem 1943 r. a wrześniem 1943 r. Odebranie pierwszej raty 10 tysięcy dolarów na poczet tej sumy pokwitował ŻKN dr. Schwarzbartowi depeszą z 10. VIII. 1943 r., a całość sumy w liście do niego z 15. IX. 1943 r.

Następne pokwitowanie odebranych kwot zawiera sprawozdanie Żydowskiego Komitetu Narodowego z 24. V. 1944 r. Czytamy w nim:

„W okresie od 1 listopada 1943 r. do 20 maja 1944 r. otrzymaliśmy od Was następujące sumy:

na początku listopada 1943 r.	10.000 dol.
w końcu listopada 1943 r.	10.000 dol.
w grudniu 1943 r.	14.000 dol.
w styczniu 1944 r.	12.000 dol.
w kwietniu 1944 r.	20.000 dol.
w maju 1944 r.	60.000 dol.

Ogółem 126.000 dol.”

Depeszą z 28. VII. 1944 r. do dr. Schwarzbarta kwituje Żydowski Komitet Narodowy odebranie 100.000 dol. od Jointu i 20.000 dol. od Kongresu.

W tym samym miesiącu 27. VII. 1944 r. depeszą Nr 186 minister Spraw Wewnętrznych zlecił Delegatowi Rządu wypłacenie Żydowskiemu Komitetowi 50 tysięcy dolarów wpłaconych rządowi polskiemu w Londynie przez Agencję Żydowską.

Następne telegraficzne zlecenie ministra Spraw Wewnętrznych, nakazujące Delegatowi Rządu wypłacenie Żydowskiemu Komitetowi Narodowemu kwoty 48.625 dolarów, nosi datę 4. XII. 1944 roku.

Wreszcie ostatnie zlecenie wypłaty Żydowskiemu Komitetowi Narodowemu kwoty 12.700 dolarów, otrzymanych w Londynie od „Zionist Organisation”, nosi datę 17. I. 1945 r., a więc w czasie ostatecznego wypędzania Niemców z Polski, gdy Żydzi wychodzili już z ukrycia.

Ogółem żydowski Komitet Narodowy otrzymał za pośrednictwem Delegatury Rządu, przewiezioną z Zachodu przez spadochroniarzy AK kwotę około 400.000 dolarów.

Sprawozdanie z 24. V. 1944 r., wysłane przez Żydowski Komitet Narodowy do Londynu, opisuje sposób zużytkowania otrzymanych z Londynu funduszy:

„O ile chodzi o sumy, które nadeszły dla ŻKN, to zużycie ich było następujące:

Wszystkim partiom i organizacjom żydowskim (oprócz Bundu, który otrzymuje własne fundusze) wypłacono na pełne utrzymanie członków organizacji i ich rodzin oraz dla aktywu społeczno-kulturalnego (literaci, artyści itd.) około	15 %	sum.
na cele Żyd. Org. Boj. wydatkowano	10 %	”
na ogólną akcję pomocy Żydom w obozach i na całej prowincji	75 %	”
Ogółem	100 %	”

Kwoty przekazane Radzie Pomocy Żydom

Poza dotacjami wypłacanymi w złotych polskich z polskiego budżetu państwowego przez Delegaturę Rządu, Rada Pomocy Żydom otrzymywała również pomoc z Zachodu.

Depeszą z 19. VII. 1944 r. minister Spraw Wewnętrznych zlecił Delegatowi Rządu wypłacenie Radzie Pomocy Żydom 95.000 dolarów otrzymanych od Jointu.

W wyniku uchwały Rady do Spraw Ratowania Ludności Żydowskiej w Polsce, minister Spraw Wewnętrznych zlecił Delegatowi Rządu depeszą z 27. VII. 1944 r. wypłacenie Radzie Pomocy Żydom 50.000 dolarów z polskiego budżetu państwowego.

Depeszą z 4. XII. 1944 r. zlecił minister Spraw Wewnętrznych wypłacenie Okręgowej Radzie Pomocy Żydom w Krakowie 100 tysięcy dolarów otrzymanych od „amerykańskich organizacji żydowskich”. Kwotę tę zlecono wypłacić w Krakowie, gdyż po Powstaniu Warszawskim w lecie 1944 r. Centralna RPŻ, ewakuowana ze stolicy, miała trudności w docieraniu do skupisk żydowskich.

Ogółem Rada Pomocy Żydom otrzymała za pośrednictwem Delegatury Rządu z Zachodu od organizacji żydowskich 195.000 dolarów, a z polskiego budżetu państwowego 50.000 dolarów.

Kwoty przekazane innym organizacjom żydowskim

Inne organizacje żydowskie korzystały z przekazów z Zachodu w znacznie mniejszej skali. I tak sprawozdanie Żydowskiego Komitetu Narodowego z 15. XI. 1943 r. zawiadamia Londyn:

„Przez cały rok wpłynęły do organizacji zrzeszonych w ZKN-ie dwie stosunkowo drobne kwoty, za pośrednictwem Bundu, oraz 3.000 dolarów dla Prawicy Poale Sion, zaś drugi raz 1.500 dla obu partii Poale Sion, 1.000 dla Lewicy i pół tysiąca dla Prawicy. Dopiero w czerwcu rb. otrzymaliśmy pierwszą większą sumę 10.000 dolarów dla Sionistów Ogólnych i Prawicy Poale Sion. Następnie otrzymaliśmy w lipcu, sierpniu i wrześniu kolejno trzy razy po 10.000 dolarów na poczet przesłanej przez Was sumy 10.000 funtów”.

Wypłatę tej ostatniej kwoty 10.000 funtów zlecił minister Spraw Wewnętrznych Delegatowi Rządu depeszą Nr 121 z 22. VI. 1943 r., wskazując, że jest ona przeznaczona dla „Centralnego Komitetu Sionistów”.

Pośrednictwo polskie wykorzystane było również i dla niesienia pomocy Żydom holenderskim, osadzonym w obozach koncentracyjnych i w obozach przymusowej pracy. Po wpłaceniu przez rząd holenderski rządowi polskiemu w Londynie 10.000 dolarów, kwota ta na zlecenie ministra Spraw Wewnętrznych została przez Delegata Rządu wypłacona Radzie Pomocy Żydom, z przeznaczeniem dla Żydów holenderskich.

Przekazywanie z Zachodu drogą powietrzną prywatnych przesyłek pieniężnych dla Żydów stosowane było tylko w wyjątkowych wypadkach. Podobnie zresztą jak i dla Polaków. Jest to zrozumiałe wobec opisanych wyżej bardzo trudnych warunków, w jakich odbywało się zaopatrzenie Polski Podziemnej w fundusze.

Niemniej kilka prywatnych przesyłek dla Żydów miało miejsce, co znalazło odbicie w depeszach i rozliczeniach. I tak przekazano „od ojca dla bliźniąt 400 dolarów”. Dla przyjaciela inż. Reissa 3.000 dolarów. Dla Borowskiego 7.000 dolarów. W depeszy zaś z 30. XI. 1943 r. Nr 257 minister Spraw Wewnętrznych zlecił wypłatę Ryszardowi Kanarek, lub Stefanowi Gorian, albo Annie Kramszyk dla R. Kanarka 100 dolarów, oraz Marii Ciechanowskiej i Bronisławie Alert po 100 dolarów.

Ogółem organizacje żydowskie w Polsce otrzymały za pośrednictwem Delegatury Rządu walut przywiezionych z Zachodu przez spadochroniarzy AK ponad jeden milion dolarów, a z budżetu państwowego wypłacono Żydom w Polsce trzydzieści siedem mi-

lionów czterysta tysięcy złotych polskich i pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ponadto Rada do Spraw Ratowania Ludności Żyd. w Polsce przekazała z budżetu przyznanego jej przez Rząd R.P. na cele pomocy Żydom uwolnionym z obozu koncentracyjnego Bergen Belsen 200.000 Fr. szwajcarskich.

Kazimierz IRANEK-OSMECKI

BIBLIOGRAFIA

Bernard Mark. *Powstanie w getcie warszawskim*. Wydawnictwo Idisz Buch. Warszawa. 1963.

Studium Polski Podziemnej. Londyn. Teka Nr 15, poz. 83.

Studium Polski Podziemnej. Londyn. Sprawozdanie z działalności R.P.Ż. z 23. X. 1943 r. Teka Nr 46, wpływ 864.

Studium Polski Podziemnej. Londyn. Sprawozdanie Ż.K.N. z 24. V. 1944 roku. Zał. Nr 8. Rozwój działalności Ż.K.N. po stronie aryjskiej. Teka Nr 46, wpływ 902.

Władysław Bartoszewski. *W przededniu Powstania w Getcie*. „Tygodnik Powszechny”, Nr 16 (842). Kraków, 20. IV. 1958.

Studium Polski Podziemnej. Londyn. Sprawozdanie Ż.K.N. z 24. V. 1944 roku. Zał. Nr 7. Powstanie i rozwój Ż.O.B. Teka Nr 46, wpływ 927.

Władysław Bartoszewski. *Zapomniana karta z dziejów polskiego podziemia*. „Wiadomości” Nr 30 (799). Londyn, 23. VII. 1961.

„Tygodnik Powszechny”, Nr 15 (794). Kraków, 12. IV. 1964.

Jan Karski. *Story of a Secret State*. Holder and Stoughton Ltd., London, 1845.

Studium Polski Podziemnej. Londyn. Teka 78, poz. 17. L. dz. K. 431/43.

Studium Polski Podziemnej. Londyn. Zbiór broszur konspiracyjnych.

Wywiad radiowy przed mikrofonem R.W.E. Wandy Pełczyńskiej z Władysławą Homsową. *Studium Polski Podziemnej*. Londyn, wpływ Nr 2373.

Władysław Bartoszewski. Z notatnika kronikarza 1939-1945. (XXVII). Akcja Żegota. „Stolica” Nr 3 (472). Warszawa, 20. I. 1957.

Studium Polski Podziemnej. Londyn. Sprawozdanie z 15. XI. 1943 r. przedstawiciela Bundu w Warszawie Berezowskiego do przedstawiciela Bundu w Londynie. Teka Nr 46, wpływ 853.

Philip Friedman. *Their Brothers Keepers*. Crown Publishers, Inc., New York, 1957.

Studium Polski Podziemnej. Londyn. Relacja ppłk. dypl. Stanisława Webera (Chirurg). Wpływ Nr 1608.

Władysław Bartoszewski. *Wielkanoc 1943. Gdy Getto chwyciło za broń*. *Zapomniane akcje A.K.* „Świat” Nr 16 (300). Warszawa, 21. IV. 1957.

Extermination and Resistance. Ghetto Fighters House. Kibbutz Lohamei Haghettaof. Israel, 1958.

Wanda Pełczyńska. *Bernard Mark o getcie warszawskim*. „Polemiki”. Zeszyt Drugi. Lato, 1964. Londyn. Polonia Book Fund Ltd.

Polskie Siły Zbrojne w 2-jej wojnie światowej. Tom III. *Armia Krajowa*. Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego. Londyn, 1950.

Władysław Bartoszewski. *Akcje Zbrojne Pomocy Żydom*. „Tygodnik Powszechny”, Nr 17 (843), Kraków, 27. IV. 1958.

Dawid Klin. *Za Waszą Wolność i Naszą*. „Lewy Nurt”. Zeszyt 1. Lato 1966. Centralny Komitet Polskiej Partii Socjalistycznej w Londynie.

Studium Polski Podziemnej. Londyn. Zbiór Prasy Konspiracyjnej.

Maximilian TAUCHNER

W BOLESNĄ ROCZNICĘ

Pamiętamy ten dzień. 19 kwietnia 1943 roku. Wielkanocny poniedziałek. Pierwsze odgłosy głuchych detonacji. Gęste kłęby czarnego dymu. Gorączkowy, niezrozumiały jeszcze ruch przed pałacem gubernatorskim. Mkną auta z żandarmami w bojowym rynsztunku. Ulicami przechodzą szybko oddziały „granatowych” policjantów, Ukraińców i Łotyszów. Wszystko w nerwowym pośpiechu. Wszystko w kierunku getta. Pierwsze czołgi suną wzdłuż Freta. Nad miastem krążyć zaczynają pierwsze samoloty z czarnymi krzyżami. Nie od razu zorientowała się Warszawa, że w samym jej sercu wybuchł bunt. Że getto żydowskie stawia zbrojny opór. Myślano, że Niemcy przeprowadzają jedną ze „zwyczajnych” akcji żydowskich. I to wystarczało, by życie milionowego miasta toczyło się normalnym trybem i by czarne kłęby dymu z coraz głośniejszymi detonacjami nie wzbudzały szczególnego niepokoju. Jedynie innowacji niemieckich zawsze się bano. Likwidowanie Żydów dawno już do innowacji nie należało. Do pewnego stopnia było ono nawet dowodem, że życie toczy się utartym torem. Gdy jednak detonacje stawały się coraz częstsze i donośniejsze, gdy w godzinach popołudniowych coraz więcej pożarów szaleć zaczęło nad tamtą stroną miasta, gdy urywany początkowo grzechot karabinów maszynowych przechodzić zaczął w coraz mocniejszą i długotrwałą kanonadę, gdy oddziały straży pożarnej z całego miasta pędzić zaczęły jak szalone w kierunku getta, a od strony Muranowskiej i Placu Krasińskich wychodzić poczęły pierwsze grupy żandarmów niemieckich, czarnych od dymu, okrwawionych, bez hełmów, w poszarpanych mundurach — rozumieć zaczęli mieszkańcy Warszawy, że to jednak coś więcej niż „zwykła” likwidacja Żydów...

Różne były te pierwsze odgłosy Warszawy na wiadomość,

że tam w getcie żydowskim wybuchło powstanie. Człowiek wsłuchiwał się w nie chciwie, w bolesnym, napiętym pragnieniu usłyszenia od współobywateli z drugiej strony muru, tak często na tematy żydowskie w tym czasach rozprawiających, czegoś miłego i ciepłego. Były słowa miłe i ciepłe i za serce chwytające. Słowa współczucia i zapewnienia, że ci tam, za murem, nie są osamotnieni. Słowa zachęty do przetrwania i otuchy. Słowa podziwu dla „Żydków, co tak ładnie — kto by to sądził — postawili się...”. Słowa szacunku, gdy na murach walącego się getta zatknęli powstańcy żydowscy i polską, biało-czerwoną chorągiew. Nie było słów tych, niestety wiele. Większość przyjęła walkę w getcie z kpiącym uśmiechem niedowierzania w żydowski wysiłek zbrojny. Że nie idzie tam walka o militarne osiągnięcia, ani nawet o życie, ale o ludzką, godziwą śmierć, nie wszyscy rozumeli. Były i głosy, że Żydzi spalić postanowili Warszawę i że czyn taki rozwścieczyć tylko może Niemców i skierować ich w rezultacie przeciw całej ludności warszawskiej. Był głos oburzonego strażaka, „że nie naród to a bydło”, bo gdy zwrócił się do Żyda, stojącego z dzieckiem na ręku na dachu płonącego domu, by zanim skoczył w płomienną przepaść, oddał mu swe kosztowności, tamten splunął tylko... Ludzie stali godzinami całymi tuż obok getta, patrząc na to jedyne w swoim rodzaju widowisko. Żywe fajerwerki. Płonęli ludzie, płonęły dzieci. I jeżeli widok nawet tych dzieci nie zdołał wtedy zatwardziały w nienawiści serc ludzkich skruszyć, to serc tych widocznie nie było. Maleństwa z przewiązanymi przez rodziców oczyma trzymały się kurczowo framugi okna, którą lizwały już płomienie, nie mając odwagi iść tak strasznej śmierci na spotkanie. Czy może być coś bardziej tragicznego od widoku matki czy ojca popychających własne dziecko w objęcia śmierci? A jednak byli i ludzie, których serca nie skruszały wówczas. Małą dziewczynkę żydowską, która nie wiadomo, jakim cudem wy dostała się z tego piekła w tych strasznych dniach, otoczyła obok Placu Trzech Krzyży gawieź ludzka i przy akompaniamencie złowrogich okrzyków oddała w ręce niemieckich żandarmów.

A na Placu Krasin'skich, tuż obok muru niemal, huczało rozśpiewane Wesołe Miasteczko. Wirowały karuzele i huśtawki, przelewali się zabawowicze. A tamci, stojący na najwyższych piętrach płonących domów widzieli to niewątpliwie. Kto wie co myśleli w ostatnich chwilach swego życia.

A tam na Zamenhofs i Miłej, na Nalewkach i Gęsiej, na Franciszkańskiej i Muranowskiej bili się Żydzi z Niemcami. Ciskali w nich granaty, własnej produkcji, ostrzeliwali z rewolwerów i karabinów. Chrzest bojowy otrzymały wówczas słynne butelki

z benzyną, ciskane w niemieckie czołgi, znane potem dobrze żołnierzom Powstania Sierpniowego. Na placu Muranowskim, na dachu jednego z domów, wykwitły w pierwszym dniu boju dwa sztandary: niebiesko-biały i biało-czerwony. Niemiecki generał przyjął to jako wyzwanie i wysłał na zdobycie tej pozycji żydowskiej wyborową grupę szturmową „SS”. Uznał, że walczą tam Żydzi wspólnie z Polakami i tak też zaraportował dowództwu. Że to sami Żydzi mogą walczyć pod dwoma, drogimi im sztandarami pojąć nie umiał niemiecki generał.

Żydowska Organizacja Bojowa (ŻOB) — zreorganizowana z końcem stycznia 1943 roku, zmobilizowała 22 grupy walczące.

Na jej czele stanął Mordechaj Anielewicz, reprezentant chalucowo-syjonistycznego ruchu młodzieżowego. Poza grupami bojowymi ŻOB istniały jeszcze w getcie niepodlegające nikomu grupy bojowe tzw. „dzikich”. Założona została w getcie wytwórnia granatów i butelek zapalających. Produkowana broń, choć prosta i prymitywna, wzmocniła znacznie siłę ogniw powstańców żydowskich, którzy nie tylko zorganizowali opór czynny w getcie, ale wszelkimi siłami starali się pobudzić pozostałą ludność żydowską do biernego oporu, do budowania podziemnych bunkrów i chodników.

Komendę nad „akcją” niemiecką objął osobiście generał policji Stroop, nowomianowany dowódca SS i policji dystryktu warszawskiego. Siły niemieckie biorące udział w akcji likwidacyjnej wynosiły przeciętnie około 40 oficerów i 2.200 podoficerów i szeregowych. Gdy Niemcy weszli w szuku bojowym do getta powitał ich koncentryczny ogień zabarykadowanych powstańców, pod wpływem którego szeregi SS-owców rozpięchły się w nieładzie. Na nic nie zdało się wprowadzenie do akcji czołgów. Gdy bowiem pierwszy czołg trafiony butelką benzynową spłonął wraz z załogą, a następne dwa czołgi i wozy pancerne, również trafione pociskami, zostały unieruchomione, pozostałe nie odważyły się zbliżyć do pozycji grup bojowych. Ponieśli tutaj Niemcy bardzo duże straty. Przed pierwszym starciem u zbiegu Miłej i Zamenhofs przyszło do spotkania na Nalewkach, gdzie dwie zabarykadowane grupy broniły ulicy. Walka trwała tutaj 7 godzin. Niemcy zmuszeni byli wycofać się, pozostawiając wielu zabitych. Na rogu Gęsiej znajdował się niemiecki punkt obserwacyjny dla lotnictwa, który sygnalizował samolotom krążącym nad gettem, w których miejscach znajdują się bojowcy. Zacięte walki trwały w tym samym czasie na Placu Muranowskim. Spalony tu został także czołg niemiecki, drugi z rzędu w pierwszym dniu walk. Żydzi zdobyli tu dużo broni, również maszynowej. Przed wieczorem pierwszego dnia powstania nie było już na terenie getta

ani jednego Niemca. Trwał tylko nadal obstrzał artylerii z Placu Krasieńskich i innych pozycji oraz od czasu do czasu następowało bombardowanie z powietrza. Drugiego dnia „akcji” Niemcy byli już dużo ostrożniejsi. Gdy w godzinach popołudniowych zbliżyli się w zwartym szyku bojowym do bramy tzw. „szop szczotkarzy” bojownicy żydowski, czuwający tam na posterunku spowodowali wybuch niezwykle silnej miny, od którego poniosło śmierć około sto Niemców. Z 30 Niemców, którzy przedostali się na teren bloku „szotkarzy” z drugiej strony, od Franciszkańskiej, ocalało zaledwie kilku. Było to drugie pełne zwycięstwo walczących Żydów. Propozycja niemiecka 15-minutowego zawieszenia broni dla zebrania zabitych i rannych przyjęta została kanonadą z każdego piętra, z każdego niemal okna. Następnego dnia zdobyli Niemcy, poparci artylerią i oddziałami saperskimi, teren „szotkarzy” i podpalili go ze wszystkich stron. Był to pierwszy ogromny pożar w getcie, którego ofiarą padło bardzo wielu jego mieszkańców. Jedynie grupom bojowym udało się pod osłoną nocy przedostać z wielkim trudem do getta centralnego. W dniach następnych trwały z niezminiejszą siłą zacięte walki.

Mimo kolosalnej przewagi Niemcy natrafiali na opór. Ale opór ten zaczął się rzeczy słabnąć. Powstańcy zmuszeni zostali do zmiany taktyki. Przeszli do taktyki partyzanckiej. Do każdego schronu została przydzielona grupa bojowa z zadaniem obrony większych skupień. Niemcy przystąpili do niszczenia tych schronów przy pomocy aparatów podsłuchowych i psów policyjnych. Na bezpośredni rozkaz Himmlera, aby powstanie stłumić z „największą surowością i bezwzględnością” przystąpili do systematycznego podpalania całych bloków domów. Dnia 23 kwietnia Żydowska Organizacja Bojowa wydała odezwę do ludności polskiej. Odezwę tę przejęły polskie organizacje podziemne kolportując ją w tysiącach egzemplarzy. W odezwie tej czytamy:

„Polacy, Obywatele, Żołnierze Wolności!

Wśród huk armat, z których armia niemiecka wali do naszych domów, do mieszkań, do naszych matek, dzieci i żon, wśród terkotu karabinów maszynowych, które zdobywamy w walce na żandarmach i SS-manach, wśród dymu pożarów i kurzu krwi mordowanego getta w Warszawie, my, więźniowie getta, ślemy Wam bratnie, serdeczne pozdrowienie. Wiemy, że w serdecznym bólu i łzach współczucia, że z podziwem i trwogą o wynik tej walki przyglądacie się wojnie, jaką od wielu dni prowadzimy z okrutnym okupantem. Lecz wiedziecie także, że każdy próg getta jak dotąd tak i nadal będzie twierdzą, że możemy wszyscy zginąć w tej walce, lecz nie poddamy się, że dyszymy jak i Wy żądzą odwetu i kary za wszystkie zbrodnie wspólnego wroga. Toczy się walka o naszą i Waszą wolność. O Wasz i nasz ludzki, społeczny i narodowy honor i godność. Pomścimy zbrodnie Oświęcimia, Treblinki, Bełżca, Majdanka.

Niech żyje braterstwo broni i krwi Walczącej Polski! Niech żyje Wolność! Śmierć katom i oprawcom! Niech żyje walka na śmierć i życie z okupantem!”

W ciężkiej walce padł 8 maja, po użyciu przez Niemców gazu, bunkier ze sztabem Żydowskiej Organizacji Bojowej. Zginął Anielewicz, zginęli przywódcy powstania z rąk wroga, lub sami sobie życie odbierając.

Nie wszyscy mieli jednak to szczęście. Właściwie tylko nieliczni. Reszta, bezbronna ludność, zginęła w męczarniach.

Walki w getcie trwały jeszcze długo potem. W tych warunkach zdecydowali się Niemcy na krok ostateczny. Przystąpili do doszczętnego spalenia pozostałych jeszcze domów w tzw. „małym getcie”. Dnia 16 maja została „operacja” ta zakończona wysadzeniem w powietrze Wielkiej Synagogi. Efektem więc głośnym i symbolicznym. „Była żydowska dzielnica Warszawy — raportował Stroop Himmlerowi — przestała istnieć”... Pożary szalejące w getcie warszawskim blisko miesiąc strawiły doszczętnie czwartą część stolicy. Ogólna liczba schwytanych w czasie powstania w getcie Żydów wynosiła wedle niemieckich obliczeń przeszło 56.000, w tym 7 tysięcy zabitych w czasie walk, a około 7 tysięcy zlikwidowanych potem w Treblince.

Pozostali wywiezieni zostali do obozów w Poniatowie, Majdanku i Trawnikach, gdzie w ciągu roku 1943 zostali wymordowani.

Twierdza żydowskiego oporu padła. Część miasta, gdzie ongiś ciągnęły się ulice, gdzie stały domy i żyli ludzie została zrównana z ziemią. Zginęły ulice. Zginęli ludzie. Zginęli i zwyciężyli. Albowiem czynami swymi udowodnili, że straszliwy mechanizm okrucieństwa w oparciu o potężną siłę militarną nie jest w stanie złamać duszy narodu nawet w warunkach nieludzkiego bytowania. Zwyciężyli, albowiem mocarny wróg musiał stanąć z nimi do otwartej walki i użyć czołgów i samolotów w walce z bezbronnym gettem żydowskim.

Zwyciężyli, tworząc narodowi swemu legendę, która przetrwa wieki.

Był to pierwszy bunt w Europie przeciw krwawemu okupantowi. Stał się prekursorem jego klęski.

Czwierć wieku mija dziś od owych dni. Może obudzi się Człowiek.

Maximilian TAUCHNER

GENERAŁ KAZIMIERZ SOSNKOWSKI

W ślad za „Materiałami Historycznymi” gen. Sosnkowskiego (Gryf, Londyn 1966), ukazała się praca jego adiutanta czasu wojny Witolda Babińskiego: „Przyczynki Historyczne do okresu 1939-1945” (B. Świdorski, Londyn 1967). Obie łączą się ściśle. Pierwsza jest zbiorem dokumentów — bogaty zestaw źródeł w odniesieniu do Generała. Specyficzne warunki nie pozwoliły na równomierne omówienie wszystkich okresów — mimowolny nacisk położono na okres 1940-1945 r. Druga książka stanowi opracowanie działalności gen. Sosnkowskiego od kampanii francuskiej w 1940 r. począwszy. Zamyka ją wyjazd Generała do Kanady i sprawy z tym wyjazdem związane. Współzależność książek pozwala na przypuszczenie, że zostały opracowane pod kierunkiem i nadzorem Generała. Czy mają stanowić chwilową namiastkę „Pamiętników”, które, jak fama głosi, mają się ukazać po jakimś określonym upływie czasu?

Wydaje się, że obie prace mają różną wartość historycznego źródła. „Materiały” (wydane pod redakcją Józefa Mateckiego) są zbiorem dokumentów i noszą nazwisko autora: Kazimierz Sosnkowski. Materiał źródłowy pierwszej wartości. Inną wartość stanowi książka Babińskiego. Inż. Babiński był w okresie wojny zaufanym pracownikiem gen. Sosnkowskiego; jego adiutantem „do spraw politycznych”. Jako taki jest, lub mógłby być, niezmiernie ważnym źródłem historycznym. Stale obracał się w kręgu naszej „wielkiej polityki”. Stykał się z wypadkami, oceniał, rozumiał je tak, czy inaczej. Historycznie mają wagę jego ówczesne opinie, bez wątpienia formowane wspólnie z Generałem. W tym świetle nie jest zrozumiała decyzja autora wydania „Przyczynków” w formie opracowania poprawionego dzisiejszą wiedzą historyczną. Nie mogę zgodzić się z opinią wyrażoną w posłowniu „Od

autora”: „... trudno przecież, drukując wspomnienia, pominąć i przejść do porządku dziennego nad tym, co opublikowane zostało jako przyczynki historyczne, przez lat nieomal dwadzieścia”. Podobne ujęcie wymaga wyraźnego rozgraniczenia spraw znanych autorowi osobiście i w omawianym czasie od innych, znanych ze słyszenia aktualnie lub w czasie późniejszym. Niestety, uwag wiążących osobę autora z wypadkami jest mało i są zbyt ogólne. Chcąc scharakteryzować całość działalności Generała, wprowadził inż. Babiński fragmenty mniej sobie znane. Przykładowo: rozdział o okresie francuskim z 1940 roku. Jak sam zaznacza, zna go on z drugiej ręki. Stanowczo, ograniczenie się do materiału czerpanego z „notatek z epoki” stanowiłoby większą wartość historyczną.

Gen. Sosnkowski, którego działalności poświęcona jest książka W. Babińskiego, jest jedną z największych postaci omawianego okresu. Niewątpliwie, jest także postacią piękną. Wspaniały analityczny umysł, jakże często widzący nadchodzące wypadki w ich logicznej kolejności, wbrew przewidywaniom otoczenia. Szlachetność postępowania na stosunku do przyjaciół a nawet wrogów. Tolerancja pozwalająca na jednanie dla sprawy szerokiego wachlarza politycznego, od ludowców i socjalistów po narodowych demokratów. Zdolny, wypróbowany, bojowy generał. Niedbały o własną ambicję gdy chodzi o sprawę. Tej sprawy polskiej Książę Niezłomny. Trudno o piękniejszą postać.

A nad tą postacią jakieś fatum. Odsuwany, czy odsuwający się — zawsze na drugim planie, chociaż na ciężkich, odpowiedzialnych stanowiskach. Każde poczynanie obrócone w niwecz. Mało — osiągające przeciwny skutek. Czy rycerskość nakazująca oszczędzanie przeciwnika? Czy brak woli osłabionej nieustanną analizą myśliciela-poety? Sądy ludzkie o generale Sosnkowskim są rozległej skali. Przytoczę ich kilka.

— Wincenty Witos (*Moje wspomnienia*, t. II, str. 433) odnośnie roku 1920:

„Minister spraw wojskowych, Kazimierz Sosnkowski, który z początku wojny polsko-bolszewickiej zawinił sporo lekceważeniem przeciwnika, powtarzając nieraz buńczucznie, że bolszewicy to próchno, które się rozleci od uderzenia butem, a przez to nieco zaniedbał koniecznego przygotowania, później to wszystko odrobił, odznaczając się niesłychaną pracowitością, znajomością rzeczy i zrozumieniem położenia państwa. Umiał się też wznieść ponad mafie i koterie, których nie brakło w czasie wojny. Mimo bardzo bliskich stosunków z Piłsudskim, wobec rządu zachował zupełną lojalność nawet wtenczas, kiedy się ich drogi silnie rozchodziły. Pomiedzy innymi okazało się to w czasie rokowań pokojowych w Rydze. Poza małymi spóźnieniami na każde niemal posiedzenie trudno mu było cośkolwiek zarzucić”.

— Wincenty Witos (*Moja tułaczka*, str. 234) z rozmowy z M. Ratajem, grudzień 1935 roku:

„Ten zaś, (Sosnkowski) jak zawsze, bez własnej woli, chętnie więc lawiruje, myśląc przede wszystkim o sobie”.

— Opinia J. Grzędzińskiego (str. 572):

„W wojsku jest dwóch ludzi mądrych: Sosnkowski i Sikorski. Obaj czekają, by im kto zrobił miejsce. Sami nie”.

— Opinia R. Świętochowskiego (str. 578):

„O Sosnkowskim wyraził się bardzo ujemnie, kwalifikując go jako sobka bez charakteru, Sikorskiemu zarzuca brak znajomości ludzi i autoreklamę”.

— Adam Pragier (w związku z nominacją gen. Sosnkowskiego na Naczelnego Wodza (str. 714-716):

„Za najwłaściwszego kandydata uważałem gen. Sosnkowskiego. Nie tylko z przyczyny formalnej, że był oficerem najwyższego stopnia w hierarchii, a także nie z przyczyny historycznej, że był szefem sztabu Pierwszej Brygady, ale ze względów, które uważałem za jeszcze ważniejsze. W Polsce, w okresie dyktatury Piłsudskiego, choć wierny Komendantowi, nie był politycznie obciążony, jego walory wojskowe ceniono wysoko, a jego krótki udział w wojnie przyniósł jedno z rzadkich powodzeń broni polskiej w kampanii wrześniowej. Nade wszystko jednak, jego postawa za rządów gen. Sikorskiego budziła zaufanie. Podał się do dymisji w przeddzień podpisania układu Sikorski-Majski i pozostał na uboczu”. ... „Gen. Sosnkowski lubił rozważać sprawy ze wszystkich możliwych punktów widzenia. Więc rozmowa z nim ciągnęła się długo. ... Jego życzeniem było, by on sam, czy ktokolwiek inny, kto to stanowisko (Naczelnego Wodza) zajmie, był przyjęty bez sprzeciwu przez wszystkie ugrupowania”. ... „Pozostawała... trudniejsza może część zadania, doprowadzenie do tego żeby gen. Sosnkowski powziął decyzję. razem z amb. Łukasiewiczem staraliśmy się przełamać jego skrupuły. Bawiło mnie później, gdy czytałem w polskich gazetach, zwalczających gen. Sosnkowskiego, jak 'spieszyło mu się dorwać do stanowiska Naczelnego Wodza', zanim jeszcze szczątki gen. Sikorskiego spoeżyły w ziemi. To przecie my z Łukasiewiczem 'dorywaliśmy' go do tego stanowiska...”.

Wiele ma do powiedzenia o gen. Sosnkowskim Stanisław Mackiewicz. W *Zielonych oczach* mówi na str. 107-8:

„Muszę przyznać, że wśród naszych mężów stanu, których chętnie bym nazwał mężykami stanu, jeden, jedyny generał Sosnkowski rozumiał sytuację w sposób inteligentny. Ciągłe wszystkich przestrzegał przed deklamacjami o bezinteresowności Anglików i o wdzięczności, która się im z naszej strony rzekomo należy”.

Str. 212:

„Inteligencja Sosnkowskiego była wspaniała. Był on między innymi znawcą literatury pięknej. W najbardziej ciężkich chwilach drugiej wojny świa-

towej szukał odprężenia nerwowego w tłumaczeniu poezji Verlaina. Jego patriotyzm był nie tylko głęboki i bez skazy, ale mądry i piękny. Składał dowody niepospolitej odwagi żołnierskiej chociażby w dniach bombardowania Londynu. Wreszcie jego prezencja była tego rodzaju, że wszyscy chcieli mu pozostawić reprezentowanie Ojczyzny. W ogóle jego popularność była zupełnie wyjątkowa. Wystarczyło, aby generał Sosnkowski ruszył palcem w jedną lub w drugą stronę, aby wszyscy padali na ziemię z zachwytem. Prawdziwy pieszczoch losu"... .. „Ale cóż kiedy brak decyzji Sosnkowskiego graniczył z fizyczną jakąś chorobą woli”.

Str. 213:

„Polityka, tak jak walka, wymaga narzucenia swej decyzji, swej woli nie tylko przeciwnikowi, lecz także tym, którzy idą za tobą. Nie znaczy to, aby Sosnkowski nie miał koncepcji. Owszem, ma właśnie jak najrozumniejsze koncepcje, ale cofa się przed wszelką opozycją. Ma lęk, więcej niż lęk, ma atrofię narzucania własnej woli. ... Na emigracji ciągle odmawiał rzucenia na szalę swego autorytetu”.

Str. 214:

„I naród polski kocha takich ludzi! Mówi się o nich: on nic nie chce 'dla siebie', nie chce być prezydentem, premierem, zaraz ze wszystkiego ustępuje. Apolityczny naród polski uważa za arcy-moralne to właśnie, że polityk ucieka od władzy, czyli wykręca się od odpowiedzialności...”.

Zdanie Edwarda Raczyńskiego (str. III):

... „gen. Sosnkowski, człowiek obdarzony różnymi talentami, ale naszpikowany wątpliwościami i uprzedzeniami”.

W związku z rokowaniami z Czechami (str. 113):

„Gen. Sosnkowski zabrał się do roboty z pełną dobrą wolą, nie potrafił jednak nadać jej tempa. Zgodnie ze swoim usposobieniem zamknął się w twierdzy 'procedury', odkładając konkretne decyzje”.

Michał Sokolnicki (str. 39):

„Rola Sosnkowskiego w obecnych warunkach może się stać przełomową. Po pierwsze dlatego, że nie jest maruderem, politycznym ani wojskowym, i że do końca walczył. Po drugie dlatego, że jest najwyższą kompetencją polską w dziedzinie organizacji i administracji wojskowej. Po trzecie dlatego, że nie był, nie jest i nie będzie nigdy ugodowcem. ... jest twardym, niewątpliwym, dumnym Polakiem” (z notatki w dzienniku z dnia 12 października 1939 roku).

Wreszcie, oficjalna opinia wystawiona w grudniu 1922 roku przez ówczesnego szefa Sztabu Generalnego i przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej Marszałka Józefa Piłsudskiego (według Wojskowego Przeglądu Historycznego, Warszawa, Nr 1/1966, str. 330), (pomijam ocenę kwalifikacji czysto wojskowych — przyp. T.N.):

... „Umysł bardzo rozległy, zdolności duże, trochę skłonny do schematyzowania zjawisk i do spekulacji konstruktywnych”... „Charakter niezbyt silny. Łatwo mu stracić wiarę w siebie przy niepowodzeniach i nieszczęściach. Wtedy prędko by zrzucił z siebie odpowiedzialność na wszelkiego rodzaju rady wojskowe. Olbrzymia umiejętność obcowania z ludźmi; nawet ulegając wpływom, nie zatracca siebie. Dla podwładnych zbyt względny. Dla podtrzymania braków charakteru wymaga otoczenia, z którym by żył osobiście dobrze i które by wywarzało atmosferę ciepłą i pociechę w niepowodzeniu. Człowiek o niezmiernych zdolnościach do pracy bez zmęczenia fizycznego”... „Uwaga: Wewnętrznie bardzo zdyscyplinowany, lecz nadezuły na ukłucia i przykrości moralne...”.

Tak długi wstęp umieściłem celowo. Ułatwi on nam ocenę wypadków obracających się około osoby Generała a podanych przez W. Babińskiego. Z całego szczegółowego omówienia historycznego okresu, mam zamiar rozpatrzyć kilka najbardziej ważnych, decydujących momentów. Takich momentów, które decydowały o działalności Generała i o losach polskiej racji stanu.

Już pierwsze dni pobytu gen. Sosnkowskiego we Francji, przekreśliły jego decydującą rolę w dalszych wypadkach. Zgodnie z innymi źródłami, pisze Autor o gotowości prezydenta Raczkiewicza ustąpienia ze stanowiska na rzecz Sosnkowskiego. Generał

„nie uznał wtedy za możliwe i wskazane, aby narazić Polskę, tuż po poniesionej klęsce, na widowisko czwartej zmiany prezydenta w ciągu kilku tygodni. ...Zamiast więc prezydentury gen. Sosnkowski podjął się obowiązków następcy prezydenta i poprosił o rzecz najtrudniejszą, tj. o robotę krajową, ponieważ był jedynym z członków ówczesnego rządu, posiadającym doświadczenie w pracy konspiracyjnej”.

Dalej Autor pisze:

„Wreszcie na konferencji gen. Sosnkowskiego z premierem Sikorskim w obecności ministrów: Hallera i Zaleskiego zostało ustalone, że całość roboty krajowej obejmie gen. Sosnkowski, jako minister do spraw Kraju, przewodniczący Komitetu do spraw krajowych. Nadto, poza następstwem, gen. Sosnkowski objął wicepremierstwo”.

Wymienione wyżej objęcie stanowiska w gabinecie zbywa W. Babiński kilkoma słowami. Inni autorzy omawiają tę sprawę szerzej, dając jej specjalne naświetlenie. Władysław Pobóg-Malinowski pisze na str. 83-84, t. III: „... Sikorski, ... zobowiązał się spontanicznie i uroczyście 'oddać się pod rozkazy' Sosnkowskiego z chwilą jego przybycia”. Ale:

„... w pierwszej rozmowie z Sosnkowskim ani słowem nie wspomniał o swoim zobowiązaniu; było rzeczą jasną, że ustąpić nie zamierza, nie ulegało też wątpliwości, że i Sosnkowski nie zechce iść do zwierzchnictwa poprzez walkę. W tych warunkach Prezydent... postanowił zostawić Sikorskiemu dowództwo nad wojskiem, pod warunkiem, że szefostwo w rządzie przekaże Sosnkowskiemu. Sikorski przyjął ten warunek i zaprosił Sosnkowskiego na

posiedzenie Rady Ministrów, tu jednak zrobił nową niespodziankę, ograniczył się bowiem do wygłoszenia pięknej mowy powitalnej i stwierdzenia, iż rząd 'byłby szczęśliwy', gdyby Sosnkowski wszedł w jego skład, jako 'minister bez teki'".

Takie naświetlenie wskazuje nie tylko na niechęć Sosnkowskiego do walki o władzę. Wskazuje również, że w rozgrywkach taktycznych nie był Sosnkowski poważnym przeciwnikiem dla Sikorskiego.

Dla porównania, słuszne jest podanie opinii J. Piłsudskiego o gen. Sikorskim — cytuję to samo źródło co opinia gen. Sosnkowskiego, str. 326-327, pomijam ocenę kwalifikacji czysto wojskowych:

„Inteligentny, żywy umysł, lekki charakter obok wielkiej ambicji. Nadzwyczajnie łatwy w obcowaniu z ludźmi, których umiejętnie i celowo zużytkowuje. Bardzo dobry organizator, umiejący szybko podzielić pracę, łatwo oceniając zdolności ludzi, o ile nie przysłoni mu wzroku taka czy inna prywatna, do czego jest bardzo skłonny. Umie i lubi rozkazywać i przy swojej obrotności daje sobie łatwo radę prawie w każdej sytuacji. ... W stosunku do podwładnych w miarę rozkazujący, miły w obejściu, trochę zanadto szukający popularności, niekiedy niebezpieczny dla nich, wobec tego, że jest łatwy do prywaty i do zwalania winy i odpowiedzialności z siebie na innych...”.

Wejście gen. Sosnkowskiego, następcy prezydenta, w skład rządu gen. Sikorskiego stanowiło załazek przyszłych trudności. W pamięci człowieka tak ambitnego jak gen. Sikorski musiała stałe tkwić świadomość, że jego obecny podwładny może, w jakimś nieokreślonym czasie, stać się zwierzchnikiem. Rozejście się dróg dwu byłych przyjaciół było nieuniknione. Stało się faktem na skutek różnicy zdań w sprawie układu ze Związkiem Sowieckim.

Nim to nastąpi, zarysował się rozdźwięk wśród najwyższych polskich czynników. Wkrótce po przybyciu do W. Brytanii, Prezydent Raczkiewicz usiłował zdymisjonować gen. Sikorskiego. Według Autora gen. Sosnkowski grał w okresie przesilenia rolę powiernika, doradcy Prezydenta. Odmówił przyjęcia premiershipu, obiecał przyjąć wicepremierostwo. Ale w zasadzie był przeciwny przesileniom politycznym odsłaniającym na zewnątrz nasz brak „jedności narodowej”. Podzielał z Prezydentem zasadę rozdziału władzy politycznej od wojskowej.

Kiedy Prezydent mianował premierem A. Zaleskiego i spotkał się z oporem Sikorskiego, gen. Sosnkowski przeszedł do roli mediatora i doprowadził do (pozornego) pojednania. Gen. Sikorski objął ponownie stanowisko premiera, zachowując naczelne wodzostwo.

Jak te zdarzenia zachowały się w pamięci innych?

— Adam Pragier (str. 615):

... „Była to w istocie próba sił między gen. Sikorskim a prezydentem Raczkiewiczem. Pociągała za sobą groźbę zatraty na przyszłość wszelkiej treści konstytucyjnej i sensu politycznego urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej”... „Dotarłem do prezydenta Raczkiewicza i przestrzegałem go, że gdy w tym konflikcie gen. Sikorski weźmie górę, Prezydent straci możliwość wywierania jakiegokolwiek wpływu na sytuację, choćby Bóg wie czym groziła. Prezydent wiedział o tym i beze mnie ale czuł się bezradny; nie miał ani jednego punktu stałego, na jakim mógłby się oprzeć. Najprzykrzejszy zawód sprawiło mu zachowanie się gen. Sosnkowskiego. Załatano ten konflikt nieudolnie, przy mediacji gen. Sosnkowskiego...”

... „Można by zauważyć, że zbyt ostrych starć w obrębie naczelnych władz polskich należało unikać i byłaby w tym pewna słuszność, ale nie całkowita. Bo cokolwiek by się wówczas było stało, czy można sobie wyobrazić, by na Polskę spadła większa klęska niż ta, jaką przyniósł wynik wojny, prowadzonej w pełnej zgodzie rządu polskiego ze sprzymierzonymi...”

— Zygmunt Nagórski, sen. (str. 60):

... „Mówiono, że w ciągu nocy gen. Sosnkowski przyczynił się do zażegnania kryzysu. Nie wiedziałem jaki był przebieg wydarzeń poza sceną. Jasne było dla mnie, że Prezydent zdecydowanie przegrał: udzielił Sikorskiemu dymisji w formie stanowczej, a następnie ją wycofał, nie uzyskawszy żadnego ze swych postulatów. Przebieg tego kryzysu podważył autorytet Prezydenta, wzmocnił bardzo Sikorskiego, czyniąc go właściwie nieusuwalnym. Prezydent nie przygotował rozwiązania kryzysu, na który się zdecydował. Miał przeciwko sobie nie tylko Sikorskiego i popierających go ministrów, ale i większość stronnictw reprezentowanych w Rządzie i Radzie Narodowej. Był to gest rozpacz człowieka zatroskanego o państwo, ale gest nie oparty na politycznym rachunku i prawidłowej ocenie sił w grę wchodzących”...

— Stanisław Mackiewicz (str. 102):

„Decyzję Prezydenta Raczkiewicza wywołał nacisk pewnych osób z byłego obozu rządzącego w Polsce, a zwłaszcza memoriał ambasadora Łukasiewicza, ... Sikorski w tym memoriale był oskarżony o zaprzepaszczenie wojska, złota, skarbów wawelskich oraz — o ile pamiętam — również o ten memoriał retingerowski. Decyzja Prezydenta Raczkiewicza była oczywiście połowiczna i mało konsekwentna, gdyż wiadomo było, że Wódz Naczelny Sikorski nie da sobie odebrać stanowiska premiera”... „Ale zadziałał tutaj generał Kazimierz Sosnkowski. Był on największą powagą wśród oficerów i w ogóle otoczony był nimbem następcy Piłsudskiego. Poza tym, jak wiemy, był następcą Prezydenta Rzeczypospolitej. Zadzwonił kilka razy telefon pomiędzy Strońskim i Sosnkowskim i ci dwaj ludzie zaklajstrowali sytuację w ten sposób, że przywrócili stan poprzedni, to znaczy, że generał Sikorski nadal pozostał i Wodzem Naczelnym, i premierem”.

Tadeusz Katelbach ocenia następująco rolę gen. Sosnkowskiego (str. 95):

„Podejmując się mediacji Sosnkowski działał w przekonaniu, że jest to konieczne ze względu na dobro sprawy. Była to jego osobista decyzja. Żad-

nym wpływom nie ulegał. Czy wybrał drogę właściwą? Czy wbrew sobie nie przyczynił się do utrwalenia jednostronnych rządów Sikorskiego i jego zwolenników, gotowych jak się w rok później okaże do zawierania upokarzającego układu ze Związkiem Sowieckim? — Jedno jest pewne, że działając na rzecz likwidacji przesilenia, nie kierował się żadnymi osobistymi ambicjami. Był przekonany, że spełnia swój obowiązek obywatelski w zgodzie ze swym przekonaniem i sumieniem”.

Dla mnie (T.N.) podobna ocena politycznego działania męża stanu zawiera dwuznaczność.

Cofnijmy się nieco i dajmy głos Adamowi Pragierowi w sprawie tzw. „projektu reorganizacji rządu”. Połączenie go z wyżej omawianym epizodem może nasuwać przypuszczenie gry na dwie strony gen. Sosnkowskiego. Dlatego wymaga wzmiankowania.

Pragier pisze (str. 604-605):

„W wewnętrznych stosunkach polskich zastałem w Londynie, zaraz po przyjeździe, niebywałe zamieszanie. Wywołał je projekt tzw. reorganizacji rządu. Pojawił się on 24 czerwca. Ponieważ w tym projekcie mieściła się całkowita zmiana koncepcji rządu, przeto trudno sobie wyobrazić, by sklecono go ni stąd ni zowąd, właśnie w tych dniach, kiedy odbywała się ewakuacja z Francji, czy nazajutrz po przybyciu do Wielkiej Brytanii. Wiele przemawia za tym, że projekt ten zrodził się już wcześniej w Angers i że był wynikiem porozumienia między gen. Sikorskim a gen. Sosnkowskim, porozumienia opartego na idei kooperacji obu generałów, z wyłączeniem czynników politycznych, czyli „partyjnych”. W taki też sposób, na tym jedynym punkcie, miała się wyrazić solidarność między sanacją i 'kontrsanacją'”.

Otóż Pobóg-Malinowski twierdzi, że Sosnkowski działał z ramienia Prezydenta. Pisze on (str. 160, przypis 14):

„Projekt ten (nowej organizacji władz — T.N.), z polecenia Prezydenta, i za zgodą Sikorskiego, opracowywał już od 23 czerwca gen. Sosnkowski; przewidywano tu, iż rząd składać się będzie z premiera, wicepremiera i 6 ministrów, Rada Narodowa z 23 członków; urzędników we wszystkich ministerstwach miało być tylko 79”.

A dalej (str. ta sama, tekst):

„Stronnictwa, dotychczas należące do rządu, wysunęły różne zastrzeżenia, każdemu bowiem zależało na zachowaniu tek najbardziej wpływowych. Najostrzej reagowali socjaliści”.

Niemcy zaatakowały Rosję. „Niebezpieczny zakręt dziejowy” — określa Autor związane z tym atakiem wypadki. Istotnie, od mowy premiera Churchilla skierowanej w tymże dniu 22 czerwca do Rosji, straciliśmy poparcie brytyjskiego sojusznika. Już poprzednio, jak to wykazuje Autor a zwłaszcza Adam Pragier (str. 609 i nast.), W. Brytania wykazywała gotowość opłacania naszym kosztem sowieckie przystąpienie do wojny przeciw Hitlero-

wi. W nowozaistniałej sytuacji, interesy wiernego ale słabego sojusznika muszą ustąpić wobec żądań Stalina. Nie tylko należy zapomnieć o jego poprzednich gwałtach i międzynarodowych bezprawnościach; trzeba go (jak to określa Autor) „wprowadzić do rodziny narodów cywilizowanych”; zmiękczyć opinię publiczną, wywołać przychylne nastroje.

„Jeśli Polska nie tylko nie będzie przeszkadzać, ale nadto rzuci na szalę cały swój wielki kapitał moralny, aby Rosję związać z obozem alianckim — cóż może być bardziej przekonującego dla opinii publicznej”.

Dochodzi do podpisania polsko-rosyjskiego układu z dnia 30 lipca 1941 r.

Układ, powitany radośnie przez rząd brytyjski, wywołał oburzenie w licznych kołach polskich. Zdecydowanie w opozycji do niego stanęło Stronnictwo Narodowe i piłsudzycy. „W taki sposób można było całą rzecz przedstawiać jako opór czynników faszystowskich i reakcyjnych przeciwko demokratycznemu wysiłkowi zażegnania odwiecznej waśni z sąsiadem wschodnim i zapewnienia krajowi pokojowej przyszłości” (Pragier, str. 643). Również część PPS (Pragier, Ciołkosz) wypowiedziała się przeciw układowi. We czwórkę z Lidią Ciołkoszową i Tomaszewskim tworzyli oni mniejszość oponującą. Z rządu, na znak protestu, wystąpili: Sosnkowski, Zaleski i Seyda.

Zaznaczam, co podkreśla Autor, że protestowano nie przeciwko samej idei układu, uważanego powszechnie za konieczny i celowy. Protest odnosił się do formy nie zabezpieczającej (jak się wkrótce okazało) całości granic Polski i interesów jej obywateli.

Oto szereg opinii ówczesnych działaczy politycznych:

— Edward Raczyński (str. 120-122) cytuje swój memoriał przedstawiony gen. Sikorskiemu w dniu 1 lipca. Wychodząc z założenia, że Rosja wyjdzie z wojny osłabiona i że o warunkach pokoju będą decydowały mocarstwa anglosaskie nie uznające zmian terytorialnych dokonanych przez Rosję — memoriał nie przywiązuje znaczenia do rosyjskich pretensji utrzymania zdobyczy kosztem Polski. Odsyłacz na końcu cytowanego memoriału brzmi: „Jak się okazało rozumowanie moje było błędne. Wynikało ono z mylnej oceny stosunku sił niemieckich i rosyjskich”.

— Zygmunt Nagórski, senior (str. 89-90):

„Złagodzenie stosunków polsko-sowieckich leżało przede wszystkim w interesie Brytyjczyków... Mieliśmy dużą kartę w ręku. Można było i należało ją w pełni wykorzystać. Mieliśmy sytuację jasną: na wszelkie sugestie czy naciski Churchilla nasuwała się odpowiedź prosta: stosunki naprawić może tylko Rosja. Niech uzna przedwojenne z nami traktaty i granice, zobowiąże się zwolnić natychmiast deportowanych i więzionych Polaków — a będziemy gotowi rokować.... Wszak od paktu z Hitlerem Rosja i na Za-

chodzi była w stanie oskarżenia. Przez nagłe i ostentacyjne wyciągnięcie ręki do pojednania Sikorski ten stan oskarżenia poważnie osłabił, jeżeli go nie usunął w ogóle”... „(str. 92) Majski nie usiłował nawet ukrywać, że na przywrócenie granicy przedwojennej Rosja się nie zgodzi”.

— Adam Pragier (str. 639-640):

„W rokowaniach z Sowiecami rząd polski wcale nie był bezbronny. Miał możność sprzeciwiania się naciskom brytyjskim (Sowiety do nacisków nie były wtedy jeszcze gotowe), choćby przez ujawnianie zamysłów sowieckich, z którymi Majski się nie krył i przez odwoływanie się do opinii publicznej, bardzo w owym czasie wrażliwej. Oczywiście musiałyby się wówczas poróżnić z rządem brytyjskim. Ale czyż „jedność sprzymierzonych” była dla Polski dobrem aż tak bezcennym, że ofiara, nawet najżywotniejszych interesów państwa, nie była zbyt wielka? Nie trzeba zresztą z tą „jednością sprzymierzonych” przesadzać. Gen. de Gaulle był niepomiernie słabszy niż rząd polski. ... A przecie, gdy de Gaulle oceniał politykę Churchilla i Roosevelta wobec Francji jako szkodliwą, nie unikał ostrych starć, ale raczej sam je wywoływał. ... opór był podówczas możliwy. Nie było jeszcze przez Anglosasów ostatecznie przesądzone wydanie Europy Wschodniej Sowiecom; plany takie dopiero się zarysowywały. ... Wydobycie tej tajemnicy na wierzch i rozwinięcie szerokiej akcji na całym obszarze zagadnienia środkowoeuropejskiego, dla obrony przed zaborem sowieckim, było bronią w rękę rządu polskiego ostrą i dla niewiernych sojuszników wielce kłopotliwą. ... wystarczało już samo zaalarmowanie opinii publicznej w świecie anglosaskim i w krajach neutralnych... by plany te zmącić, a kto wie czy nie pokrzyżować”.

— Zbigniew Grabowski (*Kultura* Nr 9/107, str. 73) (pisane w roku 1956 — przyp. T.N.):

„...nie mamy żadnego poważnego opracowania stosunków polsko-angielskich w dobie drugiej wojny. Być może dlatego, że nie brak w tych stosunkach — jak właśnie moment skłonienia Sikorskiego przez Edena do podpisania układu z Majskim — chwil raczej niemiłych. Zapominamy dzisiaj, że lipiec 1941 przyniósł poważny rozłam w opinii polskiej w Anglii co do sensu układu Sikorski-Majski. Rozłam ten zatuszowano, ale warto przypomnieć, że był to spór między optymistami — z Sikorskim na czele — a pesymistami — z Sosnkowskim na czele — co do konsekwencji całego układu. Układ jakiegos rodzaju był potrzebny, co więcej — konieczny, ażeby ratować tysiące Polaków z Rosji. Ale jeżeli już przyjmowało się układ typu takiego, jaki został zredagowany (przy czym co do okoliczności redagowania i roli odegranej w tym przez pewne czynniki natury jak najbardziej postronnej istnieją liczne relacje) to trzeba było odważnie przyjąć następstwa tego układu. Albowiem strona sowiecka — trzeba to przyznać na jej korzyść — nie tała tego, że układ Sikorski-Majski nie przywraca granicy ryskiej. Majski powiedział to wyraźnie Sikorskiemu. Innymi słowy było rzeczą jasną dla każdego trzeźwo myślącego człowieka, że już w lipcu 1941 Polska traciła kresy wschodnie za cichą zgodą Zachodu i że wysoka pozycja Rosji sprawia, iż zwycięstwo uzyskane przyniesie jej rolę arbitra w Europie wschodniej”.

Ten cykl opinii o układzie lipcowym zamknę zdaniem zamykającym opis odnośnych pertraktacji zawartym w tomie „The Reckoning” pamiętników lorda Avon. Wyjaśniam niewtajemni-

czonym, że Avon jest lordowskim przewiskiem Antoniego Edena, tego Edena, który jako ówczesny minister spraw zagranicznych W. Brytanii, pokrzykiwał w obecności Sikorskiego na naszego ministra spraw zagranicznych: „Czy panowie chcecie, czy nie chcecie, układ z Sowietami musi być podpisany”. Zdanie w pamiętnikach, stronica 273, brzmi: *Our part was only patient diplomacy tinged with anxiety for what the future must hold for the Poles as the weaker partner.*

Za słuszną ocenę paktu z Sowietami zapłacił Sosnkowski wysoką cenę. Odebrano mu kierownictwo sprawami Kraju i przeniesiono w stan nieczynny. W ten sposób, pozbawiony możliwości działania, miał jednocześnie jako wojskowy zamknięte usta. Nęcono go, następnie, różnymi stanowiskami, zawsze za cenę uznania słuszności układu.

Ze śmiercią gen. Sikorskiego następuje rozdział funkcji premiera i naczelnego wodza. Premierem zostaje Stanisław Mikołajczyk. Należy podziwiać ile ambicja pomaga człowiekowi w podejmowaniu najodpowiedzialniejszych zadań. Oto Nagórski senior cytuje (str. 37) słowa Mikołajczyka bezpośrednio po jego przyjeździe z Węgier do Paryża. „Na moje zapytanie, co ma zamiar robić, powiedział (Mikołajczyk — T.N.) dosłownie: — Sikorski chce, bym wszedł do rządu. Ale pan mecenas zrozumie, że z moim wykształceniem ja tego zrobić nie mogę, więc chyba pójdę do tej Rady Narodowej”.

Na nieszczęście, zmienił widać zdanie.

Naczelnym Wodzem mianował prezydent Raczkiewicz gen. Kazimierza Sosnkowskiego mimo oporów tak wewnętrznych jak i zewnętrznych, a w pierwszym rządzie Mikołajczyka. Nie łatwo też było uzyskać zgodę samego generała.

W związku z tą nominacją przytoczę smaczny wyjątek z pamiętników znanego działacza laburzystowskiego i przyjaciela Polaków dr. Hugh Daltona (tom: *The fateful years*, str. 418): *Kwapiński told me that Retinger, before he left for Gibraltar to bring back Sikorski's body, had been sent for by Churchill, who had said to him: You have a general called Sozzle-something. We don't want HIM. He would upset the Russians.* Ciekawe. Churchill zwalczał nominację Sosnkowskiego, którego nazwiska nawet dobrze nie znał. Czy znowu zdrowa inicjatywa naszych mężów stanu?

Moje poglądy na nominację Naczelnego Wodza i sprawowanie tego urzędu przez gen. Sosnkowskiego różnią się znacznie od poglądów W. Babińskiego.

Wbrew powszechnemu mniemaniu sędzę, że w istniejących warunkach, połączenie w osobie gen. Sikorskiego stanowisk pre-

mięra i naczelnego wodza było właściwym i szczęśliwym rozwiązaniem. Mówiąc o istniejących warunkach mam na myśli polsko-brytyjską umowę wojskową z dn. 5 sierpnia 1940 r. Artykuł I tej umowy brzmiał (cytuję za W. Babińskim, str. 39):

„Polskie Siły Zbrojne (składające się z lądowych, morskich i powietrznych) będą organizowane i użyte pod brytyjskim dowództwem w jego charakterze wysokiego dowództwa sprzymierzonych, jako Siły Zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej, sprzymierzonej ze Zjednoczonym Królestwem”.

Przykre, ale trzeba się zgodzić ze Stanisławem Mackiewiczem gdy pisze:

„Generał Kazimierz Sosnkowski żadnym prawdziwym Wodzem Naczelnym polskich sił zbrojnych na emigracji nie był. — To trudno i darmo. Z pojęciem Wodza Naczelnego wiąże się organicznie prawo i możność wydawania rozkazów operacyjnych swemu wojsku, a tego prawa Wodzowie Naczelni na emigracji byli pozbawieni i nawet nie wiedzieli gdzie ich wojska będą posłane — dowództwo operacyjne znajdowało się niepodzielnie w rękach brytyjskich.

Dla Naczelnego Wodza w naszym, przedwojennym pojęciu, brakowało pola do działania. Powiem więcej: to wodzostwo bez dowodzenia nad kilku dywizjami i daleką, mniej określoną masą A.K. nie odpowiadało naszej narodowej godności; sprowadzało żołnierza o tak wysokich kwalifikacjach jak generał Sosnkowski do poziomu jakichś wodzów południowoamerykańskich.

Najlepszym rozwiązaniem było nieobsadzanie czasowe tego stanowiska. A jeśli interpretacja konstytucji wymagała obsady — łączenie N.W. z premierem w wypadku gen. Sikorskiego wydaje mi się szczęśliwym pomysłem. Premier i... Naczelny Wódz. Wiele kompetencyjnych trudności zniknęło. A pamiętajmy, że z Wodzem, czy bez niego Zwierzchnik Sił Zbrojnych — Prezydent Rzeczypospolitej — urząd sprawował.

Ze śmiercią gen. Sikorskiego musiało nastąpić rozgraniczenie.

Wystąpiła nowa komplikacja. „Umowa paryska” naruszyła równowagę konstytucyjnego trójkąta, którego wierzchołek stanowił Prezydent, a podstawę premier i Naczelny Wódz. Ograniczenie kompetencji Prezydenta na rzecz premiera uzależniało pośrednio od tegoż premiera Naczelnego Wodza. Stosunek wzajemnej nieufności gen. Sosnkowskiego i p. Mikołajczyka nie wróżył dodatnich rezultatów. Rezultat uwidocznił się w powstaniu warszawskim.

Na zmianę warunków umowy polsko-brytyjskiej nie można już było liczyć. Zresztą, siły polskie były tak szczupłe, że ich samodzielność operacyjna mogła wyrazić się w działaniach silnego korpusu (silniejszego niż 2 korpus). Na samodzielną armię,

wzorem kanadyjskim, nie było nas stać. Usunięcie spod wpływu brytyjskiego Armii Krajowej i uzyskanie przez to jej pełnego zaopatrzenia od Amerykanów — wydaje się więcej niż wątpliwe (patrz. m.in. wypowiedzi pułk. dypl. Mitkiewicza).

Naczelnemu Wodzowi pozostały z jego uprawnień: inspekcja i dbanie o dobro polskiego żołnierza.

Naturalną rzeczą kolejną ciągnęło Naczelnego Wodza z dusznego polskiego Londynu do największej i dalekiej polskiej jednostki — 2-go korpusu. Wydaje się, że stosunek gen. Sosnkowskiego do Korpusu i jego dowódcy gen. Andersa cechowała wzajemna sympatia i pełne zaufanie. Mimo to, sądzę, że obecność gen. Sosnkowskiego była w szeregu momentów ciężką dla dowódcy korpusu. Gen. Sosnkowski zapominał, że operacyjnie korpus (jak i inne polskie formacje bojowe) jest podległy hierarchii brytyjskiej. Jego własna obecność na terenie korpusu była zależną od uprzejmości brytyjskich przełożonych Korpusu.

Cóż z tego, że uwagi Generała o planowaniu działań pod Monte Cassino były jak najbardziej słuszne, gdy nie mogły mieć na nie wpływu. Szły drogą oddolną, od korpusu do armii i w czasie gdy armia zadecydowała już o ugrupowaniu. Dowódca armii miał prawo uważać taką interwencję za mieszanie się do jego spraw przez „osoby trzecie”. Również generałowi Andersowi podobna interwencja nie ułatwiała zadania. W marynarce istnieje żelazna zasada: admiralskim okrętem kieruje jego dowódca — flag-kapitan; admirał dowodzi eskadrą, ale w żadnym wypadku nie wtrąca się w kierowanie okrętem na którym płynie.

Troską gen. Sosnkowskiego było oszczędzanie sił zbrojnych jako przyszłej kadry odrodzonego państwa. Dlatego nie chciał ich użycia w zbyt intensywnych walkach. W tym zakresie napotykał na opory ze strony brytyjskiej, która chciała swobody w dysponowaniu oddanymi do jej dyspozycji formacjami. W tym duchu konferował Generał z Alexandrem i Eisenhowerem i „uzyskał zapewnienie... (że) będą wedle możliwości unikać używania Korpusu do operacji i walk wyniszczających”.

Na tym tle stawia gen. Sosnkowski (a za nim W. Babiński) zarzut nielojalności gen. Andersowi. Zarzut niesłuszny odpierany przez generałów Andersa, Kopańskiego i innych, a oparty znowu na pomijaniu rzeczywistości: brytyjskiego dysponowania operacyjnego.

Na terenie Zjednoczonego Królestwa trwała walka o użycie brygady spadochronowej. W zgodzie z Brytyjczykami postanowiono, że brygada istnieje dla użycia jej w kraju. Szykując się do inwazji Kontynentu nabrali Brytyjczycy chęci do użycia Brygady i z tym zwrócili się do polskich władz. Zagrali w otwarte karty:

albo damy pełne wyposażenie i umożliwimy doszkolenie i otrzymamy Brygadę do działań, albo terminy gotowości Brygady będą przesunięte na jakiś dalszy termin. Przed gen. Sosnkowskim i jego fachowym doradcą, dowódcą brygady gen. Sosabowskim stanęła konieczność powzięcia decyzji. Odmowa równała się niegotowości brygady i w wypadku konieczności lotu do Polski odmowie brytyjskiej dostarczenia sprzętu przelotowego. Z drugiej strony, zdaniem gen. Sosabowskiego, zaprawa bojowa była dla Brygady konieczną. Znowu wprowadzenie do walki pociągało straty. Próbowano postawić Brytyjczykom warunek wycofania Brygady po osiągnięciu 15 względnie 25 procent strat. W rezultacie musiano oddać brygadę bez żadnych zastrzeżeń. Montgomery na ograniczenia nie zgodził się.

Mimo przeciwnej opinii gen. Sosabowskiego, nie wierzę w możliwość (w warunkach II-giej wojny) przelotu do Polski Brygady (zasięg samolotów Dakota). Również nie wierzę w możliwość osłony przelotu w poprzek Rzeszy armady transportowców obciążonych szybowcami. Tym mniej prawdopodobne wydaje się skuteczne działanie Brygady z rejonu puszczy Kampinowskiej (zrzut na miasto odrzuca gen. Sosabowski jako niemożliwy technicznie). A najważniejsze: gen. Sosabowski oblicza czas powrotu do gotowości bojowej (po stratach w walkach na kontynencie) na sześć miesięcy do roku. Wszystkie elementy zdają się wskazywać, że brygada w Polsce nie mogła być użyta. (patrz. Sosabowskiego: *Najkrótszą drogą*, str. 158-181; tego autora: *Droga wiodła ugorem*, str. 128-9, 136, 138-9, 140).

Odbiegłem od tekstu W. Babińskiego, ale sprawa Brygady Spadochronowej wiąże się z nim ściśle tematycznie.

Przejdźmy do węzłowego problemu, któremu W. Babiński poświęca wiele uwagi — warszawskiego powstania. Z wypowiedzi Autora (i wielu innych) wynika jasno wniosek, że organizacja kierowania krajowymi działaniami była wadliwa. Z jednej strony decyzje płynęły z Londynu, z drugiej — kazano w wielu wypadkach decydować władzom krajowym. Jest normalnym zjawiskiem w podziemnej działalności — brak dostatecznych elementów do rozeznania słusznej decyzji. Bardzo wyraźnie podkreśla Autor dwutorowość kierownictwa: Mikołajczyk — Delegat rządu i Naczelnny Wódz — Dowódca A.K. Mimo naruszenia równowagi „konstytucyjnego trójkąta”, na użytek Kraju władze cywilna i wojskowa pozostawały niezależne. Autor dowodzi dokumentarnie że Mikołajczyk nie trzymał się ustaleń dokonanych wspólnie z Naczelnym Wodzem. Wreszcie: łączność z Krajem. Wiele energii poświęcono na rozważania (dyskusja w *Zeszytach Historycznych*) które depesze były doręczone a które nie; dlaczego tamta depesza

była doręczona na czas a inna spóźniona i dlaczego. Wydaje mi się, że w warunkach łączności radiowej, gdzie jedna strona pracuje konspiracyjnie, uzależnianie losów państwa, czy milionowej stolicy od tej lub innej depešy — dyskwalifikuje organizację. Opóźnienia nawet kilkodniowe winny były być uwzględnione. Takie zarzuty stawiała strona „wojskowa” stronie „rządowej”. Ostatnio tamta strona odpowiedziała podobnymi zarzutami. Mianowicie, Karol Popiel w swoich wspomnieniach: *Od Brzešcia do Polonii* na str. 74 opowiada o losach niedoręczonej depešy Grotaroweckiego adresowanej do I. Modelskiego. Według niego była ona jedną z wielu. Miała to być robota „antysikorszczyków”.

Czy gen. Sosnkowski, jak twierdzi Autor, nie ma sobie nic do wyrzucenia w zakresie dowodzenia Armią Krajową? Wydaje się, że może postawić sobie szereg zarzutów.

W. Babiński stara się wyjašnić i usprawiedliwić zwlekanie Generała z powrotem z Włoch po wybuchu Powstania. Twierdzi, że decyzje zapadły wcześniej niż powrót mógł nastąpić, a zatrzymywał go szereg spraw wielkiej wagi. A jak ważne były powody pobytu we Włoszech! (Str. 378-379) Audjencja u Papieža, rozmowy z generałami Alexandrem, Clarkiem, Wilsonem. „Należy przede wszystkim pamiętać, że generał Sosnkowski pojechał na jedną z głównych bitew kampanii, bitwę pod Ankoną”. Przeszłość generała Andersa kazała przypuszczać, że da sobie radę w nadchodzącej bitwie bez nadzoru; przeciwnie, ten nadzór mógł komplikować jego zadania. Czy konferencje miały ciężar gatunkowy większy od wypadków dojrzewających w Londynie — jest bardzo wątpliwe. Specjalnie wątpliwe, jeżeli weźmiemy pod uwagę pominięcie w pamiętnikach wymienionych generałów nie tylko tych konferencji, ale nazwiska gen. Sosnkowskiego. Nawet marsz. Wilson, do rozmowy z którym przywiązuje Autor takie znaczenie — pominął gen. Sosnkowskiego w indeksie.

(Str. 380):

„Wyruszając 11 lipca (wkrótce przed wyjazdem Premiera do Moskwy) na front włoski, Naczelnny Wódz liczył się z pobytem we Włoszech co najmniej miesięcznym; dopuszczał także ewentualność, że rozwój wypadków może mu zamknąć drogę powrotną do Londynu. Generał Sosnkowski był bowiem zdecydowany wypowiedzieć posłuszeństwo rządowi w imieniu Sił Zbrojnych w wypadku, gdyby Mikołajczyk podpisał w Moskwie kapitulację wobec żądań sowieckich, prowadzących w rozumieniu Generała do nowego rozbioru Polski i do utraty przez nią wolności”.

Powyższe brzmi bardzo pięknie. Trzeba stwierdzić, że do podobnego wystąpienia nie doszło ani wtedy (przeszkoda — Powstanie) ani później mimo że Mikołajczyk potwierdził najgorsze

przewidywania Generała. Sylwetka Generała nie pozwala przypuszczać, że do podobnego zrywu był zdolny. Że jednak podobne romantyczne plany miały miejsce i że doszły niewłaściwych uszu potwierdza obóz przeciwny. Edward J. Rozek podaje w odsyłaczu 127, str. 323 a w związku z późniejszą dymisją gen. Sosnkowskiego:

„After long pressure by the Soviets, the British Government insisted that General Sosnkowski be removed. On September 20 Eden attempted to persuade President Racziewicz to oust him but without success. Only when the Polish Government learned that Sosnkowski was either originating or tolerating antigovernment action in the Polish Armed Forces for the failure of Warsaw did the Polish Cabinet request President Racziewicz to dismiss him as Commander-in-Chief. The President complied. Poland, Official Government Documents, Vol. CLVI, Doc. 230”.

Coś więc musiało być.

Całe zagadnienie sprowadza się nie do tego czy Generał miał natychmiast wrócić, ale czy wolno mu było w ogóle z Londynu wyjeżdżać. W obliczu przedstawień Prezydenta i wagi londyńskiej sytuacji plany włoskie stawały się mało ważnymi. A właśnie gen. Sosnkowski obdarzony takim talentem analizy wiedział to lepiej niż inni. Jeżeli jednak wyjechał, stało się tak przez uleganie słabości — chęci wyrwania się do żołnierskiego środowiska z wrogiej atmosfery Londynu.

Na wiadomość o wybuchu powstania zaczyna gen. Sosnkowski gorączkową działalność. Człowiek nawykły do analizowania zjawisk ze wszystkich możliwych stron, ulega nerwowemu podnieceniu. Jakby chciał nadrobić stracony czas i możliwości.

— Rozkaz o użyciu na kraj kompanii komandosów; odwołany: kompania zdekompletowana, była w trakcie reorganizacji;

— starania o zwolnienie z operacyjnej zależności brytyjskiej i rzucenie do kraju brygady spadochronowej, baonu lub przynajmniej kompanii;

— starania o zaopatrzenie z powietrza walczącej Warszawy;

— wsparcie lotnicze.

— Wszelkie starania w Brytyjczyków i Amerykanów nie przyniosły oczekiwanych rezultatów bo ich przynieść, w danych warunkach militarnych, nie mogli. Wiedziało o tym zawczasu Dowództwo A.K. i wiedział Naczelny Wódz który te Dowództwo uprzedzał. W depeszy N.W. do Dcy A.K. z dn. 20. X. 1943 gen. Sosnkowski stwierdzał:

— polskie lotnictwo nie jest zdolne do samodzielnego działania; ew. reorganizacja w tym kierunku zależy od zgody Aliantów i od posiadania rezerw ludzkich; osiągnięcie gotowości najwcześ-

niej w początkach 1945 roku (podobnej organizacji nie osiągnięto — T.N.);

— z operacyjnego punktu widzenia, realne możliwości wsparcia powstania lotnictwem anglosaskim będą wówczas, gdy bazy tego lotnictwa znajdą się w promieniu około 900 km. od centrum Polski, oraz większa część terytorialna Polski będzie w zasięgu lotnictwa myśliwskiego. Oznacza to, że bazy lotnictwa anglosaskiego muszą się znaleźć: na zachodzie: na wschód od ogólnej linii rzeki Renu, na południu: na północ od ogólnej linii Wenecja-Fiume (podane w skrócie — T.N.) (str. 622-623, zał. 39). W momencie wybuchu powstania podane linie były dalekie od osiągnięcia.

Że gen. Sosnkowski dokładał wszelkich starań by pomóc Warszawie jest zrozumiałe. Wynikało to z jego obowiązków jako Naczelnego Wodza i z jego głębokich uczuć patriotycznych. Że w tamtym okresie odczuwał brak pomocy jako krzywdę zadaną przez zachodnich aliantów — łatwo jest pojąć. Mniej łatwo przychodzi pojąć oskarżenia rzucane przez Generała w latach późniejszych (przedmowa do książki gen. Sosabowskiego). Gen. Sosnkowski znał trudności wsparcia materiałowego powstania i ograniczenia techniczne hamujące podobne działania aliantów zachodnich. W szczególności, atakowanie marsz. lotn. Slessora, który spełniał swój obowiązek, jest trudne do przyjęcia.

Dziwnie brzmią słowa wytycznych N.W. z 10 sierpnia skierowane do lotników polskich we Włoszech: „... powodzenie najbliższej akcji zależało od pewnego i precyzyjnego zrzutu na plac Krasieńskich i plac Napoleona. Zdając sobie sprawę z wielkich trudności, Nacz. Wódz żądał od lotników najwyższego napięcia woli i ofiarności (w ostateczności poświęcić maszyny, lotnicy niech skaczą)”.

Czy fachowi doradcy którzy podsunęli Generałowi słowa tych „wytycznych” zdawali sobie sprawę co, w przełożeniu na techniczno-lotniczy język, oznaczało to dla załóg?

Powstanie upadło. Upadek poprzedził rozkaz Naczelnego Wodza Nr 19. Posłużył za pretekst do usunięcia gen. Sosnkowskiego.

Zamknę te omówienie słowami gen. Kopańskiego pomawianego przez Autora o nielojalność w stosunku do Naczelnego Wodza gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego (str. 225-336):

„W chwilach przełomowych odsuwano od udziału w życiu publicznego na obczyźnie człowieka, którego autorytet jako generała i męża stanu był bardzo duży.

Gen. Sosnkowski miał rzadko spotykaną umiejętność głębokiej analizy zjawisk oraz wypracowania starannej syntezy. Jego oceny i przewidywania biegu wydarzeń międzynarodowych były prawie zawsze trafne, a zawsze uzasadnione argumentami. Był on uosobieniem rozwagi politycznej.

Ustawiczne poczucie odpowiedzialności wobec współczesnych i potomności utrudniało mu nieraz, jak mi się zdawało, pobieranie decyzji.

Generał był wrażliwy na argumenty, chętnie i długo dyskutował. Myśli swe przelewał na papier prawie zawsze sam, stylem równocześnie nieskazitelnie poprawnym i ścisłym.

Odznaczał się poza tym głęboką kulturą umysłową oraz wszechstronnymi zdolnościami i zamiłowaniem artystycznymi”.

Dodam: do końca był wierny sobie i swoim przekonaniom.

Tadeusz NOWACKI

Wellington, N.Z.

9 maja 1968.

KORZYSTAŁEM Z NASTĘPUJĄCYCH PRAC:

- SOSNKOWSKI Kazimierz: *Materiały historyczne*, Gryf, Londyn 1966;
- Babiński Witold: *Przyczynki historyczne*, Londyn 1967;
- Alexander, f.m., lord of Tunis: *The Alexander Memoirs*, Cassell, London 1962;
- Clark Mark: *Calculated risk*, Harrap, London 1951;
- Delton Hugh: *The fateful years*, Muller, London 1957;
- Eisenhower Dwight: *Crusade in Europe*, London 1949;
- Grabowski Zbigniew: artykuł w *Kulturze* Nr 9/107, Paryż 1956;
- Katelbach Tadeusz: artykuł w *Ósmym Zeszytcie Historycznym*, Paryż 1965;
- Kopański Stanisław: *Wspomnienia wojenne 1939-1946*, Veritas, Londyn 1961;
- Mackiewicz Stanisław: *Zielone oczy*, Pax, Warszawa 1958;
- Nagórski Zygmunt sen.: *Wojna w Londynie*, Księgarnia Polska, Paryż 1966;
- Piłsudski Józef: *Generałowie polscy w opinii J.P.*, Wojsk. Przegl. Hist., W-wa 1/1966;
- Pobóg-Malinowski Władysław: *Najnowsza historia Polski*, Londyn 1960; tom III;
- Popiel Karol: *Od Brześcia do „Polonii”*, Odnova, Londyn 1967;
- Pragier Adam: *Czas przeszły dokonany*, Londyn 1966;
- Raczyński Edward: *W sojuszniczym Londynie*, Orbis, Londyn 1960;
- Rozek Edward: *Allied Wartime Diplomacy*, John Wiley and Sons, London 1958;
- Slessor John sir, Marsh. R.A.F.: *The central blue*, Cassell, London 1956;
- Sokolnicki Michał: *Dziennik Ankarcki 1939-1943*, Gryf, Londyn 1965;
- Sosabowski Stanisław: *Najkrótszą drogą*, Veritas, Londyn 1967;
- Sosabowski Stanisław: *Droga wiodła ugięciem*, Veritas, Londyn 1967;
- Wilson F. M., lord of Libya: *Eight years overseas*, Hutchinson, London 1951;
- Witos Wincenty: *Moje wspomnienia*, Instytut Literacki, Paryż 1965, t. II;
- Witos Wincenty: *Moja tułaczka 1933-1939*, LSW, Warszawa 1967;
- opinie Januarego Grzędzińskiego i Ryszarda Świętochowskiego podane według Wincentego Witosa: *Moja tułaczka*.

Stanisław BIEGAŃSKI

ROZKAZ NR 19 GENERAŁA SOSNKOWSKIEGO I KRYZYS POLITYKI POLSKIEJ

List min. K. Popiela zamieszczony we wrześniowej „Kulturze” (nr 9/239, 1967) pt. „Sprawa zwolnienia gen. Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza” poruszył okoliczności wydania rozkazu nr 19 w dniu 1 września 1944¹. Powyższe wydarzenie wykazuje łączność z głównym nurtem polityki polskiej, a stąd też zasługuje na dokładniejsze rozważenie historyczne w całym zespole faktów.

1. Wedle relacji min. Popiela „rozkaz dzienny polskiego Naczelnego Wodza został ogłoszony przez radio berlińskie na 24 go-

1. Najważniejsze ustępy z rozkazu nr 19, które dotyczyły niedostatecznej pomocy aliantów na rzecz powstania warszawskiego czy też stały się treścią propagandy prasowej na Zachodzie, brzmią następująco:

„Żołnierze Armii Krajowej! Pięć lat minęło od dnia, gdy Polska wysłuchawszy zachęty rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancję, stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką. Kampania wrześniowa dała sprzymierzeńcom osiem miesięcy bezcennego czasu, a W. Brytanii pozwoliła wyrównać braki przygotowań do wojny. [...] Od miesiąca bojownicy Armii Krajowej po spoju z ludem Warszawy krwawią się samotnie na barykadach ulicznych. [...] Brak pomocy dla Warszawy tłumaczyć nam pragną rzeczoznawcy racjami natury technicznej. Wysuwane są argumenty strat i zysków. Strata 27 maszyn nad Warszawą, poniesiona w ciągu miesiąca, jest niczym dla lotnictwa sprzymierzonych, które posiada obecnie kilkadziesiąt tysięcy samolotów wszelkiego rodzaju i typu. Skoro obliczać trzeba, to przypomnieć musimy, że lotnicy polscy w bitwie powietrznej o Londyn ponieśli ponad 40 % strat, 15 % samolotów i załóg zginęło podczas prób dopomożenia Warszawie. [...] Zarzuca się Polakom brak koordynacji ich zrywu z całością planów operacyjnych na wschodzie Europy. Gdy trzeba będzie, udowodnimy, ile naszych prób osiągnięcia tej koordynacji spełzło na niczym. [...] My tutaj czynimy dalsze wysiłki, aby uruchomić pomoc dla Was. Otrzymujemy wciąż jeszcze obietnice i przyrzeczenia. [...]”

dziny przed czasem, kiedy do wiadomości ogółu polskiego podało go Radio Polskie. Ten to szczegół do dziś dnia nie wyjaśniony i nie wytłumaczony [...] spowodował interwencję angielskiego ministra spraw zagranicznych, Edena, u prezydenta Raczkiewicza. W jej wyniku wobec jaskrawości przedstawionych dowodów, musiał się on [Prezydent] wycofać ze swojej uporczywej walki w obronie pozycji Sosnkowskiego i podpisać jego dymisję". Te właśnie okoliczności berlińskie stały się przyczyną „dlaczego rząd polski nie mógł stanąć w obronie autora rozkazu”.

Jakkolwiek min. Popiel nie upiera się w dalszej części listu przy prawdziwości powyższej pogłoski i nawet pragnąłby, aby została ona „gruntownie wyjaśniona w interesie dobrego imienia polskiego wysiłku wojskowego i politycznego w czasie wojny na ziemi brytyjskiej”, to jednak równocześnie ogranicza się do roli *advocatus diaboli* tej sprawy cytując tylko opinie p. Mikołajczyka, dyskredytujące działalność Naczelnego Wodza czy też artykuły p. M. Kwiatkowskiego i płk. R. M. w „Narodowcu”, przesadzające *deus ex machina* rzekomy fakt wcześniejszego opublikowania polskiego rozkazu przez „Deutsches Nachrichten Büro”. W liście zamieszczonym o rok wcześniej w „Horyzontach” (rok 1966, nr 126-127, str. 129-130) p. Popiel wyraził się łagodniej o możliwości interwencji władz polskich, twierdząc, że gdyby chodziło tylko o niedość polityczne sformułowanie rozkazu, to „najprawdopodobniej ówczesny rząd polski byłby może *contre cœur* stanął w obronie Sosnkowskiego”. Równocześnie jednak zapewnił, że on sam „jako członek ówczesnego rządu [...] poparł całkowicie politykę ówczesnego Premiera domagając się od Prezydenta R.P. udzielenia dymisji Naczelnemu Wodzowi”. Odpowiedź na dylemat, któremu z interweniujących czynników (Mikołajczyk, Eden czy Stalin) należy przypisać decydującą rolę w rozgrywce do wspólnego celu, tj. zmiany naczelnej władzy wojskowej, czytelnik znajdzie w końcowej części artykułu.

Metoda naświetleń min. Popiela wymaga tym bardziej porównania z dostępną dokumentacją historyczną, że on sam obawia się, aby nie stanął pod „zarzutem rozpowszechniania niepoważnej plotki, a bodajże nawet jej sfabrykowania”. Szkoda tylko, że nie pomyślał wcześniej o jakości stawianych zarzutów gen. Sosnkowskiemu przed opublikowaniem listów bez rzeczowej podstawy. Wedle mojej wiedzy i sumienia nie trzeba tutaj „odtworzyć w pamięci dokładnego przebiegu historii wydania rozkazu gen. Sosnkowskiego oraz wywołanych jego treścią wypadków”. Nie trzeba nawet oskarżać swego Premiera, że „nie dopuszczał do tego, aby podobnego rodzaju nieprzyjemne fakty znajdowały odbicie w protokołach Rady Ministrów”. Wystarczy określić

ogólnie tło polityczne stosunków polsko-sowieckich w czasie kryzysu powstania warszawskiego oraz postawę Anglo-Amerykanów, a następnie prześledzić dzień za dniem kalendarium wydarzeń związanych z rozkazem nr 19. W tym celu trzeba sięgnąć do źródeł częściowo bibliotecznych, a częściowo archiwalnych, aby stwierdzić pierwotne wypowiedzi na arenie polityki zagranicznej i wewnętrznej, a nie ich wtórne refleksy na własnym podwórku. Relacje bowiem świadków współczesnych wydarzeń mogą być bardzo pożyteczne dla odtworzenia atmosfery wypadków i ułatwić wartościowanie poszczególnych zjawisk, nie są jednak w stanie ustalić obiektywnie treści wypowiedzi czy też ich chronologii.

W obecnym szkicu historycznym wybitne miejsce zajmują głosy prasy. Jest to odbiciem ówczesnej scenarii politycznej, w której rządy anglo-amerykańskie zrzekły się w myśl zasad konferencji w Teheranie inicjatywy działania w sprawach Europy wschodniej, pozostawiając ich kierownictwo władzom sowieckim. Stąd też czołowa prasa anglosaska rozpoczęła bardzo dowolną interpretację zagadnień polskich kierując się często wpływami obcej propagandy. Wszystkie te naświetlenia cechowała doraźność, urywkowość, przesada pochwał lub nagany, wszystko wedle potrzeb chwili. Prasa brytyjska wykonała to zadanie w szerokim wachlarzu z dużą sprężystością, amerykańska, zajęta już wyborami, wykazała powierzchowność. — Stosownie do tak rozmaitych źródeł i tak niejednolitej dokładności naświetleń wypadków trzeba było podzielić treść artykułu. Rozdziały 2, 4 i 5 są uogólnieniem dokumentacji najwyższych władz państwowych, która w dużej części ujrzy dopiero światło dzienne, a reszta jest wprawdzie już teraz dostępna, lecz głównie dla fachowców. Rozdział 3 (najdłuższy) podaje na żywo i szczegółowo dobór głosów prasy i zestawia je z akcją kierowników polityki państwowej i z działaniami przemocy wojennej.

2. Jak rozwijały się stosunki polsko-sowieckie w czasie powstania warszawskiego?

Brak współpracy Związku Sowieckiego w czasie powstania warszawskiego miał za sobą długie okresy poprzedzające. Opis ich nie należy do obecnego tematu, lecz trzeba tutaj zaznaczyć przynajmniej wyniki poszczególnych okresów, aby ułatwić zrozumienie stanu w czasie złowrogię sierpnia 1944².

2. Autor obecnego artykułu wyzyskał w tym rozdziale oprócz zbiorów prasy anglo-amerykańskiej przede wszystkim wyniki badań archiwalnych zawarte w jego opracowaniu: „Documents on Polish-Soviet Relations” (t. II),

a) Pierwsze stadium prób pojednania polsko-sowieckiego obejmuje wysiłki rządu brytyjskiego od połowy grudnia 1943 do końca kwietnia 1944, które zmierzały do skłonienia rządu polskiego do przyjęcia decyzji konferencji w Teheranie dotyczących Polski. Przedstawiciele W. Brytanii dopatrywali się istoty postanowień Wielkiej Trójki w klauzulach aprobujących linię Curzona jako wschodnią granicę Polski z dodatkiem przewidującym odpowiedni skład naczelnych władz polskich (oczywiście z usunięciem gen. Sosnkowskiego). Strona sowiecka uważała na odwrót za rdzeń porozumienia przebudowę władz i urzędzeń państwowych w Polsce w takim kierunku, aby gwarantowały posłuch polski w dziedzinie polityki i działań wojennych dla programu ZSSR. Wśród tych rozbieżności rząd brytyjski podsunął władzom polskim w drugiej połowie grudnia 1943 myśl uniezależnienia polskich działań wojskowych od porozumienia politycznego oraz plan ujawniania się oddziałów i administracji Podziemia przed uzyskaniem współpracy organów sowieckich. Było to odwróceniem stanowiska Kraju, którego władze żądały przede wszystkim walki z odstępującymi Niemcami, a ujawnianie uznawały za przejściową konieczność w ramach dowodzenia taktycznego. Rząd p. Mikołajczyka wahał się początkowo, lecz już 18 lutego 1944 wydał uzupełnienie do Instrukcji dla Kraju, które mimo częściowego ograniczenia ujawniania odpowiadało postulatom brytyjskim. W marcu rząd p. Churchilla próbował odroczyć wykonanie swoich zobowiązań teherańskich, lecz został obrzucony przez Kreml (23. III) stekiem przewisk, po których zrzekł się swej roli na polskim odcinku dyplomatycznym. Próby bezpośrednich rozmów dowódców polskich z sowieckimi w ciągu kwietnia i maja (na Wołyniu i Wileńszczyźnie) doprowadzają do chwilowego i tylko taktycznego współdziałania lokalnych formacji, w ślad za którymi następują rozbijania i aresztowania, a nawet rozstrzeliwania. Zarządzenia wycofania rozproszonych po walce oddziałów ku zachodowi nie udają się nawet w wielkich lasach.

W tym wiosennym okresie rząd polski próbował uzyskać za pośrednictwem brytyjskim przynajmniej ustalenie podstaw współ-

które wkrótce ukażą się staraniem Instytutu Polskiego w Londynie. Ponadto korzystał on ze świeżo ogłoszonych „Przyczynków historycznych” Witolda Babińskiego, które opierają się w dużej części na kronice wydarzeń prowadzonej przez niego z ramienia sztabu gen. Sosnkowskiego. Odpis tej kroniki był również dostępny poprzednio autorowi niniejszego szkicu (w tekście oznaczonej jako zapiski sztabu Nacz. Wodza). Szczegółowe wymienianie źródeł do tego rozdziału byłoby niezgodne z jego celem ogólnikowym. W rozważaniach pominięto zupełnie stosunki między agenturalnym Polskim Związkiem Postępowym w Londynie a niektórymi organami polskiej opinii publicznej ze względu na ich charakter niedostatecznie udokumentowany.

pracy Armii Krajowej z posuwającą się Armią Czerwoną. W nocach z 28 marca i 31 maja wskazywał jasno na cel swój: przygotowanie powszechnego powstania przeciwko Niemcom i wzmocnienie na ich tyłach partyzantki polskiej z jednym tylko życzeniem: zaprzestania prześladowań przez oddziały sowieckie. W odpowiedzi na te propozycje rząd brytyjski wyznał swoją bezsilność i tylko doradzał rozszerzyć doraźną współpracę lokalnych oddziałów polskich z wojskiem sowieckim i ujawniać się wszędzie i całkowicie, aby w ten sposób doprowadzić stopniowo do zbliżenia wielkich formacji obu wojsk i jedności dowodzenia (oczywiście sowieckiego). Niezależnie od pośrednictwa brytyjskiego premier Mikołajczyk wyzyskał w końcu maja również znajomości prywatne prof. S. Grabskiego z amb. Lebediewem, aby zbadać możliwości bezpośredniego porozumienia. Rozmowy te nie wyszły poza rozpoznanie postaw obu stron.

b) W następstwie tego impasu w stosunkach W. Brytanii z Rosją rząd premiera Churchilla zgodził się w końcu kwietnia na przejęcie dalszej inicjatywy ugody polsko-sowieckiej przez rząd Stanów Zjednoczonych. Na tym tle p. Mikołajczyk wznowił starania o wyjazd swój do Waszyngtonu, które znalazły wyraz w jego wizycie u prez. Roosevelta w dniach 5-14 czerwca 1944. Mimo wysunięcia na czoło przez przedstawicielstwo polskie sprawy współpracy polsko-sowieckiej w bardzo szerokim wachlarzu możliwości i mimo przedstawienia konkretnych planów powstania i dywersji polskiej cały sztab polityczny i wojskowy prez. Roosevelta nie zdobył się na odpowiednie postawienie zagadnień w Moskwie. Podstawowy wniosek polski dotyczący uzbrojenia A.K. przez Stany Zjednoczone i uzgodnienia planu powstania z działaniami aliantów i Rosji został wprawdzie natychmiast przesłany do Moskwy, lecz tylko w imieniu Kolegium Szefów Sztabu i to do wypowiedzenia się. W odpowiedzi władze sowieckie odrzuciły jeszcze raz współpracę polską podając przy tym obelżywe uzasadnienie, że „A.K. może otrzymaną broń użyć przeciwko Związkowi Sowieckiemu i stanąć po stronie Niemiec”. Prez. Roosevelt pozostawił zagadnienia polityczne w rękach p. Mikołajczyka *ad referendum* marsz. Stalinowi, przy czym zaopatrzył go w list czysto grzecznościowy. Jedynym konkretnym wynikiem podróży był skromny zadatek pieniężny na uzbrojenie A.K., którego główna suma nie została zrealizowana.

c) Na tle przekreślenia w ten sposób pomocy amerykańskiej dla ruchu wyzwolenczego w Polsce premier Mikołajczyk podjął po powrocie do Londynu jeszcze raz bezpośrednie starania o pojednanie z Rosją w trzech rozmowach osobistych z amb. Lebediewem w ciągu 20-23 czerwca 1944. Narady objęły konkretne

sprawy polityczne i wojskowe uwidoczniając zasadnicze różnice dwu rządów. Kreml domagał się pełnego dostosowania programu i składu rządu polskiego do „polityki przyjaźni” ze Związkiem Sowieckim, dalej uznania natychmiastowego linii Curzona i potępienia w sposób ostentacyjny własnych badań sprawy katyńskiej. Na takie oświadczenie premier Mikołajczyk osłupiał i zamilkł.

d) Stanowisko Ambasadora sowieckiego pozostawało w ścisłym związku z planami sowieckimi w odniesieniu do administracji ziem polskich. Musimy bowiem pamiętać, że w drugiej połowie maja 1944 w Moskwie przebywała delegacja Krajowej Rady Narodowej (prosowieckiej), która po miesięcznym pobycie osiągnęła (23 czerwca) wcielenie do swego składu Związku Patriotów Polskich i obietnicę sowiecką powołania z łona obu organizacji tymczasowego rządu polskiego za cenę zapewnienia eksploatacji polskich zasobów ludzkich i materialnych przez wkraczające tam wojska sowieckie.

W ten sposób za taranem bojowym wojsk sowieckich posuwał Narodowego jako organ wykonawczy Krajowej Rady Narodowej dla kierowania walką i odbudową państwa polskiego pod skrzydłami Związku Sowieckiego. Forma komitetu była oczywiście dogodniejsza dla Moskwy niż tymczasowego rządu ze względu na mniejszy zakres udzielonej władzy i opinię sojuszników o fakcie bez nich dokonanym. Dalszy bieg wydarzeń płynął tym samym nurtem. A więc 25-26 lipca Komitet Wyzwolenia Narodowego otrzymał z rąk Nacz. Dowództwa Armii Czerwonej administrację uwolnionych obszarów Polski i określenie zarysu granic przyszłego państwa, a 1 sierpnia Komisariat Spraw Zagranicznych ZSSR potwierdził uznanie PKWN jako tymczasowej władzy w całej Polsce i zaproponował wymianę przedstawicieli dyplomatycznych. Następnie, Kreml spowodował wydanie przez Komitet 24 i 31 sierpnia dekretów o rozwiązaniu wszelkich tajnych organizacji polskich i o uznaniu wybitniejszych osób Polski Podziemnej za przestępców faszystowskich. Wreszcie, podjął w okresie między 25 sierpnia a 6 września plany okrążenia Warszawy z południa i północy w celu usadowienia władzy PKWN w centralnym ośrodku Kraju, wówczas kiedy powstanie — wedle powszechnych ocen — chyliło się ku upadkowi. Czy koncepcja ta była sowieckim wabikiem dla omamiania oddziałów Berlinga, czy też stwierdzono w toku koncentracji niedostateczność zebranych sił dla danego zadania, w każdym razie nie została ona urzeczywistniona, a formacje w tym celu skupione przerzucono do rozgrywki sowieckiej na Bałkanach.

W ten sposób za tarem bojowym wojsk sowieckich posuwał się wyszkolony w Moskwie zespół politruków, który stopniowo obejmował rządy w obszarach uwolnionych, przetrzebając je starannie z żywołów Polski Podziemnej przy pomocy agentów NKWD i swojskiej policji.

e) Powyższy stan był dobrze znany prem. Mikołajczykowi i w odpowiedzi już na czerwcowe wyzwania sowieckie pobudził przywódców Polski Podziemnej do rozszerzenia działań zbrojnych wbrew opinii Nacz. Wodza, który przestrzegał przed aktem rozpaczki. Stało się to 4 lipca, kiedy Premier zarządził bezwzględne ujawnianie władz politycznych i wojskowych Podziemia przed posuwającą się w głąb Kraju Armią Czerwoną, połączone ze składaniem ofert najszerzej współpracy polsko-sowieckiej; równocześnie zachęcił organa krajowe do podjęcia powszechnego, a przynajmniej częściowego powstania w celu uprzedzenia czynników filozowieckich w uchwyceniu władzy. O żadnym wycofaniu się na zachód oddziałów A.K. w razie niemożności współpracy z Sowietami (jak to proponował Nacz. Wódz) nie było mowy. W ten sposób p. Mikołajczyk przejął punkt widzenia Komitetu Wyzwolenia Narodowego: przede wszystkim walka o władzę, a nie walka o niepodległość. Tymczasem rząd brytyjski udzielił 6 lipca ostrzeżenia (w formie nieco zamaskowanej pomocą UNRRy), w którym stwierdził, że zagadnienia zaopatrywania A.K. nie leżą w rękach Combined Chiefs of Staff, lecz najwyższych władz sowieckich, zastrzegając tylko dla Brytyjskiego Zespołu Sztabu zwierzchnictwo nad działaniami A.K. Zarządzenie powyższe nie otrzymało żadnego biegu w urzędowaniu władz polskich.

Duża samodzielność działań jednostek A.K. w okresie oswobodzenia Wilna wespół z wojskiem sowieckim i rozgłos w świecie tych wyczynów na terenach uznawanych przez W. Brytanię za część imperium sowieckiego, skłoniły prem. Churchilla do wysłania 13 lipca depezy do Stalina, w której zaproponował — wbrew opinii rządu polskiego — zasadnicze ustępstwa na korzyść ZSSR, byle tylko osiągnąć zgodę dyktatora na omówienie osobiste przez Mikołajczyka planu działań powstańczych przeciw Niemcom. I ta propozycja, tak daleko sięgająca w istotę suwerenności, pozostała bez odpowiedzi Kremla. Dopiero zakończenie przygotowań sowieckich do osadzenia zespołu PKWN na administracji terenów wyzwolanych i zrozumienie przez Sowiety potrzeby wciągnięcia niektórych Polaków z Londynu do współwładzy nad Polską, skłoniły marsz. Stalina 23 lipca do zgody na wizytę prem. Mikołajczyka w Moskwie. Pobyt jego w stolicy sowieckiej (30. VII. - 9. VIII.) w tych warunkach mógł być tylko ornamentem do

planów kreślonych na Kremlu. Władze sowieckie postawiły go wobec konieczności uznania władzy PKWN i jego „reform” obejmujących: anulowanie konstytucji z 1935 i dotychczasowej polityki polskiej, uznanie linii Curzona i dominacji jednego kierunku politycznego, wreszcie ogólnego protektoratu Moskwy. Premier Mikołajczyk odroczył decyzję zawieszoną nad jego głową i wrócił do Londynu dla narad i prowadzenia dalszej walki powstańczej przy obietnicy pomocy Stalina o wątpliwej wartości. Jeszcze przed jego powrotem „News Chronicle” (w artykule S. Litauera) dopatrzyła się przyczyn braku powodzenia powstania w niezgodnieniu działań polskich z dowództwem sowieckim (jak to mówił Bierut w Moskwie 7 sierpnia).

f) Tezę tę podchwyciła propaganda sowiecka, a w szczególności TASS w komunikacie z 12 sierpnia 1944 r. Zaprzeczał on jakoby „powstańcy warszawcy pozostawali w kontakcie z dowództwem sowieckim, które nie udzieliło im żadnej pomocy”. W dalszym ciągu komunikat stwierdzał, że „oświadczenia prasy zagranicznej są albo wynikiem nieporozumienia, albo oszczerstwa pod adresem naczelnego dowództwa sowieckiego” oraz „że polskie koła w Londynie, odpowiedzialne za powstanie w Warszawie, nie próbowały skoordynować akcji z naczelnym dowództwem sowieckim” i stąd następstwa tych zaniedbań obciążają ich sumienie. Komentarze w prasie i rozgłośniach radiowych, podległych wpływom sowieckim, obwiniały w tym czasie gen. Sosnkowskiego o wywołanie powstania i spisek z Watykanem przeciw ZSSR a w obronie Niemiec. Wyrazem tych knowań Nacz. Wodza miało być zwalczanie przez niego porozumienia z rządem sowieckim, a ostatecznym jego celem — uchwycenie niepodzielnej władzy w wyzwolającej się samodzielnie Polsce. (Zob. „Izwestija” 14 i 17 VIII; „Prawda” 14 i 19. VIII; radio Moskwa 15, 17, 22. VIII; radio Lublin 17, 23, 28 i 29. VIII wreszcie „Daily Worker” 14, 18, 24 i 30. VIII 1944). Wszystkie te oskarżenia przeszły bez słowa reakcji ze strony rządu polskiego, a sam gen. Sosnkowski poprzestał na krótkim oświadczeniu w „Daily Telegraphie” (z 16. VIII), stwierdzającym brak w nich nawet cienia prawdy. W sukurs napaściom agentów rządu Osóbki-Morawskiego przyszedł też gen. Żymierski (13, 17, 23 i 28. VIII), który zapowiedział „marsz na Warszawę w celu jej oswobodzenia i ukarania winnych przelewu krwi ludu tamtejszego wskutek przedwczesnego powstania”. W dalszych przemówieniach nazwał rozpoczęcie działań zbrojnych „aktem nieodpowiedzialnym, wywołanym przez agentów Sosnkowskiego” w celu „opanowania Kraju po wypędzeniu Niemców przez Czerwoną Armię”, przy czym plan „dośtarczenia broni drogą powietrzną do Warszawy określił jako

nierealny ze względu na to, że większość jej wpadłaby w ręce niemieckie”.

Opisane rozgrywki z imperializmem sowieckim miały swój odpowiednik na arenie Narodów Zjednoczonych w Ameryce. Jeszcze w połowie sierpnia dotarła do Londynu wiadomość ze wstępnych konferencji w Dumbarton Oaks („Daily Mail” i „Daily Express” z 16. VIII), na których rozważano sprawę zabezpieczenia przyszłego pokoju przez zwycięskie państwa. W czasie tych obrad Związek Sowiecki odrzucił amerykański projekt oparty na zespole równouprawnionych narodów i organizacji międzynarodowej siły zbrojnej, a zażądał podziału świata na obszary, za których spokój i bezpieczeństwo odpowiadałoby jedno z czterech głównych mocarstw. Autorem tej koncepcji miał być b. ambasador Maksim Litwinow.

g) Zarzuty wysuwane przez rząd sowiecki i jego agentury w Polsce zmierzały wyraźnie do sprowadzenia walki zwolenników prawdziwej niepodległości do poziomu sporów o władzę. Świadomość tego stanu przenikała do środowiska rządowego, ale z drugiej strony było ono związane swym programem z doprowadzeniem do zasadniczej ugody Polski z ZSSR w myśl zobowiązań niedawnej wizyty prem. Mikołajczyka w Moskwie. Wyrazem tych niejednorodnych przesłanek było memorandum, którego tekst został ustalony — po dwutygodniowej wymianie opinii — 29 sierpnia 1944 r. Najważniejsze jego ustępy dotyczące składu przyszłego rządu, obszaru państwa, zasad porozumienia z rządem sowieckim i kompetencji gabinetu wojskowego brzmiały w ten sposób:

„Po uwolnieniu stolicy państwa nastąpi rekonstrukcja rządu polskiego na następujących zasadach:

I. Podstawę rządu stanowić będą w równej sile liczebnej następujące stronnictwa: stronnictwo ludowe, stronnictwo narodowe, PPS, stronnictwo pracy i PPR. Wyklucza się możliwość wejścia do rządu przedstawicieli faszystujących i niedemokratycznych grup politycznych oraz grup odpowiedzialnych za przedwrześniowy system rządzenia [...]

II. Rząd przeprowadzi wznowienie stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich. Rząd przystąpi natychmiast do objęcia administracji wyzwolonych ziem polskich i przygotowania przejęcia nowych obszarów, uzyskanych kosztem Rzeszy Niemieckiej [...]

III. Rząd przeprowadzi z rządem sowieckim porozumienie w celu wspólnego prowadzenia wojny przeciwko Niemcom i ułożenia podstaw trwałej przyjaźni polsko-sowieckiej po wojnie, w oparciu o alians polsko-sowiecki, mający na celu ścisłą współpracę polityczną i gospodarczą Polski i Sowietów, przy uszanowaniu za-

sad suwerenności obu państw i wzajemnym zobowiązaniu nieinterweniowania w stosunki wewnętrzne drugiego państwa. Celem aliansu będzie również stała troska o usunięcie wszelkich wpływów niemieckich w Europie środkowej i przeszkodzenie możliwości powtórzenia się agresji niemieckiej. Tym celom służyć będą aliansy Polski z Wielką Brytanią i Francją i będzie zawarty alians z Czechosłowacją, jako też utrzymane będą najściślejsze stosunki przyjazne ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. [...]

Polska, która w tej wojnie poniosła tyle ofiar i jako jedyna z państw okupowanych przez Niemcy nie wydała Quislinga, nie może wyjść z tej wojny terytorialnie umniejszona. Przy Polsce pozostaną na wschodzie główne centra życia kulturalnego i źródeł surowców konieczne dla życia gospodarczego Polski. Nastąpi uregulowanie spraw obywatelstwa i repatriacji. (Niezwłocznie zostaną zwolnieni internowani, aresztowani i wywiezieni obywatele polscy, tak w Polsce jak i na wszystkich obszarach ZSSR, który udzieli pomocy przy ich repatriacji). Będzie przeprowadzona dobrowolna wymiana ludności polskiej, ukraińskiej i białoruskiej [...]

IV. Przeprowadzenie wojny i kierownictwo ogólne całokształtem sił zbrojnych przejdzie w ręce rządu, który wyłoni do tych spraw gabinet wojenny. Do kompetencji gabinetu wojennego należyć będą w szczególności:

- a) zagadnienia związane z ogólnym prowadzeniem wojny,
- b) współpraca wojskowa polsko-sowiecka,
- c) współpraca wojskowa polsko-brytyjska i z innymi narodami sprzymierzonymi,
- d) zjednoczenie wszystkich sił zbrojnych R.P.

W obradach gabinetu wojennego ministrów, powołanych przez radę ministrów, mogą uczestniczyć szef sztabu generalnego oraz w zależności od potrzeby szefowie i dowódcy poszczególnych części polskich sił zbrojnych. (Polskie siły zbrojne będą działały pod dowództwem polskim: na wschodnim teatrze operacyjnym pod zwierzchnim dowództwem operacyjnym sowieckim, a na innych teatrach wojennych pod zwierzchnim dowództwem sprzymierzonych odpowiednich obszarów)".

Zdania umieszczone w nawiasach powyższego tekstu zostały dodane w Londynie w ostatniej chwili (28. VIII) na żądanie Rady Jedności Narodowej w Kraju. Poprawki te nie zostały umieszczone w wersji przeznaczonej do ogłoszenia publicznego. Postulaty w nich zawarte były sprowadzone do minimum w imię bezwzględnego „zachowania solidarności stronnictw polskich w rządzie i Radzie Jedności”. Władze krajowe miały inne głębsze zastrzeżenia, które obejmowały sprawę rezygnacji z granicy traktatu ryskiego i dopuszczenia Rosji do roli decydującego czyn-

nika w urządzaniu nowego porządku w Polsce. Z nich też wypłynęły następne postulaty Kraju (30. VIII), które podkreślały potrzebę uzyskania gwarancji Anglo-Amerykanów i obrony przynależności Polski do Zachodu.

Mimo przekroczenia w memorandum granicy ustępstw dopuszczanej przez polskie społeczeństwo, władze sowieckie dały poznać od razu przez swe tuby publiczne (Radio Lublin, „Daily Worker” z 28 i 30. VIII oraz 1. IX), że rozwiązanie problemu rządu nie może się odbyć wedle klucza partyjnego, lecz na podstawie uznania stanu władzy PKWN, do której może być dopuszczony p. Mikołajczyk i niektórzy ministrowie z jego gabinetu. Zasadą doboru miała być jednak „przyjaźń” dla ZSSR i wyklęcie wszelkich faszystów i sanatorów. W ten sposób w skład nowego rządu obliczanego na 16 ministrów, mogło wejść 4 członków dotychczasowego gabinetu z zastrzeżeniem, że przyjmą sowiecki program terytorialny. Poza tym agentury ZSSR zgadzały się na wydatny udział we władzach naczelnych przedstawicieli Polski Podziemnej, ale bardzo odmiennego autoramentu od A.K. i Delegatury Rządu.

b) Nieustępliwość sowiecka zaznaczyła się nawet w stosunku do starań rządów anglo-amerykańskich o wspólne przyznanie oddziałom A.K. praw kombatanckich. Nie znamy szczegółów tych rozmów, wlokących się co najmniej od początku marca 1944, natomiast wiadome są kilkakrotne odmowy Kremla, który uzasadniał je brakiem stosunków dyplomatycznych z rządem polskim. Tak więc mocarstwa anglosaskie musiały ograniczyć się do wydania w dniu 29. VIII jednostronnej deklaracji, stwierdzającej przynależność A.K. do regularnych Polskich Sił Zbrojnych i ostrzegającej Niemców przed zaprzeczaniem jej praw wojennych. Hitlerowskie dowództwo uznało to prawo (4. IX) po krwawej rzezi urządzonej przez się na Starym Mieście, natomiast władze sowieckie do końca traktowały A.K. jako „buntowuszczyk” przeciw prawowitym rządowi PKWN.

i) Tymczasem rząd i prasa brytyjska poparły gorąco treść memorandum z 29 sierpnia, przy czym część jej przekroczyła zawarte w nim ustępstwa polskie żądając natychmiastowego uznania linii Curzona i utworzenia rządu ze składu ówczesnego gabinetu Mikołajczyka i PKWN na zasadzie równorzędności („Observer” z 27. VIII)³. W zamian za te wyrzeczenia ze strony pol-

3. Prasa brytyjska podawała dokładne informacje o toku prac Rady Min. nad memorandum z 29. VIII. od chwili przesłania go do wypowiedzenia się władz krajowych (22. VIII.); w następnych zaś dniach — chwając sam pomysł dogadania się z Rosją — zaczęła napomynać o konieczności większych ustępstw Polski na korzyść ZSSR.

skiej pisma konserwatywno-liberalne domagały się szybkiej pomocy sowieckiej na rzecz Warszawy lub przynajmniej dopuszczenia lotnictwa anglo-amerykańskiego do korzystania z baz na Ukrainie. Szczególne wysoki filozofowieckie przejawy takie pisma jak „Times”, „News Chronicle” oraz „New Statesman and Nation”.

Wśród pism wytrwale broniących wówczas suwerenności Polski i rozumiejących istotę żądania „przyjaznej polityki” przez ZSSR od Polski trzeba wymienić „Tablet”, tak jak poprzednio wybijał się „Time and Tide” (np. z 5. VIII). Na łamach pierwszego z nich ukazał się 26. VIII artykuł „The Tragedy of Warsaw”, który podał śmiałą i rzetelną ocenę znaczenia powstania w Warszawie i wartości pomocy oddziałów A.K. dla operacji wojsk sowieckich przy zdobywaniu Wilna i Lwowa. Artykuł kończył się akordem na rzecz niezwykłowości ducha narodu polskiego.

Polskie władze polityczne w Londynie dostrzegły już w końcu sierpnia — w ślad za Krajem — widmo upadku powstania w Warszawie i obawiały się kryzysu w rządzie na tle niemożności udzielenia jej pomocy, przy równoczesnym poczuciu własnej odpowiedzialności za rozwój wypadków. Oficjalne próby wyjścia z otchłani szły na przełomie sierpnia i września po szlaku podania się rządu i kierownictwa wojskowego do dymisji (dowodem są obrady Rady Min. z 21, 29. VIII i 1. IX 1944), a dopiero od 5-6 września weszły na tory obwiniania gen. Sosnkowskiego o chęć uniemożliwienia ugody z Rosją i rozbijania jedności sprzymierzonych.

3. Jakie były odgłosy rozkazu nr 19 na arenie dyplomatycznej i w wypowiedziach prasowo-radiowych?

Kalendarium rozmów i wiadomości politycznych związanych z rozkazem gen. Sosnkowskiego przedstawia się następująco⁴:

4. Wiadomości z radia i prasy niemieckiej podano wedle nasłuchu w W. Brytanii, tzw. „Daily Digest of World Broadcasts”, ponieważ tylko tą drogą mogły one dotrzeć do tamtejszej opinii publicznej. Niektóre z tych pozycji sprawdzono dodatkowo w odpowiednich numerach „Völkischer Beobachter”, który był oficjalnym organem partii narodowo-socjalistycznej. Z prasy anglo-amerykańskiej przytoczono jedynie fragmenty związane z podstawami polityki polskiej i z rozkazem nr 19.

Analogicznie wszystkie wiadomości radiowe z obszaru podległego ZSSR są cytowane na podstawie londyńskiego organu TASSA — „Soviet Monitor”, Radio Bulletins from the USSR — bądź też „Komunikatów Radiowych”

1. IX. 44, g. 10.32. Niemieckie Biuro Telegraficzne. Wiadomości Zagraniczne (nr 1.873). Oświadczenie Mikołajczyka: „[...] Uwagi Premiera polskiego na konferencji prasowej [31. VIII], dotyczące powstania warszawskiego, potwierdzają twierdzenie Veronona Bartletta w „News Chronicle” [29. VIII] o pierwotnej obietnicy Stalina udzielenia pomocy powstańcom warszawskim. P. Mikołajczyk — jak informują — stwierdził, że ogólny plan powstania został rozpatrzony przez anglo-amerykańskie Kolegium Szefów Sztabu i przesłany przez nich do Moskwy. W końcu lipca marsz. Stalin obiecał mu pomoc rosyjską dla Warszawy, lecz nie została ona urzeczywistniona”.

[Wiadomość o przebiegu konferencji Comb. Chiefs of Staff i o obietnicy Stalina powtórzył komentator „Rozgłośni Zagranicznej” z 4. IX. 1944 o g. 20.15 (nr 1876), podsuwając słuchaczom wniosek o niewypełnianiu przez W. Brytanię zobowiązań wynikających z sojuszu z Polską.]

1. IX. 44, *około południa*. Rozkaz nr 19 do Żołnierzy Armii Krajowej został skierowany osobiście przez gen. Sosnkowskiego do zast. szefa sztabu N.W. z poleceniem nadania go do Kraju w ciągu „dzisiejszej nocy”. Zasyfrowanie nastąpiło w tymże dniu a nadanie 2. IX. 44.

[Rozkaz ten był wyłącznym tworem N.W., który chciał w nim dać ocenę wartości osamotnionych walk żołnierzy A.K. i kampanii wrześniowej. Projekt rozkazu napisany przez sztab N.W. ograniczał się do „uwypuklenia miesięcznego wysiłku A.K.”.]

1. IX. 44, g. 15.30-18.00. Na posiedzeniu Rady Min. premier Mikołajczyk oświadczył, że „akcja prowadzona przez Nacz. Wodza ma wszelkie cechy walki politycznej przeciwko Rządowi. Bez wiedzy Rządu przekazywane są do Kraju przez Nacz. Wodza depesze polityczne poszczególnych osób i organizacji”. W brulionie protokołu wymieniono nazwiska: Nagórskiego, Kuncewicza i Berezowskiego.

1. IX. 44, *wiecz.* Prem. Mikołajczyk przeprowadził rozmowę z prem. Churchillem, podczas której na zapytanie Premiera bryt. o rolę gen. Sosnkowskiego w przypisywanym rozszerzaniu nastrojów antysowieckich w Warszawie pod postacią walki o Lwów i Wilno, wyjaśnił, że Warszawa opowiedziała się przeciw jego programem porozumienia polsko-sowieckiego, tj. memorandum z 29. VIII.

polskiego Min. Inform. i Dokum. (Nasłuch Radiowy). Cytaty z prasy sowieckiej ograniczono do gazety — „Prawda” i „Izwestija”. Zdania umieszczone w nawiasach tekstu stanowią objaśnienia i uwagi autora obecnego artykułu.

[Słowa o Lwowie i Wilnie były odgłosem zarzutów „Times'a” z 31. VIII. Krzyk prasy angielskiej wywołała krótka wzmianka w jednej z depeš krajowych, domagająca się obrony ziem wschodnich wobec terroru zastosowanego tam wobec Polaków przez władze sowieckie].

3. IX. 44, *świt*. „Sunday Times” podał następujące wiadomości z polskich kół politycznych w Londynie: „[...] dowiadujemy się z przykrością, że rząd sowiecki nie poszedł w ślad rządów brytyjskiego i amerykańskiego w sprawie przyznania praw strony wojującej uczestnikom ruchu podziemnego w Warszawie, ani też nie uwzględnił prośby Anglo-Amerykanów dotyczącej udzielenia bombowcom z Włoch prawa do lądowania na lotniskach rosyjskich po zrzuconiu zaopatrzenia nad Warszawą”.

3. IX. 44, *świt*. „Prawda” (Moskwa) — wedle Neuer Presse Dienst (nr 1.876) z 4. IX, g. 17.14 — „przedstawiła samą dyskusję w Londynie i Waszyngtonie nad pomocą wojskową Warszawie jako oczywiste wtrącanie się do spraw polsko-rosyjskich. Prowodrzy powstańców polskich — zarówno w Warszawie jak i w Londynie — mają obecnie podlegać groźbie sądów wojennych ze strony Kremla”.

4. IX. 44, *świt*. Ogłoszenie rozkazu nr 19 w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” (nr 209).

4. IX. 44, g. 15.25-17.00. Na posiedzeniu Rady Min. premier Mikołajczyk podał krótki przebieg swej rozmowy z Churchillem w dniu 1. IX, dalej treść odmowy anglo-amerykańskiej z 3. IX co do organizacji większej wyprawy z pomocą Warszawie, wreszcie, dalszą swoją interwencję 4. IX w tejże sprawie, którą ma dziś rozstrzygnąć wojenny gabinet brytyjski. Z tego stanu rzeczy Premier polski wyciągnął wniosek co do bezcelowości trwania jego rządu, choć przede wszystkim „powinien ustąpić bezwzględnie Nacz. Wódz, który [...] starannie unika takiej decyzji”. Wobec zachęty kilku ministrów do wytrwania i nieułatwiania gry sowieckiej Premier odroczył swoją decyzję do posiedzenia w dniu następnym. [O rozkazu nr 19 nie było jeszcze żadnej wzmianki].

— 4. IX. 44, g. 17.14. Niemiecka Agencja Telegraficzna, Neuer Presse Dienst (nr 1.876). — Komentator radiowy von Stumm⁵ podał wśród nowości dotyczących powstania w Warszawie taką wiadomość: „Sosnkowski [...] złożył godne uwagi oświadczenie, iż w piątym tygodniu walk powstańcy warszawscy dowiedzieli się, że Sowiety nie pozwoliły lądować na lotniskach rosyjskich

5. Baron Gustaw Braun Stumm był zast. dyrektora departamentu propagandy w min. spr. zagr.; jego bezpośrednim przełożonym był Paul Schmidt. Niezależnie od niego działało min. oświaty powszechnej i propagandy pod kierownictwem Goebbelsa.

samolotom sprzymierzonych, które by mogły nieść im pomoc⁶”.
4. IX. 44, g. 19.53. Niemiecka Agencja Telegraficzna (nr 1.876) podała w serwisie zagranicznym następującą wiadomość ze Sztokholmu pod nagłówkiem „Przyszłość Polski”: „Jak informują tu-tejsze koła sowieckie zamiar ustalenia przez Polskę trwałych sojuszków z W. Brytanią i Francją oraz nadania gwarancji umowie polsko-sowieckiej przez mocarstwa zachodnie, o czym wspomniał emigracyjny Premier polski w Londynie w ostatnim swym memorandum, ogromnie zdziwiły Kreml. Jest to tym bardziej uderzające, że w czasie ostatniej wizyty Premiera polskiego w Moskwie Mołotow zażądał od niego wyrzeczenia się sojuszu i traktatu gwarancyjnego z W. Brytanią. Dodać trzeba, że taka postawa Polaków jest tutaj uważana za sabotaż umów polsko-sowieckich”.

[W czasie rozmów Mikołajczyka ze Stalinem i Mołotowem w dniach 31. VII, 3 i 9. VIII. 1944 zagadnienia sojuszu Polski z W. Brytanią i Francją nie były wcale poruszane].

4. IX. 44, *wiecz.* Po posiedzeniu brytyjskiego gabinetu wojennego prem. Churchill wysłał depeszę do marsz. Stalina z apelem o zezwolenie lądowania samolotom brytyjskim w bazach sowieckich.

5. IX. 44, *świt.* „The Times” (nr 49.952) zamieścił z rozkazu nr 19 dwa ustępy z wstępnej części i dwa z końcowej pt. „Osamotniona Warszawa” podając jako źródło korespondenta polskie-

6. Gen. Sosnkowski nie wypowiedział takiego twierdzenia w żadnym ze znanych rozkazów czy wywiadów. Pierwocin tej myśli w publicystyce angielskiej należy szukać w artykule Vernona Bartletta: „Kryzys warszawski stanowi groźbę dla jedności sprzymierzonych” („News Chronicle” z 29. VIII). Odpowiednie słowa brzmiały następująco: „Brytyjczycy i Amerykanie podjęli niedawno usilne starania w celu zwiększenia przelotów wahadłowych między Włochami a Rosją w taki sposób, aby można było przesyłać zaopatrzenie do Warszawy. Prośby ich spotkały się z odmową Moskwy”. W dalszych wywodach autor przyznał z jednej strony słuszność zarzutom sowieckim jakoby „powstanie [...] rozpoczęło się bez uprzednich narad z rządami brytyjskim, sowieckim i amerykańskim”, skutkiem czego „wzmogło u Rosjan podejrzenie, że rząd polski chce ich uprzedzić” w uchwyeniu władzy. Z drugiej jednak strony Bartlett podkreślił liczne zachęty Sowietów do powstania, a nawet ich obietnicę pomocy wojskowej. Stąd też — wedle jego zdania — Brytyjczycy nie mogli się wyrzec planów pomocy Polakom. Jeśliby zaś opór sowiecki uniemożliwił ją, wówczas „stosunki wzajemne trzech wielkich sojuszników musiałyby ulec nieuchronnie napięciu”. Z tego to źródła zaczerpnęła zapewne swoje wyjaśnienie prem. Mikołajczyk na konferencji prasowej 31. VIII., kiedy to w dyskusji nad swoim przemówieniem stwierdził brak uzasadnienia odmowy Kremla co do korzystania z baz sowieckich przez lotników anglosaskich. Z kolei rzeczy komentator niemiecki, von Stumm, pomieszał prawdopodobnie nazwiska Sosnkowskiego i Mikołajczyka wśród kilku podawanych równocześnie wiadomości.

go. Inne gazety angielskie podały główne wyjątki, najobszerniejsze „Daily Herald” bez żadnych komentarzy.

5. IX. 44, *świt*. „The News Chronicle” No 30.674 zamieściły artykuł p. Stefana Litauera⁷ pt. „Premier polski grozi rezygnacją”, treści następującej: „W polskich sferach rządowych powstał kryzys wskutek rozkazu gen. Sosnkowskiego. „Premier polski, p. Mikołajczyk, zagroził rezygnacją w razie poparcia stanowiska gen. Sosnkowskiego przez rząd polski lub Prezydenta Rzpltej”. Wśród cytatów głównej części rozkazu autor zwrócił uwagę na zdanie: „Wysuwane są argumenty strat i zysków. Strata 27 maszyn nad Warszawą, poniesiona w ciągu miesiąca, jest niczym dla lotnictwa sprzymierzonych, które rozporządza obecnie ponad 10 tysiącami samolotów wszelkiego typu”. P. Litauer określił zarzuty gen. Sosnkowskiego jako niesłychane i wywołujące najgorsze wrażenie. W końcu artykułu podsunął rozwiązanie sytuacji: „W polskich kołach rządowych uważa się wypowiedź Generała za jawny bunt przeciwko polityce p. Mikołajczyka. Premier polski będzie musiał zająć zdecydowane stanowisko, co do którego może być pewny poparcia rządu brytyjskiego i opinii publicznej tego kraju”.

[P. Litauer zastąpił samowolnie słowa gen. Sosnkowskiego: „kilkadziesiąt tysięcy samolotów” liczbą „ponad 10 tysięcy samolotów” i ocenił z góry, że potępienie rozkazu może liczyć na bezwzględne poparcie rządu i społeczeństwa brytyjskiego].

— 5. IX. 44, *przed połud.* Prem. Mikołajczyk przeprowadził rozmowę z min. Edenem w obecności min. Romera, amb. Raczyńskiego i amb. O'Malleya w sprawie apelu rządu brytyjskiego do rządu sowieckiego o udzielenie pomocy Warszawie i zamierzonej dymisji rządu polskiego. Na marginesie poruszono kwestię złego wrażenia, które wywołał rozkaz nr 19. Min. Eden powiedział, że „nie zamierza wtrącać się do naszych spraw wewnętrznych i wypowiadać się co do konieczności ustąpienia gen. Sosnkowskiego ze stanowiska Nacz. Wodza. To, że rozkaz dzienny gen. Sosnkowskiego zwraca się z bezpośrednimi zarzutami przeciw rządowi bryt. jest jednym powodem więcej dla min. Edena, aby rzecz tę po-

7. Stefan Litauer był przez wiele lat korespondentem PATa w Londynie i równocześnie współpracownikiem pol. min. inform. Od czerwca 1940 wykazał szczególnie bliskie stosunki z tamtejszą ambasadą sowiecką. Już wówczas wypowiadał się za rewizją granicy wschodniej, choć pragnął pozostawić Wilno i Lwów w ramach Polski. Od połowy lipca 1944 został korespondentem „News Chronicle” w sprawach środkowo-europejskich. W artykułach propagował odrzucenie traktatu ryskiego i konstytucji 1935 r., zwalczał jedność rządu narodowego i namawiał p. Mikołajczyka do wyjazdu do Moskwy, choćby bez zgody własnego gabinetu. W tym czasie ułatwiał też kontakty kilku członków władz polskich z amb. Lebidiewem. W jesieni 1944 r. stanął otwarcie po stronie PKWN.

zostawić wyłącznie rządowi polskiemu. — Amb. O'Malley w tym miejscu przerwał uwagą, że ustąpienie gen. Sosnkowskiego po jego politycznej manifestacji jest nie do uniknięcia". Prem. Mikołajczyk dodał: „Gen. Sosnkowski zabrał publicznie głos na temat zagadnienia politycznego największej wagi na własną rękę, bez porozumienia z rządem. Premier uważałby za konieczne wyciągnięcie stąd wobec niego konsekwencji. Jakżeż jednak może to uczynić skoro nie ma konkretnych argumentów, wskazujących, że linia przez rząd polski obrana jest słuszna i prowadząca do celu. Jak ma odpowiedzieć na zarzuty odzywające się powszechnie w społeczeństwie polskim i armii, że rząd polski nie umiał spełnić swego zadania: skłonienia W. Brytanii do skutecznego dopomożenia nam". Min. Eden zaproponował wówczas rozmowę z przedstawicielami lotnictwa.

5. IX. 44, g. 12.30. Niemiecka Rozgłośnia Krajowa (nr 1.877) podała po raz pierwszy ogólnikową treść rozkazu nr 19 (w 5 wierszach) ograniczając się do zarzutów stawianych Anglikom i Amerykanom.

5. IX. 44, g. 13.50. Agencja Reutera ogłosiła komentarz do rozkazu nr 19 pt. „Nieprzychylnie przyjęcie polskiego rozkazu dziennego”. Artykuł ten nie pochodził od jej korespondenta dyplomatycznego, ale został jej przekazany przez „Press Association” jako centrali wszystkich informacji zagranicznych w W. Brytanii. Komentarz cytował na początku stratę 27 samolotów przez lotnictwo sprzymierzone i jego rzekomy stan posiadania w liczbie 10.000 samolotów, a następnie snuł taki obraz przyszłości: „Ten zadziwiający rozkaz dzienny będzie mieć poważne następstwa, lecz może przy tym służyć pożytecznemu celowi posuwając bieg spraw ku rozwiązaniu. Z wyglądu wydaje się on być rozmyślnym wpychaniem przez Nacz. Wodza kija między szprychy w wysiłki polskiego Premiera, zwrócone ku osiągnięciu porozumienia zarówno z Rosją, jak też z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. P. Mikołajczyk zamierza obecnie utworzyć gabinet wojenny wedle wzorów brytyjskich, w którym Głównodowodzący występowałby w charakterze doradcy, po zniesieniu stanowiska Nacz. Wodza”.

[Komentarz Reutera był dalszym ogniwem w linii postulatów p. Litauera. Został on powtórzony tegoż dnia w „Biuletynie wewnętrznym” PATa].

5. IX. 44, g. 16-17. C.d. posiedzenia Rady Min., na którym prem. Mikołajczyk poinformował ministrów o wysłaniu przez prem. Churchilla depez do prez. Roosevelta i marsz. Stalina o niezwłocznej pomocy dla Warszawy. W czasie opisu przebiegu swej rozmowy z Edenem Premier nadmienił, że ten „bardzo sta-

nowczo zastrzegł się przeciwko rozkazowi Nacz. Wodza, oskarżającemu Rząd J.K.M. o nieudzielanie pomocy Warszawie i powołującemu się na wejście Polski do wojny z zachęty brytyjskiej. Takie stanowisko Nacz. Wodza spowoduje oczywiście bardzo ostre potępienie w prasie brytyjskiej". W protokole rozmowy z Edenem nie ma tych słów, a wskazują one na związek z artykułem p. Litauera.

5. IX. 44, g. 22.00. Niemiecka Rozgłośnia Krajowa (nr 1.877) nadała urywki z rozkazu nr 19 bez komentarzy.

5. IX. 44, g. 22.30. Niemiecka Rozgłośnia Europejska w języku angielskim (nr 1.877). Komentator radiowy Edward Roderick Dietze podał kilka zdań z rozkazu nr 19 w tłumaczeniu dosłownym, m.in. o tragicznej zagadce braku pomocy powstańcom i o sumieniu świata obciążonym porzuceniem sojusznika. Słuchowisko zakończył takim zwrotem propagandowym: „Przecież to właśnie rząd brytyjski niegdyś zobowiązał się uroczyście do obrony Polski przed każdym intruzem i wezwał w następstwie tego naród brytyjski do rozpoczęcia wojny”.

5/6. IX. 44, w nocy. TASS nadała w języku angielskim komunikat będący odpowiedzią na memorandum rządu polskiego z 29. VIII. Komunikat poprzedzało oświadczenie jednego z komunistów amerykańskich, potępiające zasady proponowanej ugody, a treść właściwa potwierdzała odbiór odnośnej noty przez rząd sowiecki i PKWN oraz zrzeczenie się przez Kreml rozpatrywania jej treści „ponieważ problemy w niej poruszone mogą być rozwiązane tylko przez samych Polaków”. Równocześnie odpowiedź sowiecka przesądzała dalszy los porozumienia zarzucając rządowi polskiemu, że pozostawił „antydemokratyczną konstytucję z 1935 roku jako podstawę proponowanej reorganizacji”.

[Komunikat TASSa powtórzyła cała prasa brytyjska 7. IX bez oświadczenia dodatkowego. — „Niemiecka Rozgłośnia Krajowa” podała treść komunikatu 6. IX. 44, o g. 22.00, kończąc ją uwagą: „Żaden kot nie mógłby igrzać bardziej bezceremonialnie z myszą, aniżeli bolszewicy z rządem polskim, posiadającym gwarancje Londynu”].

6. IX. 44, *świt*. „The Times” zamieścił (nr 49.953) artykuł własnego korespondenta dyplomatycznego pt. „Gasnące nadzieje w Warszawie”, który podał naprzód wiadomość o groźącym upadku Warszawy i dymisji rządu Mikołajczyka w razie dalszego niedostarczania broni, a następnie omówił wrażenia z wydania rozkazu nr 19 wśród Anglików i Polaków w takich słowach: „Czytelnicy brytyjscy czują się specjalnie dotknięci ustępem, w którym gen. Sosnkowski zdaje się imputować, że R.A.F. rachował swe koszta pomocy Warszawie”. Po powtórzeniu wersji o

10.000 samolotów i po stwierdzeniu, że straty przewyższyły 15 procent maszyn walczących autor zakończył artykuł takimi przewidywaniami: „Niektórzy Polacy, nawet spośród rządu ubolewają na tym oświadczeniem o tyle silniej, że — jako mówią — było ono wydane bez przedstawienia gabinetowi, chociaż stanowiło oczywiste wmieszanie się do polityki. Twierdzą oni, że jeśli nie nastąpi potępienie tego czynu, wówczas działalność polityczna p. Mikołajczyka będzie prawie niemożliwa. Chociaż w sprawie konieczności pomocy Warszawie nie ma różnic w łonie rządu polskiego, oświadczenie zdaje się że wysunęło potrzebę załatwienia wielu zaległych spraw. Tak więc wczoraj wieczorem mówiono w kołach polskich, że gen. Sosnkowski zapewne zrezygnuje”.

6. IX. 44, *świt*. „Yorkshire Post” (gazeta zbliżona do brytyjskiego Foreign Office) w artykule pt. „Rosja i Polacy” pisała: „Jest rzeczą zrozumiałą, że p. Mikołajczyk i jego koledzy [...] musieli rozważyć sprawę rezygnacji zbiorowej jako gest protestu przed światem. Nasz korespondent dyplomatyczny stwierdza, że taki też był ich zamiar naprawdę wczoraj albo przedwczoraj”. Kierownictwo polityczne gazety podkreśliło w następujących słowach konieczność rozwiązania kryzysu: „Polska nie może czuć się bezpieczna bez przyjaźni z Rosją, ale również jest prawdą, że podstawowy nakaz zabezpieczenia granic strategicznych Rosji wymaga takiej Polski, w której w latach powojennych nie mogłyby tlić uczucia krzywdy w stosunku do polityki sowieckiej”.

6. IX. 44, *świt*. „New York Times” zamieścił artykuł E. C. Daniela pt. „Rozkaz Sosnkowskiego ściąga gniew Brytyjczyków”. Autor opierając się na komunikacie Reutera z 5. IX zastanawiał się nad następstwami rozkazu nr 19 w słowach następujących: „W końcu Brytyjczycy [...] mieli dość polskiej niesforności. Niewątpliwie, gdyby to tylko od nich zależało, gen. Sosnkowski znalazłby się jutro bez zajęcia. [...] Posłanie jego na emeryturę pomogłoby do oczyszczenia drogi zbliżenia polsko-rosyjskiego, a informacje wieczorne z kół rządu polskiego przepowiadały, że w razie braku zaufania ze strony Brytyjczyków, będzie on zmuszony nareszcie do rezygnacji. [...] Jeden z dzienników polskich zauważył, że Niemcy, lecz nie Rosjanie, uznali prawa kombatanckie polskich sił zbrojnych”.

[W dalszym ustępie dziennik amerykański dał znany obraz wydarzeń w dniu 5. IX, związanych z rozkazem nr 19].

6. IX. 44, *świt*. W „News Chronicle” (nr 30.675) pojawił się artykuł Vernona Bartletta pt. „Kryzys jest następstwem rozkazu Generała o Warszawie”. Autor stwierdza w nim głęboki żal Polaków z powodu nikłej pomocy Warszawie, a następnie wyraża przypuszczenie, że rozkaz gen. Sosnkowskiego wywołała nie tyle

„obrażona duma narodowa, ile rozmyślny zamiar rozbicia rokowań p. Mikołajczyka z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. [...] I żaden inny czyn nie mógłby lepiej wykazać pilności zniesienia stanowiska Naczelnego Wodza, jak to właśnie proponuje rząd polski w memorandum, które zostało przekazane do Moskwy w ostatni czwartek”. (31. VIII).

6. IX. 44, g. 14.00. „Niemiecka Rozgłośnia Krajowa” (nr 1.878) podała: „Brytyjski minister spraw zagr. wyraził niezadowolenie przywódcy Polaków w Londynie z powodu oświadczenia tzw. Polskiego Wodza Naczelnego. Gen. Sosnkowski skrytykował bowiem bierne zachowanie się Brytyjczyków wobec rebeliantów w Warszawie. Mikołajczyk zapewnił uroczyście, że nie wiedział nic o deklaracji gen. Sosnkowskiego. W Londynie mówią o groźbie wymuszenia rezygnacji Generała”.

6. IX. 44, g. 18.05. „Niemieckie Biuro Telegraficzne” (DNB) nadało następujący przebieg konferencji prasowej w niemieckim ministerstwie spraw zagr. (nr 1.878): „... Między dalszymi informacjami, których udzielił von Stumm korespondentom prasowym specjalne zainteresowanie wzbudził komunikat Reutera, który doniósł że Eden zawezwał szefa polskiego rządu emigracyjnego w Londynie, aby mu udzielić reprimendy z powodu 'przejęzyczenia się' gen. Sosnkowskiego. [...] Jako ciekawostkę informacyjną von Stumm podkreślił argument brytyjski, jakoby straty szacowane nad Warszawą — wbrew twierdzeniu Sosnkowskiego — wyniosły nie 27, lecz prawdopodobnie 37 samolotów⁸”.

6 IX. 44, *czas nieokreśl.* Gen. Sosnkowski nadał do gen. Bora depeszę z wyciągami artykułu S. Litauera i komentarza Reutera. W obu tych ocenach dostrzegł wspólny cel: usunięcie Nacz. Wodza jako głównej przeszkody do wejścia na tory „polityki kapitulacyjnej”, zamierzonej przez p. Mikołajczyka. Rozgłos nadany rozkazowi nr 19 wywołał — wedle Generała — trzy dobre skutki: „a) zmuszenie rządu do aktywniejszego stanowiska; b) silniejsze poruszenie opinii publicznej aliantów; c) spowodowanie aliantów do zrobienia czegoś dla Warszawy, chociażby dlatego, aby podtrzymać ludzi dla siebie wygodniejszych”.

7. IX. 44, *świt.* „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” (nr 212) podały w przeglądzie prasy pt. „Echa rozkazu dziennego do A.K.” streszczenie odpowiednich artykułów zamieszczonych 6. IX w „News Chronicle”, „Times” i „Yorkshire Post”.

8. Wedle powojennych obliczeń udział aliantów w akcji pomocy Warszawie w ciągu sierpnia wynosił: startowało 159 samolotów, z czego zostało strąconych 29, tj. 18,2 %; wśród ostatnich było 46 % załóg polskich. Do podobnych cyfr dochodzi p. Józef Garliński w książce: „Politycy i żołnierze”, Londyn 1968, str. 219 i 251.

7. IX. 44, *świt*. „Yorkshire Post” W atmosferze wydarzeń w dniu 5. IX. (konferencja w Foreign Office i posiedzenie rządu polskiego) korespondent dyplomatyczny gazety pisał: „Pogłoska jakoby rozkaz gen. Sosnkowskiego spowodował groźbę rezygnacji p. Mikołajczyka jest kategorycznie zaprzeczana. [...] Dowiadujemy się, że bardzo wysokie sfery nalegały na p. Mikołajczyka, aby pozostał na stanowisku. W kołach polskich podkreślają w odniesieniu do rezygnacji ministerialnych, że cały gabinet czując swą bezsilność wobec wypadków w Warszawie rozważał wspólne ustąpienie na znak protestu”. [Nacisk moralny sfer brytyjskich na utrzymanie rządu wyraził się tutaj całkiem jasno].

7. IX. 44, *świt*. „Daily Worker” określił w następujących słowach korespondenta politycznego swoje insynuacje: „Rozkaz dzienny gen. Sosnkowskiego, w którym zaatakował dowództwo anglo-amerykańskie za domniemane opuszczenie Polaków, dostarczył znakomitego materiału propagandy niemieckim. Czołowy komentator Goebbelsa, p. Dietze, już po kilku godzinach podchwycił okazję, nastreczoną mu przez rozkaz nr 19 i powtórzył jego ponure oskarżenia. Radio przytoczyło opis 'dezercji' Warszawy jako 'strasliwy grzech bez precedensu w historii' dodając uwagę: 'Bezstronny świat nie może pominąć dowodów dostarczonych przez Sosnkowskiego'”.

[Odnośny komentarz F. R. Dietzego podano w kalendarium pod datą 5. IX. 44, g. 22.30. Określenia o naśladowaniu Goebbelsa przez osoby nieprzyjazne komunizmowi należały do stałego repertuaru „Daily Workera”. Czy wiedział o tym min. Popiel podsuwając gen. Sosnkowskiemu podobne wzory?]

7. IX. 44, g. 17.50-18.50. Na posiedzeniu polskiej Rady Min. prem. Mikołajczyk postawił na porządku obrad swój wniosek o zwrócenie się do Prezydenta R.P. „o niezwłoczne odwołanie Nacz. Wodza Pol. Sił Zbr. gen. Kazimierza Sosnkowskiego”. Dyskusję poprzedził informacją otrzymaną w południe od Edena o przygotowaniu z Włoch w ciągu nocy 8/9. IX znacznej pomocy materiałowej dla walczącej Warszawy. Premier uzasadnił swój wniosek następująco: podanie do publicznej wiadomości przez gen. Sosnkowskiego tajnych depech z Kraju; dopuszczenie do ujawnienia tajnej instrukcji dla A.K. przez organy gen. Andersa; dalej, wydanie rozkazu nr 19 i namawianie wyższych dowódców do zgłaszania rezygnacji z zajmowanych stanowisk. Na tej podstawie prem. Mikołajczyk zgłosił do protokołu zapis tej treści: „W związku z ostatnim rozkazem Nacz. Wodza, gen. Sosnkowskiego, który został wydany bez uzgodnienia z Rządem R.P., pragnę oświadczyć co następuje: Muszę się kategorycznie odciąć od szerzonego poglądu politycznego, zawartego w tym rozkazie

do Polskich Sił Zbrojnych, że 'Polska wysłuchawszy zachęty rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancje stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką'". Głosowanie nad tym wnioskiem odłożono do wyjaśnienia ogólnej sytuacji rządu i określenia stanowiska przez władze kraju.

Jak z tego widać prem. Mikołajczyk dopatrywał się w słowach Nacz. Wodza: a) zaprzeczenia samodzielnej decyzji narodu polskiego do walki z najazdem niemieckim i b) przypisywania samoobrony Polski przemożnym wpływom rządu brytyjskiego. Uznał więc, że pogląd gen. Sosnkowskiego „obraża uczucia narodu polskiego” i „może obniżyć przekonanie o jego gotowości do walki o swoją wolność i niepodległość w każdej sytuacji”.

7. IX. 44, *wiecz.* „Soviet Monitor”, biuletyn wieczorny (nr 5.122) podał pierwszą, krótką wiadomość o rozkazie nr 19 ujmując jego cel jako „próbę rozbicia jedności wielkich mocarstw”.

8. IX. 44, *świt.* „News Chronicle” roztoczyła w następujących słowach szereg pogroźek pod adresem naczelnych władz polskich w razie odmowy usunięcia Nacz. Wodza: „Zatrzymanie gen. Sosnkowskiego będzie zagrożeniem nie tylko dla istnienia samego rządu polskiego, ale również dla przyszłych stosunków Polaków z ich głównymi sprzymierzeńcami i dla stanowiska Polski w nowej Europie. Jeśli prez. Raczkiewicz nie opanuje swego otoczenia reakcyjnego i swoich sympatii politycznych i jeśli nie uwolni się od tego intryganckiego żołnierza, może bardzo szybko stwierdzić, że jego własny urząd nie jest już rzeczywistością polityczną”.

8. IX. 44, *g.* 22.00. „Niemiecka Rozgłośnia Krajowa” (nr 1.880) powtórzyła informacje ze Sztokholmu w sprawie treści rozkazu nr 19 i żądania sfer londyńskich usunięcia gen. Sosnkowskiego.

8-9. IX. 44. W ciągu tych dni toczyła się na falach radiowych do Kraju (depesze 1. dz. 8066, 8067 i 8110) polemika pomiędzy prem. Mikołajczykiem a gen. Sosnkowskim na temat możliwości kapitulacji Niemiec w najbliższym czasie. Gen. Sosnkowski był przeciwny budzeniu sztucznych nadziei wśród powstańców warszawskich na bliskie zakończenie walk.

9. IX. 44, *świt.* „Dziennik Polski” (nr 214) zamieścił w przeglądzie prasy streszczenia artykułów „The Spectator” i „Tribune”, które wyrażały opinie przychylne dla porozumienia polsko-sowieckiego w myśl memorandum polskiego z 29. VIII, a także broniły celowości powstania w Warszawie i krytycznie oceniały politykę P.K.W.N.

9. IX. 44, *świt.* Tygodnik „Time and Tide” (nr 37) ogłosił dłuższy artykuł pt. „Ciemności nad Warszawą” pióra zapewne

wicehrabiny Rhonda. Wedle opinii autorki „oświadczenie gen. Sosnkowskiego nie było w stylu polityka, a tym mniej dyplomaty. Była to wypowiedź patrioty i żołnierza, dowódcy do swych żołnierzy, którym nie był w stanie pomóc w rocznicę tego dnia, kiedy [...] podjęli samotną walkę z Niemcami [1. IX. 1939]. Niektóre części tego oświadczenia mogły być wyrażone nietaktownie, ale w swej istocie był to krzyk z głębi serca, który musiał znaleźć odgłos w sercach Armii Krajowej [...] i ich towarzyszy broni we Francji i we Włoszech”. W dalszym ustępie publicystka stwierdzała, że „przyczyną kryzysu rzeczywistego, grożącego rządowi polskiemu w tym tygodniu był ogólny jego niepokój o losy Warszawy”.

9. IX. 44. Prem. Mikołajczyk złożył Prezydentowi R.P. sprawozdanie z posiedzenia Rady Min. w dniu 7. IX i wniosek o zwolnienie gen. Sosnkowskiego z urzędu (wiadomość z drugiej ręki).

10. IX. 44, *świt*. „Prawda” (moskiewska) omówiła w nrze 218 po raz pierwszy rozkaz nr 19 wyzyskując nieprzychylnie Polsce wypowiedzi nowojorskiego komentatora radiowego E. Sternberga i artykuły w „P.M.”. W ślad za tymi głosami gazeta nazwała gen. Sosnkowskiego „prohitlerowcem” i „niepohamowanym szaleńcem”. Następnie, zestawiała działalność gen. Sosnkowskiego, amb. Bullita i polityka argentyńskiego Peron’a. Przy podsumowaniu ich prac określiła ich szablonowo jako „mącieli pokoju w świecie” i agitatorów „siejących niezgodę wśród państw sprzymierzonych”.

10. IX. 44, *wieczór*. „Soviet Monitor”, biuletyn wieczorny (nr 5.132) streścił szczegółowo — na podstawie TASSa — napaści umieszczone w porannej „Prawdzie” na gen. Sosnkowskiego. Wedle tych oskarżeń Generał miał od początku na celu „sabotowanie rokowań między Mikołajczykiem a Komitetem Wyzwolenia Narodowego”, a obecnie „doprowadzony do wściekłości załamaniem się swych prowokacyjnych planów, daje upust swej złości na aliantów spychając na nich winę za niepowodzenia w rewolcie warszawskiej”.

[Próby współpracy polsko-sowieckiej do końca sierpnia 1944 są omówione chronologicznie w rozdz. 2, dalsze zaś — w postaci starań o pomoc dla powstania — w przypisie pod datą 1. X. 1944].

10. IX. 44, g. 20.15. Rozgłośnia Związku Patriotów Polskich w Moskwie powtórzyła poprzednio wyrażoną opinię sowiecką, że wbrew próbie gen. Sosnkowskiego obarczenia Armii Czerwonej i rządu sowieckiego inicjatywą w sprawie działań zbrojnych w Warszawie, on sam „ponosi za to odpowiedzialność, ponieważ

powstanie wybuchło bez porozumienia z rządami Związku Sowieckiego i W. Brytanii”. Rozgłoszła dalej twierdziła, że „ostatnie wypadki pokazały, że gen. Sosnkowski jest główną zawadą we współpracy Polaków z Aliantami, korzystając z poparcia innych polityków polskich w Londynie”.

11. IX. 44, *świt*. W „News Chronicle” Stefan Litauer przedstawił apel grupy Piłsudczyków do Prezydenta R.P., aby nie dymisjonował Naczelnego Wodza, jako groźbę rebelii antyrządowej i siania nieposłuszeństwa w wojsku w imię „irredenty”. Opinię tę powtórzy tenże dziennik liberalny w dniu następnym, dopatrując się w odezwie nawet tonu antybrytyjskiego.

11. IX. 44, g. 12.30. „Niemiecka Rozgłoszka Krajowa” (nr 1.883) powtórzyła napaści „Izwestiji” (z 11. IX) na gen. Sosnkowskiego związane z rozkazem nr 19.

12. IX. 44, *świt*. „Daily Worker” w artykule pt. „Polska” odsłonił sowiecką grę w stosunku do stronnictw politycznych w Kraju. Jako punkt wyjścia posłużyło mu twierdzenie, że „wszystkie partie popierające tzw. rząd polski są rozbite na emigracji w Londynie, a tym bardziej w Polsce, gdzie najsilniejsze ich okręgi na terenach uwolnionych wykazały, że popierają Komitet Wyzwolenia Narodowego”. Stąd też „emigranci polscy najlepiej przysłużą się sprawie swego kraju i sprzymierzeńcom, jeśli zerwą z intrygantami i połączą się z Komitetem Wyzwolenia Narodowego w odbudowie swego spustoszonego Kraju”.

12. IX. 44, *w południe*. Gen. Sosnkowski w depeszy do gen. Bora (1. dz. 8228) wyjaśnił, że jedynym celem rozkazu nr 19 było „ruszenie z martwego punktu sprawy pomocy dla Warszawy; myślę, że osiągnął on zamierzony skutek”.

13. IX. 44, *świt*. „Dziennik Polski” (nr 217) zamieścił podziękowanie rządu polskiego dla rządu brytyjskiego za pomoc udzieloną Warszawie. Wedle zapiski sztabu Nacz. Wodza „projekt tekstu tego pisma przyniósł rządowi polskiemu amb. O’Malley”, a „polityczna wymowa oświadczenia polegała na zdezawuowaniu rozkazu nr 19”.

13. IX. 44, *świt*. Prasa brytyjska zamieściła podziękowanie rządu polskiego za pomoc Warszawie w obszernych wyciągach. Najdokładniejszą podała „Yorkshire Post” w sposób następujący: „Ponad 100 ton uzbrojenia zostało dostarczonych z pomocą spadochronów i otrzymanych przez polskie oddziały. Na sprzęt ten złożyło się: 250 karabinów ppanc., aby umożliwić obrońcom zwalczanie niemieckiej broni pancerniej, 1.000 pistoletów maszynowych, 3 mil. naboji, 19 tys. granatów ppanc. i zwykłych. [...] W akcji niesienia pomocy żołnierzom Armii Krajowej zginęło

około 250 lotników, w czym 98 Polaków⁹). Niektóre gazety zaznaczyły przy tym, że oświadczenie „zostało złożone w następstwie rozkazu dziennego polskiego Nacz. Wodza, gen. Sosnkowskiego, który narzekał, że tak mało zrobiono, aby dostarczyć broni Warszawie”.

13. IX. 44, g. 19.45. Radio Lublin. Wezwanie P.K.W.N. do całej ludności Warszawy: „Zbliża się chwila wyzwolenia bohaterkiej Warszawy, kończą się wasze męki i cierpienia. Niemcy zapłacą drogę za przelaną krew. Dziś 1 dywizja im. T. Kościuszki wdarła się na Pragę i walczy u boku Armii Czerwonej. Toczy się nad Wisłą decydujący bój. Cały naród polski jest z nami. Wyćwiczcie wszystkie siły. Wytrwajcie!”

13. IX. 44, wiecz. Min. Romer „zgłosił się do Prezydenta R.P. i oświadczył, że tegoż dnia popołudniu min. Eden zażądał od prem. Mikołajczyka i od min. Romera dymisji Nacz. Wodza”. Sprawozdanie z rozmowy polskiego Premiera i brytyjskiego Ministra stwierdza, że drugi z nich mówił: „Ustąpienie gen. Sosnkowskiego jest koniecznością niecierpiącą zwłoki ze względu na niedopuszczalne wystąpienie publiczne, które dotknęło rząd brytyjski, ale przede wszystkim dlatego, że jest on przeszkodą nie do omińnięcia na drodze do porozumienia polsko-sowieckiego”. Dobrze widoki na takie zbliżenie stwarzają „obietujące symptomy ewolucji nastrojów sowieckich”, które powinny skłonić stronę polską do wznowienia rozmów z amb. Lebediewem i do dalszych rokowań z Sowietami na podstawie memorandum z dn. 29. VIII. 1944. Dalsza rozmowa wyjaśniła, że „ambasador brytyjski w Moskwie podejmie interwencję u rządu sowieckiego popierającą stanowisko rządu polskiego” dopiero po ustąpieniu gen. Sosnkowskiego.

14. IX. 44. Gen. Sosnkowski dał w liście do gen. Andersa osobistą, najpełniejszą interpretację rozkazu nr 19 (por. „Materiały historyczne”, str. 34-45). W szczególności podkreślił, że przytoczone na początku takie fakty, jak zachęta W. Brytanii do działań, otrzymanie jej gwarancji i samotne rozpoczęcie wojny stanowią tylko oderwane elementy, którym nie powinno się nadawać związku przyczynowego. Dalej zwrócił uwagę, że „poważna część prasy brytyjskiej przyjęła rozkaz spokojnie”. („Times”, „Daily Herald”, „Time and Tide”). Prowokacyjnego hałasu narobiły dopiero „artykuły p. Stefana Liteuera”, które skłoniły rząd polski, „aby przeprowadził definitywną rozgrywkę ze mną i usunął w ten

9. Obliczenia późniejsze wykazują następujące straty aliantów w niesieniu pomocy Warszawie od 4. VIII. do 13. IX. 1944: 35 samolotów straconych z załogą 245 lotników. Stosunek zrzutów dokonanych do otrzymanych wynosił jak — 84 : 57.

sposób główną przeszkodę, stojącą na drodze jego kapitulacyjnej polityki. Foreign Office uległo namowom polskim”, tym bardziej, że „wie dobrze, że usunięcie mnie stanowi warunek główny Stalina na drodze do tzw. 'porozumienia' polsko-sowieckiego”. W końcu zwrócił uwagę na pogłoski propagandowe, jakoby „konferencja w Quebecu miała doprowadzić do jakowegoś, bliżej nieokreślonego korzystnego dla Polski oświadczenia za cenę usunięcia mnie ze stanowiska Nacz. Wodza”.

15. IX. 44. „Prem. Mikołajczyk — wedle notatki sztabu Nacz. Wodza — ponownie zażądał od Prezydenta dymisji Nacz. Wodza motywując naciskami angielskimi. Prezydent zażądał sprecyzowania na piśmie o jakie naciski chodzi”. Próba wniesienia na bieżące posiedzenie Rady Min. wniosku potępiającego wystąpienie Naczelnego Wodza nie udało się z powodu żądania przez P.P.S. uprzedniej rekonstrukcji rządu.

Tygodnik skrajnie lewicowy „Tribune” stakował w tym dniu P.P.S. za taktyczne podtrzymanie gen. Sosnkowskiego i groził, że w razie ustąpienia rządu Mikołajczyka W. Brytania nie przeciwstawi się objęciu władzy przez Komitet Wyzwolenia Narodowego. Natomiast „Daily Herald” odniósł się krytycznie do myśli porozumienia z Bierutem.

16. IX. 44, *świt*. „The Times” zamieścił rozmowę swego korespondenta z dr. Józefem Retingerem, niedawnym doradcą rządu polskiego w sprawach sowieckich. Określił on, że jest „nadal poplecznikiem nowego porozumienia polsko-sowieckiego, zainicjowanego tak śmiało przez p. Mikołajczyka”. W dalszych wywodach potępił z jednej strony uczuciowe nastawienie dużej części Polaków do rokowań o wznowienie stosunków z rządem sowieckim, szczególnie „że niektórzy polscy dowódcy wojskowi za granicą [...] dopuścili do tak nieoględnego sposobu wyrażania się, że narazili się nawet na mylne zrozumienie przez aliantów”. Z drugiej jednak strony zaznaczył, że „sowiecki brak zaufania do polskiej Armii Krajowej i cywilnej administracji podziemnej przejawiał się w mianowaniu Komitetu Wyzwolenia i w sposobie traktowania członków Armii Krajowej...” Ponadto poddał krytyce propagandę sowiecką, która nie może zrozumieć, że „całe opowiadanie o feudalizmie, duchu reakcyjnym czy też zagadnieniach konstytucyjnych w Polsce jest anachronizmem albo dywersją”.

17. IX. 44, *świt*. „Sunday Times” przewidywał możliwość wyrażenia zgody przez Stalina na premierostwo Mikołajczyka pod warunkiem uznania przez niego faktów dokonanych przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. — „Observer” doniósł również o możliwości przyjęcia przez Stalina części projektu porozumienia Mikołajczyka, ale z równoczesnym utrzymaniem już prze-

prowadzonej reorganizacji polskich władz naczelnych (tj. głowy państwa — Bieruta, nacz. wodza — gen. Żymierskiego oraz umów co do granicy wschodniej i wymiany obywateli z ZSSR). 18. IX. 44, g. 17.00-18.30. Amb. O'Malley w czasie wizyty u Prezydenta R.P. doradzał usunięcie Nacz. Wodza ze względu na: naprężoną sytuację międzynarodową, przewidywaną pozytywną deklarację dla Polski na konferencji w Quebec oraz wyrażoną opinię rządu polskiego. Prezydent odpowiedział (wedle notatki jego kancelarii), „że rozkaz Nacz. Wodza był krzykiem duszy każdego Polaka” i chociaż „ma zastrzeżenia co do pewnych zdań rozkazu, ale solidaryzuje się z nim tak, jak każdy żołnierz, jak Kraj etc.”. Ponadto Prezydent zapytał o stan dotychczasowych obietnic brytyjskich i ich rezultaty oraz stwierdził, że rząd obecny „nie reprezentuje prawdziwej jedności narodowej i jego opinia będzie wiążąca, gdy oprze się na takiej podstawie, jaka jest w Kraju”.

19. IX. 44, g. 11.10-12.15. Prem. Mikołajczyk ponownie żądał w czasie wizyty u Prezydenta R.P. dymisji Nacz. Wodza, uzasadniając swój wniosek postawą Anglików. „Prezydent chciałby wprzód widzieć rezultaty tej zapowiadanej pomocy angielskiej”, — (według notatki sztabu Nacz. Wodza).

19. IX. 44, *wiecz.* Rozmowa prem. Mikołajczyka z min. Edenem w obecności min. Romera i amb. O'Malleya. Prem. Mikołajczyk wyraził wdzięczność i podziękowanie za pomyślne doprowadzenie do skutku przez władze brytyjskie ekspedycji amerykańskiej w dniu 18. IX nad Warszawą. Min. Eden obiecał dalsze starania o pomoc Krajowi i następnie podkreślił „pomyślny zwrot w nastrojach sowieckich względem Polski”, o którym już Churchill i Roosevelt rozprawiali w czasie konferencji w Quebecu. [Mowa o zrzutach sowieckich 14-18. IX. 1944, i równoczesnym lądowaniu oddziałów polsko-sowieckich na Czerniakowie]. W związku z tym obaj przywódcy anglo-amerykańscy przygotowali depeszę do Stalina w sprawie uzgodnienia poglądów głównych mocarstw na utworzenie jednego rządu polskiego. Losy takiego apelu nie są znane. Protokół z rozmowy podaje dalej: „Według przewidywań czynionych w Quebecu¹⁰ prem. Mikołajczyk miałby ponownie udać się do Moskwy — w towarzystwie kilku członków rządu dla ostatecznego uzgodnienia swych dalszych planów z rządem sowieckim, po czym podążyłby bezpośrednio do uwolnionej War-

10. Treść postanowień politycznych na konferencji w Quebecu jest znana tylko z urywków. Wskazują one na zamiar Edena doprowadzenia do bezpośrednich rozmów Mikołajczyka ze Stalinem w Moskwie w celu uzyskania dalszych ustępstw polskich (przekraczających zasady memorandum z 29. VIII.) i zmniejszenia zobowiązań brytyjskich.

szawy celem utworzenia tam nowego Rządu". Prem. Mikołajczyk uznał, że w ostatnim czasie nastąpiło polepszenie warunków do rozmów, jako to domniemana gotowość rządu sowieckiego do rozstania się z Polskim Komitetem Wyzwolenia oraz większa ustępliwość ze strony polskiej. Jednak stwierdził, że „konieczne byłoby [...] poprzedzić jego wyjazd do Warszawy wstępnym porozumieniem polsko-sowieckim na tematy poruszone w memorandum rządu polskiego” z 29. VIII. Odpowiednie rozmowy należały — wedle jego opinii i postulatów Kraju — rozpocząć w Londynie z przedstawicielem sowieckim, np. amb. Lebediewem. Prem. Mikołajczyk prosił przy tym o poparcie anglo-amerykańskie w sprawie nawiązania takich rozmów w Londynie i Warszawie, przy równoczesnym utrzymaniu uznawania i poparcia rządu polskiego. Mimo tych argumentów min. Eden uważał za bardziej celowe „bezpośrednie dogadanie się Mikołajczyka ze Stalinem” ze względu na chęć niedrażnienia Rosjan obcym pośrednictwem, a „za kardynalny warunek powodzenia rozmów” określił — jak poprzednio — ustąpienie gen. Sosnkowskiego.

20. IX. 44, g. 15.20-16.15. Min. Eden interweniował u Prezydenta R.P. w sprawie udzielenia dymisji gen. Sosnkowskiemu, ponieważ — jak określił — „ten jest prawdziwą przeszkodą w uregulowaniu stosunków polsko-sowieckich, a ponadto rząd brytyjski nie może z nim zupełnie współpracować”. Wedle zapiski sztabu Nacz. Wodza — „Eden powtórzył argument O'Malley'a, że właśnie w Quebecu postanowiono bronić praw Polski wobec Rosji”.

21. IX. 44, bez określenia czasu. Prem. Mikołajczyk podał Prezydentowi R.P. termin dla udzielenia dymisji Nacz. Wodza do godz. 6.00 wieczorem. Prezydent stwierdził, że musi nastąpić „najpierw rekonstrukcja rządu, a potem dymisja Nacz. Wodza”.

21. IX. 44. Prezydent R.P. zapytał listownie Nacz. Wodza czy nie ma zamiaru podać się do dymisji. Gen Sosnkowski odpowiedział, że nie zamyśla wnosić prośby o zwolnienie.

21. IX. 44. Nacz. Wódz proponował — wedle zapiski swego sztabu — w rozmowie z gen. Kopańskim i gen. Taborem, „aby sprowadzić z Polski gen. Bora, jego szefa sztabu i szefa propagandy, z myślą, że gen. Bór mógłby ewentualnie objąć kierownictwo Sił Zbrojnych”.

22. IX. 44, południe. Rada Min. uchwaliła „zwrócić się do Pana Prezydenta R.P. o niezwłoczne zwolnienie gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego ze stanowiska Nacz. Wodza Polskich Sił Zbrojnych”. „Uchwałę tę zakomunikował Premier na piśmie Prezydentowi o godz. 13.00”.

22. IX. 44, *po poł.* Po naradzie ze stronnictwami politycznymi Prezydent stwierdził, że ministrowie głosowali jednomyślnie za wnioskiem o dymisję, po przyjęciu do wiadomości obietnicy Premiera przeprowadzenia bez zwłoki rekonstrukcji rządu.

25. IX. 44, *rano.* PAT ogłosił komunikat umieszczony w „Dzienniku Polskim” (nr 228) dnia następnego pt. „W sprawie uchwały Rady Ministrów”. Podawał on że „motywy, którymi kierowała się Rada Min. są natury ściśle wewnętrznej i nie mają nic wspólnego z motywami, które ukazały się w prasie obcej”. Następnie informował, że „rząd R.P. nie solidaryzuje się w szczególności ze wstępem do rozkazu Nacz. Wodza nr 19, głoszącym, że to zachęta i gwarancja brytyjska skłoniły Polaków w 1939 r. do przeciwstawienia się Niemcom”. Dalsze wyjaśnienie tych zwrotów było odbiciem uzasadnienia wniosku Premiera na posiedzeniu Rady Min. 7. IX. 1944.

27. IX. 44. Gen. Sosnkowski wydał rozkaz nr 21, który był odpowiedzią na powyższy komunikat PATa. Odrzucił on podaną interpretację części wstępnej rozkazu w słowach następujących: „Nikt z was żołnierzy nie mógł w nim wyczytać twierdzenia, że bez poparcia brytyjskiego Polska nie przyjęłaby walki przeciw niemieckiemu najeźdźcy. Każdy z was żołnierzy wie dobrze, że przeciw wszelkiemu zamachowi na niepodległość i całość Ojczyzny naród nasz był zawsze gotów wystąpić z bronią w rękę”. Rozkaz zwracał również uwagę na złożone dowody braterstwa krwi i broni wojska polskiego na obczyźnie z brytyjskimi siłami zbrojnymi i na trwałość zobowiązań sojuszniczych. Prezes Rady Ministrów zabronił ogłoszenia tego rozkazu w organach rządowych ze względu na jego charakter polemiczny.

27. IX. 44. Nacz. Wódz przesłał również na ręce gen. Bora wyjaśnienie co do stawianych mu na Radzie Ministrów 7. IX zarzutów obrazy uczuć narodu polskiego jak wyżej i domniemanej dezorganizacji wojska.

28. IX. 44. Krajowa Rada Ministrów podała drogą radiową swoją uchwałę (otrzymaną w Londynie 29. IX) w sprawie zamierzonego zwolnienia Nacz. Wodza. Stwierdziła ona, że nie była zapytywana o opinię przed uchwałą londyńskiej Rady Min. z 22. IX oraz że treść jej „napawa ją obawą czy nie została powzięta pod naciskiem czynników obcych”, przy czym „dopuszczenie do tego, aby prasa zagraniczna rozpatrywała nasze sprawy organizacji władz wraz z personalnymi jest kompromitujące dla Polski”. Równocześnie Rada Jedności Narodowej jako instytucja opiniująca i doradcza w sprawach całości działań polityczno-społecznych, solidaryzowała się z krytyką wyrażoną przez Krajową Radę Ministrów i „podkreśliła konieczność szybkiego załatwienia przez Pana

Prezydenta [...] sprawy ustąpienia gen. Sosnkowskiego” oraz domagała się „w wypadku konieczności mianowania nowego Nacz. Wodza [...] zasięgnąć uprzednio opinii czynników krajowych”.
28. IX. 44. Prem. Churchill stwierdził w przemówieniu w Izbie Gmin, że W. Brytania i Stany Zjednoczone popierają nadal rząd p. Mikołajczyka, natomiast ZSSR władzę Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Jednak mocarstwa anglosaskie przyznały „że naród rosyjski [...] jest uprawniony do bezpiecznych granic i do posiadania przyjaznego sąsiada na swej flance zachodniej” oraz że zmierzą do utworzenia nowego rządu polskiego ze składu dotychczasowego rządu emigracyjnego i PKWN pod przewodnictwem p. Mikołajczyka ze względu na jego właściwy stosunek do Rosji. Stanowisko zajęte przez prem. Churchilla — jak to wyjaśniła rozmowa w dniu następnym — było zbieżne z opinią p. Mikołajczyka w zakresie dążeń do utrzymania niepodległości Polski i zapewnienia mu stanowiska premiera, ale odbiegało pod względem określania granic państwa na wschodzie i zachodzie oraz potrzeby gwarancji bezpieczeństwa jego przez mocarstwa.

29. IX. 44, g. 15.00. Prem. Mikołajczyk odbył konferencję z prem. Churchilllem, podczas której uzyskał zgodę Premiera brytyjskiego na żyrowanie jeszcze jednej jego depechy do marsz. Stalina w sprawie przyspieszenia natarcia sowieckiego na Warszawę. Wypowiedź p. Mikołajczyka stwierdzająca, że właściwie może liczyć już tylko na pomoc sowiecką, skłoniła p. Churchilla do obietnicy zrzutów uzbrojenia przez lotnictwo brytyjskie z baz włoskich i do interwencji w sprawie następnej wyprawy bombowców amerykańskich.

Głównym przedmiotem konferencji była jednak punktacja warunków ugody polsko-sowieckiej. Prem. Mikołajczyk przyznał, że rozmawiał niedawno z amb. Lebediewem, sugerując mu różne drogi do wstępnego porozumienia (w Londynie, Warszawie lub Moskwie) oraz do późniejszego utworzenia w uwolnionej Warszawie rządu w składzie przedstawicieli 5 głównych partii politycznych. W ten sposób Premier polski wskazywał rządowi ZSSR na dużą skalę możliwości metod ugody, lecz ten milczał uparcie. Rozmowa z Churchilllem stwierdziła różnicę w interpretacji umów polsko-brytyjskich z 1939 r. przez obu szefów rządu, toteż Premier brytyjski obiecał je przestudiować jeszcze raz.

[Stan polityczny sprawy polskiej jest oddany znacznie dokładniej w sprawozdaniu z przebiegu konferencji 29 września niż w protokóle obrad Rady Ministrów w tymże dniu po południu].
30. IX. 44. Prezydent R.P. wręczył osobiście gen. Sosnkowskiemu „pismo zwalniające go ze stanowiska Nacz. Wodza” i zamianował jego następcą gen. dyw. Tadeusza Bora-Komorowskiego

z zastrzeżeniem, że objęcie urzędu odbędzie się po jego przybyciu do miejsca pobytu władz polskich. Tegoż dnia Prezydent wydał rozkaz do wojska o dokonanych zmianach personalnych podkreślając najwyższe wartości służbowe ustępującego wodza. Równocześnie gen. Sosnkowski ogłosił rozkaz pożegnalny do żołnierzy nr 22 z wezwaniem do utrzymania „spoistości moralnej i solidarności ideowej”.

Po ogłoszeniu dymisji gen. Sosnkowskiego opinia publiczna W. Brytanii spodziewała się, że fakt ten będzie powitany w Moskwie jako „dowód szczerego pragnienia Polaków do nawiązania serdecznych stosunków z Kremlen nawet za ciężką cenę” („The Spectator”, 2. X). Oczekiwano zaproszenia prem. Mikołajczyka przez marsz. Stalina i ogłoszenia podstaw porozumienia polsko-sowieckiego. Nawet p. Litauer był bliski takich wróżb.

1. X. 44, g. 19.15. Radiostacja Z.Z.P. Tymczasem 1. X „premier” Osóbka-Morawski, po wizycie u Stalina, w czasie wywiadu prasowego w Moskwie oświadczył, że „Bór jest gorszy od Sosnkowskiego [...], że będzie oddany pod sąd Polski Ludowej za przedwczesne wywołanie powstania, [...] za wytracenie 250.000 Polaków w Warszawie”. — „Nominacja gen. Bora wodzem naczelnym [sic!] oznacza, że rząd polski w Londynie dostał obłądu”. Na tejże konferencji gen. Żymierski powiedział, że „całość ruchu powstańczego spoczywa w rękach gen. Skokowskiego, pod którego rozkazami jest również Armia Ludowa i Korpus Bezpieczeństwa¹¹. Przez cały czas powstania gen. Bór nie znajdował się w Warszawie. Miejsce jego pobytu jest nieznane. [...] Pomiędzy gen. Borem a Armią Czerwoną i marsz. Rokossowskim nie było kontaktu¹²”.

11. W powstaniu warszawskim wzięło udział 36.500 żołnierzy A.K. (wraz z Puszczą Kampinowską i Lasem Kabackim) oraz 500 żołnierzy A.L. i 100 z P.A.L. Wedle opracowań krajowych siły w obwodzie Warszawy wynosiły — A.L. 800 ludzi, Korpusu Bezp. — 700, zaś A.K. — 40.000.

12. Starania o pomoc sowiecką dla powstania w Warszawie — w formie zrzutów uzbrojenia i bombardowania lub też pozwolenia na lądowanie samolotów amerykańskich w bazach sowieckich — szły po kilku szlakach:

Najważniejsze zadanie wykonały na prośbę rządu polskiego władze brytyjskie w postaci not do naczelnych organów sowieckich, a to: 4, 10, 12 i 20 sierpnia oraz 4 i 11 września. Na powyższe pisma marsz. Stalin odpowiadał odmownie w dniach 5, 16 i 22 sierpnia i raz przychylnie 9 września.

Interwencje przedstawicieli Stanów Zjednoczonych u rządu sowieckiego miały na celu umożliwienie pomocy lotnictwa amerykańskiego. Znalazły one wyraz w dokumentach tylko trzy razy: 10, 20 sierpnia i 4 września. Natomiast wojskowe władze amerykańskie informowały wielokrotnie organa polskie o zakazie lądowania samolotów po stronie sowieckiej (10, 18, 22, 24 sierpnia i 4 września).

Ponadto rząd polski prowadził bezpośrednie rozmowy o pomoc w Moskwie w dniach: 3, 7, 8 i 9 sierpnia oraz w formie listownej: 13, 18

3. X. 44, g. 17.30. „Polpress” Lublin. Inne wypowiedzi członków PKWN powtarzały zarzuty o braku porozumienia władz A.K. z dowództwem sowieckim, do których dodały nową fikcję jakoby „elementy reakcji [w powstaniu] wołały oddać w niewolę bojowników polskich niż przeprowić się na wschodni brzeg Wisły” dla połączenia z wojskami sowieckimi.

2. i 3. X. 44, g. 11.00 i 12.00. Berlin, NPD. Wszystkie te kalumnie wyzyskało radio niemieckie w kilkakrotnych słuchowiskach.

3. X. 44, *świt*. „Dziennik Polski” zamieścił w artykule pt. „Patrioci...” następujące oficjalne stwierdzenie: „Gen. Komorowski był i jest w Warszawie pozostając w stałym kontakcie ze swymi przełożonymi w Londynie i na miejscu z oficerami państw alianckich”. Ponadto oświadczenie wyliczało fakty wzywania do powstania przez Związek Patriotów Polskich i dowody nawiązania łączności z dowództwem sowieckim przez A.K.

3. i 4. X. 44. Cała prasa brytyjska (z wyjątkiem „Daily Workera” i wyczekującego „Times’a”) uznała te ataki za wyzwanie rzucone przez nieodpowiedzialny Komitet Lubelski i za dalszy przejaw siania przez niego nienawiści jednych Polaków do drugich, czemu nie może przypatrywać się obojętnie W. Brytania ze względu na jej odpowiedzialność za jedność Narodów Zjednoczonych.

6. X. 44, *świt*. „Tribune” (nr 406) ogłosiła artykuł pt. „Milczenie panuje w Warszawie”, omawiający dalsze poczynania lewicy brytyjskiej po zwolnieniu Naczelnego Wodza. W swoim założeniu politycznym stwierdzał on, że „dymisja gen. Sosnkowskiego nie spełni swego zadania, tj. oczyszczenia atmosfery politycznej w wojsku polskim, jeśli nie nastąpią po niej dalsze kontrole i radykalne reformy w tymże wojsku, oraz jeśli zmiany nie będą czymś więcej niż zmianami personalnymi”. Tymczasem tym dążeniom do naprawy stały na zawadzie fałszywe pchnięcia ze strony reformatorów; oto „nową nawałą obelg zasypał Polaków w Londynie przewodniczący Komitetu Wyzwolenia Narodowego, p. Osóbka-Morawski”.

sierpnia i 29 września. W odpowiedzi otrzymał obietnicę pomocy marsz. Stalina 9 sierpnia i wysoce obraźliwe inwektywy 12 i 16 sierpnia. Wreszcie dowództwo A.K. w Warszawie skierowało do marsz. Rokossowskiego prośby o pomoc względnie informacje o swoich planach działania i sposobach nawiązania łączności technicznej w dniach 8 i 10 sierpnia oraz 11, 17 i 27 września.

Dowództwo frontu marsz. Rokossowskiego wysłało trzykrotnie swoich oficerów łącznikowych na stronę powstańców: jeden z nich zginął w powietrzu, drugiego zdezakwowało dowództwo sowieckie, a trzeci był bardziej wywiadowcą w obozie „sprzymierzeńców” niż oficerem łącznikowym. W sumie żaden z nich współpracy nie nawiązał.

„Tribune” streściła te nowe oskarżenia i podsumowała całość sprawy następująco: „Jedyną 'zbrodnią' powstania był widocznie fakt, że wykazało ono rzeczywistą siłę polskiego podziemia kierowanego z Londynu i ujawniło polityczną niemoc Związku Patriotów. [...] Powstanie warszawskie zdemaskowało jałowość polityczną Komitetu Lubelskiego. Ani Rosjanie, ani też grupy Polaków przez nich protegowane nie mówiły o rewolucji typu sowieckiego w Polsce”. „Tribune” stwierdziła ze zdumieniem, że w Polsce nie ma planu naruszenia podstaw własności ani też pozbawiania praw Kościoła; jest natomiast dążenie do zgnięcia wolności politycznej jednostki i państwa. Stąd też pochodził jej bolesny okrzyk: „Nie! reżym lubelski nie jest zwycięstwem socjalizmu w Polsce. Jest on ściągnięciem Polski do stanu państwa wasalnego. Główną bowiem cechą państwa wasalnego jest to, że jego rząd, jego dowództwo i jego polityka pozostają pod dyktatem zagranicy”.

6. X. 44, *świt*. „Spectator” (nr 6.067) uznał również oświadczenie Komitetu Lubelskiego w sprawie gen. Bora za perfidną prowokację, przy czy w krytyce ograniczył się do strony politycznej działań reżymu. Stwierdził on, że „dymisja gen. Sosnkowskiego była ofiarą i oczywiście ofiarą poniżającą, złożoną na żądanie Rosjan. Musiała ona być wymuszona na Polakach przez ich przyjaciół z Londynu”. W tym położeniu poparcie przez Rosję napaści Komitetu Lubelskiego groziło wedle pisma „stworzeniem krytycznej sytuacji już nie pomiędzy Polską a Rosją, lecz między Rosją a jej sprzymierzeńcami anglosaskimi”.

[Niestety! Szlachetny głos „Spectatora” nie znalazł potwierdzenia w przebiegu wizyty prem. Mikołajczyka w połowie października 1944 r. w Moskwie. Lecz sprawa ta wykracza poza temat obecnego artykułu].

Również szereg innych pism (katolickich, liberalnych i socjalistycznych) w W. Brytanii podkreślił wówczas silny brak koordynacji w zakresie zrozumienia celów powstania warszawskiego i działań rządu polskiego przez mocarstwa anglosaskie i Związek Sowiecki, które to różnice były istotną przyczyną klęski Polaków i wywołały wśród nich głębokie rozczarowanie do Zachodu.

4. *Wpływ niedostatecznej pomocy Zachodu na dalszy kierunek polityki polskiej*

Końcowej fazie rozgrywki od połowy września o wyciągnięcie konsekwencji z wydania rozkazu nr 19 towarzyszyły zjawiska polityczne o najgłębszym zasięgu dla przyszłości. Chodziło o zmia-

nę nastrojów mas w Kraju, które kształtowały wolę narodu w nową postać. Informował o nich gen. Bór w dwu depeszach z 17 września, z których w pierwszej (nr 8.598) pisał: „... brak widoczny pomocy i opieki ze strony naszych zachodnich aliantów przy jednoczesnej co raz bardziej popularnej propagandzie sowieckiej powoduje, że coraz częstsze są oskarżenia o nieudolność i beczynność tutejszych czynników politycznych i wojskowych, jak też naczelnych władz polskich w Londynie”. Na tych przesłankach gen. Bór sformułował wniosek: „żołnierz i społeczeństwo oczekują konkretnych decyzji i postanowień już nie odnośnie pomocy dla Warszawy, ale żądają wskazania dróg prowadzących do odzyskania niepodległego bytu i suwerennego na tle agresywnego stosunku Rosji do Polski”. Słowa te świadczą, że dowódca A.K. patrzył już poza sferę powstania w Warszawie, szukał i oczekiwał wskazówek co do ratowania samej istoty państwowości polskiej z pętli imperializmu sowieckiego i zagadkowej bierności Zachodu.

Bardziej konkretną ocenę sytuacji daje druga depesza gen. Bora (nr 8.619), w której jasno określa, że rząd sowiecki na pewno zmierza do „przesunięcia punktu ciężkości legalności państwowości polskiej z zagranicy do Kraju w sferę swych wpływów”, jakkolwiek przed powierzeniem całości rządów w ręce P.K.W.N. chciałby jeszcze „wymusić kompromisowe stanowisko władz emigracyjnych” dla zwiększenia swego autorytetu. Stąd też — wedle niego — należało już wówczas rozstrzygnąć „czy w nadchodzącym układzie rzeczy będzie miejsce dla A.K. i jej podległości naczelnym władzom państwowym w Londynie, czy też miejsca takiego Sowiety nie widzą”. W razie przechylenia się do tej drugiej ewentualności gen. Bór wskazywał na konieczność rozwiązania A.K. na terenach zajętych przez wojska sowieckie, a na obszarze okupacji niemieckiej rozegrania ostatniej walki z germańskim najeźdźcą.

W odpowiedzi na to wezwanie rząd polski wydał 22 września (uchwała Rady Min.) nową instrukcję dla Kraju jako dopełnienie poprzedniej z 18 lutego. Powracała ona — wbrew własnym zarządzeniom z 25 sierpnia — do ulubionej koncepcji prem. Mikołajczyka, ujawniania się przed organami sowieckimi kierowników politycznych i wojskowych Polski Podziemnej oraz zalecała znowu podjęcie rozmów z władzami sowieckimi o przywrócenie na obszarach R.P. opanowanych przez wojska sowieckie legalnej władzy rządu polskiego w duchu memorandum z 29 sierpnia. Powierzenie Krajowi nowych prób negocjacji z Sowiecami i to dopiero po zajęciu przez nich Warszawy wypływało nie tyle z wiary w ich powodzenie, co z przekonania, że „nie ma możliwości zejścia

pod ziemię ani wycofania”. Ponadto, rokowania miały objąć sprawę „uznania A.K. za współwalczącą, samodzielną armię R.P. i połączenia wszystkich jej części [...] pod dowództwem gen. Bora”. Największymi atutami władz krajowych w tych układach miała być „niezwykłe silna pozycja moralno-polityczna Polski Podziemnej w świecie i u sprzymierzonych” oraz oferta „dalszego współdziałania A.K. na tyłach wroga”. W rzeczywistości anulowanie użyteczności Polski Podziemnej przez władze sowieckie można było rozpoznać z dekretów P.K.W.N. w ciągu sierpnia (zob. końcowy ustęp rozdziału 2) oraz z rozmowy prem. Mikołajczyka ze Stalinem 3 sierpnia w Moskwie, w której dyktator sowiecki wyraźnie przekreślił swoje dawne rachuby na partyzantkę i powstania ludowe wobec wprowadzenia na scenę P.K.W.N. Na to bolesne ograniczenie działań A.K. do ram wskazanych przez Bieruta zwrócił uwagę gen. Sosnkowski w depeszy do gen. Bora 23 września (nr 8.930) pisząc, „że po ujawnieniu się nie będziecie mieli możliwości bezpośredniego układania się z władzami politycznymi i dowództwem sowieckim, które Was skieruje do Komitetu Wyzwolenia Narodowego”. A działo się to w chwili, kiedy polski Londyn i Warszawa najbardziej liczyły na rozwój współpracy A.K. z nacierającą od 14 września Armią Czerwoną na przyczółek warszawski.

W końcowej części instrukcji z 22 września rząd polski zalecał, aby w razie niemożności osiągnięcia porozumienia politycznego władze Polski Podziemnej odłożyły sprawy zasadnicze do dalszych rozmów międzyrządowych i „dążyły w każdym razie do *modus vivendi* A.K. na warunkach w swoim czasie postawionych przez Sowiety na Wołyniu, a uzupełnionych wtedy waszą [władz krajowych] instrukcją”. Jesliby zaś nawet ten program okazał się nierealny rząd upoważniał władze krajowe do pełnej demobilizacji A.K.

Ze skreślonych ustępów protokołu obrad wynikało, że prezes Rady Ministrów „wykluczał w obecnej sytuacji możliwość zlikwidowania A.K. przez Sowiety bez rozgłosu i [...] możliwość przejścia ujawnionych oddziałów A.K. do jakiegokolwiek akcji konspiracyjnej przeciwko okupacji sowieckiej”.

Patrząc z perspektywy 23 lat na powyższe zarządzenia trzeba stwierdzić, że w porównaniu z wytycznymi z 25 sierpnia i memorandum z 29 sierpnia stanowiły one pójście na dalsze obezwładnianie A.K. drogą ujawniania się przed wkraczającymi organami sowieckimi. Pozostawiały one całą obronę niezależności administracji i całości sił A.K. w rękach tych, którzy po ujawnieniu musieli być aresztowani lub przynajmniej izolowani. Toteż nie dziw, że odpowiedź Krajowej Rady Ministrów na ten projekt

była negatywna (depesza z 26 września, nr 140). Stwierdziła ona po prostu, że władze krajowe nie mogą podejmować się rokowań z rządem sowieckim, gdy wysiłki naczelných władz w Londynie okazały się bezowocne. Wzywała ona Premiera do Warszawy natychmiast po jej opanowaniu przez wojska sowieckie. Następna depesza sprzeciwiała się gromadnemu ujawnianiu przywódców, ograniczając liczbę ich do niezbędnych negocjatorów. W całości zarządzenia rządowe z końca września 1944 (m.in. dekret o reorganizacji naczelných władz wojskowych) zapowiadały odchylenie się od dotychczasowych pojęć suwerenności i uleganie obcym naciskom. Kraj nie mógł się zdobyć w momencie upadku powstania na twórczą koncepcję polityczną. Negatywna postawa Krajowej Rady Ministrów była stwierdzeniem niemożności dalszego kluczenia między rzekomą współpracą z nadchodzącą Armią Czerwoną a szukaniem kryjówek przed prześladowaniami NKWD; była ona powtórzeniem żądania odpowiedzi od rządu w Londynie na tylekrotne pytania Nacz. Wodza: czy przeciwstawiać się zbrojnie niszczeniu Polski Podziemnej przez nadchodzącego okupanta sowieckiego, czy też stopniowo wycofywać się na zachód z maksimum sił.

5. Krytyka rozkazu a rzeczywistość historyczna

— Zasadnicza istota pogłoski min. Popiela streszczająca się w rzekomym ogłoszeniu rozkazu nr 19 „przez radio berlińskie na 24 godziny przed czasem, kiedy do wiadomości ogółu polskiego podało go Radio Polskie” oraz że „ten szczegół [...] spowodował interwencję angielskiego min. spraw zagranicznych Edena u prez. Raczkiewicza” nie znajduje żadnego potwierdzenia w dokumentach i materiałach historycznych, dotyczących tego rozkazu. Jeśli zaś nie ma go w tych źródłach, to oznacza to, że wiadomość jest wytworem fantazji lub namiętności zainteresowanych osób. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem plotki wydaje się możliwość, że polscy politycy nie sprawdzili okoliczności informacji przeczytanej 7 września (tj. w dniu posiedzenia Rady Min.) w „Daily Workerze” (w owym czasie uważanym za poprawione wydanie „Times’a”), że „czołowy komentator Goebbelsa, p. Dietze, już po kilku godzinach podchwycił okazję następczoną mu przez rozkaz nr 19 i powtórzył jego ponure oskarżenia” (zob. 7. IX, świt. „Daily Worker”). Politycy polscy w pośpiechu nie stwierdzili, kiedy to naprawdę E. R. Dietze dał komentarz w radio niemieckim i co powiedział. Dalsze rozpowszechnianie plotki przy

tak mętnym pojmowaniu sprawy było rzeczą łatwą, ale co najmniej lekkomyślną.

Drugą możliwą osnową plotki może być komentarz von Stuma, wygłoszony w niemieckiej agencji NPD dnia 4. IX, o godz. 17.14 o rzekomym oświadczeniu gen. Sosnkowskiego w sprawie odmowy sowieckiej na lądowanie samolotów anglo-amerykańskich (zob. kalendarium pod tą datą). Jak już stwierdzono poprzednio takiej wypowiedzi Generała nie było, a przytoczone słowa nie wiążą się z treścią rozkazu nr 19. Stąd też łączność tego komentarza z plotką istnieje tylko pod względem domniemanego czasu nadania i osób wchodzących w grę. Jedyne nieokiełzana fantazja mogłaby posłużyć się taką audycją do snucia złośliwej opowieści. Kalendarium wydarzeń dowodzi, że sformułowanie zarzutów przeciwko gen. Sosnkowskiemu nastąpiło w dniach 5-7 września na podstawie wskazań p. S. Litauera i agentów ambasady sowieckiej. Prem. Mikołajczyk dodał do zawartych w nich twierdzeń (o uniemożliwianiu zbliżenia polsko-sowieckiego) kilka własnych oskarżeń, jak obraza uczuć narodu polskiego, ujawnianie tajemnic państwowych, namawianie swego otoczenia do dymisji itp. Jednak wszystkie te addenda nie odegrały większej roli w decyzjach kierownictwa politycznego Polski i W. Brytanii. Ponadto całość ich wyświetlił dostatecznie gen. Sosnkowski w pismach wymienionych w kalendarium pod datami: 6, 12, 14 i 27 września. Niewątpliwie, wystąpienie jego zawierało momenty polityczne, które streszczały się w ostrzeżeniach przed zbytними ustępstwami godzącymi w suwerenność i całość terytorialną państwa polskiego. Nie zawierały one określonej koncepcji politycznej (co wielu uważa za niedociągnięcie gen. Sosnkowskiego), nie wzywały do buntu przeciw władzy, choć nie wykluczały go w razie dalszego stacjonowania kierowniczych czynników ku kapitulacji. Wszystkie te odzewy mieściły się w ramach kompetencji Nacz. Wodza, który odpowiadał wspólnie z Prezydentem i Rządem za określanie i przestrzeganie celów wojny, za zachowanie praw zwierzchniczych Rzpltej i podstaw organizacji wojska.

Jedynym rzeczowym zarzutem pod adresem gen. Sosnkowskiego byłoby pogorszenie przez jego wypowiedź warunków do zamierzonych rozmów polsko-sowieckich w oparciu o memorandum z 29 sierpnia rządu p. Mikołajczyka. Obciążenie takie sformułowali filozowiecy publicyści bez uwzględnienia rzeczywistych warunków (zob. kalendarium 4-9 września). Trzeba bowiem pamiętać, że wpływ rozkazu nr 19 na postawę sowiecką mógł być tylko minimalny, ponieważ uchylene się rządu ZSSR od rozpatrywania memorandum i jego ujemne zaopiniowanie przez osobę podstawioną nastąpiło najpóźniej 5 września, czyli w dniu ogło-

szenia rozkazu w prasie obcej. Ponadto należy wziąć pod uwagę całość nurtu polityki sowieckiej w odniesieniu do Polski, w sensie kontynuatorki państwa sprzed 1939 r. Zasadniczą cechą tego stosunku była nieustępliwość i sztywna wrogość przejawiona szczególnie w chwili przekroczenia linii Curzona, w takich aktach jak nadanie 26. VII i 1. VIII Komitetowi Wyzwolenia Narodowego pełni władzy administracyjnej na uwolnionych ziemiach polskich i równoczesne zakreślenie nowych granic państwowych. Odtąd nie mogło być mowy o kompromisie, ani o swobodnym stanowieniu mas narodu — bez usunięcia obcej władzy.

Rozkaz nr 19 nie miał formy doskonałej, powstał w napięciu walki w Kraju i wśród gorących sporów za granicą, w chwili gwałtownej potrzeby wykazania wspólnoty Polaków na obczyźnie z borykającymi się resztkami sił w Kraju. W tej też dziedzinie rozkaz osiągnął swe główne cele, jak wzmoczenie zrzutów zaopatrzenia dla A.K. i czujności na obce podszepty. Do takich namów należało ciągle pobudzanie do ujawniania się przed władzami sowieckimi i do szybkiego wyjazdu rządu do Warszawy bez wstępnego porozumienia z Kremlem. Ponadto poważnym zyskiem moralnym był wzrost zrozumienia przez szerokie masy narodu, a nawet niektóre ugrupowania brytyjskie, że Rosji nie chodzi o kompromis, o współpracę polityczno-wojskową z Polską, lecz o totalną uległość, o dyktat swoich warunków prowadzących do sowieckiego imperializmu w Europie środkowej.

Nie powiodły się jednak gen. Sosnkowskiemu zamierzenia z lipca 1944 r., dotyczące zachowania dużych sił A.K. po walce z wycofującymi się wojskami niemieckimi oraz utrzymania związków bezpośrednich Kraju z Zachodem przez zacieśnienie współpracy polsko-brytyjskiej i udział Anglo-Amerykanów w systemie administracji sowieckiej Polską i opieki nad jej ludnością. Oddziały A.K. zostały związane w bojach z Niemcami, po czym zniszczone i wywiezione przez obu okupantów, nie otrzymując do końca nawet wskazówek od własnego rządu czy mają przeciwstawiać się zbrojnie napaściom wschodniego sąsiada. Liczenie zaś na pomoc polityczną i materialną z Zachodu zawiodło prawie zupełnie, jakkolwiek nie pozostawiło posmaku podstępny i celowego wydania na pastwę. Cechami tymi obarczano tylko Rosję sowiecką. Polska pozostała w pustce politycznej, a próby przejęcia władzy przez nieliczne elementy Podziemia, działające bez centralnego porozumienia, spotkały się z najbardziej wyrafinowaną reakcją sowiecką.

Wreszcie trzeba wyświetlić sprawę ostrości niektórych określeń w rozkazie nr 19. Niewątpliwie były one pełne emocji we wzniosłych deklaracjach, jak też w surowych potępieniach. Jednak

trzeba pamiętać, że władze brytyjskie, a szczególnie resort wojskowy, otrzymywały w sprawach powstania jeszcze mniej „dyplomatyczną” korespondencję pod względem zewnętrznym od min. Kwapińskiego, prez. Arciszewskiego, a także gen. Sosnkowskiego. Stąd też można sądzić, że poczucie obrazy u rządu brytyjskiego wywołane rozkazem nr 19, opierało się nie tyle na obiektywnej analizie, co na subiektywnym podrażnieniu godności narodowej przez posądzenie go o uleganie naciskom sowieckim.

Stanisław BIEGAŃSKI

Franciszek KALINOWSKI

LOTNICTWO POLSKIE W BITWIE O ATLANTYK

Wstęp

Nazwą „Bitwa o Atlantyk” przyjęto określać działania sił morskich i powietrznych Niemiec i W. Brytanii (później częściowo także Stanów Zjednoczonych A.P.) w drugiej wojnie światowej mających ogólnie na celu panowanie nad i na Atlantyku. Z punktu widzenia wojskowego i ściśle historycznego zastosowanie słowa „bitwa” jest niesłuszne i bez precedensu, gdyż bitwa oznacza działanie wojenne dużych związków na określonej przestrzeni danego frontu i w czasie ściśle określonym, aczkolwiek o dużej rozpiętości, od jednej doby do kilku tygodni, wyjątkowo do kilku miesięcy.

Bitwa o Atlantyk trwała w rzeczywistości niemal tak długo jak druga wojna światowa, ponad pięć lat, a brały w niej udział całe siły morskie obu głównych przeciwników i zmieniające się związki ogromnych sił powietrznych trzech wielkich państw; miała okresy o różnym natężeniu i po obu stronach zmieniały się ilościowo i jakościowo siły biorące w niej udział, a terenem działań był bezmiar wód Oceanu Atlantyckiego i oceanu powietrznego nad nim.

Należy jednak przyznać, że to popularne określenie użyte od samego początku przez Brytyjczyków ma swoje życiowe uzasadnienie i jest w języku angielskim tak naturalne i zrozumiałe jak „walka o byt” i wiele innych obrazowych przenośni używanych we wszystkich językach. Dla W. Brytanii bezpieczeństwo żeglugi na Atlantyku było bez przesady kwestią życia i śmierci, gdyż morzem szły dostawy surowców dla przemysłu i żywność dla ludności. W owym czasie rolnictwo wysp brytyjskich pokrywało

niecałą jedną trzecią zapotrzebowania, stąd poważne przerwy w dowozie lub całkowite zablokowanie wysp oznaczało zarówno niemożność prowadzenia dalej wojny, jak i powolne zagłodzenie mieszkańców.

Niemcy rozpoczęli działania na morzu przeciw żegludze brytyjskiej natychmiast po wypowiedzeniu przez W. Brytanię wojny, to jest 3 września 1939 roku. Początkowo działały tylko okręty podwodne, później współpracowało z nimi lotnictwo. Z ogólnej liczby 50 okrętów podwodnych w pierwszym roku wojny, mniej więcej połowa (w praktyce od 24 do 28) była na morzu w działaniach operacyjnych.

W lipcu 1940 roku, w związku z możliwością inwazji wysp, brytyjskie siły morskie były skoncentrowane na wschodnim wybrzeżu, co odbyło się kosztem zmniejszenia eskort konwojów i pociągnęło za sobą wzrost zatopionego tonażu. W miesiącach marcu, kwietniu i maju 1940 straty w żegludze wynosiły 107.009 ton, 158.128 ton i 288.461 ton, natomiast w następnych miesiącach wzrosły do 585.496 ton, 380.913 ton, 397.299 ton i 448,621 ton*.

W miarę przeciągania się wojny i rozrastania się niemieckiej marynarki wojennej (która kładła szczególny nacisk na okręty podwodne), natężenie bitwy o Atlantyk wzrastało coraz bardziej, tak że w latach 1942/43 sytuacja była niezmiernie krytyczna, gdyż pomimo intensywnej budowy i naprawy statków w niesłychanej do tego czasu ilości, Niemcy zatapiali miesięcznie więcej tonażu aniżeli Brytyjczycy i ich sojusznicy mogli budować. I tak np. w jednym tylko miesiącu czerwcu 1942 roku niemieckie okręty podwodne same zatopiły 144 statki o łącznym tonażu ponad 700.000 ton.

Brytyjskie lotnictwa wybrzeża (R.A.F. Coastal Command) miało w dniu przystąpienia W. Brytanii do wojny 16 dywizjonów o stanie 183 samoloty. Zadania jego obejmowały rozpoznanie, patrolowanie na korzyść konwojów morskich, wyszukiwanie i atakowanie okrętów podwodnych, współdziałanie z marynarką wojenną i handlową, ratownictwo. Wobec wzrastającego natężenia Bitwy o Atlantyk zaczęto rozbudowywać Lotnictwo Wybrzeża, a w 1942 roku przesunięto kilka dywizjonów z ciężkiego lotnictwa bombowego do lotnictwa wybrzeża. Pod koniec wojny Dowództwo Lotnictwa Wybrzeża miało 66 dywizjonów i 3 samodzielne eskadry, o łącznej ilości 1.117 samolotów, czyli że siły jego wzrosły sześciokrotnie.

Zacępnę działania brytyjskiego lotnictwa wybrzeża przeciw

* S. W. Roskill: *The war at sea*, str. 253 i następne.

niemieckim okrętom podwodnym zmusiły Niemców do używania myśliwców nad Zatoką Biskajską i w pobliżu wybrzeży brytyjskich w celu zwalczania lotnictwa wybrzeża, a to z kolei skłoniło Brytyjczyków do użycia własnego lotnictwa myśliwskiego, zarówno nocnego jak i dziennego do działań na rzecz Bitwy o Atlantyk.

Z Lotnictwa Polskiego brały w Bitwie o Atlantyk udział dwa dywizjony: 304 Dywizjon Bombowy Ziemi Śląskiej im. księcia Józefa Poniatowskiego i 307 Nocny Dywizjon Myśliwski Lwowski. Okoliczności przejścia tych dywizjonów do nieznanych działań nad morzem oraz czas trwania ich działań i ich charakter były bardzo różne.

304-ty dywizjon w lotnictwie wybrzeża

W marcu i kwietniu 1942 roku Inspektorat P.S.P. wobec ciężkich strat w lotnictwie bombowym i braku uzupełnień (zwłaszcza braku dopływu obserwatorów) rozważał projekt rozwiązania jednego lub nawet dwóch dywizjonów bombowych. Znalaziono jednak inne wyjście, mianowicie, po rozmowach z Brytyjczykami zdecydowano się na przesunięcie jednego dywizjonu z Bomber Command do Coastal Command, czyli z lotnictwa bombowego do lotnictwa wybrzeża, w którym straty były mniejsze, a czas trwania tury lotów bojowych dłuższy, wskutek czego załogi były dłużej w jednostkach.

10 maja 1942 wybrany dywizjon, 304 Ziemi Śląskiej, przeszedł do lotnictwa wybrzeża w którym miał pozostać już do końca wojny.

Pierwsze lotnisko dywizjonu w nowym dlań rodzaju lotnictwa było na wyspie Tiree, na Hebrydach. Zmiana warunków pracy wymagała gruntownego przeszkolenia załóg, ze względu jednak na pilność zadań szkolenie w dywizjonie prowadzono przy jednoczesnym wykonywaniu zadań bojowych. Pierwszy lot bojowy w nowych warunkach wykonano już w dniu 18 maja 1942.

Szkolenie trwało cztery tygodnie; 13 czerwca dywizjon został przesunięty na stację Dale w południowej Walii i wszedł w skład 19. Grupy Coastal Command. Dowódca 15. Grupy z której dywizjon odchodził, nadesłał telegram następującej treści:

„W dniu w którym opuszczacie moje dowództwo, życzę Wam wszelkiego szczęścia. Wasze szybkie i skuteczne przystosowanie się do warunków działania i Wasze entuzjastyczne przyjęcie nowych zadań, sprawiło mi wielką satysfakcję. Pozostawiacie za sobą w 15. Grupie wielu przyjaciół”.

Dywizjon rozpoczął teraz działania nad Zatoką Biskajską, właśnie gdy Bitwa o Atlantyk dochodziła do zenitu. W czerwcu załogi dywizjonu atakowały 6 niemieckich okrętów podwodnych.

Podstawowym zadaniem dywizjonu było zwalczanie okrętów podwodnych w Zatoce Biskajskiej i na Atlantyku. Okres ten był dla załóg najbardziej wyczerpujący, tak ze względu na nowe warunki działania, jak i z powodu braku przyrządów pomocniczych do wykrywania okrętów podwodnych.

Loty trwały od 8 do 11 godzin, a samolot Wellington nie dawał załodze żadnych osobistych wygód w chwilach wypoczynku, jak to było na przykład w samolotach Sunderland czy Liberator. Niski lot, stałe wypatrywanie nieprzyjacielskich samolotów w powietrzu i żegluga na morzu zwiększało zmęczenie fizyczne i psychiczne. Gdy pogoda była dobra, dokuczał blask słońca i monotonia morza; przy zachmurzeniu wzrastało napięcie nerwowe na skutek możliwości zaskoczenia przez myśliwców. Szczególnie w drodze powrotnej z zadania, po ośmiu czy dziewięciu godzinach, trudno było utrzymać czujność obserwacji, a właśnie wtedy była ona bardzo potrzebna, gdyż droga prowadziła wzdłuż półwyspu Bretońskiego w kierunku na wyspy Scilli i Przylądek Land's End, a w tym właśnie rejonie często czatowały niemieckie samoloty, początkowo Junkersy 88, później Messerschmitty 110, a od drugiej połowy 1943 roku groźne Focke-Wulfy 190.

31 maja samolot dywizjonu zmuszony był wodować; po pięciu godzinach załoga została wyłowiona przez angielski kontrtorpedowiec. Z załogi był kontuzjowany kpt. obs. A. Waltera; resztę załogi stanowili: plut. pil. E. Joński, kpr. pil. L. Matjaszek, kpr. rtg. R. Gems, plut. strz. M. Piekarski i kpr. strz. L. Jabłoński.

W czerwcu dywizjon wykonał 7 wypraw w których wzięło udział 37 samolotów. Siedem z nich brało udział w wyprawie bombowej na Bremę, 25-go, z której nie wróciła załoga: kpr. pil. H. Kuc, ppor. pil. J. Kramin, kpt. obs. M. Dydziul, sierż. strz. rtg. T. Kamyszek, strzelcy J. Wojtas i T. Mikita.

W lipcu wysiłek bojowy dywizjonu zwiększył się dość znacznie; wykonano 10 wypraw w których wzięło udział 60 samolotów.

6 lipca załoga w składzie: sierż. pil. Gołębiowski, sierż. pil. Kozłowski, por. obs. A. Nowicki, ppor. rtg. Franczak i strzelcy sierż. Paszkiewicz i por. Pajko, zaatakowała okręt podwodny który już się zanurzał. Seria 6 ładunków głębinowych była za krótka, jednak sądzono, że była możliwość uszkodzenia okrętu.

10 lipca załoga por. obs. Kryszczuka atakowała okręt podwodny posuwający się pod powierzchnią morza; z okrętu wy-

dobywała się smuga oleju. Wysłana na miejsce ataku załoga alarmowa wyrzuciła 6 min głębinowych, a plama oleju zaczęła się powiększać. Było to prawdopodobnie uszkodzenie okrętu, ale z braku innych poszlak sztab morski zaliczył dywizjonowi tylko moralny sukces.

30 lipca było trzecie spotkanie okrętu podwodnego, lecz konkretnych wyników ataku nie można było stwierdzić.

Samoloty dywizjonu nie miały specjalnych odbiorników do wykrywania zanurzonych okrętów podwodnych i starania dowódcy dywizjonu o uzyskanie tych odbiorników nie dawały wyniku.

W sierpniu dywizjon wykonał jeszcze większy wysiłek, gdyż w 14 wyprawach wzięło udział 90 samolotów.

3 sierpnia załoga por. pil. Zarudzkiego atakowała częściowo zanurzony okręt podwodny, jednak zdecydowanego wyniku ataku nie zdołano określić.

Lotnisko Dale nie było odpowiednio przygotowane do nocnych lotów, ale pomimo meldunku dowódcy dywizjonu Grupa nadesłała 11 sierpnia rozkaz do wymiatania okrętów podwodnych w nocy. Pierwszy samolot bezpośrednio po starcie uległ katastrofie, gdyż pod wpływem silnego bocznego wiatru wpadł do morza. Utonęła cała załoga: por. pil. T. Siuzdak, plut. pil. M. Cmieljaszko, kpt. obs. L. Masłanka, kpr. strz. rtg. P. Drozdziek, kpr. strz. M. Modrzewski i kpr. strz. S. Wojtowicz.

Mjr. dypl. Poziomek natychmiast wstrzymał loty, które ponowiono dopiero po świcie.

13 sierpnia dywizjon zapisał w swej historii pierwsze zwycięstwo w Bitwie o Atlantyk. Załoga por. obs. A. Nowickiego w składzie: sierżanci-piloci Gołębiowski i Kozłowski, ppor. rtg. Franczak i strzelcy sierż. Gębicki i Lewkonowicz, uzyskała trzy trafienia w ataku na okręt podwodny; części rozbitego okrętu wypłynęły na powierzchnię morza. Dowódca Coastal Command przesłał na ręce dowódcy dywizjonu telegram następującej treści:

„Proszę zakomunikować moje gratulacje dowódcy i załodze samolotu 'R': F/O Nowicki, A/Sgt. Gołębiowski, A/Sgt. Kozłowski, P/O Franczak, Sgt. Gębicki, Sgt. Lewkonowicz, za pomyślny atak na okręt podwodny w dniu 18. VIII. 1942. Wstępne badania wykazały, że atak był bardzo skuteczny i można przypuszczać, że okręt został zniszczony. Szczególnie rad jestem podkreślić powodzenie 304 Polskiego Dywizjonu i jestem pewien, że będzie to pierwszy z szeregu innych pomyślnych ataków”.

15 sierpnia mjr. dypl. S. Poziomek zdał dowództwo dywizjonu kapitanowi-pilotowi Kazimierzowi Czetowiczowi (V.M., K.W., D.F.C.).

20 sierpnia w czasie lotu ćwiczebnego wpadł do morza samolot dywizjonu; cała załoga zginęła: ppor. pil. A. Zieliński, plut. pil. R. Jarno, por. obs. L. Wasilewski, strzelcy kpr. L. Kuszel, st. szer. A. Tycholis i szer. P. Gramiak.

We wrześniu wysiłek bojowy dywizjonu był również duży; wykonano 13 wypraw w których wzięło udział 81 samolotów. Miesiąc ten obfitował w wydarzenia bojowe dużej wagi, mianowicie, zatopiono prawdopodobnie okręt podwodny, a cztery załogi stoczyły walki powietrzne zakończone zwycięstwami.

2 września włoski okręt podwodny „Julianna” został poważnie uszkodzony w wyniku ataków wykonanych przez samolot którego załogę stanowili: kpt. pil. M. Kucharski, por. pil. S. Żurek, por. obs. Z. Jaroszyński, strzelcy T. Jasiński, B. Kocyk i S. Zesko. Załoga zauważyła okręt wynurzony i wyrzuciła 6 min głębokich, z których dwie wpadły do wody tuż przy okręcie. Marynarze włoscy wyszli na pokład okrętu, a strzelcy samolotowi otworzyli ogień. Po zrobieniu okrążenia samolot wykonał następny atak w czasie którego wyrzucono z 500 stóp bombę; w trzecim ataku wyrzucono jeszcze jedną bombę. Następnie samolot krążył nad okrętem, a strzelcy oddali razem 2.500 strzałów. Widziano kilku marynarzy leżących bez ruchu na pokładzie, kilku skoczyło do morza w kostiumach kąpielowych. Okręt był zanurzony dziobem w wodzie, a ster był wynurzony z wody pod ostrym kątem w górę. Po dalszej obserwacji trwającej około pół godziny, Wellington wrócił do bazy, pozostawiwszy okręt nieruchomy; za sterem widoczna była wielka plama oliwy na powierzchni wody. Szereg zdjęć fotograficznych potwierdził zeznania załogi. Jak się później jednak okazało, okręt podwodny wrócił do swej bazy i po naprawach walczył dalej.

4 września załoga kpt. obs. B. Nowickiego musiała zawrócić do bazy wskutek wadliwego działania prawego silnika. W chwili przyjęcia nowego kursu, na odległości 240 mil od brzegów Anglii, zauważono dwa Ju-88 zbliżające się do Wellingtona. Kpt. Nowicki wydał rozkazy do przyjęcia ataku i nadania sygnału radiowego (S.O.S.): „Jestem atakowany przez 2 Ju-88”.

Niemcy postanowili atakować Wellingtona kolejno, każdy z innej strony. Przy zbliżaniu się Junkersa pilot plut. J. Bakanacz wykonywał gwałtowny skręt w kierunku nieprzyjaciela. Wellington był kilka razy trafiony, ale każdy Junkers miał również uszkodzenia. Tylony strzelec, kpt. obs. J. Suska, pomimo rany w rękę i szeregu dziur w wieżyczce, wytrwał na stanowisku i meldował spokojnie o manewrach Junkersów. Pozostali członkowie załogi, plut. pil. G. Twardoch i strzelcy Brych i Malczyk, otwierali ogień dopiero na rozkaz kpt. Nowickiego. Wszyscy

byli spokojni, nerwy jak ze stali, a ogień obrońców był trafny. Toteż po 15 minutach Junkersy odleciały, a z jednego widać było gęste pasma dymu z obu silników.

6 września załoga por. obs. A. Nowickiego (wspomniana już poprzednio, 13 sierpnia), miała spotkanie z Ju-88, ale „zgubiła” go w chmurach, nie ponosząc żadnych szkód.

16 września prawdziwą epopeję przeżyła załoga w składzie: por. pil. S. Targowski, kpr. pil. Z. Kowalewicz, kpt. obs. W. Minakowski, rtg. plut. Z. Piechowiak, strzelcy W. Młynarski i F. Kubacik. Samolot tej załogi został dopadnięty przez sześć Junkersów i wyszedł zwycięsko ze spotkania. Pisała na ten temat obszernie prasa polska i brytyjska, ale najlepiej odtworzył przeżycia załogi kpt. Minakowski, który w księdze pamiątkowej dywizjonu opisał dokładnie przygotowania załogi do lotu i sam lot. Przytaczam tu opis samej walki:

16 września o godz. 16.12 gdy zbliżaliśmy się do pozycji A w pobliżu wód hiszpańskich, ukazało się sześć samolotów — jeden z prawej strony, trzy z lewej, dwa z tyłu.

Niebo było bezchmurne, pogoda piękna, widoczność między 25 a 30 mil na wysokości 1500 stóp. Por. S. Targowski, nasz pilot, zszedł na 500 stóp gdy spostrzeżono samoloty i rozpoznano je jako Ju-88, wyrzucił ładunek min i zszedł następnie na wysokość 50-ciu stóp.

Nieprzyjacielscy myśliwcy zbliżyli się szybko. Trzech zaatakowało nas z lewej strony, jeden po drugim. Nasz pilot robił uniki między 15 a 50 stóp nad wodą aby uniemożliwić ataki od dołu. Mieliśmy często wrażenie, że skrzydła naszej maszyny ślizgały się po wodzie. Gdy tylko jakiś Junkers atakował, Targowski skręcał Wellingtona w kierunku nieprzyjaciela, łeb w łeb, aby zmniejszyć możliwie wielkość celu, oraz skrócić czas trwania ataku.

Przedni strzelec oddał w czasie pierwszego ataku dwie krótkie serie na odległości prawie zerowej, a tylny strzelec jedną długą serią. Nasz radiotelegrafista nadał do bazy meldunek o ataku i podał naszą pozycję, po czym chwycił za boczne karabiny maszynowe. Pięć minut później przedni strzelec trafił drugi atakujący samolot, który wykonał ostry skręt i wpadł do morza.

Dwa Junkersy, te które początkowo były najdalej, i z tyłu, nadleciały teraz z prawej strony i wykonały atak który omal że im się udał. Gdy jeden z nich atakował z prawej strony i nasz Wellington wykonywał ostry skręt w jego kierunku zostaliśmy trafieni pociskami z działek i serią km. Jeden ze zbiorników był trafiony i kabina pełna była dymu od wybuchów. Wszystkie nasze karabiny grały wściekle.

Drugi Niemiec został trafiony i gdy zawracał w stronę Francji posypały się z niego części i prawy silnik dymił. Wkrótce potem rozległ się w Wellingtonie trzask i gęsty dym napełnił kadłub. Nie było jednak płomieni i nikt z nas nie był ranny.

Kazałem drugiemu pilotowi i radiotelegrafście zanieść zapasową amunicję przedniemu i tylnemu strzelcowi. Chmury pokazały się na horyzoncie i skierowaliśmy się w ich stronę.

Teraz dwóch myśliwców atakowało na przemian od tyłu. Nasi strzelcy spotykali ich ogniem z małej odległości i oba Junkersy były trafione. Dalsze ataki Niemców były już ostrożniejsze.

Chmury były już blisko, na około 1500 stóp wysokości i Targowski skierował samolot ku nim na pełnej szybkości. Dolecieliśmy szczęśliwie do chmur i zerwaliśmy styczność z nieprzyjacielem.

Ustaliśmy naszą pozycję i zawiadomiliśmy bazę, że wylądujemy w Portreath, w Kornwalii, z powodu braku paliwa. Benzyna z prawego zbiornika wyciekła, a przewód doprowadzający paliwo ze zbiornika dodatkowego był uszkodzony.

Wylądowaliśmy o godz. 17.50, po locie trwającym 8 godzin i 20 minut. Nikt z nas nie był ranny, ale za to nasz Wellington miał następujące trafienia: łopata prawego śmigła jedno trafienie, czop śmigła — 3 trafienia, gondola prawego silnika — 3 trafienia, kolektor prawego silnika — 2 trafienia, prawe skrzydło — a) skrzydło i zbiornik z benzyną — jedno trafienie z dziąłka, dziura w zbiorniku 15 na 15 cm i trzy mniejsze otwory, b) na górnej części skrzydła brak płótna na powierzchni około 1 na 2 metry i uszkodzona kratownica, prawa strona kadłuba — 10 trafień, lewa strona kadłuba — 4 trafienia, górna część kadłuba — 1 trafienie, dolna część — 3 trafienia, statecznik lewy — 6 trafień, statecznik pionowy — 2 trafienia, statecznik prawy — 2 trafienia, astrowieżyczka — 1 trafienie”.

Dowódca Coastal Command w dniu następnym nadesłał dywizjonowi telegram następującej treści:

„Proszę złożyć moje gratulacje dowódcy i załodze samolotu 'E' z 304 Dywizjonu za wynik walki z sześciu Junkersami. Cała załoga wykazała wybitny hart ducha i wolę walki przeciw liczebnie przeważającemu nieprzyjacielowi, osiągając znamienny wynik przez zestrzelenie jednego a prawdopodobnie dwóch nieprzyjacielskich samolotów”.

24 września dywizjon wysłał 9 samolotów na wymiatanie okrętów podwodnych. Jedna załoga miała spotkanie z Junkersami i odniosła nowe zwycięstwo polskich skrzydeł nad Atlantykiem.

Skład załogi był: plut. pil. J. Bakanacz, por. pil. Julian Morawski, por. obs. Z. Jaroszyński, rtg. plut. E. Walukiewicz, strzelcy Z. Gustowski i S. Malczyk. Drugi pilot, por. Morawski, był gościem dywizjonu, będąc na urlopie po długiej tułaczce rozpoczętej zestrzeleniem jego samolotu nad Luksemburgiem i wyskoczeniem całej załogi na spadochronach, poprzez różne przygody, łącznie z obozem koncentracyjnym w Mirandzie.

W chwili gdy por. Morawski objął stery od pierwszego pilota, spostrzeżono dwa Ju-88 i załoga przygotowała się do walki. Por. Morawski zaczął schodzić z wysokości robiąc jednocześnie zygzaki dla utrudnienia Niemcom wyboru kierunku ataku. Nadał depeszę do bazy, strzelcy chwycili za karabiny; por. Jaroszyński z wieżyczki astro kierował manewrami samolotu. Junkersy leciały nisko nad wodą, zapewne licząc na zaskoczenie Wellingtona. Po chwili jednak Niemcy rozdzielili się i atakowali kolejno, oddzielnie. Por. Morawski w ostatniej chwili podrywał swoją „Haneczkę” (tak się zwał Wellington załogi) i kierował ją na

Niemca. Już po drugim ataku, w którym obaj strzelcy dostali jednego Niemca w silny ogień, Junkers zadymił się z obu silników i po chwili wpadł do morza. Drugi Niemiec, nie zrażony tym, atakował dalej, ale i jemu wkrótce zadymił silnik, wobec czego zrezygnował z dalszej walki i skierował się do Francji. Spotkanie trwało jednak prawie dwadzieścia minut.

W październiku wysiłek bojowy dywizjonu był identyczny z wysiłkiem wrześnieowym: 81 samolotów brało udział w 17 wyprawach.

8 października załoga por. obs. Jaroszyńskiego miała spotkanie z Focke-Wulfem, ale po czterech atakach w czasie których kilka seryj oddanych przez kpr. Kubacika odniosły pewien skutek, Niemiec odleciał w głębokim skręcie i nie pokazał się więcej.

W tym samym dniu załoga por. obs. A. Nowickiego wyrzuciła 6 min. głębinowych na okręt podwodny prawie całkowicie wynurzony. Prawdopodobnie uszkodzono ster okrętu; samolot kręcił się przez dwie jeszcze godziny nad miejscem zanurzenia okrętu, widziano bańki powietrzne i płamę oliwy, ale konkretnie nie udało się stwierdzić jaki był los okrętu.

16 października dywizjon stracił wybitnego pilota, por. Stanisława Targowskiego, którego samolot nie wrócił, prawdopodobnie zestrzelony przez myśliwców. Resztę załogi stanowili: plut. pil. G. Twardoch, por. obs. T. Oleś, plut. rtg. Z. Piechowiak, strzelcy W. Młynarski i F. Kubacik. Poprzedni nawigator tej załogi, mjr. W. Minakowski* był na urlopie. W dniu tym oczekiwały porucznika Targowskiego dwie niespodzianki w dywizjonie: pierwsza wiadomość od żony z Polski i rozkaz o nadaniu mu D.F.C.

W listopadzie, mimo złej pogody, dywizjon wykonał 26 wypraw w których wzięło udział 80 samolotów.

1 listopada nie wróciła z Zatoki Biskajskiej załoga w składzie: por. pil. Stanisław Krawczyk, mjr. pil. Ignacy Skorobohaty, kpt. obs. Alojzy Szkuta, kpr. rtg. Jan Rogala-Sobieszczański, strzelcy — por. bomb. Mieczysław Wodziński i kpr. Zygmunt Sasal.

Drugi pilot, mjr. Skorobohaty, był jednym z seniorów Lotnictwa Polskiego; w wojnie 1919/20 latał jako obserwator i

* Mjr. Minakowski po wojnie wrócił do Polski i został bez sądu zastrzelony, w czasie śledztwa, podobnie jak sześciu innych znanych lotników: ppłk. Jungraw, ppłk. Adamecki, ppłk. Rypsoń, ppłk. Ścibior, mjr. Michowski i mjr. Sokołowski.

Wszyscy zostali później „rehabilitowani”, co jest stwierdzone na ich nagrobkach.

otrzymał odznaczenia bojowe *Virtuti Militari* i *Krzyż Walecznych*. Por. Krawczyk zyskał piękną kartę w historii, gdy w locie nad Niemcami samolot jego uległ uszkodzeniu; po doprowadzeniu samolotu do Anglii por. Krawczyk wydał rozkaz załodze do wyskoczenia na spadochronach, a że brak było jednego spadochronu, oddał swój spadochron strzelcowi, sam zaś lądował przymusowo w nocy, na nieznanym terenie, jednak cudem niemal wyszedł cało z kraksy. Kpt. Szkuta skakał w okupowanej Belgii i przedostał się do Anglii. Kpr. Sobieszkański przybył do Anglii z Gdańska gdzie studiował na politechnice. Por. Wodziński wrócił dopiero przed kilku dniami ze szpitala, w którym przebywał dłuży czas po kraksie samolotowej.

1 grudnia dywizjon miał tylko 13 załóg, z których 8 było gotowych do działań bojowych, reszta szkoliła się. Stąd też wysiłek bojowy dywizjonu był znacznie większy aniżeli wynikałoby to z liczby lotów. Dywizjon wykonał w grudniu 14 wypraw w których wzięło udział 60 samolotów.

Kilka samolotów dywizjonu miało spotkania z Focke-Wulfami, ale nie były atakowane, względnie udało im się walki uniknąć. Focke-Wulf był samolotem bardzo szybkim i silnie uzbrojonym, toteż był znacznie groźniejszy dla Wellingtona aniżeli Ju-88.

24 grudnia załoga kpt. pil. M. Pronaszki musiała wyskoczyć na spadochronach, gdyż z powodu gęstego zachmurzenia nie mogła znaleźć żadnego lotniska.

W styczniu 1943 wysiłek bojowy dywizjonu zmniejszył się z powodu złej pogody i małej ilości załóg. Wykonano 8 wypraw w których wzięło udział 37 samolotów.

28 stycznia dowództwo dywizjonu objął kpt. pil. Pronaszko. W dywizjonie przeszkalał się między innymi pierwszy dowódca dywizjonu ppłk. J. Biały.

W lutym dywizjon wykonał 18 wypraw, wysyłając 65 samolotów. Jedynym wydarzeniem w tym miesiącu — ale takim które znowu poruszyło prasę i radio — była godzinna walka Wellingtona dywizjonu z czterema Junkersami.

Było to 9 lutego. Załoga jednego z czterech samolotów wysłanych na patrolowanie składała się z następujących: kpt. pil. E. Ladro, ppłk. pil. J. Biały (pierwszy lot jako drugi pilot), por. obs. S. Płachciński, kpr, rtg. K. Chłopicki, strzelcy W. Piskorski i A. Ulicki.

W drodze powrotnej Wellington został zaskoczony przez cztery Ju-88 które nadleciały od słońca. Kpt. Ladro przejął stery od ppłk. Białego i rozpoczął prawdziwą akrobację, aby uniknąć ognia Junkersów. Po pierwszym ataku jeden z Niemców został prawdopodobnie uszkodzony lub miał rannego członka załogi,

bo trzymał się z daleka i atakowały tylko trzy Junkersy. Pomimo zejścia na około trzysta stóp Wellington był atakowany niezliczoną ilość razy. Walka trwała dokładnie 58 minut. Sytuacja Wellingtona była tym trudniejsza, że przedni strzelec Piskorski został w jednym z pierwszych ataków ciężko ranny, tak że od przodu samolot był bezbronny. Zmuszało to kpt. Ladrę do gwałtownych manewrów które zwołna wyczerywały go fizycznie. Walczył jednak dalej ostatnim wysiłkiem woli. Ppłk. Biały był lekko ranny w nogę, gdy stał obok pierwszego pilota dając mu informację o manewrach Junkersów.

Niemcom widocznie skończyła się amunicja, bo zrezygnowali z dalszej walki, zebrali się w klucz i kilkakrotnym pochylaniem skrzydeł „zasalutowali” Wellingtona.

Na tym jednak nie skończyła się przygoda Niemców, którzy w drodze powrotnej nadali depezę, że zestrzelili Wellingtona. Wiadomość o walce podana przez naszą załogę została przekazana kluczowi Beaufightersów patrolującemu w pobliżu. Jednym z pilotów był Amerykanin. Beaufightery przechwyciły Niemców i zestrzeliły trzy Junkersy na pewno.

Wellington wylądował w Predanack, a po odwiezieniu przedniego strzelca do szpitala, załoga wróciła do bazy.

Prasa brytyjska zamieściła długie komentarze tego spotkania. Podkreślano, że była to najdłuższa walka powietrzna w drugiej wojnie światowej oraz że cała operacja była przykładem dobrej współpracy sprzymierzonych.

Ppłk. Biały stał się mimowolnie bohaterem niektórych opisów prasowych; stwierdzano słusznie, że pułkownik polski mający 46 lat, był najstarszy wiekiem spośród pilotów bojowych po stronie zachodnich sprzymierzonych. Sam pułkownik nie przypisywał sobie żadnej zasługi, a w opisie walki zamieszczonym w księdze dywizjonowej chwali całą załogę, a przede wszystkim kapitana Ladrę, któremu załoga zawdzięczała życie.

Drugim wydarzeniem w lutym, niestety niepomysłnym, było wyskoczenie na spadochronach załogi w składzie: por. pil. J. Wróblewski, por. pil. K. Dobrowolski, por. obs. Z. Jaroszyński, plut. rtg. E. Walukiewicz, strzelcy K. Krajewski i S. Malczyk. Fatalne warunki atmosferyczne uniemożliwiały w nocy (8/9. II.) lądowanie w nieznanym terenie, wobec czego dowódca załogi dał rozkaz do skakania; sam wyskoczył ostatni. Wskutek lądowania na ślepo odnieśli poważne kontuzje obaj piloci i tylny strzelec, a przedni strzelec lekkie.

W marcu dywizjon wykonał 14 wypraw w których brało udział 80 samolotów.

24 marca załoga dowódcy dywizjonu w składzie: kpt. Prołaszko, kpt. pil. J. Rodziewicz, por. obs. T. Kołodziejski, kpr. rtg. F. Matlak, strzelcy F. Zentar i K. Józefiak, stoczyła pięciominutową walkę z trzema samolotami F.K. 200 Kurier, w wyniku której jeden z niemieckich samolotów został uszkodzony; załoga Wellingtona wyszła bez szwanku.

W końcu marca dywizjon przeniósł się na lotnisko Docking, w hrabstwie Norfolk, na wschodnim wybrzeżu Anglii. W dniu dokonywania przesunięcia, 28-go, samolot dywizjonu wykonał bardzo dobry atak na okręt podwodny i zgodnie z orzeczeniem sztabu morskiego uszkodził okręt poważnie, a prawdopodobnie nawet zniszczył. Załoga zwycięska była w składzie: sierż. pil. F. Targowski, plut. pil. E. Kozieł, por. obs. J. Skwarczyński, kpr. rtg. L. Gibas, strzelcy E. Muszała i W. Müller.

W nowym miejscu postoju dywizjon podlegał 16. Grupie. Po przebrojeniu w nowy typ samolotu, Wellington X, dywizjon zaczął szkolić się do nowego rodzaju zadań, mianowicie do torpedowania okrętów. Toteż wysiłek bojowy w kwietniu zmniejszył się znacznie, bo używano dywizjonu tylko w razie braku załóg w innych jednostkach. Dywizjon wykonał w kwietniu 7 wypraw w których wzięły każdorazowo udział 3 samoloty.

Część załóg dywizjonu wyjechała na różne kilkudniowe kursy, w dywizjonie piloci przeszkalali drugich pilotów, głównie w bombardowaniu i strzelaniu oraz przebijaniu chmur, obserwatorzy i strzelcy mieli wykłady z różnych dziedzin, a personel techniczny zapoznawał się z nowym samolotem i jego obsługą. Stąd również w maju wysiłek bojowy był stosunkowo mały, dywizjon wystąpił bowiem tylko 7 samolotów na patrolowanie nad Zatoką Biskajską.

Wkrótce okazało się, że samolot Wellington X nie nadawał się do torpedowania, w związku z czym dowództwo lotnictwa wybrzeża przesunęło 304-ty dywizjon z powrotem do 19. Grupy, tym razem na lotnisko Davidson Moor, w dniu 7 czerwca.

Wtedy właśnie Niemcy wprowadzili nową taktykę działania okrętów podwodnych, mianowicie, wychodziły one odtąd ze swoich portów na Zatokę Biskajską paczkami, po 4 lub 5 okrętów razem, pod jednym dowódcą; dawało to większą koncentrację ognia przeciwlotniczego i pozwalało na silniejszą osłonę myśliwską.

Jako przeciwdziałanie Brytyjczycy zaczęli stosować patrolowanie kluczami samolotów lotnictwa wybrzeża, użycie lotnictwa myśliwskiego, zarówno dziennego jak i nocnego, oraz współdziałanie samolotów z okrętami będącymi pływającymi ośrodkami dowodzenia lotnictwem, dzięki stosowaniu na okrętach radarów i

radia, przez co wydłużono istniejącą sieć wykrywania samolotów nieprzyjacielskich nad Atlantykiem.

Na nowym lotnisku dywizjon przebroił się w samoloty Wellington XIII. Były one specjalnie przystosowane do pracy w lotnictwie wybrzeża; były pomalowane całe na biało i miały tylną część kadłuba pokrytą rzędem masztów antenowych najnowszej typu stacji radarowych (A.S.V.II.). Stacja ta (skrót od słów Anti Surface Vessel) pozwalała na wykrywanie okrętów podwodnych tak zanurzonych, jak i płynących na powierzchni. W dzień stacja wykrywała okręty zanurzone sprawniej od oka ludzkiego, a w nocy umożliwiała zwalczanie okrętów podwodnych, które zwykle wówczas wynurzały się celem ładowania akumulatorów. Zasięg stacji był od 25 do 38 mil, a dodatkowo ułatwiała ona nawigację i lądowanie w złej widoczności.

Zespół masztów nazywano powszechnie „choinką”; polski dywizjon otrzymał nową stację jako jeden z pierwszych, dzięki uzyskaniu pierwszego miejsca w nawigacji w całym lotnictwie wybrzeża.

Od czerwca zwiększyło się natężenie działań niemieckich okrętów podwodnych i wzrastało w dalszych dwóch miesiącach. 304-ty dywizjon odczuł to bardzo ciężko, stracił bowiem w lipcu i sierpniu cztery załogi, nie mając żadnych sukcesów. W obliczu silnych patroli myśliwskich samotny Wellington miał znikome szanse wyjścia cało z opresji i w zasadzie tylko pomoc własnych myśliwców ratowała samoloty lotnictwa wybrzeża od zagłady.

3 lipca nie wróciła załoga w składzie: por. pil. M. Nowak, plut. pil. R. Strek, por. obs. J. Błachowski, plut, rtg. S. Piłat, strzelcy J. Fedak i H. Szulgin.

26-go zginęła na Biskajach załoga: por. pil. S. Roliński, plut. pil. R. Zagórowski, por. obs. W. Jagiełło, kpr, rtg. S. Zawiliński, strzelcy S. Ehrlich i por. J. Kulicki.

29-go rozbił się po starcie samolot dywizjonu wskutek wady jednego z silników; śmierć ponieśli: mjr. pil. Z. Janicki, kpr. pil. L. Rodziewicz, a pozostali członkowie załogi wyszli z drobniejszymi urazami z katastrofy (por. Kołodziejski, plut. Matlak, kpr. Zentar, kpr. Józwiak).

W sierpniu dywizjon wykonał duży wysiłek bojowy wysyłając 95 samolotów na 23 wyprawy. Wysyłano na jedno zadanie po 5 samolotów razem, w celu zmuszania okrętów podwodnych do przebywania pod powierzchnią wody. Okręty zaczęły jednak przyjmować walkę na powierzchni, tworząc wspólnie silny ośrodek ognia przeciwlotniczego. Myśliwcy niemieccy latali w zespołach od 4 do 16 samolotów, co również przyczyniło się do zwiększenia strat lotnictwa wybrzeża.

13 sierpnia zginęła załoga w składzie: ppor. pil. S. Kielan, plut. pil. W. Pastwa, kpr. rtg. J. Dangel, kpt. obs. S. Widanka, strzelcy F. Górka i K. Czarnecki.

22 sierpnia nie wróciła załoga: por. pil. B. Porębski, sierż. pil. K. Gawlik, por. obs. B. Matuszewski, sierż. rtg. W. Walkiewicz, strzelcy S. Szczepaniak i J. Wojniłowicz.

We wrześniu dywizjon dostał samoloty Wellington XIV wyposażone w tzw. Leigh Lights, to jest reflektory do oświetlania okrętów podwodnych w nocy. Cały samolot był jakby wielką elektrownią, będąc naładowany różnym sprzętem i bateriami. Prócz reflektorów Wellington XIV miał nowe radary (ASV. III), nowe pomoce nawigacyjne, urządzenie do ślepego lądowania, radiowy wysokościomierz i inne urządzenia. Skutkiem tego bogatego wyposażenia zmniejszyła się szybkość i zwrotność samolotu, ponieważ jednak był on przeznaczony do działań w nocy, nie było to zbyt groźne.

Pomimo tych nowych urządzeń, latanie stało się jeszcze bardziej wyczerpujące, gdyż wymagało stałego napięcia uwagi i nerwów, a loty trwały do 12 godzin.

6 września samolot dywizjonu wracający z nocnego lotu stoczył walkę z czterema Junkersami. Załoga samolotu była w składzie: plut. pil. F. Rybarczyk, kpr. pil. S. Franczak, por. obs. W. Chomka, kpr. rtg. W. Druciak i strzelcy R. Ledniak i W. Sławiński. Strzelcy zestrzelili prawdopodobnie jednego Junkersa; por. Chomka odniósł lekkie obrażenia w czasie przymusowego lądowania samolotu bez podwozia; w samolocie naliczono 116 trafień od pocisków działek i k.m.

Październik upłynął dywizjonowi na szkoleniu na nowym sprzęcie i różnych kursach obesłanych przez personel dywizjonu. Wykonano tylko cztery loty bojowe.

W listopadzie dywizjon wykonał 17 wypraw w których wzięło udział 73 samoloty. Loty były wyłącznie w nocy. 18 listopada dowództwo dywizjonu objął mjr. obs. Czesław Korbut.

W grudniu dywizjon wykonał 18 wypraw wysyłając 80 samolotów. Patrowanie nad Zatoką Biskajską nie dawało żadnych wyników, co tłumaczono znacznym zmniejszeniem się działalności niemieckich okrętów podwodnych w tym okresie.

13 grudnia dywizjon przeniósł się na lotnisko Predannack na południowym cyplu Kornwalii, na którym poprzednio stał 307 dywizjon nocny Lwowski, który właśnie zakończył swoją działalność w Bitwie o Atlantyk.

Bilans 304 dywizjonu za rok 1943 wyraził się następującymi liczbami: wykonano 574 samoloto-zadania w czasie 4.770 godzin operacyjnych, wyrzucono 0,8 ton bomb i 6,1 ton min.

Bitwa o Atlandtyk nie była jeszcze skończona; udział 304-go dywizjonu w ostatniej fazie bitwy omówię po przedstawieniu działań nocnego dywizjonu 307-go Lwowskiego w Bitwie o Atlantyck w 1943 roku.

307 Nocny Dywizjon Myśliwski Lwowski

Wiosną 1943 roku Dywizjon Lwowski przygotowywał się do nowego rodzaju zadań bojowych na lotnisku Fairwood Common w południowej Walii.

Działalność niemieckiego lotnictwa bombowego przeciw Wielkiej Brytanii już prawie zanikła, toteż Brytyjczycy zaczęli używać swego nocnego lotnictwa myśliwskiego do działań zaczepnych nad terenem przeciwnika, czyli do tak zwanych *intruder and ranger operations*, spolszczonych na intruderkę i rendzkerkę.

Intruderka polegała na zwalczaniu lotnictwa nieprzyjacielskiego w nocy na jego lotniskach i w pobliżu nich. Rendzkerka polegała na atakowaniu w dzień i w nocy szczególnych celów na ziemi, głównie komunikacji (stacje kolejowe, pociągi w ruchu, ruch na drogach, stacje radarowe, elektrownie itp.), przy czym lot odbywał się tuż nad ziemią, na wysokości przeszkód terenowych, czyli starym polskim zwyczajem — „kosiakiem”, technika znana nam od 1920 roku.

Naturalnie na nowoczesnym sprzęcie o dużej szybkości lot taki był trudny, wymagał ogromnej wprawy od pilota i dobrej nawigacji oraz ogólnej orientacji od obserwatora. Szkolenie dywizjon prowadził nad górzystym terenem Walii, w dzień i w nocy.

W maju dywizjon rozpoczął nowe działania kilkoma załogami najbardziej doświadczonymi; w tym okresie dywizjon stracił jedną załogę w locie bojowym i jednego pilota (z mechanikiem) w czasie oblatywania samolotu.

Dywizjon miał od grudnia 1942 nowe samoloty, Mosquito I oraz później Mosquito VI (kilka sztuk).

Samolot Mosquito był rewelacją: całkowicie drewnianej konstrukcji, dwusilnikowy, dwumiejscowy, był wówczas najszybszym na świecie dwusilnikowym samolotem i był dostosowany — po małych uzupełnieniach — do roli myśliwca nocnego i dziennego bombowca. Pierwsza wersja rozwijała szybkość do 340 mil, następne do 400 mil. Uzbrojenie składało się z 4 działek 20 mm i 4 k.m., a do zadań myśliwskich samolot był wyposażony w najnowszą stację radarową (A.I.Mk.5). Pułap wynosił 35 tysięcy stóp, zasięg przy dodatkowych zbiornikach 1.500 mil.

Pilot i nawigator siedzieli obok siebie w wygodnej kabinie, która miała doskonały zakres widzenia na wszystkie strony. Samolot był przyjemny pod każdym względem i łatwy w prowadzeniu, a co najważniejsze, pozwalał na wykonywanie ewolucyj potrzebnych w walce powietrznej niemal tak jak jednosilnikowy myśliwski. Lądowanie było ułatwione dużą rozpiętością szybkości — od 120 do 400 mil. Samolot mógł lecieć zupełnie bezpiecznie i szybko na jednym silniku.

Z początkiem sierpnia 1943 dywizjon nieoczekiwanie wyszedł z lotnictwa myśliwskiego (Fighter Command) i został oddany dowództwu lotnictwa wybrzeża na okres trzech miesięcy.

7 sierpnia dywizjon przeniósł się na lotnisko Predannack. Jest to duże i płaskie lotnisko z doskonałymi podejściami, ale start jest podobny jak z lotniskowca — wprost nad morze ze skalistego wybrzeża.

Cel nowych zadań dywizjonu został określony przez brytyjskiego oficera informacyjnego na pierwszej odprawie w następujących słowach:

„Statki z żywnością, z wojskiem i amunicją przepływają Atlantyk. Są to nasze statki. Nieprzyjaciel wysyła przeciw nim swoje okręty podwodne. Przeciw okrętom podwodnym my wysyłamy nasze Wellingtony i Sunderlandy. Przeciw Wellingtonom i Sunderlandom oni wysyłają swoje Junkersy 88 i Messerschmitty 110. Przeciw tym my wysyłamy nasze Beaufightery i Mosquita. Przeciw Beaufighterom i Mosquitom nieprzyjaciel wysyła Focke-Wulfy. Przeciw Focke-Wulfom my zaczniemy wysyłać Tempesty i Mustangi. To jest wszystko. Teraz wiecie, panowie, czego macie szukać i czego unikać”.

To lapidarne i mające być humorystycznym przedstawienie zadań, nie do wszystkich załóg dywizjonu przemówiło w taki sposób jak mówca zamierzał. Dzielne loty nad szarymi wodami Atlantyku i perspektywa spotkania Junkersów i Focke-Wulfów nie wzbudzały entuzjazmu. Nikt nie przewidywał, że udział dywizjonu w Bitwie o Atlantyk przyniesie dywizjonowi największą serię zwycięstw powietrznych i nowe laury Lwowskim Puchaczom sławnym z obrony Exeteru, w którego herbie widnieje ten sam napis co w herbie Lwowa: „Semper fidelis”.

Na nowe zadania dywizjon latał kluczami po 4 samoloty, całymi eskadrami, a czasem nawet całością sił, czyli od 12 do 18 samolotami.

Loty trwały od 5 do 6 i pół godzin, a zasięg wypraw wynosił ponad tysiąc kilometrów w głąb oceanu i do brzegów Hiszpanii. Pewną ilość zadań załogi wykonały na współpracy z krążownikiem Sheffield, który był ośrodkiem dowodzenia myśliwcami.

Technika lotów na patrolowania nad Atlantykiem była następująca. Lot wykonywano na wysokości od lotu koszącego do kilkuset metrów; nawigacja była wyłącznie zliczeniowa, przy czym szybkość wiatru oceniali nawigatorzy na podstawie obserwacji fal; z uwagi na bliskość lotnisk niemieckich myśliwców w północnej Francji i często patrolowania ich nad Zatoką Biskajską, obowiązywała bezwzględna cisza radiowa, przerywana jedynie w wypadkach nagłej potrzeby. Pora lotów zmieniała się, jednak głównie latano we wczesnych godzinach rannych, między czwartą i dziewiątą lub w godzinach popołudniowych, przy czym w tych ostatnich lądowanie następowało często po zmierzchu.

22 sierpnia dywizjon wysłał trzy klucze po 4 samoloty. W locie powrotnym klucz kpt. Lewandowskiego został zaskoczony w pobliżu wysp Scillyjskich przez 4 Focke-Wulfy. Dzięki przytomności umysłu swego nawigatora, por. C. Krawieckiego, kpt. Lewandowski zdążył wydać rozkaz swoim pilotom do przerwania plomby „niebezpieczeństwo” (*emergency*) w celu nabrania maksymalnej szybkości oraz do znurkowania na poziom morza dla uniknięcia ataku od dołu. (Przerwanie plomby ograniczającej pełne ładowanie dawało możliwość wyciągnięcia z samolotu najwyższej szybkości na przeciąg dwóch minut). Dowódca klucza i dwaj boczni zdołali uciec, lecąc w kierunku północy, a dwaj Niemcy goniący ich musieli wkrótce zrezygnować z dalszego pościgu. Czwartym samolot został dopadnięty i zestrzelony. Zginęła załoga: sierż. pil. T. Ekiert i por. obs. K. Małuszek.

11 września wystartowały dwa klucze po 4 samoloty w odstępie półtorej godziny. Pierwszym kluczem dowodził dowódca dywizjonu mjr. pil. Jerzy Orzechowski (z kpt. obs. I. Szponarowiczem), drugim kpt. Maksymilian Lewandowski (z por. obs. Miką). Obydwa klucze miały współpracować z krążownikiem Sheffield.

Klucz mjr. Orzechowskiego wkrótce po nawiązaniu łączności z krążownikiem spotkał patrol niemiecki złożony z 6 Messerschmittów 110. W typowej walce kołowej Moskita górowały zdecydowanie nad Messerschmittami. Wszystkie samoloty niemieckie były kolejno postrzelane, a ostateczny wynik spotkania był następujący: sierż. pil. Dunin-Rzochowski z ppor. Buckiewiczem stracili jeden samolot do morza, por. pil. Damsz z por. Sylwestrowiczem zniszczyli prawdopodobnie jeden, mjr. Orzechowski zniszczył prawdopodobnie jeden i uszkodził trzy. Gęste chmury umożliwiły Niemcom ucieczkę, jednak wszystkie pięć dymiły się. Klucz polski nie poniósł żadnych strat ani uszkodzeń. Oficjalnie przyznano kluczowi 1 samolot nieprzyjacielski zniszczony, 2 prawdopodobnie zniszczone i 3 uszkodzone.

Kpt. Lewandowski ze swoim kluczem spotkał również sześć niemieckich samolotów, ale były to Ju-88. Kapitanowi Lewandowskiemu udało się zaskoczyć Niemców, dzięki czemu zwycięstwo jego klucza było pełne. W pierwszym ataku kpt. Lewandowski i chor. pil. Szempliński zestrzelili po jednym Junkersie, jednak pozostałe broniły się zaciekle. Kpt. Lewandowski zestrzelił jeszcze jednego, który w płomieniach poszedł w morze, ponadto uszkodził trzeciego. Chor. Szempliński również zestrzelił drugiego, ale musiał zaprzestać pościgu za ostatnim Junkersem gdyż jego nawigator, st. sierż. Tilman (Anglik), był ranny.

Razem więc w tym dniu dywizjon zestrzelił na pewno 5 samolotów nieprzyjacielskich, 2 prawdopodobnie i 4 uszkodził.

25 września klucz por. J. Damsza spotkał osiem Ju-88 i pomimo przewagi liczebnej Niemców, Polacy odnieśli zwycięstwo. Por. Damsz z kpt. Szponarowiczem zestrzelili jeden samolot, a drugi uszkodzili; sierż. pil. Steinke z por. Sadowskim zestrzelili na pewno jeden samolot, drugi prawdopodobnie i trzeci uszkodzili, a sierż. pil. Jankowiak z sierż. Karaisem uszkodzili jeden samolot. W walce tej została zestrzelona załoga brytyjska dywizjonu, F/Sgt. Lowndes z F/Sgt. Cotten.

Październik przeszedł bez większych wydarzeń, gdyż Niemcy przestali patrolować nad Zatoką Biskajską i dywizjon nie miał spotkań.

7 listopada dowództwo dywizjonu objął kpt. Lewandowski, a w dwa dni później dywizjon został przeniesiony do Szkocji, na lotnisko Drem (południe od Edynburga). Miał to być wypoczynek i powrót do dawnej pracy, czyli do intruderki i rendżerki, ale ze względu na porę roku dywizjon miał głównie wykonywać nocne patrolowanie obronne.

Niemcy wysyłali z Norwegii samoloty na atakowanie żeglugi brytyjskiej i na rozpoznanie meteorologiczne w rejon Islandii. Brytyjczycy reagowali dziennymi myśliwcami stacjonowanymi na wyspach Hebrydzkich, ale mały zasięg Hurricane'ów i Spitfire'ów nie pozwalał na skuteczne przechwytywanie Niemców. Wiedząc o tym, kpt. Lewandowski zaproponował patrole 307 dywizjonu. Dowództwo brytyjskie zgodziło się chętnie i wyznaczyło lotnisko na wysepce Sumburgh jako bazę klucza Lwowskich myśliwców, zmieniającego się co tydzień.

Zadania były wykonywane przez pojedyncze Moskita w różnych porach dnia; zwykły czas patrolowania wynosił trzy godziny. Pilot był w stałej łączności ze stacją naprowadzania znajdującą się na jednej z wyseppek i w razie wykrycia samolotu nieprzyjacielskiego otrzymywał wskazówki do przechwycenia Niemca.

22 listopada sierż. pil. K. Jaworski z por. H. Ziółkowskim zostali naprowadzeni na mało znany samolot niemiecki Heinkel 177, o dwóch parach silników. Sierż. Jaworski wykonał dwa ataki i zauważył trafienia po obu stronach kadłuba. Dzięki gęstym chmurom Heinkel zdołał uciec, ale w godzinę po wylądowaniu załogi Moskita niemiecka radiostacja w Norwegii stwierdziła, że He-177 w kilka minut po walce z Mosquito nad Atlantykiem zmuszony był wodować i z całą załogą zatonął.

26 listopada leciałem z por. pil. Alfredem Suskiewiczem na ostatnie zadanie z Sumburgh. Był to mój ostatni lot operacyjny, byłem już bowiem przeniesiony do dyspozycji Dowódcy Lotnictwa. Nasz sygnał wywoławczy był „Ranger 26”, a że był to również mój 26-ty lot, uważałem trzy liczby 26 za szczęśliwy omen. Zbliżał się jednak już koniec naszego patrolowania, a stacja naprowadzająca nie miała dla nas Niemca.

Właśnie w chwili gdy dałem wyraz swemu rozczarowaniu, mój pilot przerwał mi, bo wołano nas. „Ranger 26, mam dla ciebie klienta” (*I have a customer for you*).

Niemiecki samolot był na odległości 250 kilometrów od nas, leciał w kierunku Norwegii, prawie na naszej wysokości. Byliśmy nad chmurami, na wysokości 3.000 metrów. Co minutę dawano nam nowe wiadomości o naszym kliencie. Gdy kontroler powiedział: „Teraz powinien być już blisko”, zacząłem patrzeć w dół przez chmury, a mój pilot w górę i przed siebie. Po chwili zobaczyłem Junkersa 88 tuż pod nami, w dziurze w chmurach. Suskiewicz zawrócił maszynę gwałtownie i znalazł się wnet z tyłu Niemca.

Suskiewicz oddał kilka krótkich seryj z działek i karabinów, zdawało nam się, że oba silniki Junkersa zaczęły dymić, ale mój młody pilot w podnieceniu zapomniał zmniejszyć szybkość i musiał zniżyć lot aby się nie zderzyć z Junkersem, po czym zrobił skręt w lewo. Niemiec wykorzystał ten moment i schował się w chmurach.

Zacząliśmy go szukać; wyszliśmy pod chmury, bo ponad nimi Junkersa nie było. Minęło kilka minut bezowocnego krążenia, wobec czego zdecydowałem się szukać Niemca na morzu. Po minucie zobaczyłem daleko przed nami dwa cienkie pasemka białego dymu na morzu, to Junkers leciał kosiakiem z obu silnikami uszkodzonymi. Zapytałem pilota czy dogonimy; odpowiedział twierdząco i zaczął na pełnym gazie nurkować do morza. Pościg trwał sześć minut. Z odległości około czterystu metrów Suskiewicz otworzył ogień; pierwsze pociski były krótkie, widać je było wpadające w wodę, ale następna seria, już z odległości dwustu metrów była trafna. Junkers wybuchł w płomieniach,

złożyły mu się skrzydła i wpaść do morza. Gdy nadlecieliśmy na miejsce — nie było już śladu po samolocie.

Jeszcze przed naszym wylądowaniem niemiecka radiostacja w Norwegii stwierdziła stratę Junkersa.

Dalsze działania 304 Dywizjonu

W styczniu 1944 r. dywizjon Ziemi Śląskiej wykonał 16 wypraw w których wzięło udział 78 samolotów.

W nocy 3/4 stycznia został uszkodzony okręt podwodny na skutek ataków minami głębinowymi i ogniem k.m. przez załogę w składzie: por. pil. Czyżun, por. pil. Siewruk, por. obs. Kolano oraz sierżanci Barański, Bąk i Czerpak.

Następny atak na okręt podwodny był wykonany w nocy 28 stycznia, a sztab morski ocenił atak jako udany, podkreślając z uznaniem pierwszy popis chor. pil. Buczyńko który będąc drugim pilotem wykonał atak. Pozostały skład tej załogi: por. pil. Antoniewicz, sierżanci Moller, Iżycki i Pasyk.

W lutym wysiłek dywizjonu zwiększył się; wykonano 21 wypraw w których wzięło udział 110 samolotów. Atakowano dwa okręty podwodne, ale wyników nie udało się stwierdzić.

W marcu dywizjon wysłał 119 samolotów na 27 wypraw. Od końca lutego dywizjon stał na lotnisku Chivenor w północnym Devonie.

3 marca samolot dywizjonu otrzymał na ASV kontakt wprost z przodu, na odległości 4 mil. Po dwóch minutach lotu pilot zobaczył okręt podwodny płynący na powierzchni. Atak wykonano z wysokości dwustu stóp; miny głębinowe obramowały cel — dwie z tyłu, cztery z przodu. W chwili ataku okręt zanurzył się. Według oceny sztabu morskiego atak był doskonale wykonany i powinien być „śmiertelny”, jednak z braku dowodów trzeba było się wstrzymać z ostateczną oceną. Skład załogi był następujący: ppłk. pil. Werakso*, sierż. pil. Kurnik, sierżanci Pakuła, Herman, Lender i Edelman.

26 marca samolot por. pil. Czyżuna był atakowany przez dwa Me-110. W czasie walki jeden samolot niemiecki został na pewno zestrzelony, a drugi prawdopodobnie zestrzelony. Wellington miał szereg uszkodzeń, a tylny strzelec był lekko ranny. Prócz

* Ppłk. Werakso był w latach 1927/29 dowódcą eskadry w Szkole Oficerskiej Lotnictwa w Dęblinie; w kampanii wrześniowej dowodził dywizjonem bombowym.

por. Czyżuna w załodze byli: por. pil. Siewruk, por. obs. Kolano, plut. rtg. Bak, strzelec przedni Barański i strz. tylny Czerpak.

W kwietniu dywizjon stracił dwie załogi i wykonał 19 wypraw w których brało udział 60 samolotów.

6 kwietnia nie wróciła z zadania załoga: plut. pil. B. Marton, plut. pil. S. Franczak, por. obs. Sz. Stańczykiewicz, strzelcy W. Kołodziej, A. Sankowski i B. Janicki.

9 kwietnia mjr. Korbut zdał dowództwo dywizjonu majorowi Krancowi. Dywizjon gościł dawnego swego dowódcę, ppłk. dypl. Poziomka, zastępcę szefa sztabu Dowództwa Lotnictwa. Następnego dnia ppłk. Poziomek wybrał się jako widz na lot bojowy. Samolot nie powrócił z lotu, prawdopodobnie był zestrzelony. Po kilku dniach morze wyrzuciło na brzeg hiszpański ciało ppłk. Poziomka. Załogę samolotu stanowili: sierż. pil. W. Czekalski, por. pil. L. Małynicz, mjr. obs. E. Stańczyk, plut. rtg. F. Matlak, strzelcy E. Siadecki, B. Szpinalski.

Dwa samoloty dywizjonu miały w kwietniu spotkania z Junkersami, ale żadna ze stron nie miała strat. Jedna załoga wykonała atak na okręt podwodny, ale wyników nie stwierdzono.

W maju dywizjon wysłał 64 samoloty w 22 wyprawach. Atakowano w tym miesiącu dwa okręty podwodne, przy czym atak w nocy 4/5 maja wykonany przez załogę por. pil. L. Międzybrockiego w ogniu przeciwlotniczym z drugiego okrętu podwodnego był oceniony przez sztab morski jako bardzo dobry i zakończony co najmniej silnym uszkodzeniem okrętu.

W czerwcu dywizjon wykonał 84 samoloto-zadania; atakowano trzy okręty podwodne, z których dwa były prawdopodobnie uszkodzone.

Wysiłek bojowy w lipcu zwiększył się znowu; wykonano 25 wypraw na które wysłano 94 samoloty.

Stosunkowo mniejsza działalność niemieckich okrętów podwodnych w drugiej połowie 1944 roku oraz wprowadzenie na nich urządzenia „oddechowego” czyli tzw. Schnoerkla, pozwalającego na przebywanie okrętu pod wodą niemal stale, bez konieczności wynurzania się, zmniejszyły bardzo wydatnie spotkania okrętów przez samoloty Coastal Command. W lipcu tylko jedna załoga dywizjonu atakowała okręt podwodny, przy czym wynik był nieznany.

Pomimo zwiększenia wysiłku dywizjonu w sierpniu, 120 samoloto-zadań, załogi nie wykryły ani jednego okrętu podwodnego.

We wrześniu i październiku nastąpiło zmniejszenie wysiłku bojowego, zarówno z powodu złych warunków atmosferycznych, jak i z powodu rozdzielenia dywizjonu na dwóch lotniskach oraz braku doświadczonych załóg. Część bojowa dywizjonu była na

lotnisku na wysepce Benbecula, a część techniczna pozostała w Chivenor.

W listopadzie jedna załoga atakowała okręt podwodny, lecz rezultat ataku pozostał nieznany, a w grudniu spotkań nie było. W końcu grudnia mjr. Kranc zdał dowództwo dywizjonu kapitanowi pil. S. Żurkowi.

Zima na Hebrydach dawała się dywizjonowi dobrze we znaki. Pomimo ciężkich warunków atmosferycznych w styczniu 1945 roku dywizjon wysłał 44 samoloty na zadania bojowe.

W nocy 10/11 stycznia dwie załogi atakowały okręty podwodne wyposażone w Schnoerkle; rezultaty ataków pozostały nieznane.

W lutym dywizjon wykonywał dzienne patrolovania szukając okrętów podwodnych które znowu zwiększyły swoją działalność. Wykonano 72 zadania w 21 wyprawach.

16 lutego załoga w składzie: por. pil. Woźniak, chor. pil. Jurjewicz, sierżanci Piekło, Cieluch, Marcinkiewicz i Kaliński, atakowała okręt podwodny z wysokości dwustu stóp; przypuszczano, że okręt zatonął lub uległ poważnemu uszkodzeniu.

20 lutego znowu atakowano okręt podwodny. Skład załogi był: por. pil. Ejbich, por. pil. Żurawiński, sierżanci Kostytko, Siedlicki, Sękacz i Wyglądała.

W marcu dywizjon wrócił do Kornwalii, tym razem na lotnisko St. Eval.

Wykonano w tym miesiącu 19 wypraw, w których brało udział 65 samolotów. Tylko jedna załoga atakowała okręt podwodny, jednak bez wyraźnych skutków.

Pomimo wyraźnego zbliżania się końca wojny wysiłek bojowy dywizjonu nie zmniejszył się w kwietniu, gdyż dywizjon wykonał 27 wypraw wysyłając na nie 90 samolotów.

2 kwietnia załoga chor. pil. Marczaka wykonała bardzo dobry atak na okręt podwodny, ale ostateczny wynik nie był znany przez wiele miesięcy, gdy dokładne badania sztabu morskiego wykazały, że okręt U-321 był zatopiony. Pozostałymi członkami załogi chor. Marczaka byli: por. pil. Cybulski, por. obs. Dubiel, sierżanci Frackowiak, Skwarek i Kalinowski.

22 kwietnia samolot dywizjonu atakował okręt podwodny płynący pod powierzchnią; wyrzucono 6 bomb głębinowych i zrobiono zdjęcia fotograficzne; zdjęcia się nie udały z powodu ciemności, rezultat ataku pozostał nieznany.

W maju dywizjon wykonał 43 samoloto-zadania. Ostatni lot bojowy odbył się już po oficjalnym zakończeniu wojny, bo w dniu 11 maja. Załoga w składzie: por. pil. Garstecki, sierż. pil. Cylwik, ppor. obs. Gajewicz, sierżanci Czimkiewicz, Markiewicz

i Jachimowicz, napotkała okręt podwodny z wywieszoną czarną flagą na znak poddania się.

Zakończenie

Udział Lotnictwa Polskiego w Bitwie o Atlantyk był pod względem liczebnym skromny: jeden dywizjon działał w ciągu trzech lat, dwa dywizjony w ciągu trzech miesięcy 1943 roku. Wobec całości zaangażowanych w bitwie brytyjskich sił powietrznych — przeciętnie kilkuset samolotów w każdym roku — była to ilość nieznaczna, ale wysiłek bojowy obu polskich dywizjonów i rezultaty ich działalności bojowej były duże nawet w ogólnej skali wojny i przysporzyły chwały imieniu Polski.

Wysiłek bojowy był następujący:

304 dywizjon — 2.451 samoloto-zadań w czasie 21.331 godzin,
307 dywizjon — 538 samoloto-zadań w czasie 2.037 godzin,
czyli razem 2.989 lotów bojowych w czasie 23.368 godzin.

Załogi 304-go dywizjonu atakowały 31 okrętów podwodnych i osiągnęły następujące wyniki, oficjalnie zatwierdzone:

2 okręty podwodne zatopione na pewno (U-444, U-331),
2 okręty ciężko uszkodzone, 3 okręty lekko uszkodzone, 16 wyników ataków nieznanymi, 8 ataków nieskutecznych.

W walkach powietrznych nad Atlantykiem polscy lotnicy odnieśli następujące zwycięstwa:

Samoloty nieprzyjacielskie

	<i>zniszczone</i>	<i>prawdopodobnie zniszczone</i>	<i>uszkodzone</i>
304 dywizjon	3	3	4
307 dywizjon	10	3	7
Razem:	13	6	11

Straty polskie w Bitwie o Atlantyk wyniosły 73 lotników poległych w lotach bojowych i 35 w lotach ćwiczebnych.

Franciszek KALINOWSKI

WSPOMNIENIA

Stanisław KOT

WSPOMNIENIA (DOK.)

PANIE W KRZYWEJ

Byłem w III klasie, gdy mi ojciec dał znać (z ust księdza proboszcza Starca), że „Panie z Krzywy” prosiły, abym je odwiedził, gdy przyjadę na święta Bożego Narodzenia (1898), by się porozumieć co do nauki chłopczyka. Ojciec mnie zachęcił, abym się tam wybrał i rozmówił, bo to bardzo dobre panie. Tak nawiązałem stosunki z tą rodziną, które mi otwały oczy na inny świat niż znany dotąd. Deklamując już wtedy wspaniałą poemat Mickiewicza „Nam strzelać nie kazano”, nie przewidywałem, że los mnie zetknie z rodziną Juliana Konstantego Ordon.

W Krzywy było gospodarstwo chłopskie, około dwadzieścia morgów, skupione przez X. Maraszewskiego dla jego brata, ciągnące się wąskim pasem od drogi wiodącej od Lipia do Czarny jakieś dwa km. ku północy aż pod las krzywski złączony z czarnieńskim i mrowelskim. Wielka ta masa sosen i świerków, oddzielająca powiat ropczycki od rzeszowskiego, a zatem i województwo sandomierskie od ruskiego, stanowiła las tajemniczy, bez dróg i połączeń, którego zazwyczaj nikt na tamtą stronę nie przechodził. Nikt w Krzywej nie wiedział, kim byli właściciele lasów, nigdy ich z tej strony nie widziano, podobno, przebywali zagranicą. Sąsiedztwo lasu sprawiło, że gdy po śmierci Maraszewskiego gospodarstwo ogłoszonymi w gazetach było wystawione na sprzedaż, nabył je inż. Władysław Kulesza, pochodzący spod Płocka, zarobiwszy nieco dolarów przy budowie mostu w Hoboken koło Nowego Jorku; zagrożony gruźlicą szukał gdzieś zdro-

Na tym kończą się wspomnienia prof. St. Kota. Ciężka choroba uniemożliwiła mu — niestety — ich kontynuację. (Redakcja).

wego kąta wiejskiego w oparciu o lasy żywiczne. Przyjechał z rodziną, wybudował schludny domek mieszkalny w wielkim starym sadzie, doczekał się urodzenia córeczki i zmarł. Pozostała wdowa, Regina z Ordonów, z dwojgiem dzieci, o które drżała jako urodzone z ojca gruźlika. Do pomocy w gospodarstwie przybyła z Płocka starsza jej siostra Maria. Były one córkami rejenta z Płocka, Emiliana Ordon, młodszego brata Mickiewiczowskiego bohatera. Miały dwóch starszych braci księży, Zygmunta proboszcza w Sierpcu i Stanisława dziekana w Mławie. Maria, wówczas lat około 50, stara panna, zgarbiona i krótkowzroczna, kochając najmłodszą siostrę, na jej wezwanie pojechała do Ameryki, aby jej pomagać, i nadal u niej żyła i pracowała. Była to osoba mądra, surowych zasad, obdarzona świetną pamięcią. Zazwyczaj samotna, spędzała ze mną długie godziny opowiadając mi, gdy okazywałem ciekawość, szczegóły życia w Królestwie, wspomnienia z powstania, osobliwości rządów rosyjskich itp. Z rodziny bardzo nabożnej, wyznawała wszystkie nauki kościoła, z jednym tylko zastrzeżeniem, z którym się zwierzała na spowiedzi, że nie tylko człowiek ma duszę, pies ma ją na pewno. Podczas tych opowiadań nauczyła mnie palić papierosy i pić czarną kawę, nie mogąc mnie nie wtajemniczyć w jedyne rozkosze swego monotonnego życia. Papierosów oduczyło mnie ciężkie zatrucie nikotyną w 1936 r. Co do czarnej kawy od 13 roku życia jestem wierny temu nałogowi i jemu zawdzięczam łatwość myślenia i pisania; nie daję sobie jej odebrać i dzisiaj żadnemu naciskowi lekarzy. Mój przyjaciel, od 25 lat bezinteresownie troszczący się o moje zdrowie — wpakował we mnie parę tysięcy zastrzyków — dr Jaworski wynalazł mi kompromisową formułę, którą się ratuję przed nielitościwymi lekarzami we Francji, że kawa to dla mojego serca coramina.

Z ust pani Marii Ordon poznałem obraz barwny życia w Królestwie po roku 1863 zwłaszcza jego życie towarzyskie i stosunki kościelne; prowadziła ona gospodarstwo kolejno dwóm braciom księżom a znała ich kolegów z Seminarium Teologicznego płockiego, bywających u niej w domu. Dużo zgryźliwości powtarzała o pozytywistach warszawskich np. o Świętochowskim — zawsze nazywając go Świntuchowski — także o Krzywickim, którego znała jako uczniaka w gimnazjum. Nie mogąc się przyzwyczaić do galicyjskiego „Głosu Narodu”, od rodziny w Płocku sprowadzała stopy gazet warszawskich oraz wycinanych z nich felietonów z powieściami, z nich najsilniejsze wrażenie zrobiły na mnie „Pożary i Zgliszcz” Zmogasa (Marii Rodziewiczówny).

Do opowiadań starszej, młodsza siostra, Regina, pani domu, znacznie mniej wprowadzona w szczegóły powstania, przygry-

wała na fortepianie i śpiewała mnóstwo pieśni patriotycznych, śpiewanych przez ówczesne młode pokolenie. Wiele ich było środowisku rzeszowskiemu nieznanych, spisywałem więc słowa, chwyciłem melodie, aby je popularyzować wśród kolegów, tym bardziej, że niektóre pieśni w tradycji ustnej brzmiały inaczej niż w drukowanych śpiewnikach. Na przykład:

*Co to za gwar? Wesoły car,
bo mu Göregy oddał pałasz
jako zdrady dar.*

*Dalej carze, ruszaj w tany
Bo nowe brzęczą kajdany,
Nowe świszczą baty, knuty,
świeża płynie krew!*

*Stój carze stój nie ustał bój
Jeszcze Kłapka jest w Komornie
Słychać polskie „tu!”.*

*Póki jeden Polak żyje,
póki polskie serce bije,
póty póty czuwaj carze,
i na czatach stój!*

*Nadejdzie czas, że będziesz nasz!
Twoje berło zamienimy
na konopny pas!*

*Będziesz dyndał dyndał carze,
a pod tobą dygnitarze,
my pod tobą pobulamy,
to życie dla nas!*

*Niech żyje Bem, z nim bracia z nim!
Nieśmy sztandar polskiej broni
W kąty obcych ziem!*

*A gdy miną skutki zdrady
Wtenczas taktem galopady
Wrócim wszyscy do Ojczyzny
A na czele Bem!*

Nigdy nie docieklełem autora tej wersji, choć redakcja łagodniejsza, ale nie tak dokładnie związana ze ścisłą datą powstania obecnej, i jej melodia były szeroko znane. Prosząc mego przyja-

ciela Stanisława Łempickiego o opracowanie dla Biblioteki Narodowej „Polskiej Pieśni Narodowej”, upominałem się, aby tę właśnie wersję wprowadzić.

Wśród pieśni z Płockiego zauważyłem, że śpiewano bardzo wiele Pieśni Janusza (Winc. Pola), uderzała mnie ponura melodia pieśni:

*O Ojczyźnie i o Sławie
nuci młodzież po Warszawie
a pod Kownem gwar,*

*Dalej w pochód, hej rebiata
Na podbicie reszty świata
Sle nas Bóg i Car!*

W zwrotce dalszej jest wiersz: „I biesiady wron!” — śpiewając ją z przejściem byłem przekonany, że ów „wron” to jest nazwa czegoś osobliwego np. urok biesiady. Tak mi się to wbiło w głowę, że kiedy prof. Józef Kallenbach dla Biblioteki Narodowej opracowywał Pieśni Janusza, zapytałem, jak on objaśni ów biesiady wron? Jakież moje było zdziwienie, gdy powiedział: „A po cóż objaśniać jak wrony biesiadują?”

Nucenia cioci Mani i gry pani Reginy, o które się wciąż dopraszałem słuchoł skwapliwie 7-mio letni chłopczyk Witold, który też przyswoił sobie zaraz i melodię i słowa, i tak we dwóch tworzyliśmy prymitywny chór. Program nasz prędko rozszerzył się i na kolędy, któreśmy słyszeli w kościele, a ja ich już sporo znałem z domu ojcowskiego i z chóru gimnazjalnego w Rzeszowie.

Wieś kochała kolędy i raz przez przodków wyuczone, przechowywała troskliwie. One zbliżały ku niej, ku prostym ludziom, pogardzanym i ośmieszonym, i postać i całe otoczenie Zbawiciela. Wieś była dumna, że kolędy świadczą o obecności w jasełkach w Nocy Wigilijnej pasterzy i chłopków. W treści kolęd znajdowano motywy zrozumiałe dla prostoty a często zaczerpnięte z jej wyobrażeń i życia. Nie lud je układał, ale wiele z nich było dla ludu układanych w oparciu o jego pojęcia i czynności. Nawet w kolędach, osnutych na melodiach liturgicznych lub z opery włoskiej, odczuwało się związek z światem wsi.

Wyszukiwaliśmy różne kolędy w staroświeckich kantyczkach, zbieraliśmy nieznanne nam a śpiewane w sąsiednich parafiach. Zauważyłem, że różnorodność kolęd i zainteresowanie nimi w miasteczku nie było tak gorące jak u nas. Chór uczniowski w Rzeszowie wyszukiwał skwapliwie i modne i stare. Nie należałem do niego i ze względu na słaby głos i z braku czasu na ucześnie

na próby, ale Witold Kulesza, doszedłszy do lat gimnazjalnych, był jedną z podpór chóru jako drugi tenor. Z nim razem przez lata stanowiliśmy w naszej okolicy ośrodek koledziarstwa. Spotkawszy się po dłuższym niewidzeniu, porównywaliśmy świeży repertuar i licytowaliśmy się, który zdobył więcej nieznanych dotąd koled i melodii. Nie pojmowaliśmy okresu świąt bez koled; temu do nich przywiązaniu zawdzięcza i moja 14-letnia wnuczka w Londynie przywiązanie do polskości, wyuczywszy się koled od babci. Nigdy nas nie wzruszało podżartowywanie z tego rzekomo „plebejskiego” zamiłowania, a wcale ciekawe osobistości miejskiego pochodzenia dzieliły je z nami z zapałem. W latach dojrzałych, za pobytu w Krakowie, co roku w okresie Bożego Narodzenia gromadziła się u nas garść zapalonych miłośników koled. Przewodził im greko-katolik, z rodziny ukraińskich parochów, liberał demokrata, Konstanty Srokowski, znakomity publicysta, znawca Rosji (ongis współredaktor petersburskiego „Kraju”, potem redaktor „Nowej Reformy” w Krakowie), partner Lenina, za jego pobytu w Krakowie, w grze w szachy. Pierwszorzędnym basem górował on nad śpiewakami; w znanym dialogu: „O Józefie! czego chcecie?” zawsze sobie rezerwował partię Józefa. Wtórował mu z zapałem też zacięty liberał, Michał Janik, doskonały polonista. Pomagał i prof. Stanisław Estreicher, redaktor Szopki Krakowskiej, a współnucił i redaktor „Naprzodu”, Emil Haecker.

Śpiewanie koled z Witoldem Kuleszą miało pewne następstwa. Chłopiec był bystry, krytyczny, chciał wszystko rozumieć i nudził otoczenie o wyjaśnienie, czego nie rozumie. A było w koledach sporo takich zwrotów, sytuacji i wyrażeń, trzeba było więc wszystko wy badać i wyjaśnić, zwłaszcza w tak starych koledach jak śpiewana za Kazimierza Wielkiego „Anioł pasterzom mówi” albo „Przy onej górze świecą się zorze”, już około r. 1600 uchodzącej za dawną śpiewaną.

To nawyknienie przeniosło się tak do pieśni narodowych jak do pieśni ludowych, na które wkrótce nadszedł obopólny zapal kolekcjonerski. Ten zapal udzielił się wielu kolegom w Rzeszowie, zbyt dotąd zajętym pieśnią sentymentalną o wspólnym rodowodzie z dworków szlacheckich, którym wkrótce konkurencję zaczął robić wpływ operetki. Rozśpiewanie młodzieży rzeszowskiej, wspierane przez doskonały chór szkolny, było szeroko znane; jako osobliwość wyróżniającą ją wśród innych szkół słusznie zaznacza to J. Bieniasza powieść „Edukacja Józia Boracza”.

Ale nie wolno tu pominąć i pieśni kościelnych, które ten chór gorąco pielęgnował. Organistami i kierownikami chóru byli starsi koledzy i oni zewsząd gromadzili podnioślejsze śpiewy, za-

równy polskie jak łacińskie, na wszystkie święta i pory roku. Nawet najbardziej rozbrykana młodzież wychodziła z kościoła pod urokiem pieśni nabożnych, także i łacińskich (Veni Creator, Te Deum Laudamus, O salutaris Maria, Tantum ergo Sacramentum, Stabat Mater, Ecce panis Angelorum itd.), z których cała młodzież pamiętała i nuciła liczne zwrotki.

Rola wychowawcza pieśni i religijnej i świeckiej i patriotycznej dla młodzieży była w tym okresie ogromna. Ileż pożytecznej upływał czas na śpiewaniu ich przy każdym zetknięciu się grupki młodzieży. Ileż podniosłej i szlachetnej treści pozostawało po nich w sercu i w głowie. One zapadały w pamięć na całe życie i w późniejszym wieku przy spotkaniach czyniło się do nich aluzje, pełne gorącego przejęcia.

To samo odnosi się i do pieśni, które też szybko zdobyły popularność, o treści społecznej i rewolucyjnej, jak Czerwony Sztandar, Warszawianka (robotnicza), do nich przyłączano „O cześć wam panowie magnaci” itd.

Pobyt mój w Krzywy, odtąd powtarzany w czasie świąt i wakacji, miał dla mnie jeszcze ważne następstwo wychowawcze. Współżycie z kolegami na prymitywnych stacjach u różnych szewcowych i kobiecich żyjących z trzymania uczniów nie sprzyjało uszlachetnieniu życia towarzyskiego ani form grzecznego zachowania się. Szorstkość wyrażań i gestów, nawet pewna ordynarność cechowały ton na stacjach i stawały się modą wśród uczniów, uchodziły za objaw tężyzny. Krzywiących się na to, nie lubiących tej ordynarności piętnowano jako „paniczów”, mamińskich synków lub papinków, nie nadających się do życia koleżeńkiego. Koledzy z domów zamożniejszych, troskliwie wychowani, musieli dostosowywać się do zbiorowości, aby ich nie wyśmiewano. Dopiero w klasach wyższych, około 16 roku życia, budziła się znajomość delikatniejszych form w postępowaniu codziennym, w obcowaniu ze starszymi i młodszymi, w rozmowie, w gestach, przy stole, w ubiorze itd.

Los mi zdarzył tak szczęśliwie, że otoczenie w Krzywy było niezwykle starannie wychowane i że każdy ruch, każda odpowiedź, zachowanie się w każdej sytuacji służyć musiały za wzór, do którego należy się przystosować. Na ogół asymilowało się do tego automatycznie, bez osobnej dyskusji. Czasem swoją rolę spełniało żartobliwe scharakteryzowanie lub ośmieszające ruchy lub słowa, zaobserwowane przy zetknięciu się z różnymi osobami na wizytach, przy spotkaniach, w rozmowie. Mimowoli narzucał się i przyswajał ten sposób życia, poruszania się trzymania się, zachowywania się w towarzystwie, jaki panie z Krzywy reprezentowały. „Królewianki” z dobrej rodziny, pełne taktu,

uchodziły wśród elity okolicznej za osoby najlepszych manier i za wzór dobrego wychowania i dobrego tonu dla galicyjskiej parafiańszczyzny.

Szkoła w prowincjonalnym zakątku mało dbała o wychowanie form towarzyskich. Czasem zwracał na to uwagę któryś profesor, ale i w gronie nauczycielskim były objawy i przykłady ordynarnej rubaszności. W tłumnym gimnazjum nie było możliwości organizowania życia towarzyskiego. Tylko wyjątkowo szczęśliwi pod tym względem byli nieliczni chłopcy z rodzin o wyższej stopie kulturalnej. Sposobność do tego przychodziła dla starszych chłopców dopiero, gdy się nadarzały lekcje tańca. Odbywały się one poza szkołą, ale szkoła odnosiła się do nich życzliwie. Nie tylko dlatego, że popierały je wszystkie wpływowe w mieście mamy, które miały córki dorastające, w tym i żony niektórych profesorów. Władze szkolne uważały te kursy za przydatne do ogłady chłopców, nieraz dość zdziczałych i popisujących się swoją niezgrabnością i szorstkością. „Metr” tańca był znany z wielu lat praktyki, pan Skolimowski z Tarnowa, uczył on grzeczności w słowach i ruchach w kłanianiu się, pytaniach i odpowiedziach. Niezgrabne niedźwiadki powoli stosowały się i do opinii panienek, o wiele lepiej wychowanych w rodzinach urzędniczych, inteligentkich, oraz ich mam, które spod ścian sali tanecznej troskliwie śledziły każdy krok i młodzieńców i córek. Niektórzy z niedźwiadków w zapale wykonywania ruchów wytwornych aż przeholowywali i byli przedmiotem śmiechu ogólnego.

STRUKTURA KLASY

Z początkiem września 1896 znalazło się nas w I klasie 160, prawie tylu, ilu było razem w czterech klasach wyższego Gimnazjum. Podzielono nas na 3 oddziały, oznaczone A, B, C. Tak licznego napływu do gimnazjum w Rzeszowie jeszcze nigdy nie było, po raz też pierwszy trzeba było wprowadzać oddział C. Napływ ten był wywołany przez wieś. Synów chłopskich było razem w klasie I-jej tylu, że co trzeci prawie chłopiec przyszedł ze wsi.

Aby ocenić nowość spowodowaną tym napływem, warto porównać cyfry późniejsze z okresu Polski wskrzeszonej i Polski Ludowej. Otóż w r. 1929 wszystkich synów chłopskich w całym gimnazjum w Rzeszowie było 135, w r. 1937 — 65, w r. 1957 — 56. Nie wchodząc w przyczyny takiego spadku, zresztą ogólnie znane, musimy stwierdzić, że rozpęd i poczucie swej siły we wsi środkowo galicyjskiej przed pół wiekiem z górą było o wiele mocniejsze niż w latach późniejszych. I nie tylko w Rze-

szowie tak było, wzrost liczby chłopskich synów był również wielki w Tarnowie, w Sanoku, w Jasle. Taki stan liczebny szybko wywarł piętno na ogólnej fizjonomii szkoły.

Byłoby przesadą twierdzić, że się zarysowały różnice klasowe. Były pewne różnice: jedni chłopcy lepiej ubrani, drudzy gorzej, jedni zaopatrzeni w hojne kieszonkowe i obfite drugie śniadanie, drudzy — bez grosza i bez dojadania, jedni posiadający wszystkie przybory szkolne, drudzy prawie bez książek. Ale te okoliczności nikomu nie dawały tytułu do chluby ani do wstydu.

Więcej znaczyły zdolności i wybijanie się w nauce na czoło klasy. Nawet zamożni i pięknie ubrani chłopcy, jeśli się licho uczyli i ośmieszali niezrozumieniem przedmiotów nauki, tracili pewność siebie i spadali w opinii kolegów. Ale i dobra nauka nie wystarczała, jeżeli jej nie towarzyszyła uczynność i życzliwość koleżeńska. Na sobków nieużytych, którzy nie śpieszyli z pomocą lub choćby z podpowiadaniem słabszym kolegom, spoglądano z pogardą. A zwłaszcza jeśli pierwszeństwo w nauce zawdzięczali tzw. kuciu, wybębnienu na pamięć co było zadane, nazywano ich lekceważąc kujonami. Sympatie zdobywały charaktery koleżeńskie. I ci co na pauzie poduczyl słabszego kolegę, pozwolili odpisać zadanie a w nieszczęściu podpowiedzieli, i ci co przynosząc do szkoły obfite drugie śniadanie, przysmaki swoje rozdawali kolegom, o których wiadano, że głodują. Obok tego, w cenę rośli koledzy obdarzeni inicjatywą i pomysłowością czy w zabawie czy w awanturze czy w nauce, także śmiałością w wybronienu kolegi z kłopotów lub dowcipem w wyszydzeniu nie-mięgo profesora albo nieuczynnego kolegi.

Tak wytwarzała się opinia publiczna klasy, elita klasy, formowała się społeczność, poza którą zostawiało się sobków, nieużytków, głuptasów, donosicieli, lizusów. W tym ucieraniu się opinii i społeczności zapominano o wszelkich różnicach pochodzenia, ubrania, zamożności.

Wytwarzało się poczucie solidarności i koleżeństwa, o nie-pisanych ale ustalonych i przestrzeganych zasadach, powstawała prawdziwa demokracja szkolna. Kto się nie umiał do niej przystosować, był po prostu „wyobcowany”, koledzy ledwie się do niego odzywali, nie wciągali go do żadnych planów, zabaw, przygód, umieli go też przez odpowiednie docinki ośmieszyć i obniżyć w oczach innych klas i profesorów. Broniło się kolegi, czymkolwiek zagrożonego, czy w szkole czy na ulicy. Nie udzielić obrony w potrzebie, dyskwalifikowało na długo niekoleżeńskiego sobka.

Trzy oddziały nasze I klasy przestawały z sobą i zrosły się prawie w poczuciu jedności. Wszyscy się na pauzie i po szkole

zblizali, razem się bawili, wzajemnie się zwieriali i informowali, tym bardziej że większość profesorów była tych samych i że na lekcjach we wszystkich oddziałach to samo przerabiali. Między oddziałami nie było żadnego współzawodnictwa, chyba w zabawie przy ciągnięciu liny; wszyscy wzajemnie się odczuwali i traktowali jako jedna zwarta społeczność, zapominało się po prostu, że ten jest z tamtego a nie z mojego oddziału. Dystans wielki oddzielał uczniów klas wyższych od niższych, ale łagodzony tym, że sąsiednie roczniki, o jeden rok niżej i o jeden rok wyżej, uchodziły za kolegów i wzajemnie mówiło się „Ty”, gdy wobec starszych obowiązywało „Pan”.

W każdym z oddziałów było po kilku kolegów Żydów, przeważnie byli to chłopcy z rodzin ubogich i przeważnie nie wyróżniali się zdolnościami, czasem rżąc właściwościami języka. Nie traktowano ich jak żywoł odrębny, obcy, chyba że któryś z nich zachowywał się odpychająco, egoistycznie. Dobry kolega Żyd był ciepło traktowany jak każdy inny dobry kolega. Niektórzy z nich byli nawet wyjątkowo lubiani, gdy poznano szlachetne cechy ich charakteru.

Do takich należał np. Zdziś Reich, syn miejscowego adwokata. Ojciec jego, Samuel Reich był wiceprezesem ogólnokrajowego Związku Żydów-Polaków — prezesem był we Lwowie Izydor Karlsbad, powstaniec 63 roku. — W kancelarii Reicha znalazł schronienie jako „koncypient” dr Herman Lieberman, gdy mu z powodu zatargów z butnymi oficerami austriackiego garnizonu w Przemyślu odmówiono tam praktyki, bez której nie było dostępu do adwokatury. Młodszy syn adw. Reicha, Stanisław, zginął w Legionach. Zdzisław, po studiach medycznych we Wiedniu, gdzie był asystentem neurologii i psychiatrii, praktykował w Warszawie i Truskawcu jako bardzo wzięty lekarz. We wrześniu 1939 będąc oficerem rezerwy wpadł do niewoli rosyjskiej, zginął w Katyniu. W sierpniu tr. zwierzył mi się, że postanowił przyjąć chrzest i że nasz kolega, kanonik w Przemyślu X. Jan Kwolek, obiecał ochrzcić go najpoufniej, prosił zatem, abym ja z Żoną przyjechał do Przemyśla na rodziców chrzestnych. Na moje pytanie, co go skłania do tej decyzji, odpowiedział, że nie chce, aby nawet różnica religii oddzielała go od społeczeństwa polskiego, którego się czuje członkiem całe życie, pragnie to jednak zrobić bez rozgłosu, aby go kto nie posądzał o jakieś względy polityczne czy osobiste kalkulacje.

Do bardziej lubianych kolegów Żydów należał syn drobnej sklepikarki, Benjamin Feniger, później adwokat w Białej na pograniczu Śląska Cieszyńskiego. Jako adwokat zarabiał dobrze, ale wszystkie pieniądze obracał na biedne dzieci. Przyjeżdżał do mnie

często do Krakowa i gdy żartowałem, że pewno sam skończy w nędzy, zaskoczył mnie rozwinięciem wizji: „przecież nas wszystkich Żydów Hitler wymorduje, po co gromadzić pieniądze?” Jak się później dowiedziałem, Fenigera zamknięto z innymi w obozie w Prokocimiu, zdumiewał tam wszystkich pogodą ducha do samego końca, wszystkich podtrzymywał i krzepił.

Tylko rok jeden spędziłem na wspólnej ławce z kolegą Edmundem Kühnbergiem, synem urzędnika kolejowego. Uderzyła mnie niezwykła jego solidność, rzetelność i obiektywizm. Rodzice jego mieli u kolejarzy też opinię ludzi niezwykle prawych. Losy nas rozłączyły i nie spotkałem się z nim nigdy. W 1941 r. w Rosji dowiedziałem się, że adw. Kühnberg jest deportowany do Buchary; było tam największe skupienie polskich zesłańców, blisko 300 tysięcy, w przeważającej ilości Żydów. Bez wahania zainicjowałem Kühnberga mężem zaufania Ambasady, a zatem opiekunem ogółu zesłańców i rozdawcą wszelkiej od nas pomocy. Zaraz posypały się na niego zażalenia w listach, przyjechała nawet delegacja Żydów ze skargami i prośbą o odwołanie go. Postarałem się o dyskretne zbadanie zarzutów. Okazało się, że Kühnberg w swym poczuciu sprawiedliwości zraził sobie pewne ruchliwe jednostki, odmawiając im zasiłków, gdyż wiedział, że handlem kosztownościami i innymi pokątnymi spekulacjami dorobili się nawet bogactw. Odrzuciłem więc wszelkie skargi i utrzymałem go do końca na stanowisku, jak inni delegaci i mężowie zaufania aresztowany został po moim wyjeździe, przesiedział 14 lat w więzieniu i wrócił do Polski w ostatniej repatriacji.

Ambicją klasy u nas było bronić się przed utratą kolegów którzy przez złe stopnie z nauki nie mogli przejść do następnej klasy i musieli obecną repetować. Toteż słabszych kolegów, którym to groziło, tak samo i Żydów, którzy w większości należeli do słabych uczniów, wszyscy podtrzymywali jak mogli, pomagając im, zwłaszcza solidarnie upraszając profesorów o pobłażliwą klasyfikację, podkreślając ich zalety, ręcząc za poprawę w następnym roku. I tak wszyscy prawie doszli razem z klasą do matury. Żydzi byli kolegami dobrymi i chętnymi, bez oporu nawet w VI kl. przyjęli życzenie klasy, gdy się znalazła w stanie konfliktu z despocycznym X. Karakulskim, aby oni odmawiali obowiązkowo pacierze przed i po nauce i wyręczali w tym katolików, pragnących w ten sposób zmanifestować urazę do księdza katechety. Bez zarzutu odmawiali Ojciec Nasz i Zdrowaś. A jak ta czynność w szkole była zmechanizowana świadczy okoliczność, iż żaden z profesorów, uczestniczący dwa razy dziennie w modlitwie, przez parę tygodni nie zauważył, że to koledzy-Żydzi odmawiali pacierz w imieniu klasy.

Nieznane było wśród uczniów pojęcie antysemityzmu. Spotykało się o nim wzmianki w gazetach w związku z jakimiś wypadkami w Jasielskiem, których inicjatywą przypisywano X. Stojałowskiemu, w związku z hałasem o mord rytualny na Morawach, oraz przy sprawie Dreyfusa, o której pisały gazety. Ale nam to wszystko wydawało się jakimś nonsensownym wymysłem, nie łączącym się z naszą rzeczywistością. Wszyscy koledzy Żydzi w spisach szkolnych podawali się jako przynależni do narodowości polskiej i wymieniali język polski jako ojczysty. Dopiero w wyższych klasach dotarły niejasne wiadomości o syjonizmie i przyznawaniu się do narodowości żydowskiej, ale i nam i kolegom Żydom wydawało się to nierealne i nienaturalne.

W gromadzie kolegów pochodzących ze wsi wyróżniały się pewne rysy znamienne. Najlicniejsza była grupa kształcących się planowo na księży, ostentacyjnie pobożnych, zazwyczaj trzymających się na boku od zajęć i prądów przejmujących ogół kolegów, często sobków i nieuczynnych. Wyróżniała się też gromadka chłopców z bogatych wsi, z zamożnych rodzin: zaopatrywani co parę dni w transporty masła i sera, czasem kielbas, zawsze ogromne bochny pszennego chleba, woreczki kaszy różnego rodzaju, konsumowali te zapasy ostentacyjnie, często na oczach kolegów głodnych, niebardzo skwapliwi do dzielenia się z nimi; wyglądali zażywnie, niektórzy rosłej postaci, ale na ogół mniej zdolni. Najczęściej takich przysyłały wsie ongiś niemieckiego osadnictwa spod Łańcuta (Czarna, Krzemienica itd.), Budziwój spod Tyczyna niektóre wsie pow. Strzyżowskiego.

Najbardziej ośmieszonym przedstawicielem tej grupy był Wincenty Puchała. Zaimponował nam swoim pomysłem wytłumaczenia się przed ojcem z nakazu zapłacenia chesnego, zapewniając, że to nie za złą naukę, ale że miał nieszczęście stłuc plusquamperfectum — miał to być jakiś kunsztowny przyrząd przy nauce fizyki. Ojciec pojechał do dyrektora, prosząc aby tę przewinę Wickowi wybaczył, bo on już taki jest niezgrabny; kiedy ojcu wytłumaczono, o co mniej więcej chodziło, sprawił wielkie lanie synowi. Kolega Wojciech Michno natomiast, dzielił się przykładnie otrzymywanymi transportami z kolegami; podrósłszy starał się o względy pięknej panny Heleny Gawrońskiej i usiłował je zdobyć poezją, zamawiał więc u kolegi Bunikiewicza różne sonety, canzony, ronda i rondoletta, które jako własne panience posyłał — Bunikiewicz ułożył z nim stałą takse w tytoniu, jedna paczka za sonet, dwie za rondo itd. itd. Bunikiewicz miał co palić przez dwa lata, ale Michno względów panny Heli nie zdobył, bo ogromnych rozmiarów, był dosyć niezgrabny, zbyt opasły i nosił zbyt wielkie wąsy.

Większość studentów ze wsi żyła ubogo, wielu nawet w biedzie, z narażeniem zdrowia, jedynie ci, którzy mogli zarabiać korepetycjami mieli lepszy żywot, ale za to nadmiernie byli zapracowani. Mieszczuchy czasem pośmiewali się z ich nazwisk — u mnie w pierwszej C szła seria Kłos, Kogut, Kot, Kowal, Koza, był także Ożóg, Szczur, itp. Ale powoli przyzwyczaili się do tego towarzystwa, zwłaszcza, że często potrzebowali jego pomocy. Małe miasteczko jak Głogów, Sokołów, Żołynia, Tyczyn, dostarczały na ogół mało zdolnej młodzieży. Korzystniej przedstawiali się synowie rodzin profesorskich i urzędniczych przynajmniej pod niektórymi względami, zawsze na synach cdczuwało się jaki jest poziom kulturalny atmosfery domowej.

Przedmiotem zainteresowania i zaczynem inicjatywy byli zazwyczaj uczniowie przychodzący z innych gimnazjów, zwłaszcza z Krakowa i ze Lwowa; przeważnie przychodzili, ponieważ tam nie mieli szczęścia w nauce, albo że ich wręcz usunięto, rzadziej z powodu przeniesienia się rodziców. Dyr. Nogaj z miną pobłażliwą przyjmował tych rozbitków i bardzo przykazywał im poprawienie się w nauce. Ale dla nas, dla młodzieży, każdy z tych „wypadków” przynosił coś osobliwego z dawnego środowiska, to jakieś powiedzonka, to niezwykłe zamiłowania, to jakąś modę w ubiorze, coś odrębnego w zachowaniu się. Najbardziej nas uderzały wytworne manieri ukłonów, odpowiedzi, przeprosiny u kol. Stanisława Podstawskiego, który prosto z Warszawy znalazł się w naszym gronie. Nowością były zamiłowania pisarskie i biegłość w dowcipach i przycinkach kol. Stanisława Ruzamskiego, który przyszedł z Jasła (ojciec nazwiskiem Mazur, zmienił nazwisko przedstawiając litery w odwrotnym porządku, był on notariuszem w Frysztaku, później w Tarnobrzegu), później znany jako Rustan, autor bystrych i dowcipnych gloss w „Rzeczypospolitej” i „Gazecie Warszawskiej”; pomysłowość i efektywność jego dowcipu przypisywano mamie, która była krakowską Żydówką. Zachwyty wśród panien rzeszowskich budził urodą, elegancją i tańcem kol. Aleksander Obrizkow, syn parocha z Galicji Wschodniej; po kilku miesiącach z niewiadomych przyczyn odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru, pogrzeb jego ściągnął cały tłum młodzieży żeńskiej. Kol. Tadeusz Wolfenburg przyniósł z Jarosławia zapas humoru i wesołych kawałów, Błażej Blajer spod Przemyśla — uśmiech jowialny i dobroć i już wczesne powołanie do zakonu OO. Jezuitów. Artur Schroeder z Krakowa, względnie z Podgórza, przyniósł wprawę w pisaniu i w przemówieniach. Aleksander Wójcik z Jarosławia był dla nas sympatyczną zagadką, syn tamtejszego dyrektora gimnazjum, konserwatysty i ugodowca, związanego ze Stanisławem Tarnowskim (z którym razem opraco-

wał podręcznik do nauki historii literatury polskiej dla wyższych klas gimnazjum), okazał się u nas prawie rewolucjonistą, głosi-
cielem zasad i działaczem tajnej organizacji Promienistych. Pod
pewnym względem najwięcej wniósł w nasze życie wypędzony ze
szkół we Lwowie i Krakowie za różne kawały, Witold Buniek-
wicz, uzdolniony poeta, a przy tym pełen humoru i fantazji,
niezdolny do podporządkowania się jakimkolwiek przepisom biu-
rokracji szkolnej. Poprzez takich przybyszów młodzież rzeszowska
przyswajała sobie nowości i maniery innych środowisk.

MŁODA POLSKA

I szkoła i całe nasze otoczenie wychowane było na poezji ro-
mantycznej, to była dla nich jedyna i prawdziwa poezja, nawet
Adam Asnyk podlegał krytyce jako odchylający się nieraz od
wzorów romantycznych. W tej atmosferze poezja Młodej Polski
przyjęta była niechętnie, raczej podkreślano z niej zwroty zbyt
śmiałe i słownictwo zbyt modernistyczne i wyszydzano to jako
nonsensy. Cóż dopiero, gdy zaczął się panoszyć styl i słownictwo
à la Przybyszewski. Z satysfakcją powtarzano sobie żarty i szy-
derstwa, jakimi nowy styl przyjęty został przez trzeźwą prasę,
nawet przez tygodniki literackie warszawskie i poznańskie. Pa-
miętam, z jakim smakiem powtarzano za jednym z nich parodię
tego stylu, zaczynało się to od słów: „Pędźcie pramyśli, me wierne
psy-wichry! Hej białożory, płomienne bachmaty, w leśne wykroty,
żywiczne i kwietne, jarów, mój Boże, Ach!” itd.

Ale powoli nieśmiało odzywali się tu i ówdzie wśród mło-
dzieży zwolennicy nowego stylu. Wielkim to było dla nas zasko-
czeniem, gdy zaraz po wakacjach w VI kl. „Ilustracja polska”,
założona w Krakowie przez Ludwika Szczepańskiego, tego sa-
mego, który przed laty zaczął wydawnictwo „Życia”, zaczęła
nadpływać do Rzeszowa, przynosząc prozę i wiersze modernis-
tyczne. Wprost rozchwytaliśmy Nr z 9 maja 1902, w którym
tajemniczy poeta „Zdosław” ogłosił wiersz:

EPIPSICHIDION

*Czuje cię, Duchu, w piersi mych ostonie —
Czuje cię wielki, nieśmiertelny Duchu.
Wiem, że ty kiedyś w jasności robronie
Wzniesiesz się w przestwór bez bólu, bez ruchu.*

*Tyś jest mych uczuć wzorzystym kobiercem,
Ty mój ból słodzisz, co piersi rozpiera,
Tyś jest nam wielkiem, gorejącem sercem,
Co swe komnaty marzeniom otwiera.*

*Bądź więc pochwalon, w nicości poczęty!
Ty, co w zaświatów uniesiesz się kraje —
I gdzie się błąkać będziesz wielki, święty —
I gdzie przeżywać będziesz uczuć maje...*

*Ty żyć wciąż będziesz, lecz życiem przyrody,
Jakby zaklęty w potęgę jej mocy...
Ty jej ożywiać będziesz wichry, wody,
Ty będziesz ciszą jej lipcowych nocy...*

*Mgłą jej oparną i traw będziesz tchnieniem,
Brylantem rosy, białym płatkim śniegu,
Drżącym księżycem, bladawym promieniem,
I nenufarem na jeziora brzegu.*

W wielkiej tajemnicy przyznał się nam kolega Tadeusz Biliński, że posłał ten wiersz do „Ilustracji Polskiej” z prośbą, aby w razie ogłoszenia nie ujawniano jego nazwiska, uczniom bowiem gimnazjalnym nie wolno było wówczas drukować niczego w prasie. Autorytet Tadzia wzrósł ogromnie. Wprawdzie nie wszystko w wierszu było nam zrozumiałe, a Tadzio, zapytywany, sam nie umiał wyjaśnić, co to jest ten Epipsichidion — powtórzył go z tytułu znalezionej w jakimś niemieckim czasopiśmie literackim — ani co to jest robbron, powtórzył go za innymi poetami, ale bardzo nas ujął delikatnymi rysami znajomej nam przyrody, a zwłaszcza tym „nenufarem na jeziora brzegu”. Oczekiwaliśmy po nim dalszej obfitej twórczości, ale jakoś pochłonęły go inne zainteresowania i wierszy dalej nie pisał — tak straciliśmy poetę. Wiersz ten jednak bardzo był ceniony i przedrukowała go „Myśl Polska”, Dwutygodnik Społeczno-literacki w Rzeszowie w lipcu 1904, o czym później.

Dopiero na wakacjach po ukończeniu kl. VI otwarło się przede mną najobfitsze źródło poezji Młodej Polski.

W poszukiwaniu rzadkich roślin wybraliśmy się z Witoldem Kuleszą do lasu krzywskiego. Idąc błotną drożyną brzegiem lasu, napotkaliśmy leśniczego, który wraz z gajowym przeglądał tę część lasu. Był to wcale młody, mały, chudy, o czerwonych wypiekach na twarzy, nieznanym nam dotąd, niedawno na to stanowisko przybyły Kazimierz Bielański. Zaczepił nas, przedstawił-

my się i zaprosił nas do leśniczówki, obiecując pokazać mi coś, czego się nie spodziewam. Istotnie niespodzianka nie była do przewidzenia, nie wiązała się wcale z zawodem gospodarza. Leżał na stole wielki stos: luźne zeszyty stanowiące komplet czasopisma „Życie” pod redakcją Stanisława Przybyszewskiego a kierownictwem artystycznym Stanisława Wyspiańskiego — od 1897-1900. Na moje zdziwienie wyjaśnił pan Bielański, że choć leśniczy, blisko był związany ze środowiskiem „Życia”, poznał się z pisarzami za ich pobytu w Zakopanem, gdzie był leśniczym u Zamoyskiego w Kuźnicach, potem dojeżdżał do Krakowa a że sam nieco pisał, zwłaszcza prozą poetycką, czasem jakiś drobiazg przyjęli mu do druku, poza tym dużo z nimi przestawał na dyskusjach w kawiarni. Pozwolił mi wypożyczyć cały zbiór „Życia”. Rozczytywałem się w nim chciwie, poznałem wiersze i prozę wielu pisarzy, o których nie słyszałem, niejedno też przyłgnęło do pamięci, np. Bogusława Butrymowicza „Białe Łabędzie”:

*Po wodzie blado-lazurowej,
Kędy się sennie nurt przetacza itd.*

oraz: Stanisława Wyżkowskiego przekład „O Mensch, gib acht! Nietzsche’go, od słów:

O cłtęcze słysz, co mówi północ z głębi cisz...

W kl. V, w końcu marca 1901, wypadła wczesna Wielkanoc, pięknie zapowiadała ją pogoda i słońce. Cieszyłem się na wyprawę do rodziców na wieś. Mając nieco zarobionego grosza, wstępowałem przed takimi wyprawami do miejscowej księgarni Pelara, po lekturę, aby kupić tanio a dużo. Kierownik księgarni Ludwik Kurtzman z Poznania, bratanek bibliotekarza Raczyńskich, els Lutosławczyk, znał mnie już z tego zamiłowania i kiedy wszedłem, od razu zawołał, że właśnie ma coś w sam raz dla mnie. Wyszedł w Krakowie 1-szy numer nowego czasopisma „Kłosa” — nie należy ich mieszać z „Kłosami” warszawskimi — redaktorem jest znany pisarz i dziennikarz Kazimierz Bartoszewicz, dla reklamy wydał okazowy numer gruby i tani. Kupiłem go. Nazajutrz rano, znalazłem się na wsi rodzinnej, 3 mile na północ od Rzeszowa. Wychodząc przejść się w słońcu, zabrałem „Kłosa” i widzę, że cały prawie numer jest zajęty przez poemat dramatyczny. Nazwisko autora dotąd mi nieznane, Stanisław Wyspiański, utwór ma tytuł „Wesele”. Redaktor objaśnia, że dramat ten był wystawiony 16 marca w Teatrze Krakowskim i że autor pozwolił mu przedrukować z egzemplarza reżyserskiego,

ile zechce. Skorzystał z tego — ku mej radości — obficie, dał prawie całość w obszernych wyjątkach.

Zacząłem czytać na głos. Gdy doszedłem do ustępu:

*Duch się w każdym poniewiera,
Ze czasami dech zapiera.
Tak by gdzieś nas gnało, gnało,
Tak by się nam serce śmiało
Do ogromnych wielkich rzeczy,
A tu pospolitość skrzeczy,...*

*Włazi w usta, w ucho, w oko,
Daleko co było z bliska.,
A tu pospolitość niska,
Serce zaryte głęboko,
Gdzieś pod czwartą głębłą skibą,
Ze swego serca nie dostać —*

coś mnie zarwało; tak jeszcze żaden znany mi autor nie przema-
wiał, ten poeta musi czuć i przeżywać to, co u nas młodych
dopiero kiełkuje.

Pośpiesznie, choć w skupieniu, czytałem dalsze ustępy. Po
skończeniu wróciłem do początku, wciąż czytając głośno. I tak
dalej. Po obiedzie znów z tekstem pobiegłem w pole i czytałem
bez końca. Gdy zamknąłem „Kłosa”, ogarnęła mnie chęć powta-
rzania głośno z pamięci ustępów, które mnie podbiły. Poszło,
utrwały się w pamięci. A wieczór okazało się, że w nią wsiąkły
gruntownie. Nigdy takiego przeżycia przy lekturze nie doznałem.
Byłem jak opętany i treścią i wierszem „Wesela”. Z niecierpli-
wością czekałem końca świąt, nie znajdując na wsi nikogo, z kim
mógłbym się podzielić swym odkryciem.

Wróciwszy w środę po Wielkanocy do Rzeszowa, wziąłem
tekst do gimnazjum i na wielkiej pauzie zwołałem grono kole-
gów. Siadłszy za katedrą odezwałem się: „Koledzy, narodził się
wielki poeta. Nie wiem kto to jest, ale posłuchajcie!” I zacząłem
bądź wygłaszać bądź odczytywać wybrane ustępy z „Wesela”.
Większość kolegów podzieliła mój zachwyty, kolejno zabierali
„Kłosa” do czytania. Wkrótce w księgarni pojawiło się całe
„Wesele”. Młodzież rozchwytała wszystkie egzemplarze, nadcho-
dziły dalsze. Nasi profesorowie oczywiście nic nam powiedzieć
nie mogli o Wyspiańskim, od dawna nie czytali nowszych poetów,
uważając ich za niegodnych spadkobierców romantyzmu. Poloniści,
nawet młodszy, byli starego typu, hodowli Stanisława Tarnowskie-
go. Jeden z nich nawet (Jan Ostojka Sędzimir) opracował oczysz-

czone wydanie „Pana Tadeusza” (np. *Polsko, Ojczyzno moja*, Ty jesteś jak zdrowie — wyrzuciwszy Litwę).

Nie wszystko było mi dokładnie zrozumiałe w „Weselu”, ale wszystko odczuwałem z przejęciem. Ujmowało mnie i to, że poeta stołecznego miasta Polski historycznej umieścił swój dramat w chacie wiejskiej, wprowadził do niego prostych gospodarzy i przypieczętował swoje o nich zdanie w słowach:

Chłop potęgą jest i basta!

Ale nie chłopomaństwa szukaliśmy w „Weselu” ani podniety do wzlotów indywidualizmu. Wybuch walki poety, przeciwko powszedniości, przeciętności, uciskowi opinii konserwatywnej starszego pokolenia, jego kompromisowości i ugodowości, uświadomił nam to, co już tkwiło w naszych piersiach ale jeszcze nie znajdowało jasnego wyrazu: dążenie z jednej strony do swobodnego rozwoju indywidualności, z drugiej — zapalenia jej i przygotowania do walki o ideały narodowe i społeczne, o podniesienie masy ludowej do uczestnictwa w kulturze narodu, o znalezienie drogi i metod walki o wyzwolenie narodu. Te ideały wyczuwaliśmy w scenach i symbolach „Wesela” i dlatego w Wyspiańskim widzieliśmy wymownego wyraziciela naszego pokolenia. Jego strofy pchnęły nas do tajnej organizacji, jego uważaliśmy za jej patrona — zdziwiłby się być, gdyby mu kto to odsłonił. Śledziliśmy każde echo jego pióra i życia. Przejął nas gorący ból, gdy w 1908 roku do naszego grona w kawiarni Kryształowej we Lwowie w Pasażu Mikołasza wpadli koledzy pracujący w redakcji (Władysław Milko i Stanisław Dzikowski), ogłaszając wiadomość o zgonie Wyspiańskiego. Wszyscy obecni wstali w poczuciu ciężkiej straty i zaprzestali nawet rozmów zwyczajnych.

Ale nie tylko podniosłych tonów inspiratorem był Wyspiański. Wiek młody lubił i z uroczystości wydobywać motywy humoru i zabawy. Kiedy nadszedł egzemplarz „Wyzwolenia”, wchłanialiśmy go mieszkając w jednej izdebce w Witoldem Bunikiewiczem. Przeżywaliśmy wówczas pewne spory w tajnych organizacjach, między Promienistymi a Tekowcami. Dialogi zmieniających się na scenie postaci i ustawicznie wpadanie i komentarze Chóru, podsunęły nam pomysł przedstawienia w podobnej formie naszych przejść wewnętrznych.

Pod koniec roku szkolnego 1901 w V kl., gdy jeszcze byłem w bursie, dowiedzieliśmy się, że właśnie profesorowie o świetnym przygotowaniu naukowym i nowoczesnych poglądach na życie, Tadeusz Łopuszański, Wilhelm Friedberg, rzucili myśl zorganizowania podczas wakacji wycieczki uczniów w Tatry. Wydobyli skądś zasiłki na kosztą, przy czym z kandydatów do wycieczki kto mógł wpłacał pewną kwotę. Aby się do niej przygotować,

użyczono nam roczników Towarzystwa Tatrzańskiego, książkę Stanisława Witkiewicza „Na przełęczy” i spopularyzowane ciekawsze wiersze o Tatrach. Polecono zaopatrzyć się w najwytrzymalsze odzienie a kto może, wzmocnić spodnie na siedzeniu grubymi łatami na zjeżdżanie po piargach.

Spore grono ochotników po przybyciu do Zakopanego podzielono na dwie grupy, zaopatrzone w plecaki i ciupagi i dodano znakomitych przewodników, w mej grupie był sławny Bartek Obrochta i Klimek Bachleda.

Pierwszą noc spędziliśmy w Kuźnicach na gościnnej wieczery u Władysława hr. Zamoyskiego (z czasem twórcy fundacji Kórnickiej), przy której pokarm roznosiły sławne „czeczule”, wychowawice szkoły gospodyń domowych założonej tam przez sędziwą matkę hrabiego. Po wieczery gospodarz opowiedział nam aktualne wówczas dzieje swej walki w obronie Morskiego Oka, które właściciele terenu po stronie węgierskiej pragnęli i gwałtem i przy pomocy naciąganych zeznań oderwać od Galicji. Przychodziło do bójek między przewodnikami góralami z obu stron, do wrywania samowolnie stawianych słupów granicznych i do walki z żandarmami węgierskimi (proces formalny o przynależność Morskiego Oka skończył się w kilka lat później wyrokiem sądu polubownego w Grazu, przed którym prof. Oswald Walzer przeprowadził znakomitą obronę formalnie austriackiego, w rzeczy samej polskiego stanowiska).

Plan naszej wycieczki, obmyślony starannie pozwolił nam w przeciągu 10 dni obejrzeć najpiękniejsze jeziora, przełęcze i doliny Tatr, wspiąć się na niektóre szczyty, z najwyższych na Rysy; nocowaliśmy to w schroniskach, to pod niebem, okryci pelerynami. Ja byłem olśniony roślinnością Tatr i skwapliwie zbierałem jej okazy, tworząc wcale kompletny zielnik roślin tatrzańskich, przechowany w botanicznych zbiorach gimnazjum. Zamiłowanie do Tatr, wyniesione z tej wycieczki, pchnęło mnie później do nabycia parcelki na Krzeptówce i postawienia tam domku („Pogoda”), na pobyty wakacyjne i świąteczne.

Przestawanie ustawiczne z kolegami z kilku klas wyższych i rozmowy na noclegach i wypoczynkach doprowadziły do zbliżenia się wzajemnego, wymiany naszych opinii, pragnień i planów. Wyłoniła się myśl tajnej organizacji, która by odpowiadała naszym aspiracjom. Kilku kolegów starszych, nabrawszy zaufania, zwierzyło się, iż już nawiązali stosunki z pewnymi ośrodkami akademickimi we Lwowie i w Krakowie i otrzymują stamtąd wydawnictwa, książki i czasopisma. Po rozpoczęciu roku szkolnego wróciło się do tych rozmów. Na każdą klasę wyższego gimnazjum wyznaczono pewnych zaufanych dla rozmówienia się z upatrzon-

mi kolegami i rozrzuciło się na próbę numery nadsyłanego ze Lwowa „Promienia”. Poczulo się przy tym, że nie wszyscy koledzy chcą się skupiać około programu Promienia i że są już jakieś kółka hołdujące innemu programowi, ale głęboko zakonspirowane.

Sposobność do ujawnienia się dwóch prądów nurtujących młodzież zdarzyła się niedługo. W rocznicę wybuchu powstania Listopadowego gimnazjum oficjalnie urządzało wieczorek mickiewiczowski, w sali Sokoła, siłami samej młodzieży. Grano coś z „Dziadów” czy „Kordiana”, deklamowano poematy filareckie, chór śpiewał pieśni patriotyczne, jeden z kolegów wygłaszał okolicznościowe przemówienie. W podniosłym usposobieniu rozchodzili się wszyscy do domu.

Ale obecnego roku nie rozeszli się. Około setki wtajemniczonych pod koniec wieczorku otrzymało wezwanie do pójścia prosto z Sokoła do wielkiego karczmyska na uboczu, na peryferii miasta, blisko traktu łańcuckiego, bo tam się odbędzie „komers”. Stawiliśmy się tam, obsiedliśmy przygotowane stoły, każdy był obowiązany skosztować skromną przekąskę (herbatę lub piwo i parówki z chrzanem). Podłużny stół obok drzwi przeznaczony był na prezydium i dla mówców. Nie połąpaliśmy się jak się to stało, że prezydium objął uczeń VIII kl., Walenty Cudziło, ogromnego wzrostu z czarną gęstą czupryną i zaczął udzielać głosu. Do referatów zgłosiło się kilku nieznanym nam przybyszów, widocznie zawczasu przez jakieś tajne sprężyny uprzedzonych i sprowadzonych do Rzeszowa. Był to pierwszy prawdziwy wiec, jaki przeżyłem. Mówcy okazali się przedstawicielami dwóch wrogich obozów, którzy się wzajem już dobrze znali, zwalczali i mieli obfite porachunki do uregulowania. Z obozu „Narodowców” ujawniło się tylko nazwisko Antoniego Plutyńskiego ze Lwowa, prezesa Czytelni Akademickiej, z obozu „Postępowców” poznaliśmy Zygmunta Kisielewskiego.

Przemawiali namiętnie, kłócąc się o zagadnienia nie zawsze dla nas jasne. Nie mogliśmy też zrozumieć, dlaczego w następstwie jakichś porachunków ze Lwowa Plutyński uderzył Kisielewskiego w twarz. Atmosfera sali była coraz gorętsza, mnożyły się protesty i oklaski. Rozrzućeni po ławach, przypadkowo dochodziliśmy do pewnego skupiania się według sympatii. Dyskusja trwała długo w noc. Z miejscowych niewielu ośmieliło się zabrać głos. Pierwszy odważył się na to świeżo przybyły do Rzeszowa do kl. VI z Krakowa Artur Schroeder, znany później pisarz, poeta i dziennikarz, ale kiedy długo i zapalczywie przemawiał, przewodniczący Cudziło odebrał mu głos.

„Kolega przewodniczący musi mi pozwolić przemawiać”. —

„Nie pozwolę!” — „To wobec wszystkich oświadczę, że kolega Cudziło jest dureń”. — „Czy kolega odważy się to powtórzyć?” — „Tak jest, powtarzam, że kolega Cudziło jest dureń”. — „A czy kolega to podtrzymuje?” — Tak jest, po raz trzeci oświadczam, że kolega Cudziło jest dureń”. Tu zadrżeliśmy: kolego Cudziło, olbrzym, wyciągnął rękę nad małym skaczącym Schroederem, przekonani byliśmy, że go całą siłą uderzy, a może zabije. A na to kolega Cudziło tylko odciął: „Dobrze, ja to sobie zapamiętam” i siadł z hałasem na ławie. Tak nas ta nieprzewidziana reakcja rozbawiła, że wybuchła wesołość na sali. (Walenty Cudziło, później student politechniki lwowskiej, jako austriacki oficer rezerwy w pierwszej wojnie światowej dostał się do niewoli rosyjskiej, uciekwszy z niej dotarł w głąb Chin i nigdy stamtąd do ojczyzny nie wrócił. Jakiś czas uczył w polskim gimnazjum w Charbinie a potem zginął w zamieszkach wewnętrznych w Chinach).

Jasno było, gdyśmy rozgrzani atmosferą wracali chyłkiem do naszych stacji. Dni następne były wypełnione dyskusjami o różnicach dwóch obozów i przyśpieszaniem organizacji obydwóch. Kisielewski z drugim, starszym, w którym domyśliliśmy się Feliksa Perla, pozostali przez dzień w Rzeszowie i rozstrząsali poufnie z naszym gronem sprawę organizacji Promienia. Dowiedzieliśmy się o kierownictwie centralnym tej organizacji we Lwowie i o kołach prowincjonalnych, z których najwybitniejsze już działało w Tarnowie.

Zaufanymi przedstawicielami spośród starszych kolegów byli Euzebiusz Topolski i Aleksander Wójcik. Najliczniejsze grono okazało się w klasie VII, znaleźli się w nim m.in. January Topolski, Jan Szczyrek, Bronisław Wilusz, Józef Stręk, Józef Marchut, Tadeusz Kaplita.

Szybko zakrzątał się mój rocznik około selekcji jednako myślących kolegów z obydwu oddziałów (A i B) i zawiązało się dość liczne „kółko”, razem pracujące.

W Krośnie, gdzie powstała szkoła realna, Promień nie był znany młodzieży, ale tam był profesorem od niedawna Aleksander Wieleżyński, przed laty relegowany z Politechniki lwowskiej za zajścia z redaktorem Thullie (po Legionach pułkownik artylerii W.P.). U niego zebrało się grono młodych, którzy po wysłuchaniu referatu i przeprowadzeniu dyskusji zawiązali Koło.

W Jaśle ruch miał luźnych sympatyków. Zebranie się odbyło u socjalisty Kukulskiego, wśród zaproszonych był „els” (Lutosławczyk) Stanisław Pigoń. Z członków najlepsze wrażenie robił Hugo Steinhaus (później wybitny matematyk).

W Nowym Sączu skleiło się Koło, które jednak długo nie prosperowało.

W Wadowicach było zebranie kilku członków przy udziale Antoniego Zembatego, był to dawny promienisty, trudniący się prywatnym księgarstwem. Zwolennik „Proletariatu” — konkurenta PPS, entuzjastyczny zwolennik Ludwika Kulczyckiego, rozszerzał wydawnictwa jego i powstałej z jego inicjatywy firmy wydawniczej we Lwowie.

PPS-owcy z Promienia patrzyli podejrzliwie na jego ruchliwość w rozsyłaniu i kredytowaniu (na wieczne czasy) książek, sądząc że jest narzędziem Kulczyckiego dla opanowania organizacji. W zebraniu zawiązującego się Koła uczestniczył Edmund Kłodziejczyk, później autor Bibliografii Słowianofilstwa.

W Krakowie istniała niezbyt liczna ale ruchliwa organizacja młodzieży przyznająca się do „Promienia”, ale działająca raczej samodzielnie w oparciu o wybitne indywidualności, jak profesorostwo Odo i Kazimiera Bujwidowie. Przewodzili w niej Czesław Kuźniar, wybitny później geolog, i Franciszek Sarnek.

Po moim referacie omówiliśmy sprawy bieżące i program dalszej pracy organizacyjnej.

Komitet „Promienia” uznał za potrzebny objazd organizacji krajowej, czego już przeszło rok nie było. Chodziło o ożywienie pracy Kół istniejących i zorganizowanie nowych. Zlecono mnie to zadanie. Zebrałem dane o stanie organizacji i odbyłem z kolegami w „Spójni” rozmowy informacyjne o ludziach, adresach w różnych miejscowościach i rozpisałem listy do nich, uprzedzając o ewentualnym terminie przyjazdu. Plan mój objął południe Galicji od Sambora do Wadowic i północ od Krakowa do Jarosławia. Z centrali otrzymałem bilet kolejowy do pierwszej miejscowości i małą kwotę na nieprzewidziane wydatki. Koszt wysyłki delegata do następnej miejscowości pokrywało każde Koło, jak również go żywiło i przenocowało.

Zebrania wszędzie odbywały się poufnie, w ścisłej tajemnicy, aby uczestników nie narazić. Przeważnie na zebranie ogólne zapraszano i sympatyków a często nawet przeciwników — narodowców.

W Samborze zebranie się odbyło w mieszkaniu tajnego członka PPS, którym był wysoki urzędnik ze złotym kołnierzem, inżynier kolejowy Jędrzej Moraczewski. Zrobił on na mnie nader sympatyczne wrażenie, człowieka ideowego, szczerego, otwartego (jakżeż inaczej mi się przedstawił po służbie w Legionach, kiedy lubił się chlubić swą chytryością, w dalszej swojej działalności publicznej). W zebraniu kilkunastu sympatyków byli obecni ze

znanych później Roman Pollak i Hieronim Wirstein (Wierczyński).

W Sanoku był tłum młodzieży. Tam już od lat istniała liczna organizacja, która Spójni dostarczała członków, np. bracia Ososowicze, Józef Ekkert, ceniony tenor, Kazimierz Świtalski. Wśród obecnych wybijali się wykształceniem i zapałem Jan Jakubowski, Edmund Marnik, Saul Bonhard.

Z rozmów z przyjezdnymi delegatami i z lektury pierwszych otrzymanych zeszytów „Promienia” uświadamialiśmy sobie szybko istotne cechy tajnej organizacji.

Pierwszy rys, który nas pociągał, to było ściśle zbliżenie się koleżeńskie dla zamierzonej współpracy, wspólne omawianie programu, wymiana myśli, współdziałanie na każdym kroku. W tym wytwarzały się bliskie węzły osobistego porozumienia i zaufania. Tajność też nas nęciła.

Naczelny cel organizacji miało stanowić „samokształcenie”. Oznaczało to zdobywanie wiedzy tej, jakiej nam szkoła nie dawała, metody do tego dostosowanej, i ze źródeł, również przez szkołę nie nadanych i przeważnie nieznanych. Szczegółowy program lektury i referatów był ogłaszany w „Promieniu”, tam też wskazywano najcenniejsze źródła informacji; tomy warszawskiego „Poradnika dla samouków”, które do naszej organizacji przychodziły po niższej cenie, a nawet bezpłatnie (ta część programu obejmowała nauki przyrodnicze i społeczne, wykraczając daleko poza program szkoły — zwłaszcza historia — a przeważnie z nim wyraźnym kontraście. Jak powstał świat, jaki był rozwój życia i rozwój człowieka — odpowiedzi na te zagadnienia szukano chciwie, nie znajdując jej dostatecznie jasno i interesująco w wykładzie przedmiotów szkolnych. Tu zresztą już z góry zarysowywały się różnice i sprzeczności pokarmu naszej lektury z nauką szkolną, zwłaszcza z nauką religii.

Ale najbardziej pociągającym elementem naszej pracy była *ideologia*. Wypełniając zwykłe obowiązki szkolne, oddając się przepisanyemu zajęciom, uważaliśmy to za potrzebne i konieczne, ale nie zadowalające naszych aspiracji. Mianowicie pozdamy egzamina, przebrniemy przez maturę i pójdziemy na studia wyższe, które nam dadzą pracę i chleb. Naokoło siebie widzieliśmy, i w gimnazjum i w mieście, rezultaty takiego schematycznego wychowania: profesorów, urzędników, księży, oficerów itp. — wszystko to żyjące banalnie, monotennie, nudno, bez ideału. A nas, młodych, ta właśnie atmosfera odstraszała, nie zadowalała nas cel takiego życia. I tu „Promień” wskazał cele szersze i wyższe, które nas pociągnęły, mianowicie narodowe i społeczne wiązanie się razem w sposób naturalny.

Winniśmy się przygotować do walki o niepodległość Ojczyzny oraz o pociągnięcie do niej mas ludowych, robotniczej i chłopskiej; kryła się w tym wielostronna opozycja. I przeciw mocarstwom rozbiorowym, przeciw tym środowiskom i instytucjom, które zajmowały względem nich stanowisko ugodowe. I przeciw tym czynnikom, które uniemożliwiały ludowi rozwój świadomości narodowej, wzrost jego sił, które by poszły w służbę sprawy narodowej. Tu natrafialiśmy na smutne doświadczenia z doby przedrozbiorowej, powstań, egoizmu i służalczości warstw rządzących. O wszystkim tym pouczała nas lektura dzieł historycznych, wspomnień, polemiki i ustna tradycja żyjących działaczy w kraju i na emigracji. Pragnęliśmy sięgać do dzieł historycznych idei, o których nauka szkolna milczała albo nawet wyrażała się o nich niechętnie, zgryźliwie, np. o powstaniach, o ruchach demokratycznych, o stronnictwach politycznych, o tajnych związkach, udziale Polaków w rewolucjach Zachodu.

STRYJ — KAŁUSZ

Gdy przyjechałem do Lwowa i opisałem Komitetowi partyjnemu i Lowenherzowi przebieg wyborów, oświadczono mi, że jutro muszę jechać do Stryja na wybory „ściślejsze”. Okręg dwóch miast Stryj-Kałusz miał też 3 kandydatów i na pierwszym miejscu głosy zdobył kandydat Koła Polskiego lwowski demokrat Tobiasz Aschkenazy, ale nie większość absolutną, dalsze dwa dzieła syjonista Dr Abraham Salz i socjalista Jędrzej Moraczewski (na drugim... [słowo nieczytelne]). W wyborach ścisłych miałem rozstrzygnąć między Aschkenazym a Moraczewskim; było prawdopodobne, że głosy syjonistyczne padną raczej na Żyda Aschkenazego niż na Moraczewskiego.

Kiedy przyjechałem do Stryja, wyznaczono mi pracę w Kałuszu, znanym z kopalni soli i potasu. Podczas agitacji wzywają mnie nagle na poufną naradę: prezydium komitetu wyborczego PPSD ma zdecydować, jak odpowiedzieć na propozycję starosty. Sprawa bardzo poufna. Starosta nie taił, że był życzliwy kandydaturze Moraczewskiego, bo nie sprzyjał Żydom, nie życzył sobie wyboru Aschkenazego. W Kałuszu była spora dzielnica żydowska, marnie zabudowana przeważnie drewnianymi domkami. Gdy się rozpocznie głosowanie, wybuchnie pożar w kilku punktach tej dzielnicy, więc wszyscy Żydzi spod lokalu wyborczego polecą bronić swoich domów, a przez ten czas głosowanie się skończy. Starosta przez swego zaufanego zapytuje, jak się zapatrujemy na ten projekt. Ogarnął nas wstyd: socjaliści mają zdobywać man-

dat z rąk starosty drogą podpalenia domów żydowskich! To niemożliwe. Nie czując się jednak uprawnieni do decyzji, posyłałyśmy po nią do Stryja, do naszego kandydata. Z radością dowiedzieliśmy się, że odmówił aprobaty na tę pomoc. A mimo to w dniu wyborów został wybrany Moraczewski. Wracałem do Lwowa z zadowoleniem, a mocno wyczerpany czterema tygodniami tej harówki jako „chjena wyborcza” nie żałowałem jej, bo zdobyłem wiele doświadczeń.

Jeszcze jako uczeń w Rzeszowie z „Promienia”, „Krytyki” i „Naprzodu” dowiadywałem się o sporze polsko-ukraińskim, wywoływanym i podsycanym przez obóz narodowców. „Promień” miał w swych szeregach i kolegów Ukraińców, np. w Kole przemyskim i stanisławowskim, a we Lwowie na wiecach akademickich jego zwolennicy utrzymywali przyjazne stosunki z młodzieżą ukraińską i solidaryzowali się z jej żądaniem różnych praw językowych itd. Zaraz po przybyciu do Lwowa zwołano polski wiec ogólnoakademicki dla zwalczania ukraińskiego postulatu równouprawnienia w urzędowaniu i wykładach języka ukraińskiego z polskim. Uważałem to za naturalne żądanie, wszak Ukraińcy byli na tej ziemi tubylcami a nie widziałem żadnej szkody dla Polaków w udzieleniu im różnych praw w szkolnictwie na wszystkich stopniach. Takie było stanowisko „Promienia” i dlatego na wiecu protestowaliśmy przeciwko szowinizmowi mówców endeckich. Wiec był na uniwersytecie (starym), przy wyjściu znajdowały się grupy Ukraińców i przyszło do bójk. W niej, stając po stronie Ukraińców, oberwałem kilka uderzeń endeckich lasek. Nie przekonało mnie to do ich poglądów i nieraz później na wiecach młodzieży postępowej występowałem za postulatami równouprawnienia i współdziałaniem polsko-ukraińskim, dla wspólnych celów: niepodległości naszych krajów.

W PPSD taka sama była atmosfera, byliśmy spleceni i personalnie i organizacyjnie z Uk. PSD.

W masie zobaczyłem po raz pierwszy ludność ukraińską, zaproszony w lecie 1905 przez pp. Towarnickich do odwiedzenia ich na wakacjach w Kosowie. Mieszkaliśmy z młodym Towarnickim u hucuła w chacie obok tzw. Huku (?) nad Czeremoszem, rozmawiałem mimo trudności językowych z hucułami, witany przez nich przyjaźnie jako przyjezdny z Zachodu: „Wy nasz przyjaciel, bo wy nie lach, ale Mazur”.

W pierwszych latach Spójnia dbała o to, aby na różne imprezy zapraszać młodzież ukraińską, także aby na wiecach ogólnych młodzieży postępowej były reprezentowane stowarzyszenia młodzieży akademickiej. Ten sam prąd był w Bratniej Pomocy Polaków, tudzież na medycynie. Pamiętam, jak stowarzyszenie

Biblioteki Medyków słuchaczy medycyny na wspólnym zebraniu zarządów reprezentował ukraiński kolega, Pańczyszyn, jej prezes, obrany i głosami polskimi.

Z czasem te węzły osłabły, nieco także i z przyczyny wzbierającego szowinizmu po stronie ukraińskiej. Ostatni redaktor „Diła”, który przy naszym stoliku siadywał, był Wasyl Panejko. Longin Cegielski (Ogielski?) już się od nas odsuwał.

PIERWSZA PODRÓŻ DO WŁOCH

W styczniu 1925 otrzymałem półroczny urlop z U.J. i zasiłek stypendysty z Akad. Um. na poszukiwania we Włoszech. Wiedząc, że zbiory watykańskie i wszystkie rzymskie były wielokrotnie badane, postanowiłem sobie objechać systematycznie archiwa i biblioteki prowincjonalne od Wenecji, Werony do Neapolu i Palermo. Zajechałem do Wenecji. Tutaj w hotelu Padwa koło dworca chciałem się nauczyć języka włoskiego, w którym przy pomocy słownika nieco czytałem, ale mówić nie umiałem. Wstąpiłem do księgarni obok placu św. Marka koło Biblioteki i zapytałem księgarza, czy nie zna kogo, kto by przez 2 tygodnie mógł mi poświęcić 1-2 godziny na konwersację włoską już to na przechadzkach po mieście, już to przy kawie w cukierni. Przynależ pomówić ze swoją siostrzenicą, nauczycielką, ta zgodziła się i konwersacja się zaczęła. Dzięki znajomości słownictwa i form gramatycznych łacińskich już po kilku dniach mogłem rozmawiać o potocznych sprawach, co mi ułatwiło pobyt.

Zbiory w Archivio di Stato nie mogły mi przynieść sensacji, gdyż już były dobrze wyzyskane przez A. Cieszkowskiego, syna filozofa-ekonomisty, nieco pokłósia po nim znalazłem. Nieco więcej wydobyłem w Bibliotece św. Marka, w rękopisach i drukach oraz Museum (?) Correr. Za to miałem sporo czasu na zwiedzanie kościołów, pałaców, ulic, kanałów, wysepek itp. Urokiem miasta, mimo dokuczliwych mrozów, byłem zachwycony.

Ludzie, z którymi się stykałem, wyłącznie prawie bibliotekarze i archiwiści, byli uczynni i uprzejmi. Poznałem wtedy dyrektora Marcianny Prof. Lorenzatto (?), który po latach 20 napisze przedmowę do drukującego się w Wenecji wygłoszonego tam mego odczytu pt. „Venezia vista dei Polacchi nel corso dei secoli”.

Spieszyłem się do Padwy. Co do archiwów uniwersyteckich, gdzie tyłu wybitnych Polaków w XVI w. studiowało, nie obiecywałem sobie wielu „znalezisk”, wszak było tam kilka ekspedycji Akademii Krakowskiej, a dłuższy pobyt prof. ks. Fijałka, najsuwniejszego badacza, nie zostawiał nadziei znalezienia wiele

po nim. Za to znalazłem człowieka, który w najbliższych latach miał stanowić znakomity łącznik kulturalny Włoch z Polską. Poznałem go w pracowni rękopisów w Bibl. Uniw.; był to młody człowiek, brunet o orlim nosie i czarnych oczach, Giovanni Maver, naówczas dojeżdżający tu z Triestu, gdzie wykładał germanistykę. Maver pochodził z rodziny włoskiej (zapewne ongiś Mavro), ale nieco zesłowiańszczonej, ojciec bowiem, lekarz, mieszkał na jednej z wysp dalmackich (obywatel austriacki); syna wychowywało otoczenie w języku miejscowej ludności — chorwackim, przeszedł też chorwackie gimnazjum i na uniwersytet wybrał się do Wiednia. Tam zetknął się z krakowianinem Stanisławem Wędkiewiczem, obaj studiowali filologię romańską u słynnego profesora Mayer Lübke, Szwajcara z rodu, obaj się wybili, ale górę wziął Polak, on skończył studia doktoratem sub auspiciis imperatoris, ze złotym pierścieniem od cesarza Franciszka Józefa jako wyróżnieniem najzdolniejszego absolwenta w danym roku wśród ogółu młodzieży. Maver, obdarzony zarazem pięknym głosem, myślał o karierze śpiewackiej i wybrał się na próbę do Paryża, ale w tamtejszej operze przyszedł do przekonania, że głos jego jest za słaby i pozostał przy studiach naukowych. Osiadł w Trieście jeszcze austriackim i po przejściu miasta do Włoch wykładał germanistykę. Zaproszony przez rząd czeski do Pragi, nauczył się tam języka czeskiego, opracował rozprawę habilitacyjną o poecie (Karol Hynek Mastny?). Opanowawszy dwa języki słowiańskie zaczął uczyć się rosyjskiego i myślał o karierze sławistycznej. Ale we Włoszech tej potrzeby nie widziano, dojeżdżał więc tylko do Padwy z wykładami jako docent. Gdyśmy się spotkali w bibliotece, nawiązała się obustronna sympatia, która nigdy już się nie miała zachwiać. Zachęcałem Mavera do poznania języka polskiego, a słysząc że nie widzi do tego możliwości w swej sytuacji, zaproponowałem mu wyprawę do Krakowa i to natychmiastową. Właśnie bowiem pragnąłem sprowadzić żonę (z córką) na pobyt wakacyjny na Rivierę, zatem mieszkanie nasze pozostać miało dłuższy czas puste, pod opieką służącej, która może gościa obsługiwać i karmić, gdy koledzy i przyjaciele ułatwią mu szybkie opanowanie języka. Maver się zgodził i niedługo pojechał. Później dopiero się dowiedziałem, że z tą gościnią nie była sprawa całkiem prosta, że spotkała go tam przygoda, która zmusiła go do przyjęcia gościny gdzie indziej. Mianowicie służąca, strażniczka mieszkania, popadła w jakiś rozstrój nerwowy i patrząc na gościa o tak czarnych włosach, silnym wyrazie czarnych oczu, wydatnym nosie, mówiącym nierozmawialnym dla niej językiem, uroiła sobie, że to sam diabeł. Dla wypróbowania go zaczęła postępować podchwytliwie, np. odmawiała mu klucza do drzwi wejściowych,

twierdząc, że on i tak zdolny przejść przez dziurkę od klucza. Gdzie stanął w pokoju, okrążyła go kółkiem z kredy. Po pewnym czasie zaczęło to ciążyć gościowi, nie był pewny, czy przyrządzając mu pożywienie, nie zaryzykuje włożyć doń czegoś, co by diabłu nie szkodziło, ale człowieka kosztowało zdrowie. Pamięć o tej przygodzie zachowała się i w druku „Grono krakowskich bibliofilów”, opracowując „Przegląd Bibliograficzny” Nr 13, a więc miesięcznik nie istniejącego w roku miesiąca, dla ogłoszenia w nim rzekomych druków znanych osobistości, które oni mogliby lub powinni wydać, wymienili i publikację Mavera „Il diavolo nella casa di professore Lo Gatto” (Redaktorami byli trzej dowcipnisie spośród młodych uczonych, zaprzyjaźnionych szybko z Mavrem: Kazimierz Piekarski, Jan St. Bystroń i Franciszek Bielak). (Lo Gatto oznaczało Kota w dawnej włoszczyźnie, ale było zarazem nazwiskiem drugiego sławisty w Rzymie, przyjaciela Mavera, znawcy języka rosyjskiego).

Mimo przygód diabeł opanował w mig język polski, przeczytał stopy dzieł literatury dawnej i nowej, przywiązał się do niej, zainteresowały go pewne epoki i pewne postacie, oczywiście przede wszystkim Jan Kochanowski i gdy wrócił do Włoch, objął docenturę literatur słowiańskich w Padwie, skąd w r. gdy w Warszawie stworzono katedrę języka i literatury włoskiej (Mieczysław Brahmer) przeszedł do Rzymu na specjalnie dlań ufundowaną przez rząd włoski katedrę języka i literatury polskiej.

Jakaż była moja radość w niewiele lat później, gdy na zjeździe krakowskim w rocznicę 400 urodzin Kochanowskiego, urządzonym przez Akademię Umiejętności pośród wszystkich polonistów z całej Europy wyróżnił się pięknym przemówieniem o Janie Kochanowskim właśnie ów zacny diabeł! budząc entuzjastyczne oklaski tłumu wypełniającego teatr miejski.

Stanisław KOT

Roman KRÓLIKOWSKI

OPERATION POLEJUMP

W S T Ę P

Jako Polski Oficer Łącznikowy przy naczelnym dowództwie brytyjskim na Środkowym Wschodzie a następnie przy dowództwie brytyjskim w Afryce wschodniej w latach 1945-1948 brałem udział w organizowaniu wyjazdu polskich rodzin wojskowych z Afryki, w tak zwanej „Operation Polejump”.

Większość Polaków mieszkających w osiedlach afrykańskich wyjechała w świat a na miejscu została tylko nieliczna grupa rezydentów w nowopowstałych państwach jak Kenia, Tanzania, Uganda, Zambia, Rodezja i Republika Południowo-Afrykańska. Osiedla, a było ich na wymienionych terenach dwadzieścia dwa, zniknęły z powierzchni ziemi a z nimi zniknęły piękne świetlice i kaplice. Zostały tylko cmentarze. Gdziekolwiek ludność miejscowa jeszcze wspomina Polaków jako *watu mzuri sana* (dobrych ludzi).

Pomimo że od tego czasu upłynęło zaledwie kilkanaście lat już dziś trudno jest ustalić pewne fakty a publikacje na ten temat często podają niedokładne dane, nie z winy autorów lecz z powodu braku dokumentacji.

Do tej pory opublikowano:

SAFARI PRZEZ CZARNY ŁĄD, książka napisana w roku 1947 przez inż. W. Ostrowskiego, zawierająca bardzo interesujące szkice z podróży po Kenii, Tanganice, Ugandzie, i Zanzibarze oraz wrażenia z odwiedzin osiedli polskich w tych krajach.

SKRADZIONE DZIECIŃSTWO napisane przez ojca L. Z. Królikowskiego i wydane w roku 1960. Jest to historia dzieci polskich wywiezionych do Rosji sowieckiej a następnie wysłanych do Afryki, Indii, Meksyku, Nowej Zelandii i Kanady.

DZIEJE UCHODŹTWA POLSKIEGO W AFRYCE opisał przez śp. Jakuba Hofmana, działacza społecznego i historyka, który przebywał przez 6 lat w osiedlu w Tengeru. Praca ta jest zdeponowana jako rękopis w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Prawdopodobnie istnieją jeszcze z tego okresu inne wspomnienia i pamiętniki, nieopublikowane przez autorów¹.

I. PRZYJAZD POLAKÓW DO AFRYKI

Do Afryki przyjechały w kolejności:

- a) *grupa cypryjska* — w lipcu i listopadzie 1941, z Cypru przez Palestynę do Północnej Rodezji,
- b) *grupa rosyjska* — w latach 1942/44 z Rosji sowieckiej przez Persję i Irak do Afryki wschodniej i obu Rodezji,
- c) *dzieci polskie* — w kwietniu 1943 z Rosji sowieckiej przez Persję do m. Oudtshoorn w Unii Południowo Afrykańskiej,

1. Po zakończeniu w roku 1948 mej służby wojskowej, mieszkając przez 12 lat w Kenii interesowałem się nadal zagadnieniem uchodźców polskich w Afryce. Szukałem potrzebnej mi dokumentacji lecz bez wielkich wyników. Zdołałem jedynie ustalić, że akta delegatur i osiedli polskich, jeśli nie zostały spalone przy likwidacji, zdeponowano w archiwum East Africa Refugee Administration w Nairobi, a z chwilą zlikwidowania tego biura, całe archiwum przeniesiono do archiwum East Africa High Commission w Nairobi. Zanim w roku 1963 Kenia uzyskała niepodległość, akta urzędów brytyjskich w części zostały zniszczone a jedynie ważniejsze akta przesłano do archiwum Colonial Office w Londynie. Czy są tam akta polskie — nie wiem.

Jedynie akta byłej delegatury ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego w Nairobi zostały przesłane do Interim Treasury Committee w Londynie i znajdują się one w brytyjskim ministerstwie oświaty.

Ostatnio ogłoszono w prasie polskiej w Londynie, że archiwum szkolne zostało obecnie włączone do ogólnego archiwum szkół polskich oraz kursów wojskowych i skatalogowane. Maturzyści oraz nauczyciele którym potrzebne są zaświadczenia z ukończenia szkół lub potwierdzenia pracy w osiedlach: Masindi, Kojja, Rongai, Tengeru, Kondo, Kidugala, Ifunda, Abercorn, Lusaka, Diglefold, Marandellas, Rusape, Gatooma, Livingstone, Bwana M'Kubwa, Oudtshoorn, delegatury w Nairobi oraz gimnazjum na Cyprze, mogą zwracać się po polsku do Sekeji polskiej, Department of Education and Science, Curzon Street, London W.1.

Wszystkie akta metrykalne z osiedli i szefostwa duszpasterstwa w Afryce wschodniej zostały przesłane do Naczelnego Kapelana dla Polaków w W. Brytanii, ks. Infułata Michalskiego, 4 Devonian Road, London N.1.

Spisy uchodźców, obejmujące kilkanaście tysięcy nazwisk, prowadzone przez Polski Czerwony Krzyż a następnie przez Tow. Pomocy Polakom w Nairobi, zostały odesłane do Twa Pomocy Polakom, 55, Princes Gate, Exhibition Road, London S.W.7.

d) *reszta grupy rosyjskiej* — z Indii, w marcu 1948 do Ugandy.

a) *Grupa cypryjska*

Grupa cypryjska, tak zwani „goście Jego Królewskiej Mości” obejmowała osoby ze sfer rządowych i politycznych w Polsce, do których potem dołączono starszych wiekiem i stopniem wojskowych².

Po długich pertraktacjach rząd brytyjski zgodził się udzielić na Cyprze gościny dla 500 osób cywilnych, z zastrzeżeniem że mają one pochodzić ze wszystkich dzielnic Polski, a nie tylko ze Śląska i Poznańskiego. O osobach wojskowych nie było zupełnie wzmianki³.

2. Po ataku Niemców na Polskę we wrześniu 1939, radio niemieckie przy każdej sposobności nadawało groźby pod adresem działaczy polskich zwłaszcza przeciwko byłym powstańcom śląskim i poznańskim zapowiadając że każdego z nich po złapaniu rozstrzelają. To było powodem że po przekroczeniu granicy rumuńskiej, w październiku 1939 w m. Bucowa utworzył się komitet złożony z członków Zarządu głównego powstańców w składzie: wojewoda dr M. Grażyński, senator R. Kornke, poseł A. Olszowski i inspektor policji J. Jeziorski, którzy za zgodą ambasady polskiej w Bukareszcie, zwrócili się do ambasady francuskiej z prośbą o pomoc w wyjeździe z Rumunii na Zachód, tak zwanym „zagrożonym”. Po długich konferencjach z komitetem, ambasada francuska zgodziła się na udzielanie wiz do Francji „zagrożonym” pod warunkiem że zdolni do wojska wstąpią do Armii Polskiej a reszta zostanie skierowana do pracy według indywidualnych uzdolnień.

Zgodnie z tym postanowieniem z początkiem lutego 1940 ambasada francuska zaczęła wydawać zainteresowanym wize. Jednakowoż w czerwcu 1940 ze względu na zmienioną sytuację wojskową, ambasada anulowała wize dla tych „zagrożonych” którzy nie zdołali wyjechać z Rumunii. Czując się jednak w pewnym stopniu zobowiązaną w stosunku do „zagrożonych”, zwróciła się w imieniu komitetu, o pomoc do rządu brytyjskiego. Z ramienia rządu polskiego sprawą tą zajmował się minister Stańczyk.

3. W tym samym czasie w ramach ewakuacji wojska i osób cywilnych z Węgier i Rumunii, na skutek załamania się Francji transporty kierowano do Palestyny gdzie od lipca 1940 przebywała już Brygada Strzelców Karpackich. Wyjazd z Węgier i Rumunii odbywał się na ogół legalnie na podstawie paszportów polskich zaopatrywanych w wize przejazdowe jugosłowiańskie, greckie i tureckie zaś wize docelowe były wydawane przez władze brytyjskie. Gdy na skutek sukcesów Hitlera w Europie, sytuacja polityczna przechylała się na korzyść Niemiec, władze greckie i tureckie poczęły robić trudności w udzielaniu wiz i w ten sposób w obozach przejściowych w Jugosławii powstał zator.

30 lipca 1940 Naczelny Wódz wydał instrukcję L.1461 do attachatów wojskowych kierujących ewakuacją, ustalając bardzo surowe wytyczne odnośnie selekcji personelu przeznaczonego do ewakuacji. Punkt 3. tej instrukcji ustalał: „Wszystkich rzeczywiście zagrożonych ewakuować na Cypr w porozumieniu z Machalskim (płk. dypl. T. Machalski ówczesny attaché wojskowy

Rokowania w sprawie wyjazdu Polaków na Cypr zakończono w pierwszych dniach września. Do kategorii „zagrożonych” zaliczono zaangażowanych działaczy politycznych, pracowników Oddziału II. Sztabu Głównego i pracowników baz ewakuacyjnych. Wykonanie umowy powierzono ministrowi Arciszewskiemu, mianowanemu delegatem rządu do spraw uchodźców polskich, jego zastępcy radcy M.S.Zagr. S. Fiedler-Alberti oraz radcy ambasady T. Lubaczewskiemu.

Ogółem wyjechało z Rumunii 8 transportów polskich, kolejną z Bukaresztu do Constancy skąd transportem morskim do Sztambułu; zajmował się nimi konsul Jan Chmieliński. Tygodniowo wyjeżdżało z Bukaresztu bez specjalnych trudności około 60-80 osób. Ostatni transport który odpłynął z Constancy 20 października miał już trudności ze strony władz rumuńskich i GESTAPO. Z Constancy do Sztambułu Polacy płynęli na statkach normalnie kursujących na tej linii: CRAJOVA, BESSARABIA i TRANSYLVANIA. W Sztambule na brzegu azjatyckim wynajęto dwa pensjonaty, gdzie na koszt rządu polskiego kwaterowano przejeżdżających. Ze stacji kolejowej HEIDERPASHA do portu MERSINA jechano „Taurus Express” zajmując najwyżej jeden wagon osobowy, aby nie zwracać uwagi innych pasażerów. Dzięki staraniom ambasadora Sokolnickiego i płk. Machalskiego przejazd przez Turcję odbywał się bez trudności.

Na trasie MERSINA-HAIFA kursował wtedy pod polską banderą statek „WARSZAWA”, który pod dowództwem kpt. mar. Meissnera przewoził transporty wojskowe do Haify; on również przewiózł grupę cypryjską z Mersiny na Cypr⁴.

Pierwszym transportem przybył na Cypr p. Stefan Fiedler-Alberti mianowany Konsulem generalnym R.P. w NIKOZJI⁵.

w Ankarze — R.K.). Utrzymywać ich do czasu ewakuacji. Dla uznania zgody Anglików na umieszczenie ich wszystkich na Cyprze ponad przyznane już 500 osób Machalski zamelduje mi po otrzymaniu danych z Bukaresztu, Budapesztu, Belgradu i Aten stan umieszczonych już na Cyprze i wymagających jeszcze rozmieszczenia”.

4. Na Cyprze transporty wyładowywano w porcie Larnaca skąd autobusami przewożono przyjezdnych do obozu przejściowego w DEKHELIA na dokładne badanie i spisanie ewidencji. Grupa cypryjska została rozlokowana w hotelach w miejscowościach: PLATRES — starsi stopniem wojskowi, PEDHOULAS — Ślżacy, SAITTAS — wyżsi urzędnicy państwowi, KYRENIA — Ślżacy. Wszyscy otrzymali kwatery z pełnym utrzymaniem oraz miesięcznie 10 szylingów na osobę, na drobne wydatki.

5. W Platres zorganizowano szkołę powszechną i gimnazjum prowadzone przez gen. F. Zarzyckiego, mgr. Kurdybachę i ks. kanonika F. Kubińskiego. Ksiądz kanonik Wł. Wargowski prowadził pracę kulturalno-oświatową i zorganizował mieszany chór ECHO mający 80 członków, który występował

W maju 1941 na skutek sukcesów Niemców w Grecji, władze brytyjskie rozpoczęły ewakuację Cypru⁶.

Najprzód przewieziono do Egiptu i Palestyny rodziny brytyjskie a następnie kilkoma transportami przewieziono do Haify całą grupę cypryjską, Zakwalifikowanych do służby wojskowej odesłano do Ośrodka Zapasowego S.B.S.K. w Latrun a osoby cywilne skierowano do Tel-Awiv i Jerozolimy gdzie losem ich zajął się delegat M.O.S. p. T. Lubaczewski.

Delegatura M.O.S. zwróciła się do wszystkich osób z grupy cypryjskiej z zapytaniem czy chcą one pozostać w Palestynie czy też chcą wyjechać do osiedli polskich w Północnej Rodezji. Po długich i gorących dysputach publicznych, osoby które miały w Palestynie rodziny zostały z listy wyłączone a na ich miejsce wpisano osoby pragnące wyjechać z Palestyny, względnie które zostały wpisane na listę wbrew ich woli przez delegaturę M.O.S. Kierownikiem grupy, która dalej nosiła nazwę grupy cypryjskiej został p. Fiedler-Alberti, tym razem wyznaczony na stanowisko Konsula gen. R.P. w Północnej Rodezji w Lusaka.

W lipcu 1941 wyjechał z Palestyny przez El-Kantara do Suezu pierwszy transport liczący 285 osób. 3 sierpnia transport ten został zaokrętowany na MS. MAURETANIA którą dopłynął do Durbanu skąd koleją, przez Johannesburg dojechał do Północnej Rodezji. Poszczególne grupy rozlokowano, na kwaterach i w hotelach w miejscowościach położonych wzdłuż linii kolejowej: Livingston, Monze, Mazabuka i Lusaka. W listopadzie 1941 tą samą drogą przybył drugi transport liczący około 200 osób, który dołączył do istniejących już skupisk polskich w Północnej Rodezji.

b) Grupa rosyjska

Największa grupa Polaków przewieziona do Afryki to rodacy którzy w latach 1940-1941 zostali deportowani z Polski w głąb Rosji sowieckiej. Tylko część z nich została objęta ewakuacją Armii Polskiej w ZSSR na południe a następnie do Persji. Trage-

kilkakrotnie z koncertami muzyki i pieśni polskiej w Platres i Nikozji. Harcerstwem zajmował się drh. St. Wojstomski. W Nikozji wydawano tygodnik „Głos Polaków na Cyprze” redagowany przez J. Mieroszewskiego i W. Sikorskiego.

6. Należy nadmienić że na Cypr wyjechali nie tylko „zagrożeni Polacy”. Ambasada brytyjska w Bukareszcie kierowała tam również rodziny urzędników z brytyjskich placówek dyplomatycznych na Bałkanach oraz cudzoziemców (przeważnie Niemców i Austriaków — również zagrożonych). Mieli oni tam odczekać na rozwój wypadków na frontach europejskich.

dia naszych rodaków w Rosji sowieckiej oraz wyjazd ich na południe Rosji były opisywane w wielu wspomnieniach, dlatego podam tylko kilka danych:

- Z Rosji sowieckiej ewakuowano wraz z wojskiem do Persji: — podczas 1-szej ewakuacji (24. 3 - 4. 4. 1942) 10.789 osób cywilnych,
- podczas 2-giej ewakuacji (5-25. 8. 1942) 25.437 osób cywilnych.

Na skutek umowy między rządem polskim a brytyjskim przy pomocy organizacji M.E.R.A. (Middle East Refugee Administration) na czele której stał płk. A. Ross, z grupy cywilnej przewieziono z Persji do osiedli w Afryce — 18.000 osób. W Persji transporty były organizowane przez delegaturę M.O.S. przy bardzo czynnym udziale prof. Kota, który w drodze z Kujbyszewa do Londynu, przez szereg miesięcy przebywał na Środkowym Wschodzie w „charakterze członka rządu delegowanego dla koordynacji i uregulowania polskich spraw, inicjatywy i urzędów na Bliskim Wschodzie”⁷.

Transporty z Persji ruszyły w lipcu 1942. Były one kierowane do obozu przejściowego w Ahwaz koło Bashry lub do Karachi w Indiach, skąd następnie kierowano je do portów Afryki wschodniej, do Kilindini lub do Dar-es-Salaam, względnie do Durbanu w drodze do obu Rodezji. Ostatni transport z Karachi przybył do Afryki wschodniej w czerwcu 1944 roku.

c) *Dom Dzieci Polskich w Oudtshoorn*

Sprowadzenie do Unii Południowo-Afrykańskiej większej ilości dzieci polskich wywiezionych z Polski do Rosji zostało zdecydowane po długich pertraktacjach prowadzonych przez śp. ministra dr. S. Łepkowskiego w imieniu rządu R.P. z ówczesnym

7. Przy organizowaniu transportów kierowano się zasadą, żeby grupy wyjazdowe przeznaczone do jednego osiedla były samowystarczalne tj. miały własny aparat administracyjny, tłumacza, lekarza, rzemieślników itp. Nie uzgodniono jednak z władzami brytyjskimi, względnie o tym zapomniano, jak na miejscu osiedla będą administrowane. Po przyjeździe transportów na miejsce okazało się że w osiedlach był już komendant, z reguły emerytowany oficer armii bryt. lub policji który miał zwerbowany na miejscu aparat administracyjny jak kwatermistrza, płatnika, tłumacza itp. Tak zwani polscy kierownicy osiedli, mimo swych tytułów, byli tylko *doradcami* komendantów brytyjskich. Z czasem jednak gdy poprzedni współpracownicy komendantów odeszli na lepsze posady poza osiedlami (byli to przeważnie uchodźcy z Niemiec mówiący dobrze po angielsku), prawie cały aparat administracyjny osiedli był przejmowany przez Polaków.

premierem Unii marszałkiem Smutsem. Rząd Unii zgodził się przyjąć grupę 500 sierot polskich wraz z opiekunami. Problem mieszkaniowy został pomyślnie załatwiony dzięki życzliwości ówczesnego ministra opieki społecznej p. H. Lawrence. Na osiedle przeznaczono byłoby obóz wojskowy w rejonie m. OUDTSHOORN, miejscowości mającej bardzo łagodny klimat przez cały rok. Na przyjęcie sierot przygotowano 37 murowanych baraków mieszkalnych, ponadto oddano do użytku budynki gospodarcze. W marcu 1943 przyjechała z Płnc. Rodezji pierwsza grupa personelu administracyjnego z ks. kan. Fr. Kubieńskim przewidzianym na kierownika Domu Dzieci Polskich.

Dnia 9 kwietnia 1943 MS DUNERA, po miesięcznej podróży z Karachi przywiozła do Port Elizabeth transport 500 dzieci polskich i grupę opiekunów w liczbie 60 osób.

Dzieci było 500 (199 dziewcząt i 301 chłopców). Wiek ich wahał się między 4 a 17 lat, lecz połowa dzieci w chwili przyjazdu była w wieku poniżej 12 lat. Prawie 30 % stanowiły tak zwane pół-sieroty, które z czasem odnalazły swoje rodziny w osiedlach w Afryce wschodniej lub w Anglii, do których z czasem dołączyły.

Kierownikami Domu Dzieci Polskich kolejno byli: ks. kanonik Fr. Kubieński do końca 1943, insp. Tarnowicz do połowy 1944, zaś ostatnim był dr Z. Skowroński do likwidacji Domu, tj. do 20. 6. 1947.

Kontrolę szkolnictwa w Osiedlu sprawował delegat Min. W.R. i O.P. w Nairobi delegat Seweryn Szczepański. Środki pieniężne na pokrycie kosztów utrzymania Domu przekazywało Ministerstwo Opieki Społ. w Londynie za pośrednictwem konsulatu R.P. w Cape Town.

Przez cały czas istnienia Domu, troskliwą opiekę nad nim sprawowali minister dr S. Łepkowski i jego żona pani Zofia Łepkowska.

Po cofnięciu uznania rządowi R.P. w Londynie i zlikwidowaniu konsulatów R.P. w Cape Town i Pretorii, bezpośrednią opiekę nad Domem Dzieci Polskich przejęło ministerstwo opieki społecznej Unii.

Dom Dzieci Polskich został zlikwidowany 20 czerwca 1947.

d) *Grupa rosyjska z Indii*

Na skutek starań rządu polskiego, w roku 1941 Indie zaofiarowały gościnę dla dzieci polskich (wraz z opiekunami) przebywających wówczas w Rosji. Uzyskanie tej gościnności było o tyle

korzystne, że transporty dzieci mogły być kierowane bezpośrednio z południa Rosji drogą lądową do Indii.

Z Aszchabadu, stolicy republiki turkmeńskiej położonej nad granicą perską, transporty samochodowe pod znakiem Czerwonego Krzyża kierowano przez granicę do Meszhedu, skąd dalej do Indii⁸.

Do 20. 11. 1942 tą drogą wyewakuowano 701 żołnierzy i 1.936 cywilnych.

W Indiach powstały obozy:

- obóz przejściowy w Malir pod Karachi, przez który przeszło tysiące Polaków, z których zaledwie część została w Indiach a reszta udała się do Afryki wschodniej, Nowej Zelandii i Meksyku.
- obóz dzieci polskich w Balachadzi, w księstwie Nawanagar, gdzie pomieszczono około 1.000 dzieci polskich z nauczycielami. Administracją obozu kierował ksiądz Fr. Pluta.
- obóz w Valiwade w pobliżu Kolhapur, gdzie mieszkało około 3.800 osób w tym 2.000 młodzieży i ich rodziny oraz grupa oficerów bez przydziału. Kierownikiem obozu był kpt. Wł. Jagiełłowicz.

Od chwili wybuchu wojny Polakami w Indiach opiekował się konsul generalny R.P. w Bombaju dr E. Banasiński, którego żona p. Kira zorganizowała i prowadziła oddział Polskiego Czerwonego Krzyża⁹.

W czerwcu 1944 konsulem generalnym w Bombaju został Jerzy Litewski, — do dnia 5. 7. 1945, gdy cofnięto uznanie rządowi R.P. Następnie konsul Litewski do listopada 1946 był kierownikiem „Polskiego Komitetu Opieki nad uchodźcami” w Indiach¹⁰.

8. W Aszchabadzie kierownikiem ewakuacji był płk. Perkowicz a z Meszhedu do Indii transporty prowadził konsul dr Tadeusz Lisiecki.

9. Delegatem Ministerstwa oświaty był mgr Michał Goławski. Delegatem M.O.S. był W. Styburski a po nim Stanisław Dudryk-Darlewski. Pierwszym redaktorem „Polaka w Indiach” był Franciszek Sarnowiec a po nim Michał Chmielowiec, który po zlikwidowaniu osiedli przywiózł do Anglii i ofiarował biblioteczki polskiej szkoły średniej, prowadzonej przez Księżę Marianów w Fawley Park koło Henley-on-Thames, roczniki tego pisma.

10. Stosunek rządu Indii do uchodźców polskich był bardzo życzliwy i nie zmienił się bynajmniej po uzyskaniu przez Indie niepodległości w roku 1947. Decyzja likwidacji osiedli polskich była nieunikniona, gdyż w tym kraju nie było żadnych możliwości pracy dla Polaków a poza tym większość uchodźców stanowiły kobiety z dziećmi, żony żołnierzy, trzeba więc było w ramach akcji łączenia rodzin wysłać je do Anglii, gdzie wówczas powstał P.K.P.R., względnie do obozów istniejących już w Afryce wschodniej.

Z początkiem roku 1948, przy pomocy UNRRA 150 osób wyjechało do Polski. W marcu 1948 694 osoby przewieziono do Ugandy do osiedla Koja, reszta rodaków, dzieci i ich rodzice rozjechały się po świecie. Losy ich są bardzo barwnie opisane przez księdza L. Królikowskiego w „Skradzionym dzieciństwie”¹¹.

II. AFRYKA WSCHODNIA INFORMACJE O UCHODŹTWIE POLSKIM

Administracja

Pierwszym delegatem dla spraw uchodźców na Środkowym wschodzie z siedzibą w Jerozolimie w roku 1942 został wyznaczony por. Stefan Daszyński zwolniony w tym celu z czynnej służby wojskowej.

Jako swych współpracowników na terenie Afryki wschodniej, dokąd mieli być kierowani uchodźcy polscy z Persji, w sierpniu 1942 wybrał inż. Michała Makowskiego i inż. Jerzego Skolimowskiego, którzy wówczas pełnili służbę wojskową w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich. Obaj zostali zwolnieni z czynnej służby i wysłani jako delegaci do Ugandy, gdzie budowano dwa wielkie osiedla w Koją i Masindi.

W tym samym charakterze wyjechali do Kenii delegaci: p. K. Chodzikiemowicz mając do pomocy St. Cielińskiego oraz Tadeusza Kopcia. Zadaniem ich było przygotowanie osiedli w Kenii i Tanganice.

Z ramienia Min. Spraw Zagr. wyjechał do Nairobi konsul Jan Chmieliński, mając do pomocy p. Juliana Golcza, który odszedł do placówki MSZagr. w Kampali.

Akcję rozmieszczenia uchodźców polskich w Afryce prowadziła M.E.R.A. kierowana przez płk. A. Ross z biurami w Kairze.

W Nairobi powstała E.A.R.A. (East Africa Refugee Administration) z C. L. Brutonem jako dyrektorem i ppłk. E. B. Belcherem jako zastępcą, który po odejściu p. Brutona przejął jego obowiązki.

Instytucji tej podlegali:
dyrektor dla uchodźców na Kenię z siedzibą w Nairobi:
płk. Noel-Stewart,

11. Osobiście w Indiach nie byłem. Podane wyżej informacje uzyskałem od redaktora M. Chmielowca oraz od osób które były w osiedlach w Indiach.

- dyrektor dla uchodźców na Tanganikę w Dar-es-Salaam: dyr. A. Pennigton,
 dyrektor dla uchodźców na Ugandę w Kampali: dyr. Cochran.
 Z płk. Belcherem współpracowali — lecz mu nie podlegali:
 dyrektor dla uchodźców na Południową Rodezję w Salisbury: płk. Hamilton,
 dyrektor dla uchodźców na Północną Rodezję w Lusace: dyrektor S. Gore-Brown, a od roku 1944 ppłk. Bagshaw.
- Każdy z wymienionych dyrektorów miał polskiego doradcę, mianowanego przez Ministra Opieki Społecznej. Byli nimi:
- w Nairobi do chwili cofnięcia uznania rządowi R.P. p. K. Kazimierzczak; po nim objął to stanowisko ppłk. Staszewski — do roku 1947, następnie do roku 1948 p. K. Chodzikiewicz; ostatnim doradcą polskim do roku 1950 był pan Seweryn Szczepański;
 - w Kampali do chwili cofnięcia uznania rządowi R.P. doradcą polskim był konsul J. Chmieliński, który zajmował to stanowisko do roku 1948;
 - w Dar-es-Salaam doradcą był konsul J. Wierciński a od chwili zlikwidowania konsulatu sprawy uchodźców były załatwiane bezpośrednio z Nairobi;
 - w Salisbury doradcą był major W. Kralewski; w Lusace p. K. Skwierczyński do roku 1944, a następnie do roku 1945 dr W. Korabiewicz.

Osiedla polskie

W okresie planowania rozmieszczenia osiedli dla uchodźców polskich na terenie Afryki wschodniej i środkowej, w roku 1942 Kenia była ważną bazą wojskową i to było powodem że większość osiedli znalazła się na terenie Tanganiki i obu Rodezji.

W Kenii, w Rongai w styczniu 1945 powstał sierociniec dla 400 dzieci w wieku od 5 do 18 lat, prowadzony przez Siostry Nazaretanki — 20 zakonnice, oraz jedną siostrę Felicjankę. Administracja sierocińca liczyła 87 osób. Czynne były: przedszkole, szkoła powszechna, gimnazjum humanistyczne i szkoła krawiecka. Sierociniec zajmował 11 murowanych budynków po opuszczonej bazie wojskowej. Likwidacja sierocińca nastąpiła w roku 1947; dzieci rozesłano do sierocińców w osiedlach Kondoa, Ifunda i Tengeru.

W Manira w roku 1942 powstał polski dom dla starców na terenach włoskiej Misji katolickiej której księża, będący Włochami, w czasie wojny byli internowani przez władze Kenii.

Brat Józefat (Stanisław Nowicki) zakonnik polski który mieszkał w Kenii 45 lat, z chwilą przyjazdu do Afryki wschodniej Polaków, zwrócił się do biskupa w Nairobi z prośbą o oddanie mu do dyspozycji niezagospodarowanej wówczas Misji, na której przy pomocy Polskiego Czerwonego Krzyża założył i prowadził Dom dla Starców. Zlikwidowano go w roku 1947.

W *English Point* pod Mombasą istniał obóz przejściowy prowadzony przez UNRRA a następnie przez IRO, przez który przechodziły wszystkie transporty opuszczające Kenię. Obóz zlikwidowano w roku 1950.

W *Tanganice* były osiedla: Ifunda, Kidugala, Kondoa, Morogoro i największe z nich Tengeru.

W *Ugandzie* były jedynie osiedla w Koja i Masindi.

W *Północnej Rodezji* były osiedla Abercorn, Fort Jameson, Livingstone, Bwana M'Kubwa i Lusaka.

W *Południowej Rodezji* istniały osiedla Gatooma, Marandellas, Rusape i Digglefold gdzie było gimnazjum i liceum żeńskie.

W *Unii Południowo-Afrykańskiej* w Oudtshoorn istniał Dom Polskich Dzieci.

Konsulaty R.P.

Z chwilą wybuchu wojny w roku 1939 sprawy Polaków na terenach kolonii i protektoratów brytyjskich w Afryce wschodniej i środkowej podlegały kompetencji konsulatu generalnego R.P. w Londynie.

Kiedy w latach 1941/44 zaczęły napływać do osiedli powstałych na tych terenach tysiące Polaków, rząd polski utworzył całą sieć konsulatów polskich.

KENIA. Pierwszym delegatem rządu R.P. był p. P. O. Wierusz-Kowalski, były wiceminister rolnictwa, który przybył do Kenii w roku 1942 wraz z konsulem Łacińskim.

Na skutek powstałej różnicy zdań z władzami brytyjskimi odnośnie zatrudnienia i ewentualnego wykorzystania Polaków w różnych dziedzinach pracy a zwłaszcza w rolnictwie, p. Wierusz-Kowalski musiał opuścić Kenię a miejsce jego zajął, już jako kierownik konsulatu generalnego, p. Józef Gruja (24. XI. 1943 - 5. VII. 1945 a następnie do grudnia 1946 czynny jako polski doradca do E.A.R.A.).

1. II. 1944 konsulem generalnym został mianowany p. Aleksander Zawisza, który prowadził sprawy konsularne aż do chwili

cofnięcia uznania rządowi R.P. Po nim, jako oficjalny delegat polski został uznany przez E.A.R.A. ppłk. Staszewski, ówczesny delegat M.O.S. (Ministra Opieki Społecznej).

UGANDA. 1. I. 1943 konsulem R.P. z siedzibą w Kampali mianowano p. Tadeusza Drobnika, lecz już w lipcu tego roku przeniesiono go do Tananarive celem zbadania możliwości umieszczenia większej ilości Polskich uchodźców na Madagaskarze. Następcą jego w Kampali został konsul Jan Chmieliński, mający do pomocy wicekonsula Jana Matuszczaka. 5. VII. 1945 biuro konsulatu zostało przemianowane na biuro doradcy dla spraw polskich przy dyrektorze uchodźców na Ugandę i na tym stanowisku konsul Chmieliński wytrwał do roku 1948.

TANGANAYKA. Od 1. XI. 1942 do 1. I. 1943 konsulem R.P. w Dar-es-Salaam był p. Tadeusz Drobnik przeniesiony potem do Kampali. Jego miejsce jako konsula zajął na wyraźne polecenie generała Sikorskiego por. mar. J. Wierciński. Po jego śmierci w roku 1944 sprawy konsularne do roku 1945 prowadził wicekonsul Gulcz.

PÓŁNOCNA RODEZJA. Konsulami R.P. w Lusace byli kolejno:

Stefan Fiedler-Alberti, 1. VI. 1941 - 1. XI. 1942;

Aleksander Zawisza, 19. XI. 1942 - 1. I. 1943;

Szczęśny Zaleski, 1. I. 1943 - 1. VI. 1944;

Stanisław Rosset, 1. VI. 1944 - 5. VII. 1945.

Konsulatowi w Lusace podlegała ekspozytura konsularna w Livingston, pod kierownictwem Waleriana Łopatto.

POŁUDNIOWA RODEZJA. Kierownikami konsulatu generalnego R.P. w Salisbury byli kolejno:

Aleksander Zawisza, 1. I. 1943 - 1. II. 1944;

Ignacy Ziętkiewicz mający do pomocy wicekonsula Konstantego Galasa.

UNIA POŁUDNIOWO AFRYKAŃSKA.

Pretoria. Od XI. 1940 do 5. VII. 1945 kierownikiem konsulatu generalnego z tytułem ministra pełnomocnego był dr S. Łepkowski.

Johannesburg. Istniejącą przed wojną Agencję konsularną do 1. VI. 1944 prowadził Kazimierz Armin.

Od 1. VI. 1944 do 5. VII. 1945 konsulem generalnym był Szczęśny Zaleski, mając do pomocy wicekonsula Karola Rozwadowskiego (od 1. VII. 1944 do 5. VII. 1945).

Cape Town. Kierownikiem konsulatu do 5. VII. 1945 był konsul Jan Majewski, od 1. X. 1942, mając do pomocy radcę MSZagr. Tadeusza Kawalca.

Delegatury i przedstawicielstwa

Równocześnie z powstaniem konsulatów R.P. rozpoczęły na tych terenach działalność delegatury i przedstawicielstwa rządu i władz centralnych:

- delegatami Ministra Opieki Społecznej byli kolejno: inż. K. Kazimierczak, ppłk. M. Staszewski, Artur Szewczyk i K. Chodzikiemowicz;
- delegatem Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego od września 1943 był Seweryn Szczepański;
- delegatem Ministra Skarbu — J. Marynowski;
- delegatem Najwyższej Izby Kontroli Państwa — płk. aud. S. Lubodziecki;
- delegatem Biskupa polowego ks. Gawliny — ks. prałat W. Słapa;
- delegatem Polskiego Czerwonego Krzyża — księżę Eustachy Sapicha;
- dyrektorem YMCA — radca Jan Barański;
- delegatem Głównego Zarządu Harcerstwa Polskiego — dr W. Szyryński;
- delegatem NCWC-CRS — J. Wnukowski;
- delegatem dowódcy Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie — por. J. Piekarski, oficer płatnik.

Szkolnictwo

Ten dział był wyłącznie pod kierownictwem polskim. W czasie największego nasilenia, gdy w osiedlach przebywało ponad 8.000 młodzieży, istniało:

- 12 przedszkoli dla 383 dzieci z 22 wychowawcami,
- 21 szkół powszechnych dla 5.250 dzieci z 197 nauczycielami,
- 7 szkół średnich ogólnokształcących i liceów humanistycznych dla 1.305 uczni z 80 nauczycielami,
- 13 szkół zawodowych dla 810 uczni z 32 nauczycielami i 20 instruktorami,
- 4 szkoły i kursa muzyczne dla 263 uczni z 10 nauczycielami.

Praca zarobkowa w Afryce wschodniej

Brytyjska administracja osiedli nie czyniła trudności przy wydawaniu zezwoleń na pracę zarobkową i zamieszkanie poza osiedlem. Natomiast władze polskie niechętnie się godziły, aby

uchodźcy opuszczali osiedla, tłumacząc to koniecznością utrzymania „rządów dusz” nad setkami Polaków, jak również chcąc uniknąć niepotrzebnego rozgoryczenia u osób które pozostały w osiedlach. Jednak ci, co wyszli wcześniej z osiedli, na ogół dorobili się majątków, gdyż natrafili na okres koniunktury i na wielkie zapotrzebowanie sił roboczych.

W roku 1943 ze zwiększającym się wysiłkiem wojennym W. Brytanii władze wojskowe w Nairobi zwróciły się do E.A.R.A. z propozycją utworzenia dla bazy lotniczej w Nairobi „Pomocniczego oddziału kobiet” z Polek z osiedli. Propozycja została przyjęta i wykonana ku ogólnemu zadowoleniu. Do pracy zgłosiło się 135 dziewcząt w wieku od 18 do 25 lat dla których założono specjalny „Kenton Camp” pod Nairobi. Na początek uczyły się one angielskiego i przechodziły różne kursa jak mechaniczny, radiowy, administracyjny, pisanie na maszynie. Oprócz mundurów i utrzymania otrzymywały żołąd według stawek brytyjskich co wówczas wynosiło około sześciu funtów miesięcznie.

Z grupy „rafistek” około 30 dziewcząt wyszło za mąż za lotników RAF. Po zakończeniu wojny „rafistki” przeszły na pracę do innych instytucji wojskowych w Nairobi jako kancelistki. Były one bardzo cenione, a zarobki ich w miarę upływu lat stanowiły pokaźny dochód.

Powrót do kraju

1 lipca 1947 opiekę nad uchodźcami polskimi i repatriacją ich do krajów osiedlenia przejęło IRO. Dyrektorem IRO na Afrykę wschodnią był p. H. C. Curtis, szczerze oddany Polakom, niemniej jednak był on urzędnikiem organizacji, której celem było jak najszybsze rozładowanie osiedli polskich przez powrót do kraju. Pierwszym pociągnięciem w tym kierunku, było zorganizowanie w roku 1947 przez E.A.R.A. wyjazdu do Polski 3 osób: dyrektora IRO Curtisa, ks. prałata W. Słapy i inspektora szkolnego Ingłota, którzy po kilkumiesięcznym pobycie w Polsce, mieli w osiedlach na odczytach przedstawić prawdziwe stosunki panujące w Polsce. Akcja ta nie dała żadnych wyników i nikt na powrót do kraju się nie zgłosił.

W październiku 1947 przyjechał z Polski do Nairobi na zaproszenie IRO p. T. Jakobson, urzędnik polskiego MSZagr., który objechał osiedla udzielając informacji o Polsce. Po nim przyjechał jako delegat IRO kapitan Harazim, który objeżdżał osiedla i przyjmował zgłoszenia na powrót do Polski. Na skutek tej akcji około 1.700 osób odjechało do Polski, transportem prowadzo-

nym przez p. Harazima. Wraz z nimi grupa starszych wiekiem wojskowych z płk. Rosnowskim i ppłk. Prokopem na czele. Skierowano ich do obozu przejściowego Dztwa JWSW w Quassasin w Egipcie, skąd po załatwieniu formalności demobilizacyjnych odплыnęli via Neapol do Polski.

Uprawnienia do wyjazdu rodzin wojskowych

W roku 1945 Ministerstwo Opieki Społecznej zdając sobie sprawę że rodziny wojskowe przebywające w osiedlach polskich w Afryce kiedyś połączą się ze swoimi opiekunami, zarządziło sporządzenie spisów osób które miały w wojsku swych żywicieli lub opiekunów. Spisy takie sporządzono w osiedlach jedynie na podstawie danych osobistych zgłoszonych przez zainteresowane osoby, bez żadnej dokumentacji.

W roku 1946 War Office w porozumieniu z Home Office ustaliło tak zwane „19 kategorii krewnych”, to jest osób uprawnionych do przyjazdu do W. Brytanii jako rodziny wojskowe żołnierzy P.S.Z. i P.K.P.R.

Na podstawie tych wytycznych Wydział rodzin wojskowych Inspektoratu PKPR opracował listę „A” osób uprawnionych do wjazdu do W. Brytanii.

Równocześnie ze strony władz polskich czyniono starania aby i dalsi krewni mogli przyjechać do W. Brytanii; osoby te zostały ujęte na liście „B”. Przypuszczano że War Office zgodzi się na zatwierdzenie tej listy razem z listą „A” (co się faktycznie stało lecz grubo później, gdyż dopiero w roku 1949).

Na razie War Office nie zmieniło swojej decyzji i tak zwani dalsi krewni nie zostali uprawnieni do wyjazdu. Powodowało to wiele skarg i niezadowolonia gdyż szereg osób w osiedlach wiedząc że są ujęte na liście rodzin wojskowych, nie mogły zrozumieć dlaczego nagle odmawia się im prawa wjazdu do Anglii. Przy sprawdzaniu danych personalnych, wiele osób zostało skreślonych, tak z listy „A” jak i listy „B”.

Innym problemem, na szczęście załatwionym pozytywnie, było stanowisko War Office, że jedynie wdowy i sieroty po żołnierzach Polskich Sił Zbrojnych, którzy polegli wzgl. zmarli służąc pod dowództwem brytyjskim, są uprawnione do wjazdu do W. Brytanii. Starania władz polskich o przyznanie tych samych praw wdowom i sierotom po żołnierzach W.P. poległych w kampanii wrześniowej lub którzy zmarli w Rosji sowieckiej, dopiero z czasem zostały załatwione pozytywnie.

Zasadą było że jedynie na skutek indywidualnych, osobistych

podają (list zapraszający) ze strony rodziny zamieszkałej w Wielkiej Brytanii, War Office wzgl. Home Office dawało zgodę na wyjazd.

W roku 1947 dowództwo JWSW zażądało od wojskowych władz brytyjskich w Nairobi odesłania do Egiptu, oficerów na długoterminowym urlopie oraz szeregowych czasowo urlopowanych, przebywających przy swych rodzinach w osiedlach. Mieli oni wyjechać razem z oddziałami JWSW z Egiptu do Anglii. Część tych oficerów zastosowała się do rozkazu, lecz część poprosiła o ich zdemobilizowanie z PSZ na miejscu, na co Brytyjczycy się zgodzili.

Transporty morskie

Wyjazd rodzin wojskowych z Afryki wschodniej zapoczątkowano w listopadzie 1947 tak zwanym „TOKEN MOVE”, co miało oznaczać „transport symboliczny”. Nazwy tej War Office użyło dla zadokumentowania że rodziny przebywające w osiedlach są również uprawnione do wyjazdu do W. Brytanii. Trzeba podkreślić, że transporty rodzin ze Środkowego Wschodu rozpoczęły się już w lipcu 1947 i jedynie brak środków transportowych opóźnił wyjazd rodzin z Afryki.

War Office przyznało 150 miejsc jako TOKEN MOVE na statkach odpływających z Egiptu do W. Brytanii. Lista ta obejmowała jedynie żony i dzieci żołnierzy PKPR a nazwiska zostały wylosowane w każdym osiedlu.

Pierwszy transport Token Move odpłynął z Kilindini statkiem ASCANIUS dnia 6 listopada 1947 i liczył 106 osób. Drugi transport liczący 81 osób odpłynął 18 stycznia 48 statkiem CAIRO.

Władze brytyjskie czyniły starania o uruchomienie większych transportów. Przyjmując za zasadę że z Afryki wschodniej trzeba będzie przewieźć około 11 tysięcy osób, War Office zatwierdziło plan transportów na okres półroczny. Brak statków był powodowany ewakuacją wojsk brytyjskich z Palestyny i Indii. Jako główny port załadowniczy dla Afryki wschodniej przewidziano KILINDINI, zaś transporty z obu Rodezji miały odchodzić z Cape Town.

Transporty lotnicze

Przy rozbudowie bazy wojskowej w Mackinnen Road pod Mombasą War Office zatrudniało robotników włoskich. Przewo-

zono ich samolotami z Włoch do Nairobi, a nie mając pasażerów do zapełnienia powracających samolotów, od kwietnia 1948 War Office zdecydowało się wykorzystać je do przewożenia polskich rodzin wojskowych do W. Brytanii.

Samoloty były typu YORK zabierające 40 osób z bagażem podręcznym. Odlatywały one dwa razy tygodniowo z lotniska EASTLEIGH pod Nairobi i po 24 godzinnym locie lądowały na lotnisku CROYDON pod Londynem. Zgłoszenia na przelot były ochotnicze. Z początku wśród kandydatów były obawy, nie tyle co do warunków lotu, lecz raczej o bagaż ciężki który był do-
syłany najbliższym transportem morskim. Lecz gdy stwierdzono z otrzymywanych z Anglii listów, że bagaż ten dochodzi w porządku, kandydatów na przelot nigdy nie brakowało.

Dla kontroli bagażu i przygotowania dokumentów, transport kierowano do Kenton Camp pod Nairobi, skąd po załatwieniu formalności, które trwały 2-3 dni odwożono na lotnisko.

II. WYJAZD DO WIELKIEJ BRYTANII, POBYT W LONDYNIE I PODRÓŻ DO KENII

W związku z zamierzoną ewakuacją polskich rodzin wojskowych z Afryki do W. Brytanii, naczelne dowództwo brytyjskie na Środkowym Wschodzie 6 grudnia 1947 wysłało do dowództwa w Afryce wschodniej w Nairobi, oficera 26. misji wojskowej mjr. F. V. Parkera, który miał się zająć zorganizowaniem transportów. Po zorientowaniu się w zakresie swojej pracy, mjr. Parker poprosił o przydzielenie mu do pomocy jeszcze jednego oficera z 26. misji wojskowej oraz Polskiego Oficera Łącznikowego przy G.H.Q., które to stanowisko zajmowałem od roku 1946. W styczniu 1948 GHQ zaproponowało War Office wysłanie mnie do Nairobi, na co otrzymało zgodę pod warunkiem, że uprzednio przyjadę do Londynu aby wypełnić formalności przyjęcia do PKPR oraz celem zapoznania się z ustalonym przez War Office planem transportów i ewakuacji.

Szef Allied Liaison Staff przy G.H.Q. płk. Hobbs dał mi odręczne pismo do dowódcy JWSW generała Wiatra, prosząc o zgodę na mój wyjazd do Londynu i Nairobi, oraz o wyznaczenie na moje miejsce następcy. Gen. Wiatr zgodził się na mój wyjazd oraz na zaproponowanego przeze mnie kandydata na moje stanowisko, ppor. W. Babskiego, który właśnie w tym czasie w Quassasin czekał na transport do Anglii.

Po zdaniu funkcji, 27 stycznia w Port Said wsiadłem na MS GEORGIC, transportowiec wojskowy płynący z Indii do Anglii.

Przed odpłynięciem z Port Said musiałem spełnić dosyć przykrą czynność wręczenia dokumentów demobilizacyjnych z Polskich Sił Zbrojnych 40 oficerom i szeregowym którzy zgłosili się na powrót do kraju. Według umowy angielsko-egipskiej żołnierze służyący pod dowództwem brytyjskim nie mogli być zdemobilizowani w Egipcie. Nasi repatrianci w Egipcie byli uważani za osoby wojskowe, więc dopiero po wejściu na statek brytyjski można było im doręczyć dokumenty demobilizacyjne. Mieli oni dopłynąć do Neapolu jako cywile skąd UNRRA miała ich przewieźć koleją do Polski.

Na tym samym statku płynęła z Indii grupa 150 Polaków, którzy w osiedlu Valivade zgłosili się na powrót do kraju. Płynęli oni teraz do Neapolu, pod opieką UNRRA.

28 stycznia w południe odbijamy od brzegu. MS GEORGIC jest przepełniony; jedzie na nim około 4.500 żołnierzy brytyjskich z Indii i rodziny. Jest kilka pełnych jednostek wojskowych oraz wiele rodzin wojskowych ewakuowanych z Indii do Anglii.

Na statku jestem jedynym oficerem z polskimi odznakami, co zwraca powszechną uwagę. Wspomniani poprzednio polscy wojskowi, jako zdemobilizowani jechali razem z grupą rodzin wojskowych (polskich) na pokładzie żołnierskim. W jadalni obok mnie przy stole siedzi pani W. z córką; wiedeńska której mąż Polak służył jako lekarz w armii brytyjskiej w Indiach. Jedzie ona do Anglii dokąd mąż ma dołączyć po kilku miesiącach. Pani W. nie mówi po polsku ale mamy wiele wspólnych wspomnień o Wiedniu i Budapeszcie.

Przez cieśninę Messyńską wpływamy na morze Tyreńskie kierując się do Neapolu gdzie jesteśmy rankiem 31 stycznia. O godz. 8 po przybyciu pilota wolno wchodzimy do portu gdzie nas przycumowują obok MS SATURNIA i VULCANIA, które pod banderą amerykańską przewożą oddziały amerykańskie z Włoch do Stanów Zjednoczonych. Niedaleko widać transportowiec amerykański MT GENERAL BLACK który przewoził uchodźców z Europy do Ameryki.

Na molo 9 wagonów towarowych z napisami kredą: BOMBAY-POLAND. Są to wagony przygotowane dla transportu rodzin wojskowych i grupy wojskowej z naszego statku. Molo i wagony kolejowe są obstawione policją i celnikami włoskimi oraz funkcjonariuszami Bezpieki. Pomału grupa polska zaczyna schodzić ze statku na molo, są to przeważnie kobiety i dzieci, obciążone bagażem podręcznym. Po chwili dołącza do nich grupa wojskowa. Kierowani są do wagonów grupami po 20 osób. Następnie zaczyna się ładowanie bagażu ciężkiego, wydobytego spod pokładu. Wszyscy pasażerowie naszego statku na pokładach w

milczeniu przyglądają się tej przygnębiającej scenie wyjazdu za „żelazną kurtynę”. Stojący obok mnie oficerowie, widząc mój polski mundur pytają: dlaczego oni tam jadą? kto ich do tego zmusza? Kłopotliwe pytania które staram się odpowiedzieć w naturalny sposób, że powodem tego jest tęsknota za krajem i za rodziną. A nie motywy polityczne! W południe wyładowanie bagażu zakończono, podnoszą mostek i ruszamy w dalszą drogę.

1 lutego, niedziela. Nabożeństwo dla katolików w świetlicy żołnierskiej, na którym widzę wielu Hindusów z rodzinami. Po południu radio okrętowe podało wiadomość o zamordowaniu Ghandiego, co spowodowało wielkie poruszenie i dyskusje. Płyniemy wzdłuż wybrzeży Hiszpanii, mijamy „The Old Rock” i wpływamy na Atlantyk. Robi się coraz chłodniej i zaczyna kołysać statkiem. Pokłady i salony pustoszeją a szybkość statku zmniejsza się z powodu przeciwnego wiatru tak że zamiast 18 węzłów robimy tylko 12 i mniej. Ogłaszają nam że naszym portem wyładowania będzie Southampton a nie Liverpool, jak planowano. Powoduje to ogólne zadowolenie gdyż będzie bliżej do Londynu. Wysłałem depezę do mego przyjaciela majora Węgorka z Inspektoratu PKPR zawiadamiając go o dacie mego przyjazdu.

5 lutego. Płyniemy Kanałem, jest zimno i mgła. Przed wieczorem widać wyspę WIGHT i mimo że zaczął padać deszcz, pokład się zapełnił gdyż wszyscy jak najprędzej chcą zobaczyć upragniony *home*. Przyjmujemy na pokład pilota, wolno wpływamy do rzeki TEST i o godz. 20 przycumowują nas do moła w Southampton, obok SS AQUITANIA. Na pokład wchodzi władze portowe i wojskowe i zaczyna się badanie dokumentów. Lecz nasza kolejka będzie dopiero następnego dnia, więc idziemy spać.

6 lutego. Po zbadaniu moich dokumentów podróży schodzę na brzeg. Ku memu rozczarowaniu nikt mnie nie oczekuje, więc wsiadam do Boat-train i o 14.30 jestem na stacji Waterloo. Pierwszy raz w Anglii i w Londynie. Taksówką pojechałem do Inspektoratu PKPR i tam w labiryncie domków, krużganków i biur odnajduję majora Z. Węgorka, adiutanta gen. Wiśniowskiego, i witam się z mjr. dypl. T. Bastgenem, szefem wydziału demob. Wieczorem pociągiem jadę do Putney gdzie czeka na mnie major Jaworski u którego mam się zatrzymać. Tak więc szczęśliwie dotarłem do celu. Po słońcu w Egipcie — tu w Londynie śnieg i zimno.

Następnego dnia (sobota) zwiedzałem Putney a wieczorem jestem na przyjęciu z okazji imienin płk. J. Emisarskiego, na którym spotkałem wielu przyjaciół z Brygady Karpackiej.

9 lutego w Inspektoracie PKPR meldowałem się kolejno

u generałów Kopańskiego, Rudnickiego i Wiśniowskiego przedstawiając im w ogólnych zarysach program ewakuacji rodzin wojskowych, zagadnienie którym się bardzo interesowali, ze względu na liczne zapytania i prośby ze strony żołnierzy już zaliczonych do PKPR.

W War Office, w departamencie „Administration Polish Forces” (APF) poznałem majora Pett-Ridge który był odpowiedzialny za ewakuację. Bardzo miły Anglik, przyjaźń z którym przetrwała lata.

11 lutego byłem u płk. Morozowicza, szefa Inspektoratu Dobrobytu Żołnierza PKPR, który powitał mnie raczej ozięble, gdyż miał swojego kandydata na wyjazd do Nairobi a tymczasem War Office pokrzyżowało mu plany, wyznaczając mnie na stanowisko Oficera Łącznikowego PKPR.

16 lutego otrzymałem pismo przenoszące mnie do 300. Basic Unit PRC w Piperswood Camp koło Amersham. O godz. 8 rano wyjechałem pociągiem do Amersham, skąd autostopem dojechałem do Piperswood. Obóz koszmarny, błoto, zimno, deszcz i wszędzie żołnierze na coś i kogoś czekali. Mój zaciąg do PKPR został dokonany przez kaprała z cenzusem, gdyż wyższej szarży nie widziałem. W czasie obiadu w kasynie oficerskim spotkałem wielu znajomych z legii oficerskiej w Egipcie. Wszyscy odznaczeni bojowo, bo to 3 D.S.K.

Wracam autostopem i po drodze wstępuję do Hodgemoor camp gdzie kwaterował sztab dowództwa 3. D.S.K. Powitał mnie serdecznie stary przyjaciel T. Rajewski a potem spotkałem „ramzesów” majora Rolanda, kpt. Dulka i kpt. Dregiera z Dztwa SBSK. Późną nocą wróciłem do Putney, tęskniąc do egipskiego słońca.

18 lutego w wydziale rodzin wojskowych Inspektoratu PKPR major Kłoskowicz, który powrócił z podróży do Indii, pokazał mi przygotowane spisy rodzin wojskowych oraz ich kolejność wyjazdu z Afryki. Niestety spisy te nie były zawczasu uzgodnione z dyrektywami War Office które zmieniło kolejność wyjazdów poszczególnych grup — co powodowało potem niepotrzebną irytację ze strony zainteresowanych.

19 lutego dzięki interwencji majora Pett-Ridge załatwiono moją Kings Commission w P.R.C. mianując mnie podporucznikiem z prawem noszenia odznak majora. Dowiedziałem się że mam wyjechać do Egiptu 26 lutego statkiem OTRANTO odpływającym z Southampton.

24 lutego pojechałem do obozu w Witley, po nową legitymację oficerską i „książeczkę żołdu”, na podstawie której miałem być płacony przez płatników brytyjskich.

Opracowałem rozkaz dotyczący mej nowej funkcji, który zyskał aprobatę i podpis generała Kopańskiego (15021/Org/II z dnia 27. II. 48).

25 lutego odmeldowałem się u generała Wiśniowskiego w PKPR a od majora Pett-Ridge z APF otrzymałem ostateczne instrukcje odnośnie ewakuacji które miałem zakomunikować w G.H.Q. M.E.L.F.

Dowiedziałem się pośrednio, że ambasador E. Raczyński, jako główny doradca polski zawiadomił zarząd polskiego komitetu obywatelskiego w Nairobi „że brytyjskie władze wojskowe w porozumieniu z nim ustaliły w Nairobi placówkę Polskiego oficera łącznikowego dla spraw ludności w Afryce wschodniej i że kierownictwo tej placówki powierzono majorowi R. Królikowskiemu który rozpocznie swoją działalność w Nairobi 1. IV. 1948”.

26 lutego odjechałem ze stacji Waterloo do Southampton gdzie zaokrętowałem się na HT. OTRANTO. Byłem sam w kabinie na 8 osób. Nasza trasa miała prowadzić przez Maltę-Pireus-Saloniki do Port Said.

27 lutego załadowano transporty z Transit Campu. Były to przeważnie rodziny wojskowe płynące do Grecji i Egiptu oraz urlopowicze powracający do swoich oddziałów. Statek był prawie pusty i o godz. 13.00 odplynęliśmy, żegnani orkiestrą RAF.

Zaczęło się spokojne życie na statku, ćwiczenia ratownicze i przeciwpożarowe. Morze spokojne i robi się coraz cieplej.

4 marca wplynęliśmy do portu Valetta na Malcie gdzie załadowano szybko kilkanaście osób i popłynęliśmy dalej.

6 marca rankiem byliśmy na redzie w Pireus. Z daleka było widać Akropol ale nikogo na brzeg nie puszczono, oprócz kilku wojskowych którzy zakończyli tu swoją podróż.

Następnego dnia byliśmy w Salonikach. Tu opuściła nas grupa oficerów z którą się zaprzyjaźniłem, m.in. kpt. Ellingworth z żoną i córką. Mówili oni płynnie po polsku gdyż przed wojną mieszkali w Łodzi. Kapitan Ellingworth był w Military Intelligence i został wyznaczony kierownikiem placówki w Salonikach. O godz. 14 ruszyliśmy w dalszą drogę, teraz już prosto na południe — ku słońcu.

Minęliśmy Kretę i z daleka widać było śniegiem pokryty szczyt góry Ida. Wśród pasażerów poznałem panią Elme Andrew, Irlandkę, z Women Voluntary Service, która służyła jako świetliczarka i szofer w I korpusie w Szkocji. Obecnie po służbie w Grecji — jechała do Kenii.

9 marca byliśmy w Port Said gdzie czekał na mnie mój poprzednik ppor. Babski z którym pojechałem do Quassasin. Po wyjeździe generała Wiatra do Anglii grupą likwidacyjną JWSW

dowodził płk. dypl. M. Talikowski w którego miłym domu spędziłem kilka wieczorów. Byłem pierwszym żołnierzem z PKPR więc na prośbę płk. Talikowskiego miałem dla sztabu dowództwa pogadankę na temat stosunków panujących w Anglii i „jak to naprawdę wygląda”.

Najbliższy transport morski do Mombasy odchodził 3 kwietnia, więc dopiero za miesiąc. W czasie tego przymusowego pobytu, pracowałem w 26. misji wojskowej kontrolując listy transportów z Afryki wschodniej skąd odeszły już 2 transporty tak zwanego TOKEN MOVE.

18 marca odleciał do Nairobi, wyznaczony jako pomocnik majora Parkera, oficer 26. misji wojskowej kapitan Stefan Chałupka, który objął komendę polskiego obozu przejściowego w Kenton pod Nairobi.

7 kwietnia rano w towarzystwie st. sierż. Wittycha, podoficera transportowego dowództwa, pojechałem do portu ADIBIA pod Suezem, gdzie się zaokrętowałem na HT EASTERN PRINCE. Statek był przepelniony od samej Anglii, gdyż płynął na nim batalion Border Regiment na służbę w Brytyjskim Somali, poza tym kompania żandarmerii wojskowej z psami oraz grupa oficerów zakontraktowanych do służby w oddziałach pionierskich mających budować bazę wojskową w Mackinnen Road pod Mombasą. W grupie tej poznałem dwóch Polaków: majora Henryka Olszewskiego i por. Ryszarda Conrad-Bluziewicza.

8 kwietnia odpłynęliśmy na Morze Czerwone. Gorąco na statku było niesamowite gdyż nie było dobrej wentylacji, nie mówiąc już że nie było klimatyzacji.

10 kwietnia w Port Sudan wysiadła grupa żołnierzy i rodzin wojskowych jadących dalej koleją do Chartumu. Wyszliśmy na miasto, gdzie był jedyny RED SEA PALACE HOTEL w którym dostaliśmy za drogie pieniądze ciepłą lemoniadę.

12 kwietnia byliśmy w porcie Massawa gdzie wysiedli żołnierze jadący do Asmary.

14 kwietnia dopłynęliśmy do Adenu gdzie pobieraliśmy zapasy wody i paliwa. Pozwolono nam zejść na brzeg i zwiedzić miasto które jest wolnoctwową strefą i gdzie prawie wszystko można dostać za pół ceny.

15 marca opuściliśmy Aden i tego samego dnia byliśmy w Berbera w Brytyjskim Somali gdzie miano wyładować Border Regiment. Upał dochodził do 120° F bez wiatru.

16 marca rozpoczęto wyładowanie. Okazało się że w porcie były tylko dwie motorówki i cztery barki, toteż obliczono że wyładowanie batalionu wojska ze sprzętem, zapasami prowiantów i licznymi rodzinami potrwa co najmniej cztery dni. Przybysze z

ładu mówili że w Berbera od trzech lat nie było kropli deszczu, panowała susza i upał.

Wyładowanie rzeczywiście trwało 4 dni podczas których wszyscy prażyli się z gorąca. Na dodatek psy z kompanii policyjnej z powodu braku ruchu dzień i noc wyły jak szalone. Ostatecznie 19 marca opuściliśmy Berberę. Opłynęliśmy Cap Guardafui i tu spotkał nas miły chłód idący od Oceanu Indyjskiego. Znowu spokojna podróż, morze pełne delfinów które nam towarzyszyły w drodze.

23 kwietnia przybyliśmy do Mogadyszu lecz staliśmy na redzie, podziwiając piękne budowle bielejące się w słońcu. Miasto zbudowane przez Włochów i obecnie było stolicą Somali będącej pod wojskową brytyjską administracją.

25 kwietnia od świtu widać brzegi Kenii z zielenią podzwrotnikową. Wśród monsumu wpłynęliśmy wolno do portu w Kilindini i o 9 zaczęto wyładowywanie. Nasza grupa jadąca do Nairobi została skierowana wprost na stację kolejową skąd wieczorem mieliśmy odjechać dalej pociągiem. Przed odjazdem szybko zwiedziliśmy miasto i Fort Jezusa zbudowany w roku 1592 przez Portugalczyków.

O godz. 17 wsiedliśmy do pociągu, który miał nas zawieźć do odległego o 350 mil Nairobi, ale podróż nasza miała potrwać 24 godziny. Wolno pociąg zaczął się wspinać na płaskowyż położony 6.000 stóp nad poziomem morza. Najpierw mijaliśmy plantacje palm kokosowych i bananów, lecz stopniowo krajobraz przemienił się w niezamieszkały bush. Przed wieczorem mieliśmy sensację gdyż przy zachodzie słońca ujrzeliśmy pokryte śniegiem szczyty Kilimandżaro (19.340 stóp). W nocy było przejmujące zimno.

26 kwietnia o godz. 17 pociąg nasz wolno wjechał na stację w Nairobi. Czekali na mnie major Parker i kapitan Chałupka z którymi pojechałem do Polish Transit Camp w Kenton, gdzie mi przygotowano kwaterę. Rozpakowałem swoje bagaże i zacząłem przeglądać około 400 listów z osiedli polskich.

Tak, po trzech miesiącach podróży, nareszcie dotarłem do nowego miejsca postoju i rozpocząłem swą pracę.

IV. POBYT W AFRYCE WSCHODNIEJ I POŁUDNIOWEJ I WYJAZD DO WIELKIEJ BRYTANII

27 kwietnia 1948 roku rozpocząłem swoją pracę jako polski oficer łącznikowy przy dowództwie Afryki wschodniej w Nairobi.

Po zameldowaniu się u płk. Riedel, szefa sztabu dowództwa, który zastępował nieobecnego wówczas generała Dumoulin, złożyłem wizyty kierownikom urzędów brytyjskich i polskich w Nairobi, z którymi miałem współpracować. Najważniejszym z nich był ppłk. E. B. Belcher, dyrektor E.A.R.A., któremu podlegały przez terytorialnych dyrektorów, osiedla w Kenii, Tanganice i Ugandzie. Miły, starszy pan, który po przejściu na emeryturę farmował pod Nairobi, a na okres wojny został powołany do specjalnych czynności. Sekretarzowała mu żona, Mrs. Belcher, mająca do pomocy p. Wandę Pawłoszewską. Ponadto E.A.R.A. przejęła z dawnej delegatury MOS, tylko dwie osoby: panią Jadwigę Kopec i pana Stanisława Cilińskiego.

Prezesem Komitetu obywatelskiego — instytucji uznanej przez E.A.R.A. za przedstawicielstwo Polaków zamieszkałych w Afryce wschodniej, był delegat min. oświaty p. Seweryn Szczepański. Tak z nim, jak i z wiceprezesem komitetu, ks. prałatem Wł. Słapą byłem kapelanem 3. baonu SBSK a obecnie szefem duszpasterstwa — w czasie mego urzędowania stosunki ułożyły się jak najlepiej.

Delegatem Towarzystwa Pomocy Polakom, które po P.C.K. przejęło kartotekę uchodźców oraz świetlice w istniejących jeszcze osiedlach był p. Józef Brzeziński. Miał on do pomocy sekretarkę p. Marię Dorosz i księgowego p. Mariana Sirowego.

Redakcja „Głosu Polskiego”, tygodnika wychodzącego w Nairobi, składała się z p. Krzysztofa Czyżewskiego i jego żony Noemi. W „Głosie Polskim” miałem możliwość ogłaszania komunikatów odnoszących się do ewakuacji rodzin wojskowych i to był najlepszy sposób komunikowania się z osiedlami i osobami zainteresowanymi.

Miesięcznik „Polonia” redagowany przez ks. kanonika Wł. Wargowskiego, wówczas profesora muzyki w miejscowym konserwatorium muzycznym uzupełniał obraz stosunków jakie zastałem na miejscu.

3 maja z okazji święta narodowego w obozie przejściowym w Kenton odbyła się uroczysta msza święta celebrowana przez Nuncjusza apostolskiego, a wieczorem w salach New Stanley Hotel było przyjęcie wydane przez Komitet obywatelski dla notabli brytyjskich, władz miejscowych oraz Polonii, na którym miałem okazję poznać prawie wszystkich Polaków zamieszkałych w Nairobi, przez których byłem serdecznie witany.

Po kilku dniach, w kasynie oficerskim dowództwa miałem miłe spotkanie z Polakiem w służbie brytyjskiej, kpt. Bronisławem Sirley, który w roku 1938 przyjechał do Kenii. Z chwilą wybuchu wojny, ze względu na znajomość języków został powo-

łany do wojska i obecnie w stopniu kapitana służył w wydziale prawnym. Po latach, był znanym adwokatem w Nairobi i w jego domu spędziłem beztrudnie wiele miłych wieczorów.

Po zorientowaniu się z listów, że w osiedlach czekają na mój przyjazd aby wyjaśnić zainteresowanym szereg spraw, postanowiłem wyjechać do największego osiedla Tengeru w Tanganice. Z trudem przekonałem majora Parkera, szefa 26. misji wojskowej do której faktycznie należałem, o celach mego wyjazdu. I tu rozpoczęła się dwoistość mej roli, która czasem była nawet ambarasująca: ja uważałem się za oficera łącznikowego Inspektora PKPR i szukałem kontaktów z osiedlami i władzami polskimi, zaś Brytyjczycy uważali mnie za swojego oficera do pracy kancelaryjnej, kontrolowania list transportowych z osiedli, oraz ułatwienia różnych zażaleń, przeważnie na władze polskie.

Mając zgodę na wyjazd i potrzebne dokumenty podróży, poprosiłem delegata Szczepańskiego o uprzedzenie telegraficznie polskiego komendanta osiedla w Tengeru p. W. Serafina o moim przyjeździe. 7 maja koleją przez Voi wyjechałem do Moshi. Mimo odległości tylko 300 mil podróż trwała ponad 24 godziny.

Na stacji Moshi była kontrola graniczna, gdyż przejechalśmy granice z Kenii do Tanganiki. Lecz dokumenty podróży ułatwiły przejście do autobusu który mnie przewiózł do Tengeru, osiedla położonego przy drodze Moshi-Arusha. Ponieważ byłem w mundurze z polskimi odznakami zwracałem powszechną uwagę. Po kilku godzinach jazdy znalazłem się na przystanku „TENGERU”. Przy bramie osiedla czarny policjant kontrolował przepustki, na wejście i wyjście.

Osiedle było rozbudowane jak wielka wieś, z ulicami przy których wśród drzew kryły się domki. A przy nich małwy. W osiedlu mieszkało wówczas ponad 4.000 osób toteż było widać pełno dzieci i kobiet. Wiedziały one o moim pobycie w Nairobi i zapowiadzanym przyjeździe do osiedla i spodziewały się wkrótce wyjazdu z Afryki w świat. Naokoło słyszałem miłe pozdrowienia i wołania dzieci: „popatrz to polski oficer!” Pan major! — poprawiali je starsi.

W budynku komendy osiedla poznałem inspektora Wawrzyńca Serafina, potem złożyłem wizytę płk. Minnery, komendantowi osiedla, który z dumą pokazał mi list od generała Andersa przysłany mu wraz z orzełkiem polskim, w podziękę za opiekę nad rodzinami wojskowymi w osiedlu. Zamieszkałem w obozowym guest-housie razem z p. Lorrیمانem przedstawicielem IRO na Tanganikę.

Następnego dnia była niedziela i po nabożeństwie złożyłem wizytę ks. Piotrowi Rogińskiemu, proboszczowi Tengeru. Były

kapelan wojskowy z roku 1920, wielki patriota ks. kanonik Rogiński od lat prowadził swą parafię w Tengeru według surowych zasad.

10 maja poznałem się z zarządem osiedla i starszymi grup. Sprawdzałem wykazy osób zapisanych jako rodziny wojskowe i przez cały czas mego pobytu w osiedlu, to jest do 15 maja przyjmowałem dziennie petentów z których każdy miał ważne powody aby przed innymi wyjechać do Anglii. Odbyłem też kilka pogadanek na tematy kto i kiedy może liczyć na wyjazd do Wielkiej Brytanii.

11 maja wieczorem odbyło się ognisko harcerskie zorganizowane przez panią Wandę Dorosz, w czasie którego przekazałem pozdrowienia Zarządu głównego Z.H.P. oraz przemawiałem jako starszy harcerz.

12 maja rano zostało odprawione nabożeństwo żałobne za marszałka Piłsudskiego zaś wieczorem w miejscowym teatrze akademii urządzona staraniem redaktora A. Milkera. Wśród obecnych był bardzo podniosły nastrój, lecz niestety tych obecnych było bardzo mało.

15 maja powróciłem do Nairobi gdzie zastałem wiele listów z osiedli z prośbami o pomoc w szybkim wyjeździe. Ze względu na ten niespodziewany a bardzo absorbujący dział pracy — odpowiedzi na listy, Komitet obywatelski zgodził się opłacić panią Zofię Wertz jako sekretarkę do mego biura.

21 maja na posiedzeniu Komitetu obywatelskiego p. Curtis przedstawił plan IRO rozładowania osiedli i zmniejszenie ich liczby ja zaś, wygłosiłem referat o planie ewakuacji rodzin wojskowych do W. Brytanii.

Głównym mym obowiązkiem było sprawdzanie list transportowych zestawianych przez biuro płk. Belchera dla 26. BLU celem przygotowania list załadowczych. Byłem też obecny przy odejściu prawie wszystkich transportów morskich z Kilindini.

10 czerwca w biurze IRO odbyła się konferencja, na której przedstawiciele IRO na Afrykę, brygadier Lush i Sir Rucker, po objęździe krajów Afryki wschodniej, środkowej i Konga Belgijskiego przedstawili rezultaty swoich starań w sprawie osiedlenia na tych terenach polskich uchodźców. Przyjęto zasadę, że sprawa zostanie załatwiona przez przyznanie przez poszczególne rządy tak zwanych kwot polskich „Polish Quota”, które zostały ustalone: Kenia 300 miejsc, Tanganika 250 miejsc, Północna Rodezja 350, Południowa Rodezja 150 miejsc. Uganda, Kongo Belgijskie i rząd Unii Południowo-Afrykańskiej nie zgodziły się na przyznanie kwoty dla imigrantów, obiecując rozpatrywać indywidualnie podania o osiedlenia. Brygadier Lush

wyjaśnił, że podstawowym warunkiem uzyskania prawa pobytu będzie posiadanie przez petenta kontraktu pracy, który by zapewnił warunki utrzymania na poziomie „białego człowieka” oraz złożenia kaucji zapewniającej, na wypadek utraty zatrudnienia, pokrycie kosztów repatriacji do „kraju pochodzenia”. Kaucja ta została ustalona w Kenii, Tanganice i obu Rodezjach na 50 do 200 funtów, do uznania głównego oficera imigracyjnego, w Kongo Belgijskim wynosiła 50.000 franków belg.

W praktyce nie wyglądało to tak groźnie. Podania o przyznanie stałego prawa pobytu składano do Principal Immigration Officer danego kraju, ci zaś opierając się na opinii IRO Advisory Committee decydowali czy przyznać prawo pobytu, na jaki czas i wyznaczali wysokość kaucji. Komitet doradczy IRO składał się z dyrektora IRO, przedstawiciela Komitetu obywatelskiego oraz dyrektora EARA. Zasięgali oni również opinii policji politycznej i kryminalnej, które miały bardzo dokładne dane o Polakach zamieszkałych w Afryce wschodniej i środkowej. Prawo pobytu udzielano dla całej rodziny. Znam wypadki, że petent mieszkający w Kenii otrzymał prawo pobytu dla siebie oraz dla żony i syna, mieszkających w Polsce, w ten sposób zajmując trzy miejsca na liście. Tak samo żony, mieszkające w Kenii dostawały prawo pobytu dla mężów mieszkających w Anglii lub na kontynencie. Sprawdzanie warunków kontraktu pracy było konieczne, aby nie dopuścić do niegodnego wykorzystania przez pracodawców sytuacji osób które za wszelką cenę chciały otrzymać kontrakt pracy (np. za zapłatą 10 £ miesięcznie jako gospodyni hotelu).

20 czerwca sprawdzałem odlot 19. lotu Token Move. Z każdym transportem były trudności gdyż pasażerowie, w większości wypadków lecący po raz pierwszy samolotem, nie chcieli się rozstawać ze swoim ciężkim bagażem. Bagaż ten był wysyłany do Anglii najbliższym transportem morskim, i nie znam wypadku zaginięcia bagażu, lecz opóźnienia w otrzymaniu — tak. Lecz z czasem i te trudności pokonano.

22 czerwca miałem nieprzyjemną rozmowę z mjr. Parkerem, za ogłoszenie w „Głosie Polskim” komunikatów odnośnie postępów ewakuacji. Okazało się że „Głos Polski” wysyłany z Nairobi do dowództwa JWSW w Quassasin był pokazany szefowi 26. misji mjr. Hemmingsowi, który wytknął w ostry sposób moją samodzielność. Załagodziłem to nieporozumienie tak charakterystyczne dla ówczesnych stosunków między dowództwami, i ich reprezentantami, drinkiem w kasynie.

1 lipca z delegatem Szczepańskim wyjechaliśmy samochodem do Ugandy, do osiedli Koja i Masindi. W przeciwieństwie do Kenii, Uganda ukazała się nam jak piękny ogród pełen plan-

tacji bananów, trzciny cukrowej i bawełny. Dzięki bliskości jeziora Wiktorii, w kraju stale panowała wilgotność.

W Kampali zatrzymaliśmy się w Palace Hotel, dojeżdżając codziennie do osiedla w Koju, oddalonego o 42 mile. Złożyliśmy wizytę dyrektorowi uchodźców p. Cochran oraz poznałem polskiego komendanta osiedla inż. Hawlinga, delegata M.O.S. p. Swierczyńskiego oraz księży Maszewskiego i Gruzę.

W czasie moich wizyt w osiedlu od 2 do 5 lipca odbywałem zebrania z osobami uprawnionymi do wyjazdu do W. Brytanii i musiałem wysłuchać wiele skarg ze strony „grupy indyjskiej”. W osiedlu mieszkało jeszcze ponad 1.000 osób. Osiedle to zrobiło na mnie niezapomniane wrażenie. Pięknie rozplanowane i rozbudowane nad brzegami jeziora Wiktorii przez inż. M. Makowskiego który był pierwszym komendantem osiedla, on również planował i zbudował bardzo ładny kościółek z dzwonnica.

8 lipca wyjechaliśmy do osiedla Masindi, położonego w głębokich lasach w pobliżu jeziora Alberta. Mieszkało w nim jeszcze 290 osób lecz i oni mieli być przeniesieni do Koju. Komendantem był major Edwin, mający do pomocy polskiego kierownika p. Sobolewskiego. Szpitalem zajmowała się dr Zielińska.

Po raz ostatni odwiedziliśmy osiedle w Koju i już wtedy myślałem co zostanie z tych osiedli? I jak widać po latach, nie zostało nic; nie ma pięknego kościoła w Koju ani osiedli. Wszystko zrównano z ziemią.

Przed wyjazdem z Kampali odwiedziłem państwa Chmielińskich. Pan Jan Chmieliński, ostatni konsul R.P. w Ugandzie po gospodarowaniu na plantacji herbaty w Ugandzie przeniósł się na Zanzibar gdzie umarł w roku 1962.

Po powrocie do Nairobi dowiedziałem się, że major Parker na własną prośbę został przeniesiony do Anglii a szefem 26. misji został major Philip Buckingham.

1 września skutkiem zakończenia transportów lotniczych obóz przejściowy w Kenton został zlikwidowany a kapitan Stefan Chałupka przeniesiony do biura 26. B.L.U. w Nairobi.

6 września przylecieli z W. Brytanii radca Kobryner z bryt. min. pracy i ppłk. dr Dietrich (b. lekarz Legii oficerskiej w Egipcie a następnie szef sanitarny 2 korpusu). Mieli oni werbować kandydatki do pracy w fabrykach w Anglii w ramach planu WESTWARD HO. Na skutek ich werbunku wyjechało około 300 osób. (Muszę tu nadmienić, że z początkiem 1948 roku, przed moim przyjazdem do Nairobi, IRO zorganizowało pierwszy wyjazd grupowy na pracę do Francji. Wyjechało wtedy 544 osób lecz jakie były ich dalsze losy nie wiem. Doszły mnie jedynie

wieści, że wiele osób prosiło IRO o odesłanie ich z Francji do Anglii, gdzie wołały być na prawach uchodźców).

Uważając że obowiązek mój jako oficera łącznikowego został spełniony, 14 września wysłałem meldunek do GHQ MELF i War Office prosząc o odwołanie mię do Anglii.

23 września nadeszła z War Office instrukcja aby 26. B.L.U. wraz z oficerem łącznikowym zorganizowała wyjazd do W. Brytanii rodzin wojskowych znajdujących się obecnie w Unii Południowo-Afrykańskiej.

12 października z majorem Buckingham przyjechaliśmy do Johannesburga gdzie na lotnisku oczekiwał nas dr Kazimierz Mycielski, mój dawny kolega z poselstwa R.P. w Budapeszcie, który obecnie był przedstawicielem Towarzystwa Pomocy Polakom. Następnego dnia złożyliśmy wizytę ministrowi dr. Łepkowskiemu w Pretorii oraz zameldowaliśmy się w 203. Brytyjskiej misji wojskowej która miała nam udzielić wszelkiej pomocy. W ministerstwie opieki społecznej dyrektorowi departamentu Boim przedstawiłem listę osób zakwalifikowanych do wyjazdu do W. Brytanii jako rodziny wojskowe. Dotyczyło to głównie wychowanków Domu Dziecka Polskiego w Oudtshoorn, o których upominały się rodziny i krewni.

Oto historia powstania tego osiedla:

W maju 1942 rząd polski starał się o wywiezienie 50.000 dzieci z matkami i opiekunami na południe Rosji, prosząc rząd Stanów Zjednoczonych o interwencję w tej sprawie u ministra Mołotowa w czasie jego pobytu w Waszyngtonie. Władze sowieckie odmówiły tej prośbie motywując trudnościami komunikacyjnymi.

15 września 1942, b. ambasador prof. Kot w rozmowie z p. Wendel Wilkie w Teheranie, przedstawił sprawę Polaków wywiezionych do Rosji sowieckiej, zaznaczając „że prezydent Roosevelt przyszedł nam z życzliwą pomocą uzyskując zgodę Unii Południowo-Afrykańskiej na umieszczenie tam 10.000 dzieci polskich kosztem amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Ani tej liczby nie chcą nam wypuścić powołując się na trudności komunikacyjne”.

Około 15.000 dzieci zdołano wywieźć z Rosji sowieckiej do Persji a z tej liczby 500 dzieci znalazły się w Oudtshoorn w Unii Poł. Afrykańskiej.

Upamiętnioną przez śp. płk. A. Idzika w jego pracy pod tytułem: „Czterdziestolecie 20-go p.p. Ziemi Krakowskiej” jest audyencja w dniu 1 września 1942, u marszałka Smutsa, ówczesnego premiera rządu Unii, delegacji polskiej w składzie: płk. A. Idzik, dowódca oddziałów 8. Dywizji piechoty która przebywała wówczas pod m. Pietermaritzburg w Natalu, mjr. J. Andrychowski, sierż. J. Paszkiewicz i st. strz. Szołomiak, którym towarzyszyli dr St. Łepkowski, ówczesny Konsul Gen. R.P. w Pretorii i wicekonsul K. Armin.

Na pamiątkę pobytu oddziałów Polskich w Unii, delegacja wręczyła marszałkowi Smutsowi jego portret namalowany przez artystę malarza Szołomiaka. Dziękując za portret, marszałek Smuts oświadczył:

„Wy jesteście pierwszymi i najlepszymi z naszych aliantów. Znam was i kocham jeszcze od czasów wspólnych walk, ramię przy ramieniu, z oddziałami Unii Południowo-Afrykańskiej, a specjalnie z naszą 1-szą dywizją.

Życzę wam, abyście jak najprędzej powrócili do swojej ukochanej i pięknej, ale już wolnej Ojczyzny. Tymczasem tu, w Południowej Afryce, my będziemy się opiekowali waszymi dziećmi i rodakami”.

Płk. Idzik podaje, że po audiencji ówczesny minister opieki społecznej Lawrence wyjaśnił delegacji słowa marszałka: że zamiast 100 dzieci polskich jak planowano, 500 dzieci będzie przyjętych do Unii.

Dnia 9 kwietnia 1943 roku MS DUNERA po miesięcznej podróży z Persji przywoziła do Port Elizabeth transport 500 dzieci z opiekunami, który skierowano do m. Oudtshoorn, miejscowości położonej około 1 000 stóp nad poziomem morza i mającej idealne warunki klimatyczne przez cały rok.

Na pomieszczenie przygotowano dawny obóz wojskowy, mający 37 murowanych budynków w których rozmieszczono sypialnie, szkoły, jadalnię na 500 osób, szpital i magazyny. Poza tym była kaplica i mieszkania dla personelu administracyjnego. Sala rekreacyjna ze sceną mogła pomieścić około 1 000 osób.

10 listopada 1945 przyjechał z Nairobi do Oudtshoorn delegat Min. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego p. S. Szczeptański, któremu podlegało szkolnictwo polskie w Afryce wschodniej, w obu Rodezjach i Unii Płd. Afrykańskiej. Po rozpatrzeniu się w sytuacji i po konferencjach z gronem nauczycielskim, ustalił on następujące typy szkół:

a) gimnazjum mechaniczne, b) gimnazjum krawiecko-bielizniarskie, c) szkoła handlowa 3 letnia, d) szkoła powszechna męska, e) szkoła powszechna koedukacyjna.

Gimnazjum ogólnokształcące zostało zlikwidowane z braku odpowiednich sił nauczycielskich. Zdolniejsza młodzież z tej szkoły została przeniesiona: dziewczęta do gimnazjum w Diggelofeld a chłopcy do gimnazjum w Livingston. Opiekę nad całością szkolnictwa objął inspektor szkolny J. Tarnowicz, po przybyciu z osiedla w Rusape (Płd. Rodezja) gdzie pełnił obowiązki kierownika osiedla. Pracą harcerską kierował harcmistrz por. Rzędzian.

Jest godne zanotowania, że gdy w roku 1947 rodzina królewska, król Jerzy VI, królowa Elżbieta i dwie ich córki Elżbieta i Małgorzata odwiedziła Afrykę południową, była również w m. Oudtshoorn. Na boisku sportowym najlepiej prezentowała się grupa polska z „Domu Dzieci Polskich”, dziewczęta w strojach narodowych a chłopcy w mundurach harcerskich. Rodzina królewska najdłużej zatrzymała się przy grupie polskiej, rozmawiając z poszczególnymi osobami.

Po cofnięciu uznania rządowi R.P. w Londynie i zlikwidowaniu konsulatu R.P. w Cape Town i Pretorii, ministerstwo opieki społecznej Unii przejęło bezpośrednią opiekę nad DOMEM. Z ramienia ministerstwa superintendentem był p. Farel.

W roku 1947 zapadła decyzja likwidacji Domu. Przyjechał wówczas wiceminister opieki społecznej p. Kuschke, który na ogólnym zebraniu dzieci wraz z gronem nauczycielskim wygłosił dłuższe przemówienie, motywując konieczność rozwiązania DOMU. Zapewnił on młodzież, że z uwagi na niemożliwość dla nich powrotu do Polski, rząd Unii obiecał jej dalsze kształcenie się w szkołach i internatach, celem zapewnienia im przyszłości w Unii.

Korzystając z tej pomocy ponad 100 chłopców po ukończeniu szkoły w DOMU, kontynuowało swą dalszą naukę w szkołach technicznych w Pietermaritzburg i Cape Town oraz w szkołach w Port Elizabeth i Johannesburg. Wyrosli z nich bardzo dobrzy fachowcy. Dziś wzmianka o pobycie w Oudtshoorn — jest najlepszym świadectwem przy staraniu się o pracę.

Z Inspektoratu PKPR i War Office otrzymałem listę 160 osób uprawnionych do wjazdu do W. Brytanii; listę tę wręczyłem p. radcy Boin prosząc o powiadomienie zainteresowanych o moż-

liwości wyjazdu. Dla wielu z nich powzięcie decyzji było trudne; większość po skończeniu szkół pracowała już samodzielnie a znając warunki lokalne nie chciała ich zmieniać na niepewny byt w Anglii. Stosunki rodzinne w wielu wypadkach nie grały decydującej roli. Osoby które rezygnowały z wyjazdu musiały złożyć deklarację że dobrowolnie i bez przymusu zostają w Unii. Na 160 osób uprawnionych — jedynie 19 osób zgłosiło chęć wyjazdu. Po ustaleniu daty transportu, 2. X. na MS „Carnarvon Castle”, Ministerstwo Opieki rozesłało do wszystkich zdecydowanych do wyjazdu bezpłatne bilety kolejowe oraz dokładną instrukcję kiedy i gdzie w Cape Town mają się zgłosić.

25 *października* razem z mjr Buckingham przyjechałem do Cape Town, gdzie z p. Steyn, prowincjonalnym kierownikiem wydziału opieki społecznej, przygotowaliśmy kwatery dla mających przyjechać byłych wychowanków z Oudtshoorn. W dniach 26 i 27 *października* byłem na stacji kolejowej w Cape Town przy pociągach przyjeżdżających z północy, „wybierając” spośród przyjezdnych, dziewczęta i chłopców, Polaków, których można było rozpoznać po rysach twarzy i ubiorze. Obserwując naszą młodzież w osiedlach w Afryce wschodniej, znałem ich gusta w sposobie ubrania. P. Steyn, który początkowo się głowił jak znajdziemy naszych pasażerów do Anglii, nie mógł się nadziwić jak mogłem rozpoznać wśród setek przyjeżdżających polskich chłopców i dziewczęta.

27 *października* przyjechał z Rodezji, pod kierownictwem gen. F. Zarzyckiego, transport 37 osób które również miały wyjechać do W. Brytanii.

28 *października* zaokrętowaliśmy nasz transport na MS. CARNARVON CASTLE. Po odpłynięciu statku, pożegnaliśmy p. Steyna, dziękując mu za okazaną pomoc i odlecieliśmy do Pretorii, skąd w dalszą drogę do Nairobi.

8 *listopada* otrzymałem z War Office depeszę wyrażającą zgodę na mój wyjazd do Anglii. Zdecydowałem się wyjechać z ostatnim, przeze mnie zorganizowanym transportem na HMT. EMPIRE KEN. Transport ten, ostatni z Operation Polejump, miał obejmować ciężkie wypadki szpitalne (10), część sierocińca z Tengeru (40 dzieci) oraz 310 członków rodzin wojskowych, którzy z różnych prywatnych powodów, odkładały swój wyjazd do W. Brytanii do ostatniej chwili.

10 *listopada* zlikwidowałem swoje biuro przy East Africa Command, odmeldowałem się u Dowódcy, generała Dumoulin, i żegnany serdecznie przez delegata Szczepańskiego i grono przyjaciół, wyjechałem z Nairobi.

12 listopada przypilnowałem w Kilindini załadowania transportu na HMT. EMPIRE KEN i ostatni wsiadłem na statek. Zdawałem sobie wtedy sprawę, że jestem ostatnim oficerem Polskich Sił Zbrojnych, opuszczającym gościnne brzegi Afryki wschodniej. O godz. 13 odbiliśmy od brzegu i na pełnym morzu od razu weszliśmy w burzę.

W drodze do Wielkiej Brytanii

Zakwaterowanie transportu było bardzo złe. Mimo obietnic ze strony kierownictwa transportów w Kilindini, że kobiety i dzieci zostaną ulokowane w kabinach a wypadki szpitalne w izbie chorych, w ostatniej chwili zmieniono plan załadowania; przydzielono nam dwie sypialnie po 130 łóżek dla kobiet i dzieci i jedną sypialnię dla 80 mężczyzn. Ku oburzeniu lekarza statku, który zazwyczaj pod swoją opieką miał tylko lekkie wypadki zachorowań, moich chorych, przeważnie na noszach, umieszczono w izbie chorych. Jeszcze w Kilindini protestowałem przeciwko takiemu potraktowaniu naszego transportu. W myśl istniejących przepisów, żony oficerów którzy służyli w PKPR miały prawo do przejazdu w kabinach I klasy a nie w sypialniach ogólnych i tak poprzednie transporty były zorganizowane. Oficerowie z „Q” Movement, działu z którym współpracowałem przez rok, tłumaczyli mi, że dostali ścisły rozkaz z GHQ. MELF. zarezerwowania wszystkich kabin dla oficerów i ich rodzin, jadących na urlopy świąteczne ze Środkowego Wschodu do Anglii.

Drugie przykre rozczarowanie, to zarządzenie komendanta transportu ppłk. S., który wydzielił „rejon polski” obejmujący nasze sypialnie, umywalnie i małą część pokładu spacerowego oraz nakazał „we własnym zakresie” utrzymywanie czystości w rejonie polskim (tak jak na *troop-decku*). Dla ogółu było to bardzo przykre — gdyż nie mieliśmy nikogo do posług. Rejon polski został obwieszony tabliczkami „OUT OF BOUNDS” dla żołnierzy brytyjskich, których jechało na statku około 500. W ciągu dnia, przy wejściu do rejonu stało dwóch wojskowych żandarmerów a w nocy było ich aż czterech. Do panujących złych nastrojów trzeba jeszcze dodać stałe kołysanie statku, z powodu trwającej burzy. Do jadalni gdzie nam miano wydawać posiłki, również przy pomocy dyżurnych polskich, nie zeszedł prawie nikt.

13 listopada, niedziela i pierwsze nabożeństwo dla Polaków z kazaniem ks. Piotra Rogińskiego. Na nabożeństwo, komendant transportu oddał do dyspozycji część pokładu spacerowego — nie polskiego, pod warunkiem że po upływie godziny, rejon ten

opuścimy. Tymczasem nabożeństwo i kazanie tak się przeciągnęło, że kilkakrotnie przychodzili do mnie służbowi brytyjscy z żądaniem od komendanta aby pokład opuścić, gdyż żołnierze nie mają się gdzie pomieścić. Z tego powodu miałem ostre wymówki od komendanta transportu a ks. Rogiński w czasie kazania użył sobie na tych co się „wysługują obcym”.

15 listopada. Pierwsza inspekcja statku przez komendanta w asyście komendantów wszystkich oddziałów znajdujących się na statku. Dobrowolnie przyjąłem na siebie odpowiedzialność za transport polski, toteż brałem również udział w obchodzie. W polskim rejonie inspekcja wypadła bardzo źle. Mimo moich prośb i nalegań, na salach brud i nieporządek. Pod siennikami pochowane resztki jedzenia, chleba i marmolady wydawanej w jadalni. Po inspekcji odbyła się odprawa; komendant transportu, zawodowy oficer brytyjski, przy wszystkich wytknął mi brak nadzoru i zapowiedział, że jeśli nie potrafię utrzymać porządku, to on wyznaczy trzech oficerów służbowych, którzy na pewno zaprowadzą czystość w rejonie.

Tymczasem burza się wzmacza. Ludzie chorują i nikt o porządku nie myśli. 75 % transportu, przeważnie starsze kobiety leżą w łózkach i nie chcą wyjść na świeże powietrze. Lecz porządek musiał być zaprowadzony! Tu muszę podkreślić pomoc jaką mi okazały panie E. Sadowska i Szczurek a na sypialni męskiej p. Matuszczak, którzy przez cały cały czas podróży nakłaniali innych do utrzymania porządku koło swoich łóżek. Najgorsza sprawa była z utrzymaniem czystości w łazienkach i ustępach. Kto to miał robić? Zwerbowałem kilku chłopców, którzy za wynagrodzeniem zgodzili się czyścić toalety; w ciągu kilka dni doprowadziłem rejon do porządku tak że następna inspekcja wypadła już lepiej i obeszło się bez angielskich służbowych. Równocześnie poprawiła się pogoda, ludzie zaczęli się ściągać z łóżek i wychodzić na pokład, humory się poprawiły tak u nas jak i u komendanta transportu.

Od początku podróży, mając wyznaczone miejsce w kabinie oficerskiej, złożyłem tam tylko swoje walizki i spałem kilka godzin w nocy. Cały dzień od wczesnego ranka, razem z kucharzami i dyżurnymi przygotowywałem jadalnię i byłem razem z „moimi”. Późno w nocy, po sprawdzeniu że wszystkie „ćmy nocne” są na swoich miejscach, szedłem na odpoczynek.

18 listopada. Tragiczny epizod podróży. Serafina Krawczenko chora na gruźlicę kości kręgosłupa, w czasie burzy i kołysania statku dostała ataku hysterii i lekarz okrętowy zdecydował że nie będzie jej wiozł do Anglii, lecz odda pod opiekę szpitala R.A.F. w Adenie. Interwencja moja u komendanta statku nie

pomogła i w Adenie, gdyśmy stali na redzie, przybiła do statku motorówka szpitalna z noszami. Krawczenko w izbie chorych przywiązali do noszy i sanitariusze znosili ją po mostku do motorówki, przy płaczu i lamencie całego transportu polskiego, który nie wiedział dobrze o co chodzi. Córka jej, Janina, chciała skakać do morza i siłą ją trzymałem przy sobie. Cały transport patrzył na mnie jak na wroga, że pozwoliłem zabrać matkę od córki.

(Wiem od plutonowego Krawczenki którego spotkałem w Anglii i który miał wiadomości od żony, że dzięki opiece specjalistów w szpitalu, żona przysłała do sił i później dołączyła do rodziny w Anglii. Gdy przywieziono ją do szpitala w Adenie, nikt nie mógł się z nią porozumieć i dopiero przypadkowo znalazł się sanitariusz, „biały” Rosjanin, od lat mieszkający w Adenie, który stał się jej aniołem stróżem. Ale to było później).

Płyniemy dalej. Dzięki inicjatywie pani Riddle, żony szefa sztabu dowództwa z Nairobi, zorganizował się komitet pań, aby urządzić festyn dla dzieci polskich.

20 *listopada*. Ćwiczenia alarmowe i przed frontem naszego transportu pochwała od komendanta statku za sprawność i szybkość w ćwiczeniach, które wykonaliśmy prędzej niż oddziały brytyjskie. Trzeba było widzieć z jaką dumą, nasze panie patrzyły, na swoich sąsiadów.

22 *listopada*, wielka zabawa dla dzieci w której wziął udział cały sztab administracyjny z komendantem transportu i kapitanem statku. Moc niespodzianek i pamiątek a na zakończenie odbyły się tańce.

23 *listopada* weszliśmy do Kanału Sueskiego i przez dwa dni staliśmy w Port Said, gdzie ładowano transporty brytyjskie do Anglii. Z daleka patrzyłem, jak mijaliśmy nasz obóz w Faid widoczny ze statku. Ale na brzeg nikogo nie puszczano.

Po wypłynięciu na Morze Śródziemne znowu spotkała nas burza i deszcze. Wszyscy z utęsknieniem czekają na koniec podróży.

28 *listopada* ostatnia odprawa wszystkich dowódców oddziałów, na której komendant transportu pochwalił mnie za utrzymanie porządku w polskim rejonie stawiając nasz transport za wzór innym. Podkreślił w tym moją zasługę i jako „wyróżnienie” zaprosił potem na drinka do swojej kabiny.

Tak więc postawiliśmy na swoim i pokazaliśmy, że jak się chce to można być wzorem dla innych.

Lecz nie pochwała od komendanta transportu a następnie od kapitana statku Roberta sprawiła mi przyjemność. Wieczorem, gdy siedziałem na pokładzie ze swoimi pomocnikami, panią Sadowską i p. Matuszczakiem, podszedł do mnie stary

„purser” i tak powiedział: w ciągu wojny mieliśmy na statku setki transportów, ale takiego transportu i komendanta jak wasz — nie widziałem. *All the best to you and all your people*. I zaprosił nas na piwo.

30 listopada odbyły się popisy i tańce dzieci z sierocińca w Tengeru. Wielki sukces.

1 grudnia w nocy mijamy Gibraltar. Gdy byliśmy jak najbliżej „The Old Rock” zebrałem transport na pokładzie i odmówiliśmy modlitwę za spokój duszy śp. generała Sikorskiego. Wszyscy płakali jak bobry.

Weszliśmy na Atlantyk, burzliwa pogoda dawała się nam we znaki i tak trwało aż do Southampton, gdzie przybyliśmy w sobotę 4 grudnia. Zimno i deszcz. Przypilnowałem wyładowania transportu i pożegnałem się z moimi ulubieńcami z sierocińca, z którymi żyłem się serdecznie. Transport odjechał do Obozu w Daglinworth.

Mnie spotkała „przyjemność”, gdyż z chwilą przycumowania statku, jeden z oficerów Inspektoratu PKPR doręczył mi pilny rozkaz zwalniający z funkcji oficera łącznikowego i kierujący do 45 Basic Unit PRC.

Po serdecznym nawet pożegnaniu z komendantem transportu zeszedłem na ląd i odjechałem do Londynu, nie do 45 Basic Unit PRC lecz do War Office — złożyć sprawozdanie z moich czynności.

Tak się skończyła moja funkcja oficera łącznikowego i „Operation Polejump”. Lecz do Afryki wschodniej i jej słońca wróciłem — jako cywil — i przeżyłem tam dalszych 12 lat.

ZAKOŃCZENIE

W czasie trwania „Operation Polejump” przewieziono do Wielkiej Brytanii w ciągu roku 9.400 osób, biorąc pod uwagę jedynie port Kilindini.

Zestawienie transportów morskich:

listopad	1947	statek	ASCANIUS	106	osób
styczeń	1948	”	CAIRO	81	”
luty	1948	”	CARNARVON CASTLE ..	199	”
marzec	1948	”	ORBITA	415	”
		”	EMPIRE TROOPER	476	”
kwiecień	1948	”	CARNARVON CASTLE ..	1.200	”
		”	ARUNDEL CASTLE	600	”
maj	1948	”	SCYTHIA	400	”

W ciągu stycznia 1950 przewieziono kilkoma transportami do obozu przejściowego w English Point pod Mombasą 1.200 Polaków z Tengeru i Koja, skąd 3 lutego transportowiec amerykański „General Langfitt” przewiózł ich do Australii.

1. października 1950 biura IRO zostały zlikwidowane. W tym samym czasie zamknięto osiedla Tengeru i Koja przemieniając je na doświadczalne stacje rolnicze. Pozostali uchodźcy w liczbie około 200 osób oczekujący na wizy imigracyjne do krajów Ameryki Północnej wzgl. Południowej zostali przewiezieni do obozu przejściowego w English Point nad którym nadzór przejęła EARA. Biuro płk. Belchera istniało do końca 1951 roku.

Reasumując:

na terenie Afryki wschod. i środkowej przebywało	19.200 osób
z nich wyjechało do Wielkiej Brytanii	12.200 ”
do Francji na pracę w roku 1948	544 ”
do W. Brytanii, plan WESTWARD HO	300 ”
do Australii w roku 1950	1.200 ”
do Polski	2.500 ”
na wizy indywidualne	1.000 ”
zostało w krajach Afryki jako rezydenci ...	1.050 ”
zawarło małżeństwa z cudzoziemcami	200 Polek
zmarło około	200 osób

POSŁOWIE

We wrześniu 1960 czyli w dziesięć lat później, opisując w *Kulturze* (Nr 9/155) stosunki panujące wśród Polaków pozostających w Afryce wschodniej słusznie przewidywałem że życie ich po UHURU nie będzie łatwe. I tak się stało.

Od czasu uzyskania niepodległości w Kenii, Tanzanii, Ugandzie i Zambii, liczba mieszkających tam Polaków gwałtownie się zmniejszyła. Osoby pracujące w administracji krajowej wyjechały często z sutą odprawą, tak zwaną „złoty uścisk dłoni” (*golden handshake*). Farmerzy w miarę możliwości sprzedali swoje farmy i wyjechali gospodarować w innych krajach. Kilku z nich zawitało do Południowej Afryki. Szereg osób, bez większych zasobów pieniężnych, z powodu zaawansowanego wieku wyjechało do Wielkiej Brytanii, na Assistance Board. Pozostałych można policzyć na palcach, lecz i ci myślą o likwidacji swoich interesów, zanim gospodarze uczynią to za nich.

Z dawnych władz i instytucji został w Kenii jedynie ksiądz

kanonik Wł. Wargowski, rektor Misji Polskiej, który jest zatrudniony jako kapelan w miejscowej bazie lotniczej R.A.F.

Z upływem lat nawożołony cmentarz na Langacie pod Nairobi zapełnia się grobami polskimi: Oto szereg nazwisk: Ryszard Conrad-Bluziewicz, Jerzy Grobicki, Stanisław Zaremba, dr Michał Czyżewicz, baron Antoni Götz-Okocimski, księstwo Eustachy i Teresa Sapiehowie, M. Blechingerowa, Ewa Gosiewska, Anna Korpusińska, Irena Rogowska, Kazimierz Skwierczyński. Oprócz cmentarza na Langacie, istnieją w Nairobi jeszcze: cmentarz miejski i cmentarz wojskowy gdzie leży pochowanych kilkadziesiąt polskich uchodźców i żołnierzy.

W miejsce dawnych rezydentów zaczęli napływać nowi Polacy, młodzi z fachowym wykształceniem i nowymi ideami. Przyjeżdżają oni na kontrakty pracy, część z Zachodu a część z Polski.

Otwarcie ambasad Polskiej Republiki Ludowej w Nairobi, Dar-es-Salaam i Kampali dało możliwość poznania nowych jej przedstawicieli. Dla miejscowych, nie-Polaków, jest wszystko jedno skąd ambasador przyjechał; z Londynu czy z Warszawy, Mówią oni — to Wasz ambasador!

Trzeba przyznać że nowa dyplomacja polska jest na wysokości zadania; członkowie jej dobrze prezentujący się i władający kilkoma językami, panie przystojne i dobrze ubrane, nowe lśniące limuzyny, to są czynniki które bardziej przemawiają do wyobraźni gospodarzy aniżeli wywody o legalizmie i „zniewolonej wolności”. Przyjęcia dyplomatyczne ściągają gromady gości. I o dziwo, szereg rodaków którzy głosili niezłomne zasady „nie uznajemy”, z czasem zmieniło swoje zdanie; czy to z powodu możliwości handlowych czy raczej z oportunistu i pod wpływem kawioru z szampanem.

Tak jest w Kenii. W Ugandzie i Tanzanii sytuacja jest o tyle bez zmian, że tam nigdy nie było większej ilości osiadłych Polaków. W Zambii jest jeszcze kilkanaście rodzin polskich, otrzymujących emerytury wzgl. jeszcze pracujących w górnictwie i przemyśle. Najlepiej jest w Rodezji, gdzie jest kilka polskich fortun idących w setki tysięcy funtów, zarobionych ciężko pracą przy uprawie tytoniu. O ile mi wiadomo jedynie w tym kraju istnieją: Stowarzyszenie Polaków w Rodezji i Koło S.P.K. które podtrzymują więzy przyjaźni między mieszkającymi tam Polakami.

Roman KRÓLIKOWSKI

Pisałem w Kenii i Afryce Południowej

1960—1967.

OBJAŚNIENIE SKRÓTÓW

26. BLU	26. British Liaison Unit 26. Brytyjska misja wojskowa
E.A.R.A.	East Africa Refugee Administration Administracja uchodźcami w Afryce wschodniej
IRO	International Refugee Organization Międzynarodowa organizacja dla uchodźców
G.H.Q.M.E.L.F.	General Headquarters Middle East Land Forces Naczelne dowództwo wojsk lądowych na Środk. Wschodzie
H.Q.E.A.C.	Headquarters East Africa Command Dowództwo wojsk Afryki Wschodniej
M.E.R.A.	Middle East Refugee Administration Administracja uchodźcami na Środkowym Wschodzie
NCWC-CRS	National Catholic Welfare Conference — Catholic Relief Service — Charytatywna organizacja Episkopatu ameryk.
MOS	Ministerstwo Opieki Społecznej
PKPR	Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia
SBSK	Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich
JWSW	Jednostki Wojsk na Środkowym Wschodzie

DOKUMENTY

Józef FREJLICH

„TRYBUNA”

Listopad 1906 — Wrzesień 1907

W pierwszych dniach listopada 1906 roku, w oknach wystawowych znanych księgarni krakowskich, ulokowanych przy historycznym Rynku: u Friedleina, Gebethnera, Krzyżanowskiego, wyłożone zostało nowe czasopismo: „Trybuna”.

Dla niewtajemniczonych w powody ukazania się „Trybuny”, dla nieznających okoliczności politycznych, które doprowadziły do założenia nowego dwutygodnika, nowe czasopismo było jeszcze jednym, potrzebnym czy zbędnym, literackim przedsięwzięciem wydawniczym. Taki powierzchowny osąd był, w pewnej mierze, uzasadniony wykazem nazwisk autorów i tytułami niektórych artykułów, wydrukowanymi na tytułowej stronie nowego czasopisma, pomimo, iż wykaz ten zawierał nazwiska, już dobrze znane szerszym politycznym kołom czytelniczym Polski.

„Trybuna”, zwana później krakowską, powołana została do życia przez grupę członków i sympatyków Polskiej Partii Socjalistycznej zaboru rosyjskiego, w natężonym okresie ostrego przesilenia wewnątrzpartyjnego, grożącego rozłamem tego historycznego stronnictwa politycznego. Grupie założycieli przyświecał zamiar utrzymania na widowni życia społeczno-narodowego Polski, znaku programowego, oddającego wiernie naczelne zasady, uchwalone w 1892 r. na zjeździe paryskim P.P.S., zasady streszczające się w dwóch imperatywnych wskazaniach programowych: Niepodległość i Socjalizm.

Założyciele „Trybuny” aczkolwiek ich przynależność partyjna była znana, zmuszeni byli do nadania nowemu czasopismu, na zewnątrz, charakteru partyjnie bezbarwnego. Wydawnictwo bowiem zostało przedsięwzięte bez wiedzy i aprobaty centralnych

instancjach ppsowych i, zarówno założyciele jak i redaktorzy, nie chcąc pogłębiać i zaostrzać kryzysu wewnątrz-partyjnego, zmuszeni byli, z początku, do konspirowania celów i partyjnej barwy „Trybuny”.

Kryzys ten trwał już od lat przeszło dwóch; zaczął się, właściwie, z wybuchem wojny japońsko-rosyjskiej 1904 roku, i potęgował równoległe do przejawów rewolucyjnych, ujawniających się odtąd w życiu politycznym i państwowym Caratu rosyjskiego.

Istotą głębokiego przesilenia wewnętrznego w Polskiej Partii Socjalistycznej, była sprawa odsunięcia, a nawet zupełnego skreślenia z programu partyjnego PPS, postulatu niepodległościowego, zastąpienia tego nakazu politycznego mdłą formułą konstytuancy warszawskiej w oparciu o zdemokratyzowaną Rosję. Taka gruntowna zmiana programowa odrzucała więc podstawę programu paryskiego PPS, według której niepodległość Polski musi być wynikiem działań polskich i rozwoju dziejowego, niezależnie od przemian wewnętrznych, zachodzących w Imperium rosyjskim. Bowiem program paryski, główne postulaty tego programu: Niepodległość i Socjalizm, były nakazem i wskazaniem działania PPS nie tylko w zaborze rosyjskim, były pomyślane przecież dla całkowitego rozwiązania sprawy Polski: zjednoczonej, państwowo suwerennej, demokratycznej.

Wytworzenie się stanu kryzysu wewnętrznego, ciągły wzrost tego przesilenia, był rezultatem paru przyczyn głębszych. Z wybuchem wojny japońsko-rosyjskiej, w miarę klęsk militarnych, ponoszonych przez armię carską na Dalekim Wschodzie, przegrana ta wojna, zakończona niekorzystnym traktatem pokojowym, podpisanym dn. 5 września 1905 roku, w wyniku zabiegów mediatorskich Prezydenta Teodora Roosevelta, w następstwie zaś zaburzenia rewolucyjnego, głośna Gaponada w Petersburgu, stopniowe podnoszenie się fali rewolucyjnej w Rosji, wszystko to, politycznie, odbijało się w życiu zaboru rosyjskiego, przyczyniło się również do silnego napływu nowych sił do organizacji lokalnych ppsowych, przy czym był to element na ogół o słabo przetrwanym programie partii, a więc słabo przeniknięty wielkim, niewątpliwie hasłem niepodległości narodowej, związanej z hasłem, również znaczenia wielkiego, sprawiedliwości społecznej. Stwarzało to grunt do ostrych dyskusji w rzeczach programu i taktyki, dyskusji zrozumiałych, nieraz nieuniknionych, utrudniających łagodzenie wewnętrznych sporów i tarć w życiu wielkich stronnictw politycznych.

Poza sprawą utrzymania na pierwszym miejscu postulatu niepodległości i zachowania jak największej swobody ruchów, na podstawie koordynacji nie zaś utożsamiania się z ruchem rewo-

lucyjnym w samej Rosji, nie miała rolę w procesie pogłębiania się wewnętrznego rozbicia w PPS, odegrały sprawy taktyki, zwłaszcza kwestia organizacji bojowej (O.B.), jej scentralizowana działalność, pewna samodzielność organizacyjna, nadająca formacjom bojowym lokalnym niezależność od miejscowych komitetów partyjnych. Zaostrzały kryzys głębokie niechęci osobiste, między przywódcami tzw. „młodych” a „starych”, ambicje i defekty charakteru, cechy ludzkie, których — szczerze czy nieszczerze — poglądy bądź przekonania polityczne nie były w stanie neutralizować, nawet przyciszać zatargów wewnętrznych.

W ciągu tych dwóch lat krytycznych, od petersburskiej Gaponady aż do IX zjazdu partyjnego, rozpoczętego dn. 19 listopada 1906 r. we Wiedniu, życie partyjne PPS było wewnętrźnie zaburzone, nieraz całkiem bezpłodnie, ciągłymi konferencjami lokalnymi, dyskusjami często powierzchownymi, zawzięciem osobistym, zwoływaniem paru zjazdów i rad partyjnych, przewidzianych przez statut organizacyjny. Liczne konwentykłe, przez ten statut nieprzewidziane, częste zmiany składu naczelnej instancji partyjnej: Centralnego Komitetu Robotniczego, zmiany, które usunęły z tego Komitetu tzw. starych, ale już na VII zjeździe we Lwowie w lutym 1906 r. ujawniły duże wpływy grup tzw. centrowych, dążących do łagodzenia wewnętrznego rozdwojenia programowo-taktycznego, powiększały tylko zamęt myślowy i organizacyjny wewnątrz partii. Grupy te, na następnej, czerwcowej, tegoż 1906 r., Radzie partyjnej, objęły kierownictwo partyjne, po niewybraniu do Centralnego Komitetu Robotniczego (C.K.R.) ani jednego członka „młodego”, co było dowodem dużego zamętu programowego i taktycznego wewnątrz Polskiej Partii Socjalistycznej. Nowy, na radzie czerwcowej obrany, C.K.R. partii, złożony w swej większości z centrowców, dążących do utrzymania jedności organizacyjnej partyjnej, przez forsowanie rezolucji i uchwał, dążących do złagodzenia ostrych bardzo, w tym czasie, sporów programowo-taktycznych, nie był w stanie osłabić wewnętrznych zatargów, zwłaszcza, że na jesieni 1906 roku, poważnie zaostrzył się zatarg pomiędzy Organizacją Bojową a C.K.R., po dokonaniu przez O.B. paru akcji bojowych ekspropriacyjnych (konfiskowanie pieniędzy rządowych), bez akceptacji Centralnego Komitetu Robotniczego. Głośna akcja bojowa pod Rogowem, dokonana dn. 8 listopada 1906 roku, pomimo zakazu C.K.R., w której zostało zabitych czy ciężko rannych kilkunastu żołnierzy rosyjskich, „proletariuszy w mundurach” jak twierdzili „młodzi”, z konwoju wojskowego, pilnującego wagonu pocztowego, potępiona została przez C.K.R. organizacyjnym zawieszeniem Organizacji Bojowej. W odpowiedzi na taką formę potępienia, Wydział Bojowy zwo-

łał do Zakopanego, w końcu pierwszej połowy listopada 1906 r. konferencję wydziałową, na której nie uznano zawieszenia Organizacji Bojowej i ułożono — po dyskusji programowej — własne uchwały taktyczne, jako przygotowanie do zwołanego przez C.K.R. nowego IX zjazdu partyjnego.

IX Zjazd Polskiej Partii Socjalistycznej rozpoczął się we Wiedniu dn. 19 listopada 1906 roku, pod przewodnictwem Hermana Diamanda, reprezentanta Polski w Międzynarodowym Biurze Socjalistycznym. Zjazd ten zakończył się rozłamem faktycznym. Dawała temu wyraz deklaracja delegatów ustępujących z IX zjazdu PPS, datowana dn. 22 listopada 1906 r. W dziejach polskiego ruchu robotniczego, był to zjazd znaczenia przełomowego. Początkowo rozłam ten osłabił natężenie organizacyjne PPS, rozbitej na dwa odłamy. Odłam pozostający nadal wiernym naczelnym postulatowi programu paryskiego, odłam niepodległościowy, który dla odróżnienia się od odłamu „młodych”, szukających programowego wskazania w mętnych hasłach konstytuandy czy dzielnicowej autonomii w ramach państwa rosyjskiego, przyjął podnazwę Frakcji Rewolucyjnej, szybko zdołał odbudować silną robotniczą organizację krajową, zdołał utrzymać przy sztandarze niepodległościowym liczne rzesze inteligencji w zaborze rosyjskim oraz młodzieży akademickiej w krajach zagranicznych. Szybko została odbudowana a nawet rozszerzona sieć prasy partyjnej, wzmożona została działalność wydawnicza krakowskiej „Książki” i krakowskiego „Życia”. Bratni stosunek, od dawna istniejący pomiędzy PPS a Polską Partią Socjalno-Demokratyczną Galicji i Śląska oraz Polską Partią Socjalistyczną zaboru pruskiego, został nadal utrzymany, z frakcją rewolucyjną PPS, nawet stał się silniejszy, przerwany został natomiast z odłamek „młodych”, których nazwa „frakcja umiarkowana” szybko zakorzeniła się w masach robotniczych polskich. Na gruncie właśnie tego silnego bratniego stosunku, wyrosłego na podstawie naczelných wskazań programu paryskiego: Niepodległość i Socjalizm, w Polsce odrodzonej w 1918 roku, wolnej, niepodległej, suwerennej, na przednie szeregi życia zbiorowego wysunęła się Polska Partia Socjalistyczna, zjednoczone stronnictwo mas pracujących.

„Trybuna” krakowska założona została w wyniku poufnych narad grupy krajowych czynnych działaczy ppsowych, zwalczających dążenia „młodych” do zdeformowania programowego PPS, stojących natomiast niezłomie przy programie, uchwalonym na zjeździe 1892 r., odbytym w Paryżu, na którym proklamowano założenie Polskiej Partii Socjalistycznej. Narady te odbyły się w Krakowie, kiedy zarysowujący się coraz wyraźniej rozłam partyjny stawał się z tygodnia na tydzień nieunikniony. Zmiany

zaszły w składzie władz naczelnych PPS na VII zjeździe we Lwowie, odebrały z rąk starych redaktorów „Robotnika” (Feliksa Perla) i „Przedświt” (Witolda Jodko-Narkiewicza) kierownictwo tych dwóch głównych organów partyjnych. „Przedświt” został w ogóle zawieszony, „Robotnik” oddany został w ręce triumwiratu o niezharmonizowanych poglądach na główne, nieraz sporne, sprawy taktyczno-programowe. Wkrótce, na radzie partyjnej czerwcowej 1906 roku, redakcję faktycznie objęła Estera Golde-Stróżecka wspólnie z swym mężem Janem Stróżeckim, przy czym „niepodległościowcy” mieli zamknięty dostęp do współpracownictwa w tych organach partyjnych. Narady poufne krakowskie miały tedy na celu omówienie wynikłej na tym gruncie sytuacji oraz wynalezienie środków zaradczych. Uczestnicy tych narad doszli do wniosku, że jedynym wyjściem z zamkniętego koła jest założenie nowego pisma, które ze względów organizacyjnych, oraz aby nie pogłębiać i zaostrzać wewnętrznych sporów i tarć, na zewnątrz winno być pismem niepartyjnym, o zabarwieniu literackim, jednakże nie ukrywającym, jeno ujawniającym, swoje istotne oblicze polityczno-ideowe.

Redakcję nowego czasopisma, dwutygodnika, uczestnicy narad krakowskich powierzyli przybyłemu do Krakowa Arturowi Śliwińskiemu, redaktorowi „Gońca Kijowskiego”, od wielu lat członkowi PPS, z którą się politycznie związał z czasów swoich studiów w lipskiej Akademii Handlowej. Śliwiński objął redakcję wspólnie z Gustawem Daniłowskim, znanym już wówczas pisarzem, byłym wychowankiem Instytutu Technologicznego w Charkowie, który jako członek charkowskiej sekcji PPS zamienił cyrkle techniczne na pióro pisarza. Zarówno Śliwiński jak i Daniłowski osiedlili się w tym czasie w Krakowie, zmuszeni do wyjazdu zagranicę, aby uniknąć aresztowania przez żandarmerię rosyjską.

Na wydanie nowego czasopisma nie mieliśmy pieniędzy. Opłacić pierwsze niezbędne wydatki drukarskie, pomogli przyjaciele i towarzysze krakowscy, wystawiając pisma gwarancyjne i zasilając pożyczkami. Bardzo pomocny był Bolesław Antoni Jędrzejowski, kierownik krakowskiej centrali wydawnictw partyjnych, który musiał działać konspiracyjnie, aby nie wywołać represji ze strony nowych naczelnych władz partyjnych. Na odpowiedzialnego wydawcę i redaktora został powołany dawny zecer w drukarni londyńskiej PPS, emeryt krakowskiego związku drukarzy, Tadeusz Bobrowski, w którego skromnym mieszkaniu, przy ul. Retoryka 12, formalnie mieściła się redakcja, zaś faktycznie administracja „Trybuny”.

Cele i dążenia „Trybuny” zostały ujęte, w słowach ogólnych,

w redakcyjnym „Słowie wstępnym”, otwierającym nowy dwutygodnik.

„Żyjemy w chwili przelomu... Żyjemy w chwili walki podwójnej — z obcą przemocą i z własną naszą reakcją... W chwili walki na dwa fronty, walki zaciętej, ofiarnej, powstaje nasza „Trybuna”. Pragniemy więc, aby organ, który stwarzamy, służył potrzebom walki i był pomocny walczącym, aby stał się kuźnią polskiej myśli socjalistycznej, aby oświecił drogi i cele rewolucji. Rozważać będziemy chwilę bieżącą ze stanowiska interesów klasowych ludu pracującego Polski, które utożsamiamy z interesami narodowymi, — stawiając sobie za cel polityczny niepodległą republikę demokratyczną... Jakkolwiek z natury rzeczy uwaga nasza skierowana będzie przede wszystkim na zabór rosyjski, to jednak nie pominiemy żadnych wybitniejszych objawów życia pozostałych dwóch dzielnic Polski. Nie zamykamy bowiem oczu na ścisłą współzależność rozwoju wszystkich części naszego kraju.

Puszczamy w świat pierwszy numer „Trybuny” wśród ogłoseń krwawych represyj — w chwili kiedy paroksyzm reakcji rządowej pragnie unicestwić wszystkie dotychczasowe zdobycze ruchu. W chwili takiej podwójnie baczyć należy, aby pochodowi rewolucji w Polsce przyświecała myśl śmiała i nieulekła. Powołując do życia „Trybunę” dla takiej myśli pragniemy stworzyć placówkę. Pragniemy, by wszystko, co pochodzi ze świata walki i czynu, znalazło w piśmie naszym odbicie”.

Witał też nową trybunę, dla głoszenia wielkich wezwań programu paryskiego, Gustaw Daniłowski:

*„Witam ten pochód niepodległej myśli!
Skroś ziemię polską niech jak Wisła płynie!
Szkarłatny sztandar nad sobą rozwinie,
Z trzech drogich zgłosek żadnej w nim nie skreśli
I kocha starych i nowych, co przyśli.*

Te „trzy drogie zgłoski” to trzy ogniste litery sztandaru paryskiego: PPS.

Wydawnictwo „Trybuny”, której nazwa, początkowo, miała być: „Pochód”, rozpoczęte w miesiącu listopadzie 1906 roku, wychodziło regularnie, co dwa tygodnie, w ciągu dziesięciu miesięcy; ostatni numer tego dwutygodnika, wydany został dn. 1 września 1907 roku. Wobec wyjaśnienia się wewnątrzno-politycznej sytuacji, wobec dokonanego rozłamu, nowego ugrupowania sił niepodległościowych w Polskiej Partii Socjalistycznej,

przez skupienie organizacyjne w tzw. Frakcji Rewolucyjnej, „Trybuna” spełniła swoje zadania. Wydawnictwo stało się, w nowej, porażkowej sytuacji, zbyt cenne, tym więcej, że zarówno „Przedświt” jak i tajny „Robotnik” wznowione zostały w duchu dawnego programu niepodległościowego.

Deklaracja wydawnictwa, zamieszczona w ostatnim, 18 numerze „Trybuny” — słowa pożegnania — głosiła:

„Numerem niniejszym zamykamy „Trybunę”, która w ciągu swego dziesięciomiesięcznego istnienia najzupełniej wywiązała się z włożonego na nią zadania. Powstała ona w chwili, kiedy polska myśl socjalistyczna przeżywała kryzys głęboki, kiedy zdawało się, że gorejąca pochodnia, przez tyle lat przyświecająca walce ludu pracującego, zostanie zdeptana i zastąpiona łojówką „organicznego wcielenia”. Wtargnięcie do P.P.S. żywiółów, obcych i nawet wrogich jej ideowości, groziło już zupełnym zniweczeniem całego dorobku partyjnego. Potrzebny był szybki ratunek. Trzeba było stworzyć organ, umożliwiający wszystkim, dla kogo drogą była rewolucyjna idea niepodległościowa w walce klasowej proletariatu polskiego, bronienie, wyjaśnianie i pogłębianie tej idei. Trzeba było skupić wszystkie żywióły, stojące na gruncie tych dążeń i umożliwić im niczem nieskrępowane wypowiedzanie się wobec ogółu towarzyszy. Takim organem stała się „Trybuna” i z dumą możemy stwierdzić, że zażegnanie grożącego myśli socjalistycznej niebezpieczeństwa było w niemałej mierze i jej zasługą.

Dziś sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej, niż przed 9-ciu miesiącami. Idee P.P.S. zwyciężyły. Na ich gruncie stanęła olbrzymia większość zorganizowanego proletariatu w zaborze rosyjskim, a Frakcja rewolucyjna P.P.S. wzmaga się z dnia na dzień na siłach, rozszerzając i pogłębiając swe wpływy. Pismo „niezależne” jest wobec tego już zbyt cenne. Potrzeba nam natomiast organu partyjnego — teoretycznego, dyskusyjnego i informacyjnego, któryby torował i oświecał drogi rozwoju organizacji, walczącej na gruncie programu P.P.S. A to zadanie będzie spełniał „Przedświt”, który niebawem zostanie wznowiony”.

„Trybuna” przez cały czas swego dziesięciomiesięcznego istnienia, była — drukowana również na papierze bibułkowym — stale rozpowszechniana, konspiracyjnie, w zaborze rosyjskim oraz w ośrodkach polskich w samej Rosji, szerząc, w okresie głębokiego kryzysu wewnątrzpartyjnego, świadomość niezaciemnionej idei ppsowej, jaka przyświecała założycielom Polskiej Partii Socjalistycznej. Pragnąc utrzymać krąg oddziaływań i uświadamiań politycznych, zwłaszcza w tych kołach, do których konspiracyjna

literatura partyjna docierała sporadycznie, wydawnictwo „Trybuny”, po zawieszeniu w listopadzie 1907 roku, zdecydowało wznowić ten dwutygodnik, pod zmienionym tytułem, w formie zmienionej, w Warszawie, jako czasopismo legalne, jawnie wychodzące. W tym celu, Gustaw Daniłowski, wrócił z Krakowa do Warszawy i, wspólnie z dziennikarzem H. St. Pytlińskim, stojącym blisko P.P.S. — nawiasem mówiąc, zięciem Marii Konopnickiej — rozpoczął wydawanie kontynuacji „Trybuny” pod nazwą „Witeź”. Ze względu na warunki cenzuralne, trzeba było dobierać specjalnie słowa, konstruować zdania, nieraz stosować „język Ezopa”, aby przepuszczać numery przez sita ostrej cenzury rosyjskiej. Toteż, często numery „Witezia” wychodziły spod prasy silnie pokiereszowane, pomimo, że autorzy artykułów zamieszczonych i redaktorzy starali się pisać w sposób umożliwiający czytanie „między wierszami”. Wielkim trudem udało się utrzymać „Witezia” przy życiu wydawniczym, przez czas, jak na warunki cenzuralne warszawskie, stosunkowo dłuższy. Jednak wielkie trudności cenzuralne, aresztowanie Daniłowskiego i Pytlińskiego przerwało, po wypuszczeniu spod prasy 18 numerów, tę znamiennej próbę i wysiłki kontynuowania, w stolicy Polski, pisma w duchu ppsowym: „Trybuny” krakowskiej.

Józef FREJLICH

„ T R Y B U N A ”

Spis zawartości NN. 1-18
Listopad 1906 — Wrzesień 1907

Nr 1.

1 Listopad 1906.

	stronica
Redakcja. Słowo wstępne.	3-4
Gustaw Daniłowski. Powitanie.	4-5
Res. Demokratyzacja państwa rosyjskiego a nasze zadania.	6-8
Wacław Sieroszewski. Przez lud swój dla ludzkości.	9-12
T-z. Polityka walki czynnej.	12-20
Hubert Nowina. Reakcyja a bandytyzm.	20-25
Wilhelm Feldman. Rewolucyja w karykaturze.	26-30
Ignacy Daszyński. Autonomia Galicyi a prawo wyborcze.	30-34
Maurycy Zych. Wspomnienie.	34-37
Miecz. Mat. Wojna z dziećmi.	37-40
Dr. Władysław Gumplowicz. Kwestyja rolna w Królestwie.	40-43
Petersburszczanin. Z życia rosyjskiego.	43-47
Echa:	
Redivivus. Komedyanci.	47-48
A.-S. Przeklęte pokolenie.	48-49
— Mały rachuneczek.	49-50

Sprawozdania:

Kazimierz Krauz (Michał Luśnia)

Wybór pism politycznych. Kraków, 1907.

„Życie”. Wydawnictwo dzieł społeczno-politycznych. 50-52

Notatki bibliograficzne:

(Książki nadesłane do redakcyi) 52

Nr 2.

15 Listopad 1906.

	stronica
Res. Wybory do Dumy.	3-8
Markowska Marya. Poległym.	8-10
Ignacy Daszyński. Interwencya.	10-13
Hubert Nowina. Dzień bez chęci.	13-17
Z. Bronisławski. Koncentracya sił rewolucyjnych.	18-24
Maurycy Zych. Sen o szpadzie.	24-27
L. Płochocki. „Bund”.	27-31
Dr Władysław Gumplowicz. Wybór pism Luśni.	31-33
F. Grzybowski. Ministerjum Clemenceau.	33-36
A. N-ski. Polityka stronnictwa N. D.	37-44
Petersburszczanin. Z życia rosyjskiego.	45-49
Echa:	
S. D. a wybory.	49
Redivivus. Socjalno-demokratyczny Filip z Konopi.	49-51
L. P. Włodzimierz Spasowicz.	51

Sprawozdania:

Redivivus:

Marceli Handelsman. Żywoć chłopu polskiego na początku XIX stulecia. Warszawa 1907. Nakł. Jakóba Mortkowicza.

Stanisław Szpotański. Lud Polski.

Z dziejów polskiej myśli socjalistycznej. Lwów 1907.

Polskie Towarzystwo Nakładowe. 51-52

Nr 3.

1 Grudzień 1906.

	stronica
Redakcja. Kryzys w P. P. S.	3-4
Marya Markowska. Krwawy siew.	5-10
Wacław Sieroszewski. H. Sienkiewicz, bandytyzm i marzenie socjalisty.	10-19
Hubert Nowina. Sprawy przedwyborcze.	19-26
Bolesław Limanowski. Przebudowanie Rosyi.	26-30
Res. Zdobycze narodowe a ruch rewolucyjny.	30-33
Wilhelm Feldman. Z galerii naszego nacjonalizmu. Sylwetki. ..	33-39
Emil Haecker. Sejm galicyjski.	39-43
Dr Stanisław Zelt. Prądy separatystyczne wśród Żydów.	43-47
Echa:	
Z-ski. Bankructwo polityki N. D.	47-48
B. Z. Komiwojażerowie frazesu.	48-49
E. Haecker. Pierwiastek narodowy w socyalizmie.	49-50
(Oko Nr 49) Humor.	51

Sprawozdania:

L. W.

Wilhelm Feldman. Stronnictwa i programy polityczne
w Galicyi, 1846-1906. Tom I. Kraków 1907.
Spółka nakładowa „Książka”

51-52

Nr 4.

15 Grudzień 1906.

	stronica
Res. Rozłam w P. P. S.	3-10
Wacław Wolski. Z ballad tatrzańskich.	10-12
Dr Władysław Gumplowicz. Nieco o praktycznych zadaniach so- cyalizmu na dziś	12-16
T. Konrad. Z powodu rozłamu w P. P. S.	16-19
Emil Haecker. Metamorfozy polityczne.	20-25
Z. Bronisławski. Polityka niewolników.	25-31
K. Frech. Duchowieństwo a walka o język polski.	31-35
St. Zawierucha. Walka klas a przyszłość rewolucyi polskiej. . . .	35-40
Petersburszczanin. Z życia rosyjskiego.	41-47
Echa:	
Grzyb. Budżet Królestwa.	47-48
Z-ski. „Proletaryusze w mundurach”.	48-49
Redakcyja. Prasa o rozłamie w P. P. S.	49-51

Sprawozdania:

M. Szarota.

S. Posner. Demokratyzacja Finlandji. Warszawa 1907.
Biblioteka Spółczesna.

51-52

Odpowiedzi redakcyi.

52

Nr 5.

1 Styczeń 1907.

	stronica
T. Konrad. W sprawie taktyki rewolucyjnej na dziś.	3-5
Kazimierz Romin. Nim zorza zagaśnie.	6
Res. Rozłam w P. P. S.	6-11
Miecz. Mat. Koncentracja stronnictw w Królestwie Polskiem. . .	11-18
T. Pokrzywa. Bandytyzm w dawnej Polsce.	18-24
Ślaz. Duma i rewolucya.	24-28
Piotr Górkowski. Położenie w Niemczech.	28-32
H. Nowinowski. Sprawy klasy pracującej.	32-37
Z. Bronisławski. Niepodległość trójzaborowa.	37-40
Dr St. Zelt. Z klatki węgierskiej.	40-43
Petersburszczanin. Z życia rosyjskiego.	44-49
Echa:	
Ar. Jasny krytyk.	49-50
T-ur. S. D-cya bojkotuje Dumę.	50-51
Redakcyja. Hipolit Kopiś.	51-52
Redakcyja. Pogrom prasy.	52

	stronica
Z. Bronisławski. Prokurator Pawłow.	3-4
Edward Milewski. Słońce.	5
Bolesław Limanowski. Mickiewicz jako publicysta.	6-11
Hubert Nowina. Dwa światopoglądy.	11-19
A. Stefanowski. Rewolucya a poezja.	20-24
Dr Władysław Gumpłowicz. Kilka słów o warunkach urzeczywistnienia socjalizmu.	24-28
Andrzej Rozp. Jeszcze z powodu rozłamu.	28-30
K. Frech. Odpowiedź.	30-34
Ignacy Daszyński. Wielkie dzieło.	34-40
M. S. Ostatnia faza separacyi.	41-45
Petersburszczanin. Z życia rosyjskiego.	45-48
Echa:	
Redivivus. „Skarb Narodowy”.	48-49
Redakcyja. Nowe czasopisma.	49
Grzyb. Autonomia P. Steckiego.	49-52
K. T. „My”.	50-51
Redakcyja. Notatki bibliograficzne.	51
Odpowiedzi redakcyi.	52

	stronica
Res. Lokaut łódzki.	3-8
Marya Markowska. Ludziom marnego serca, marnej wiary.	8-9
A. Stefanowski. Jeszcze słów parę w kwestyi niepodległości.	9-14
Konrad Leński. Niezwyciężeni.	15-19
Jerzy Finn. Hypnoza esdecka.	19-23
Ant. Rewolucya w kraju podbitym a wojsko zaborcze.	23-30
Ignacy Daszyński. Reforma wyborcza w galicyjskiej szacie.	30-34
Emil Haecker. Klęska wyborcza niemieckiej socyalnej demokracji.	34-38
K. Frech. Okólnik kandydata „rodaka”.	38-41
Via. Wieści z Zaboru Pruskiego.	41-45
Petersburszczanin. Z życia rosyjskiego.	45-47
Echa:	
mn. Dwie utopie.	48
Xgz. Kult dla wyrazów.	48-49
Redivivus. „Wieszaciele”.	49
Grzyb. N. D. wobec Rusinów.	50
Latarnik. Niespodzianka.	50-51
Sprawozdania:	
Res.	
Przedświt r. XXVI. N. 1. Styczeń 1907. Warszawa.	51-52
Odpowiedzi redakcyi.	52

	stronica
Z. Bronisławski. „Krew bratnia”.	3-6
Marya Markowska. Hipolit Kopiś.	7-8
K. Frech. Przesilenie w przemyśle metalurgicznym.	9-14

M. Szarota. Psyche czwartego stanu.	14-20
A. T-r. Karnawał łódzki.	20-25
A. Stefanowski. Ratusz warszawski.	25-30
T. Konrad. Reakcyja, opozycya, rewolucya.	30-33
A. Kroński. Rozłam w P. P. S. a robotnicy.	33-36
Petersburszczanin. Z życia rosyjskiego.	36-40
Via. Wieści z zaboru pruskiego.	40-46
Echa:	
Redakcyja. „Proletarysuzie wszystkich krajów, łączcie się”.	46-47
A. St. Oda do wolności.	47-49
Ski-Z. Konstytucya rosyjska w cyfrach.	49-50
Sprawozdania.	
M. S.	
Bolesław Limanowski. Naród i państwo. Studium so-	
cyologiczne. Kraków 1906. Nakład Tow. Wydawn.	
Ludowych.	50-51

Nr 9.

1 Marzec 1907.

	stronica
Res. Wybory w Królestwie.	3-7
Hubert Nowina. Dwa światopoglądy.	7-16
Ignacy Daszyński. Ruch wyborczy w Galicyi.	16-19
W. Makowski. O „Kniaziu Potiomkinie”.	20-24
K. Frech. Kurya robotnicza wobec wyborów w Królestwie Polskiem	24-28
Stary. Kilka słów o wojnie „polsko-rosyjskiej”.	28-37
Grzyb. Socyalista niemiecko-austryacki o stosunku socyalnej de-	
mokracyi do państwa i narodowości.	37-40
Via. Wieści z zaboru pruskiego.	40-45
Redakcyja. Echa niefortunnego zjazdu.	45-47
Redivivus. Drobne informacye.	47-48
Latarnik. „Tak i sledowało ożidat”.	48-49
Ignacyusz. Obrazki wyborcze.	49-50
K. Frech. Czelní.	50-51
Sprawozdania:	
M. Ryś.	
Edward Milewski i kwitnące ciernie.	51-52

Nr 10.

15 Marzec 1907.

	stronica
Władysław Orkan. Z pieśni o buncie.	3-8
K. Frech. Jeszcze o lokaucie w Łodzi.	8-14
Wacław Sieroszewski. Wycieczka w dziedzinę przyczynowości.	14-23
M. Szarota. Parlament niemiecki.	23-33
Marya Markowska. Ecce Homo.	34-36
Savitri. Kwestya narodowościowa w poglądach partyj rosyjskich.	36-42
Via. Wieści z zaboru pruskiego.	42-45
M. S. Przegląd prasy socyalistycznej.	46-51
Redakcyja. W sprawie rozłamu w P. P. S.	51-52

	stronica
Redakcyja. Program Polskiej Partji Socjalistycznej.	3-9
Redakcyja. Dyskusya programowa na X Zjeździe P. P. S. — I Zjeździe frakcyi rewolucyjnej P. P. S.	10-26
Savitri. W noc jesienną.	27-28
Konrad Leński. O bajeczkach dla dorosłych dzieci i o innych rzeczach smutnych.	28-33
W. Feldman. Istota walki polsko-ruskiej w Galicyi.	34-39
Via. Słowa... słowa... słowa.	39-45
Echa:	
Tadeusz Miciński — Wacław Makowski. Polemika.	45-46
K. T. Pobudka bojowa N-D-cji.	46-48
S. S. „Czerwony sztandar” i P. Stecki.	48-49
Z-ski. W sprawie terminologii politycznej.	49-50
Grzyb. Socjalno-demokratyczna harmonia wyborcza.	50-51
Redakcyja. Ostatni wykaz ludności.	51
Redakcyja. Na złodzieju czapka gore.	51

	stronica
T. Konrad. Druga Duma.	3-6
Bolesław Limanowski. Co było głównym powodem rewolucyi 1848 r.?	6-16
Dr Zyg. O uniwersytecie warszawskim.	16-23
Socyalista niedyplomowany. Socyalizm i sekciarstwo socyalistyczne.	23-28
G. Daniłowski. Cisza.	28-31
K. F. X Zjazd Polskiej Partii Socjalistycznej zaboru pruskiego.	32-38
Via. O szkołę polską.	38-42
Es. Przegląd prasy.	43-45
Echa:	
Grzyb. Duma.	45-46
Redivivus. Zwycięstwo wyborcze S. D. K. P.	46-47
Redakcyja. Krwawy plon.	47-48
Redakcyja. Rozruchy w Rumunii.	48-51
Sprawozdania:	
P. Zofia.	
Stanisław Karpowicz. Ideały i metoda wychowania społecznego.	51-52
Pokwitowanie.	52

	stronica
Res. Z powodu łódzkich mordów.	3-6
Władysław Orkan. U bram.	6-11
Konrad Leński. Czerwona Łódź.	11-16
M. Szarota. Psychologiczne podstawy polityki.	16-21
W. Fischer. Świadomość klasowa emigracyi polskiej w Ameryce.	22-28
J. Sarnecka. Dno.	28-30
Via. Cyfry.	30-33
Es. Syndykaty pracowników państwowych we Francyi.	33-40
Emil Haecker. W przededniu wyborów w Galicyi.	41-44
Grzyb. Przegląd prasy.	44-47

Echa:		
	K. T. Robotnicy wobec morderstw w Łodzi.	47-49
	Z-ski. „Koło” się kręci.	49
	L. „Aż do złudzenia”.	50-51
	Redivivus. Zły humor.	51-52
	Redakcja. Świetne zwycięstwo.	52

Nr 14. 15 Maj 1907.

		stronica
Z. Bronisławski.	Słupy graniczne w ideologii rewolucyjnej.	3-8
Edward Milewski.	Wiosna.	9
Wacław Sieroszewski.	x x x	10-13
M. S.	Konferencya haska.	13-21
Res.	Papierowa autonomia i niepapierowi rekruci.	21-26
K. Frech.	Walki bratobójcze.	27-30
Via.	Więści z zaboru pruskiego.	30-36
Przegląd prasy:		
	Res. Prasa polska.	36-39
	Es. Prasa niemiecka.	39-41
	Zb. Prasa rosyjska.	41-43
Echa:		
N.	„Demokraci” krakowscy.	43-44
L.	Car i arcybiskup.	44-45
Z. Bron.	Właśnie!	45-47
Redakcja.	Wymowne cyfry.	47-48
K. T. N. D.	przeciw N. D.	49
Redivivus.	Pierwszy dzień maja.	50
Grzyb. P.	Konic.	50
K. T.	Czy nie za wcześnie?	50-52
Redivivus.	Przypomnienie.	52

Nr 15. 1 Czerwiec 1907.

		stronica
Ignacy Daszyński.	Wybory w Austrii. Zwycięstwo socjalnych demokratów.	3-7
Edward Milewski.	Kapłaństwo.	7-9
A. Natolski.	Materyały do historii P. P. S.	9-14
Z-t.	Polityka ugodowa.	14-19
Res.	Manifest Socjalnej Demokracji czeskiej.	19-23
Gustaw Daniłowski.	Fragment ze wspomnień więziennych.	23-25
Grzyb.	W kwestyi żydowskiej.	26-28
A. Stefanowski.	Zapoznane zagadnienie.	28-32
M. S.	Syndykalizm francuski.	32-42
Via.	Strejki.	42-46
Przegląd prasy:		
	Es. Prasa niemiecka.	46-48
Echa:		
Redivivus.	Duma.	48-49
Redakcja.	Z organu P. Świętochowskiego.	49-50
Res.	Histerya umiarkowana.	50-51

	stronica
Ignacy Daszyński. Wybory w Galicyi.	3-11
Wacław Makowski. Wnet się rozkwieca.	12-14
M. Szarota. Rosya — Polska w epoce św. przymierza.	15-21
Via. „Starsza Brać”.	21-24
M. Hankiewicz. Wybory na Rusi.	24--32
A. Wroński. Bezkrytyczna krytyka, czyli nowy nietypowy numer organu Frakcyi Umiarkowanej.	32-41
Przegląd prasy:	
Es. Prasa francuska.	41-44
Echa:	
Z-ski. Duma.	44-45
Redakcyja. Chytra mechanika agrarna.	45
K. Frech. Socyaldemokratyczna „iłowajszczyna”.	46-48
K. T. Polemiści z frakcyjki.	48-49
Sprawozdania:	
M. Ryś. „Na nową szkołę”.	50-51

	stronica
Petersburszczanin. Między drugą a trzecią Dumą.	3-8
Marya Markowska. Otośmy wstali.	9-10
K. Frech. Kilka słów o t. z. polskich związkach zawodowych. ..	10-14
A. Stefanowski. Prawa jednostki.	14-17
Wacław Sieroszewski. Wspomnienie.	18-19
W. A. M. Dwie ideologie.	19-24
Miecz. Mat. Z chwili.	24-28
K. T. W sprawie taktyki.	28-31
Via. Wieści z zaboru pruskiego.	31-35
Przegląd prasy:	
Prasa francuska.	35-38
Echa:	
K. T. Odpowiedź na odpowiedź.	39-40
L. Pł. Głos „umiarkowanych” na minach Drugiej Dumy.	40-41
M. N. Tryumf p. Dmowskiego.	41-42
Z-ski. Roztropność „Prawdy” warszawskiej.	42-43
Redakcyja. Echa wyborów w Austrii.	44
Redakcyja. Konsekwencye wyborów galicyjskich.	44-45
Redakcyja. Z parlamentu austriackiego.	45-46
Sprawozdania:	
L. W.	
Ze stosunków litewsko-polskich. Audiaturn et altera pars. Wydane staraniem J. K. Warszawa 1907.	46-48
L. W.	
Wilhelm Feldman. Stronictwa i programy polityczne w Galicyi 1846-1906. Tom II. Kraków 1907.	48-50
Sprostowanie.	50
Odpowiedzi Redakcyi.	50

	stronica
Od Wydawnictwa.	2
Os...arz St. Na gruncie państwowości rosyjskiej.	3-5
K. Frech. Projekt „dobrego” programu.	5-10
Edward Milewski. Burza.	10-13
Dr Stanisław Zelt. Sytuacja polityczna w Galicyi po wyborach do Rady Państwa.	13-17
Miecz. Mat. „Separatyzm” polski na Litwie.	17-22
Bolesław Limanowski. Wiązanka spostrzeżeń z wycieczki do Brukseli.	22-28
Petersburszczanin. Objawy rozkładu.	28-32
Rozstam. Z praktyki walki zbrojnej.	32-38
Edmund Weisberg. Dramat rewolucyi.	38-44
Przegląd prasy:	
Prasa rosyjska.	45-47
Echa:	
L. Pł. Znowu ojczyzna.	47-48
L. Narodowa Demokracja w oświeceniu opozycyi narodowo-demokratycznej.	48-49
Redakcja. Dobrodziejstwa październikowców.	49-50
Redakcja. Błażeństwo.	51
Sprawozdania:	
Dr Helena Landau.	
Otto Bauer. Die Nationalitätenfrage und die Sozialdemokratie. Wien 1907.	51-56
P.	
Myśl Socjalistyczna. Miesięcznik polityczno-społeczny. Organ Polskiej Partji Socjalistycznej. R. I. kwart. II. N. 3. Kraków. Lipiec 1907.	56-57
Sprostowanie.	57-58

„ T R Y B U N A ”

NN. 1 — 18

Wykaz autorów oraz pseudonimów przez nich użytych:

<i>Nazwisko</i>	<i>Pseudonim</i>
Brodzki Zbigniew	A. St. A. Stefanowski
Daniłowski Gustaw	
Daszyński Ignacy	
Drozdowicz Zygmunt	Dr. Zyg.
Elzenberg-Zahorska Hanna	Savitri
Feldman Wilhelm	
Filipowicz Tytus	T-z
Fischler Władysław	

Frejlich Józef	Ignacjusz K.F.	
Gumpłowicz Władysław	K. Frech	
Haecker Emil	Piotr Górkowski	
Hankiewicz Mikołaj	T. Pokrzywa	
Jędrzejowski Bolesław Antoni	A. Natolski	
Jodko-Narkiewicz Witold	A. N-ski	
Kukiel Marian	Stary	
Landau Helena	A. Wroński	
Limanowski Bolesław	St. Zawierucha	
Makowski Wacław	W.A.M.	
Markowska Maria	Via	
Miciński Tadeusz		
Milewski Edward		
Minkiewicz Romuald	Kazimierz Romin	
Orkan Władysław		
Perl Feliks	Grzyb	
	F.-Grzybowski	
	Latarnik	
	Redivivus	
	Res	
	P. Zofja	
Prauss Zofia		
Sieroszewski Wacław	Konrad Leński	
Sokolnicki Michał	Hubert Nowina	
	H. Nowinowski	
	M.N.	
	N.	
	M.S.	
Szarota Marceli		
Sliwiński Artur	A.	B.Z.
	Ar.	K.T.
	Art.	Konrad T.
	A. T.-r.	Ski-Z.
	A. N-ski	T-ur.
	A.S.	Zb.
	A-s	Z. Bron.
	Z. Bronistawski	Z.-ski
	L.	Os...arz
	L.P.	P.
	L. Pł.	Petersburszczanin
	L.W.	
	Miecz. Mat.	Płochocki Leon
Weisberg Edmund		
Wolski Wacław		
Zahorski Sergiusz	Ant.	
Zelt Stanisław		
Zeromski Stefan	Maurycy Zych	

Pseudonimy nieodcyfrowane

Andrzej Rozp.
Es.
Jerzy Finn.
A. Kroński.
mn.
M. Ryś.
Rozstam.
S.S.
Socyalista niedyplomowany.
Ślaz.
Xgz.

RECENZJE

Anna M. CIENCIAŁA

INTERPRETACJE HISTORYCZNE: JÓZEF BECK

W ostatnim dziesięcioleciu ukazało się w Polsce szereg wartościowych prac naukowych na temat polskiej polityki zagranicznej w okresie 1919-1939. Spośród nich należy wymienić przede wszystkim Mariana Wojciechowskiego, *Stosunki Polsko-Niemieckie 1933-1938* (Poznań 1965), Stefani Stanislawskiej, *Wielka i Mała Polityka Józefa Becka* (Warszawa 1962) i tejże autorki, *Polska a Monachium* (Warszawa 1967), Jerzego Kozeńskiego, *Czechosłowacja w Polskiej Polityce Zagranicznej w Latach 1932-1938* (Poznań 1964), oraz Henryka Batowskiego *Kryzys Dyplomatyczny w Europie* (Warszawa 1962) i *Ostatni Tydzień Pokoju* (Wydawnictwo Poznańskie, 1964). Można nie zgadzać się z oceną tych autorów polskiej polityki przedwojennej, niemniej przeto prace ich stanowią cenny wkład naukowy w tematykę tak zawiłą jak i kontrowersyjną. Brak dotąd jednak było poważnej pracy nad kluczowym zagadnieniem stosunków polsko-niemieckich, a mianowicie Wolnego Miasta Gdańska. Praca Haliny Trockiej, *Gdańsk a hitlerowski „Drang nach Osten”* (Gdańsk 1964) na takie miano nie zasługuje. Dopiero w ubiegłym roku ukazała się wreszcie książka Bogdana Dopierały, badacza historii polskiej polityki morskiej, który poprzednio już opublikował kilka prac z tej dziedziny¹.

Jaki więc obraz polityki gdańskiej w latach 1933-39 wynika z pracy Dopierały? Ze stron książki wyziera mozolna praca urzędników Komisariatu Generalnego oraz odpowiednich referen-

* Bogdan Dopierała, *Gdańska Polityka Józefa Becka*, Wydawnictwo Poznańskie, 1967, str. 386, zł. 55.

1. *Kryzys gospodarki morskiej Szczecina w latach 1919-1939*. Studia z dziejów portu szczecińskiego na tle niemieckiej i polskiej polityki morskiej, Poznań 1963; „Polska polityka morska a kraje naddunajskie w latach 1919-1932; *Przegląd Zachodni* 1963, 2; „Polska polityka morska a kraje naddunajskie w latach 1933-1939, *Najnowsze dzieje Polski*, Materiały i Studia z Okresu 1914-1939, tom IX, 1965; „Beck a Sprawa Gdańska 1930-1935”, *ibid.*, tom X, 1966.

tów Ministerstwa Spraw Zagranicznych, praca kierowana przez Ministra Becka a mająca na celu utrzymanie, obronę i, w miarę możliwości, rozszerzenie polskiego stanu posiadania w Wolnym Mieście. Autor ocenia dodatnio całość polskiej polityki gdańskiej która, mimo wszystko, znacznie zwiększyła polskie wpływy właśnie w latach kiedy polityką zagraniczną kierował Józef Beck. Minister Beck, tak jak jego poprzednicy, dążył do włączenia Gdańska w polskie życie gospodarcze i prowadził politykę równego traktowania obu portów polskich. W odniesieniu do polityki gdańskiej w ogóle, autor słusznie stwierdza że, „Z chwilą gdy, Wielka Brytania uniemożliwiła, wbrew wysiłkom Francji, włączenie Gdańska do niepodległej Polski, narzucając w zamian utworzenie Wolnego Miasta, powstały warunki, w których każda polityka polska w Gdańsku musiała okazać się złą polityką”². Albowiem bojkot krnąbrnego Gdańska na rzecz Gdyni ułatwiły, *à la longue*, powrót Gdańska do Rzeszy, natomiast równe traktowanie obu portów hamowało siłą rzeczy rozpęd Gdyni. Tym niemniej, autor stwierdza że, „Ze wszystkich możliwych programów rozegrania sprawy gdańskiej w ramach polityki międzynarodowej Beck wybrał jednak program najgorszy i najbardziej ryzykowny”, podporządkując stosunki polsko-gdańskie stosunkom polsko-niemieckim³. Nie jest to specjalnie oryginalna ocena polityki Becka ale brzmi ona dość ryzykownie u autora który zastrzega się na wstępie że, „dzieje Wolnego Miasta Gdańska w dwudziestoleciu międzywojennym stanowiły w znacznym stopniu wypadkową gry interesów nie tylko Polski i Niemiec, ale również Wielkiej Brytanii i Francji. Takie poszerzenie problematyki badawczej wymaga jednak dodatkowych studiów”⁴.

Interpretacja Dopierały jest poniekąd zbliżona do oceny Hansa (nie Wolfganga) Leonhardta *The Nazi Takeover of Danzig* (Chicago 1942), który główną winowajczynią za rozgrom partii opozycyjnych oraz nadwątlenie stanowiska Ligi Narodów w Gdańsku widzi w Polsce. Zdaniem Dopierały jedyne siły na których Beck powinien się być oprzeć w obronie praw polskich znajdowały się w opozycji gdańskiej, w Lidze Narodów, oraz w mocarstwach które gotowe były stawić czoło ekspansji Niemiec hitlerowskich.

Tymczasem Beck, zaślepiony swą wiarą w Hitlera rozgraniczył politykę antypolską czynników Gdańskich od polityki Berlina i, podporządkując bez reszty sprawę gdańską stosunkom polsko-niemieckim, znalazł się w końcu sam na sam z Hitlerem. Według autora, wiara Becka w zapewnienia Hitlera że, Polska jest „przedmurzem Europy”, i że oba państwa dzielą wspólne interesy, doprowadziła do katastrofy nie tylko polityki gdańskiej, ale również do katastrofy narodu polskiego.

Tezie autora zadać należy następujące pytania: czy rzeczy-

2. Dopierała, *Gdańska Polityka*, str. 366.

3. *ibid.*, str. 367.

4. *ibid.*, str. 20.

wiście opozycja gdańska stanowiła czynnik na którym oprzeć się był mógł rząd polski? Czy rzeczywiście Liga Narodów była w stanie udzielić Polsce w takiej polityce wystarczającego poparcia? Które z wielkich mocarstw było gotowe oprzeć się agresji niemieckiej? Wreszcie, czy Beck rzeczywiście ślepo ufał Hitlerowi, i czy to zaufanie odegrało decydującą rolę w jego polityce gdańskiej?

Siły opozycji gdańskiej nikt nie zdoła dziś jasno skalkulować. Jest wiadome że, ostatni Senat przed dojsciem do władzy hitlerowców, Senat prezydenta Ziehma, istniał tylko dzięki poparciu NSDAP i runął gdy to poparcie zostało cofnięte. Co prawda hitlerowcy przeszli w pierwszych wyborach bardzo małą marżą (50,3 %), a w drugich, w 1936 r. uzyskali około 59 % głosów, i to w warunkach terroru. Tym niemniej, trzeba brać pod uwagę, że policja w całości a biurokracja w większości przeszła w szeregi NSDAP już w 1933 r. i że Wolne Miasto zostało już wówczas opanowane przez partię i jej uzbrojone bojówki S.A. i S.S. W tej sytuacji, aby obalić hitlerowców, nie wystarczyłaby nawet silnie zorganizowana opozycja — która była *nota-bene* rozbita — potrzebna była do takiej rozgrywki siła wojskowa. Polska miała prawo wprowadzić wojsko, ale tylko na wezwanie Wysokiego Komisarza, tzn., tylko w takim wypadku jeśli główne mocarstwa ligowe, tj. Francja i Wielka Brytania, dozwoliłyby na taką akcję ze strony Polski. Otóż, sądząc po ogólnym potępieniu desantu polskiego na Westerplatte 6 marca 1933 r., poparcie tego rodzaju nie rokowało żadnych realnych możliwości. Autor uznaje, że polskie doświadczenia ligowe przyczyniły się walnie do braku zaufania Warszawy, mimo to twierdzi że możliwości uzyskania poparcia Ligi istniały.

Dopierała twierdzi, że Beck powinien był podtrzymywać stanowisko Wysokiego Komisarza Lestera (1934-37), który był skory podjąć walkę na forum ligowym z Senatem gdańskim. Zdaniem autora, stosując taktykę obrony reżymu gdańskiego w Genewie i licząc że otrzyma w zamian korzyści w Gdańsku, Beck podkopywał nie tylko autorytet Ligi ale zarazem podstawę praw polskich. Teza ta brzmi logicznie jednakże, na podstawie opublikowanych dotychczas dokumentów dyplomatycznych niemieckich i brytyjskich (z których autor nie korzysta), a nawet na podstawie dostępnych mu materiałów Komisariatu Generalnego, można dojść do wniosków wręcz przeciwnych. Już w czerwcu 1933 r. Wysoki Komisarz Rosting zalił się wobec Komisarza Generalnego Papée, że Sekretarz Generalny Ligi, Sir Eric Drummond, odradzał mu zatargu z Senatem na temat Gauleitera Forstera który, jako obywatel niemiecki i członek Reichstagu, nie miał prawa, zdaniem Rostinga, wywierać jakiegokolwiek wpływu na sprawy gdańskie⁵. Jakie zaś było nastawienie Sekretariatu do praw

5. Papée, raport, 9. VI. 1933, Woj. Archiwum Państwowe, Gdańsk, Akta Komisarza Generalnego, I, 259/917, str. 309-11.

polskich w Gdańsku w 1933 r., świadczą słowa Rostinga wypowiedziane wobec konsula niemieckiego von Thermanna. Rosting zwierzył się w sierpniu konsulowi, że zdaniem Sekretariatu, najlepszym rozwiązaniem sporu Gdańsk-Gdynia byłoby wyrzeczenie się przez Polskę udziału w Radzie Portu, składu w Westerplatte oraz unii celnej, w zamian za wolną strefę w Gdańsku. Von Thermann dał na to odpowiedź, że rozwiązanie takie jest nie do przyjęcia, ponieważ oznaczałoby zgodę Niemiec na utrwalenie polskiego „korytarza”⁶.

Nie ma dowodów ani w książce Dopierały, ani też gdzie indziej, że koła ligowe byłyby poparły Polskę w walce z hitlerowcami gdańskimi. Trzeba bowiem pamiętać, że w Lidze pierwsze skrzypce grała Wielka Brytania która również w osobie „Rapporteur” do spraw gdańskich, wywierała decydujący wpływ na politykę ligową w tej dziedzinie. Wielka Brytania i Francja, jak wskazuje sam autor, były w tym okresie najbardziej zainteresowane w ułożeniu stosunków z Niemcami. Autor też wspomina, że w czerwcu 1935 r. Wielka Brytania podpisała układ morski z Niemcami który w rezultacie oddał morze Bałtyckie marynarce niemieckiej. Ale nawet długo przed 1935 r. mężowie stanu Albionu uważali, że Gdańsk i „korytarz” muszą z biegiem czasu powrócić do Rzeszy. Już samo stworzenie Wolnego Miasta i nacisk angielski na kaleszące Polskę ograniczenia jej praw w Konwencji Paryskiej z 1920 r. wskazywały na daleko sięgające menażowanie Niemiec. Już w 1925 r., gdy Wielka Brytania odrzuciła projekt gwarancji genewskich, Austen Chamberlain, który piastował wówczas stanowisko ministra spraw zagranicznych, był zdania, że za „korytarz polski” żaden rząd brytyjski nie zaryzykuje kości nawet jednego brytyjskiego grenadier⁷. Chociaż, pod wpływem zirytowania polityką niemiecką, cofnął to zdanie w 1933 r., nie wywarło to wpływu na politykę angielską. Przeciwnie, w miarę zarysowującego się niebezpieczeństwa, Anglia starała się o rozwiązanie ugodowe. W grudniu 1935 r. R. C. Stevenson, wicedyrektor referatu ligowego w brytyjskim MSZ, oświadczył członkom polskiej delegacji w Genewie, że „W stosunku do Niemiec trzeba wybrać między dwoma metodami, albo kupować pokój, albo prowadzić wojnę. Anglia będzie starała się do ostatnich granic możliwości iść za pierwszą metodą... Anglia może interweniować tylko w obronie *status quo* na zachodzie Europy, ale żadna Izba Gmin nie zgodzi się na interwencję w obronie istniejącego porządku rzeczy w centralnej lub wschodniej Europie, np.

6. Von Thermann, raport, 18. VIII. 1933, Mikrofilmy niemieckie, Biblioteka Foreign Office, Londyn, syg. 9081H/E637641-2. Dopierała wspomina o tej propozycji, str. 80, nr 131, lecz nie wyciąga konsekwencji co do polityki L.N.

7. cyt. w Sir Charles A. Petrie, *The Life and Letters of the Right Hon. Sir Austen Chamberlain*, Londyn 1940, tom II, str. 259.

w obronie korytarza⁸. Trudno zaiste wywnioskować w obliczu takiej polityki, że Liga zajęłaby się energicznie obroną konstytucji gdańskiej, nawet gdyby Beck się po to do niej zwrócił, ani też, że to właśnie polityka układania stosunków polsko-gdańskich pod kątem stosunków Warszawa-Berlin, uniemożliwiła jej taką politykę. Opinia polityków brytyjskich tak jak i opinia publiczna w Anglii, uważała powrót Gdańska do Niemiec za sprawę przesądzoną już w latach dwudziestych⁹, a polityka ligo-wa w sprawach gdańskich była polityką Wielkiej Brytanii. Co prawda, rząd brytyjski nie naciskał zbyt silnie na usunięcie Wysokiego Komisarza aż do 1937 r., ale było to ze względu na silne poparcie istniejące dla Ligi w opinii angielskiej. Tym niemniej, już we wrześniu 1936 r. Beck zmuszony był przeciwstawić się stanowczo takiej sugestii w rozmowie z Edenem i Delbosem¹⁰.

W swojej krytyce polityki gdańskiej Becka, Dopierała stawia również zarzut, że Beck nie szukał poparcia u mocarstw zdecydowanych przeciwstawić się ekspansji niemieckiej. Chodzi tu oczywiście o Związek Sowiecki. W historiografii krajowej i sowieckiej przyjmuje się założenie, że w latach trzydziestych ZSSR prowadził politykę antyniemiecką. Założenie to nie jest jednak oparte na dokumentach. Przeciwnie, nie tylko brak publikacji dokumentalnych sowieckich na ten okres — z wyjątkiem zbiorów dokumentów opublikowanych w okresie 1933-39, tj. deklaracji, wymiany notatek dyplomatycznych, wywiadów — ale opublikowane dokumenty niemieckie świadczą o tym, że w latach 1933-37, Moskwa czyniła wysiłki w celu zbliżenia z Niemcami. Dopierała powołuje się na wizytę Radka w Polsce latem 1933 r., na jego pozytywne ustosunkowanie się do sprawy polskiego wybrzeża, oraz na jego propozycje zawarcia paktu polsko-sowieckiego gwarantującego państwa bałtyckie. Otóż, trzeba pamiętać, że wizyta Radka odbyła się w okresie poprawy stosunków polsko-niemieckich która napełniała Moskwę obawą. Zresztą Radek sam, w rozmowach z Niemcami, wyjaśnił tę politykę. W rozmowie z członkiem ambasady niemieckiej w Moskwie, 1 stycznia 1934 r., powiedział, że celem polityki sowieckiej jest nie dopuścić do tego aby Niemcy namówiły Polskę, siłą lub perswazją, na wy-

8. Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Warszawa, 2-42-2, list T. Komarnickiego do MSZ z 13. XII. 1935, cyt. Marian Wojciechowski, *Stosunki Polsko-Niemieckie 1933-1938*, Poznań 1965, str. 211.

9. Ciekawą próbę analizy rozwoju „appeasement” angielskiego przedstawia praca Martina Gilbert, *The Roots of Appeasement (Źródła Ugody)* Londyn 1966. Wartościowy przyczynek do studiów nad kształtowaniem się polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii można znaleźć u D. C. Watt, *Personalities and Politics. Studies in the Formulation of British Foreign Policy in the Twentieth Century*, Londyn 1965.

10. Rozmowa Ministra Becka z min. Delbosem i Edenem, Genewa, 29. IX. 1936, Archiwa polskiej Ambasady w Londynie,teczka Gdańsk 1936, Instytut Historyczny im. Generała Sikorskiego, Londyn.

mianę korytarza za Ukrainę¹¹. Kilka dni później, oświadczył dziennikarzowi niemieckiemu, że celem Rosji jest neutralizacja państw bałtyckich na spółkę z Niemcami¹² — a więc wysunął wobec Berlina tę samą propozycję którą latem 1933 r. podniósł w stosunku do Polski. Dodać do tych wypowiedzi można oświadczenia Tuchaczewskiego, Woroszyłowa i innych wybitnych przywódców sowieckich którzy w latach 1933-34, wzdychali do starej przyjaźni rosyjsko-niemieckiej i do „starych, dobrych stosunków” z Reichswehrą¹³. Wreszcie, na przełomie 1936-37 r., dyrektor sowieckiej misji handlowej w Berlinie, Kandelaki, złożył w imieniu Stalina propozycję podjęcia rozmów dla polepszenia stosunków niemiecko-sowieckich. Hitler propozycję odrzucił, zaznaczając jednak, że gdy nadejdzie czas kiedy dyktatura sowiecka będzie solidnie oparta o wojsko, to Niemcy nie przepuszczą możliwości ponownego ułożenia się z Rosją¹⁴. Niestety nie ma perspektyw na ukazanie się tajnych dokumentów sowieckich za lata trzydzieste, ale już na podstawie dokumentów niemieckich zarysowuje się obraz polityki rosyjskiej który różni się dość znacznie od obecnej mitologii.

Zasadniczym zarzutem Dopierały pod adresem Becka jest to, że w rezultacie swej ślepej wiary w zapewnienia Hitlera, podporządkował on stosunki polsko-gdańskie całkowicie stosunkom polsko-niemieckim. Autor nawet wskazuje, że ta wiara Becka datuje się od jego rozmowy z Hitlerem dnia 3 lipca 1935 r., kiedy to Hitler powiedział, że Polska jest „przedmurzem Europy”, i że Polskę i Niemcy łączą wspólne interesy- antysowieckie. Otóż, jeśli już przyjąć konkretną datę na takie przekonanie Ministra Becka, to lepiej jest podać 7 sierpnia 1935 r., kiedy to, po interwencji u Hitlera i Göringa którzy odnieśli się do niej pozytywnie, Beck stwierdził, że Hitler i Göring zajęli stanowisko stuprocentowo Polsce przychylne, i że intryga gdańska wyszła od von Bülowa i z Reichsbanku¹⁵. Na marginesie tego konfliktu celno-walutowego, zaznaczyć można, że choć Beck mylił się w podejrzeniu von Bülowa, to jednak z dokumentów niemieckich wynika jasno, że Forster i Greiser proponowali aby Rzesza użytkowała kryzys w celu przyłączenia Gdańska do Rzeszy¹⁶. Przeciwwstawio się tej propozycji energicznie niemieckie MSZ, wraz z Bülowem, oraz Hitler i Göring, ponieważ „częściowe rozwiązanie” nie było brane w Berlinie pod uwagę. Od tego wypadku

11. *Documents on German Foreign Policy*, ser. C, tom. II, Londyn, Waszyngton, 1959, dok. 161, str. 297.

12. *ibid.*, dok. 173, str. 334.

13. patrz *Documents*, ser. C, tomy II, III, sekcja: Union of Soviet Socialist Republics, *passim*.

14. Dokumenty niemieckie cyt. John Erickson, *The Soviet High Command: A Military-Political History 1918-1941*, Londyn, 1962, str. 453.

15. Tytus Komarnicki, *Diariusz i Teki Jana Szembeka*, tom I, Londyn 1964, str. 345.

16. *Dokuments*, ser. C, tom IV, dok. 240, str. 518.

aż do połowy 1938 r., można przyjąć, że Beck łudził się, iż współpraca polsko-gdańska leży w szczyrych intencjach Hitlera. Pytanie jest jednak czy właśnie to złudzenie, doprowadziło do podporządkowania spraw gdańskich stosunkom polsko-niemieckich? Otóż, z dokumentów Komisariatu Generalnego na których przecież autor oparł swą pracę, wynika, że Beck podporządkował stosunki gdańskie stosunkom polsko-niemieckim już w 1934 roku. Gdy bowiem konflikt między Rauschningiem, prezydentem Senatu, a Gauleiterem Forsterem, dobiegał szczytu w październiku tego roku — konflikt ciekawy o którym autor wspomina jedynie w jednym odnośniku — Komisarz Generalny Papée zaproponował, aby Polska stanęła za prezydentem. Beck jednakże ustosunkował się do tej propozycji negatywnie, w obawie, jak mówi, aby w razie zwycięstwa Forstera, nie popsuć sobie z nim stosunków¹⁷. Zaznaczyć trzeba, że Minister był poinformowany o sympatii Hitlera dla Forstera, i że nie wyrażał wówczas zaufania pod adresem Führera. Przyjąć więc należy, że licząc się z poparciem Hitlera dla Forstera, nie chciał narazić na szwank stosunków polsko-niemieckich. W sytuacji która już panowała w 1933 r., jasne było, że poparcie Rauschninga oznacza wyparcie NSDAP z Gdańska i, co za tym idzie, narażenie Polski na kłótnię z Niemcami w sprawie która powszechnie na Zachodzie uchodziła za krzywdę Rzeszy i źródło niepokoju w Europie.

Gdy, po załamaniu się długich i żmudnych pertraktacji polsko-gdańskich w lipcu 1938 r. Beck powiedział Wysokiemu Komisarzowi Burckhardtowi — który miał świetne stosunki w Berlinie — że na siłę w Gdańsku, Polska odpowie siłą, Dopierała uznaje, że było to dowodem „awanturniczej” polityki Becka. Odwrotnie, można wypowiedź taką uznać nie tylko za taktkę „bluffu”, taktkę której niestety nie stosowały mocarstwa zachodnie, ale też za dowód, że dla Becka, tak jak dla Piłsudskiego, oddanie Gdańska pod naciskiem Niemiec, było nie do pomyślenia. Licząc się z usunięciem Ligi z Gdańska, Beck robił plany co do ewentualnego kompromisu z Niemcami, który by zagwarantował w miarę możliwości statut Wolnego Miasta, a co najmniej prawa polskie. Ale miał to być kompromis obustronny. Starał się też Beck uzyskać takie rozwiązanie podczas kryzysu czeskiego, jednakże, w obliczu ugody mocarstw zachodnich Hitler nie potrzebował kupować w ten sposób neutralności Polski. Na marginesie tej sprawy można zaznaczyć, że Dopierała widzi w propozycji Benesza złożonej w Warszawie 26. IX. 1938 r., możliwość, w razie jej przyjęcia, zmiany losów obu krajów oraz uregulowania problemu gdańskiego. Otóż jest to stwierdzenie nader apodyktyczne. Benesz proponował pertraktacje na temat oddania Polsce Cieszyna w zamian za deklarację neutralności polskiej. To prawda że

17. Papée, Telefonogram do MSZ, 8. X. 1934, oraz notatka zawierająca odpowiedź Becka, WAP, Gdańsk, Akta Kom. Gen. I, 259/918 str. 311 et seq.

flota brytyjska została w tym dniu zmobilizowana, ale brak jakichkolwiek śladów, że mocarstwa zachodnie podjęłyby wojnę gdyby Polska przyjęła propozycje Benesa. Przeciwnie, większość gabinetu brytyjskiego gotowa była przyjąć rewindykację Hitlera wobec Czechosłowacji, byle by rozwiązanie nie nastąpiło z użyciem siły. Jednocześnie z deklaracją Foreign Office oraz mobilizacją floty, Chamberlain apelował do Hitlera i zarazem nakłaniał Mussoliniego aby wysunął wobec Hitlera możliwość konferencji¹⁸. Tak też się i stało. Zresztą Beck brał pod uwagę ewentualność wojny i wyraził zdanie, że w takim wypadku Polska nie może znaleźć się po stronie Niemiec¹⁹. Historycy krajowi pprzechodzą nad tą deklaracją do porządku dziennego ponieważ nie licuje ona z ich ujęciem polityki Becka. Tym niemniej, stanowi ona nieodzowną część składową tej polityki, która wreszcie doprowadziła do przyjęcia gwarancji brytyjskiej i do decyzji walki z Niemcami. Warto tu też nadmienić, że od października 1938 r. począwszy, Beck starał się usilnie o zbliżenie z Wielką Brytanią. W grudniu osiągnął zgodę Lorda Halifaxa na to, że kwestia gdańska nie zostanie rozwiązana bez zgody Polski²⁰. Halifax przeciwstawiał się również propozycjom francuskim w tym okresie, aby Gdańsk oddać Niemcom, uzasadniając swą odmowę słowami że: „byłoby niewskazane irytować polskiego ministra spraw zagranicznych, gdyż w pewnych warunkach, będziemy może potrzebowali jego pomocy w znacznie poważniejszej sytuacji”²¹. Dzięki staraniom Becka, zarysowała się więc już w grudniu 1938 r., możliwość sojuszu między Polską a Wielką Brytanią.

W uwagach końcowych, Dopierała stwierdza, że „W świetle jego polityki gdańskiej okazał się Beck nieudolny, a nawet, co gorzej — naiwny”²². Nie licuje taka ocena ani z polityką Ministra w ramach beznadziejnej sytuacji międzynarodowej, w jakiej znajdowała się wówczas Polska, ani nawet z sądem niektórych współczesnych historyków krajowych. Tak np. Marian Wojcie-

18. Deklaracja Foreign Office z dn. 26. IX. 1938 opiewała: „Roszczenie niemieckie względem przekazania obszarów sudeckich zostało już uznane przez rządy Francji, Wielkiej Brytanii oraz Czechosłowacji, ale, w wypadku gdyby, na przekór wszystkim wysiłkom premiera brytyjskiego, Niemcy jednak zaatakowały Czechosłowację, Francja natychmiast zmuszona będzie przyjść jej z pomocą, a Wielka Brytania i Rosja z wszelką pewnością staną po stronie Francji”, cyt. według Earl of Birkenhead, *Halifax*, Londyn 1965, str. 403, gdzie też znajduje się ciekawe naświetlenie dyskusji gabinetowych oraz polityki Chamberlaina. Należy podkreślić, że deklaracja ta nie była uzgodniona ze Związkiem Radzieckim, oraz, że wyszła z inicjatywy Halifaxa.

19. patrz Józef Beck, *Dernier Rapport: Politique Polonaise, 1926-1939*, Neuchatel, 1951, str. 162-3.

20. *Documents on British Foreign Policy*, ser. III, tom III, dok. 501, załącznik 1.

21. *ibid.*, dok. 519.

22. Dopierała, *Polityka Gdańska*, str. 368.

chowski pisze, że „Józef Beck był człowiekiem o nieprzeciętnej inteligencji, dużym dynamizmie i nerwie politycznym”, chociaż zarzuca mu rozumowanie w „sztucznych kategoriach techniki dyplomatycznej... Sposób rozumowania oderwany od podłoża historycznego... Odnosi się to zwłaszcza do Niemiec hitlerowskich których istoty Beck nie rozumiał”²³. Na marginesie tej oceny, można zapytać kto Niemcy hitlerowskie wówczas rozumiał? Na pewno nie Wielka Brytania ani Francja, a wydaje się co najmniej wątpliwe czy rozumiał je Stalin, przynajmniej do 21. VI. 1941. Na podstawie opublikowanych już częściowo notatek Szembeka, jak i nie opublikowanych, ale dostępnych, materiałów MSZ, wyłania się sylwetka daleka od nieudolności i naiwności. Beck oceniał trafnie dążenia polityki brytyjskiej która przecież grała dominującą rolę w polityce sojusznika Polski, Francji. Do posunięć polityki brytyjskiej dostrajał Beck interesy Polski. Na podstawie tego co już jest wiadome o polityce sowieckiej, jego nastawienie wobec tego państwa wydaje się w pełni uzasadnione. Zresztą, nawet historycy sowieccy tłumaczą sojusz niemiecko-rosyjski jako zaszachowanie planów mocarstw zachodnich aby wciągnąć Rosję w „pułapkę” wojny z Niemcami. Według takiego rozumowania, nasuwa się wniosek, że w taką właśnie „pułapkę” wpadłby Związek Sowiecki podejmując się czynnej obrony Czechosłowacji w 1938 r., lub Polski w 1939 r.

Swoją sumienną i wyczerpującą pracę autor niestety wypacza starając się ukręcić z niej bicz na Józefa Becka. Metoda ta, już bardzo wytarta, przywodzi na myśl polskie przysłowie o „młóceniu słomy”, a więc nie tędy droga do nowych odkryć naukowych lub innych. Józefa Becka oskarża się o głupotę, naiwność i megalomanię. Odparcie tych zarzutów można znaleźć w polskich dokumentach dyplomatycznych oraz w studiach nad polityką międzynarodową tego okresu. Poza tym, niektórzy historycy nie zdają sobie sprawy, że przypisywanie Polsce ówczesnej wielkich niewykorzystanych możliwości, zakrawa też na pewnego rodzaju megalomanię. W układzie sił Europy międzywojennej Polska była tylko pionkiem na szachownicy. Fakt, że za tym pionkiem runął prawie cały zespół z wyjątkiem króla, (W. Brytanii), nie dowodzi że pionek ten mógł samoistnie zmienić rezultat gry. Tragedia polega na tym, że gracz brytyjski nie pojął kluczowej pozycji pionka.

Anna M. CIENCIAŁA

University of Kansas, U.S.A.

23. M. Wojciechowski, *Stosunki*, str. 535.

KRYZYS POLSKIEGO PARLAMENTARYZMU W DOBIE II-ej RZECZPOSPOLITEJ

Przed kilku miesiącami ukazał się w Niemczech zachodnich nieduży tom, zatytułowany „Kryzys parlamentaryzmu w Europie środkowowschodniej w okresie między obu wojnami światowymi”*. Książka obejmuje zbiór referatów, wygłoszonych na sesji sekcji badawczej (*Forschungsrat*) Instytutu im. Johanna-Gottfrieda Herdera w Marburgu, wraz z głosami dyskusji nad tymi referatami. Sama sesja odbyła się blisko dwa lata temu, w dniach 27 i 28 kwietnia 1966 roku, i poświęcona była zagadnieniu kryzysu parlamentaryzmu w Polsce, Czechosłowacji i krajach bałtyckich. Obecnie czytelnik może zaznajomić się z treścią referatów, które wydrukowane zostały w takiej formie, w jakiej wygłoszono je podczas sesji, różniące się od siebie znacznie pod względem ujęcia, metody i aparatu techniczno-naukowego.

Polska zajmuje najwięcej miejsca w tej pracy i referaty jej poświęcone stanowią pod wielu względami najciekawszą część całej książki. Nie tylko dla Polaka zresztą, gdyż uwagi poświęcone sprawom polskim wnoszą sporo interesującego materiału do całokształtu zagadnienia. Autorami referatów o Polsce są wybitni znawcy jak profesor Hans Roos z Göttingen, autor pionierskiej w swoim czasie pracy „Polen und Europa” i niedawno przetłumaczonej na język angielski „Najnowszej historii Polski”; Georg W. Strobel, pochodzący ze Lwowa, którego krąg zainteresowań obejmuje historię literatury, ekonomię i politykę; a wreszcie Richard Breyer, autor znanej pracy „Das Deutsche Reich und Polen 1932-37”. W dziale dyskusji znajdujemy wypowiedzi na tematy polskie znanego historyka z Berlina, Horsta Jablonowskiego — specjalisty od zagadnień litewsko-rosyjskich — i Rudolfa Neumanna. Marginesowo poruszają sprawy polskie również nestor historyków niemieckich Hans Rothfels i Ernst Birke, autor wartościowych prac o Francji i Europie środkowowschodniej. Jeżeli dodamy, że wstęp do całego tomu jest pióra prof. Gottholda Rhodego z Moguncji — pochodzącego z Poznania — a specjalizującego się od lat w historii Polski, widzimy, że sesja w Marburgu zgromadziła szereg najwybitniejszych znawców tematyki polskiej na terenie Niemiec zachodnich.

Sprawa polska zajmuje przeszło osiemdziesiąt stron tekstu książki, nieco więcej niż połowę całego tomu. W pierwszym re-

* *Die Krise des Parlamentarismus in Ostmitteleuropa zwischen den beiden Weltkriegen*, pod redakcją Hans-Erich Volkmana, Marburg/Lahn 1967.

feracie prof. Roos analizuje historyczne tło polskiej demokracji, poświęcając główną uwagę „demokracji szlacheckiej” dawnej Rzeczypospolitej. Rozwijając szeroko tezę o szlacheckim pochodzeniu czy powiązaniach naszej inteligencji, niemiecki historyk posuwa się niekiedy zbyt daleko, jak na przykład gdy twierdzi, że „dziewięć dziesiątych osób aktywnych w życiu publicznym — z wyjątkiem osób pochodzenia żydowskiego — nosiło szlacheckie nazwiska” (str. 20). Nie wiem jak Roos doszedł do tej cyfry, ale wydaje mi się ona nieco przesadzona. Poczynając od Sławka, Prystora i Bartla a kończąc na Rydzu-Śmigłym i Becku, procent polityków polskich o nieszlacheckich nazwiskach był jednak znaczny. Trudno jest też pominąć liczne grono pochodzenia niemieckiego. Nie wydaje się też, aby przypisywanie Tomaszowi Arciszewskiemu takich antenatów jak słynny Arciszewski z XVII wieku było uzasadnione, nie mówiąc już o znajdowaniu w psychice przywódcy PPS cech jego kalwinistycznego „przodka”.

Ciekawy i bogato udokumentowany referat Roosa zawiera też i inne stwierdzenia, z którymi trudno się zgodzić. Autor uważa na przykład, że fakt spolszczenia Montesquieu na Monteskiusza i Rousseau na Russa odzwierciedla wpływ jaki pisma encyklopedystów wywarły na Polsce. Nie jest to wykluczone, ale polska tendencja do spolszczania nazwisk francuskich, że wspomnę tu Gwizjusza, Kartezjusza, Walezjusza, Kondeusza czy Rasyna, nie stanowi jeszcze zupełnie przekonującego dowodu wpływu francuskich w Polsce. Kiedy szlachta mówiła o elekcji Pana Gaweńskiego — księcia andegaweńskiego czyli d’Anjou — wypływało to raczej z trudności wymawiania obcych nazwisk niż z jakichś głębszych czy istotniejszych względów.

Profesor Ross myli się nazywając Piłsudę zaściankiem (*Kleinadelsdorf*) gdyż o ile mi wiadomo był to spory majątek Giniatowiczów, którzy w XVII wieku zaczęli dodawać do swego nazwiska również nazwisko Piłsudski. Poważniejszym błędem w pracy Roosa, jest — pokutujące też wśród niektórych polskich historyków — określenie trzeciego punktu dekretu Rady Komisarzy Ludowych z 29 sierpnia 1918 roku, mianem „specjalnej proklamacji Bolszewików”, która „uroczyście anulowała” rozbiory (str. 25). Jak wiadomo nie było żadnej specjalnej proklamacji wydanej przez bolszewików, a ustęp wypowiedzający układy rozbiorcze, stanowił część dekretu, który unieważniał rozmaite dawne umowy carskiej Rosji z Niemcami, Austrią i mniejszymi państwami niemieckimi. Dekret zresztą wyraźnie nawiązywał do tzw. traktatu dodatkowego, uzupełniającego pokój brzeski.

Tych kilka pośliznień lub niezbyt przekonujących interpretacji nie zmniejsza zresztą waloru pracy Roosa. Podkreślenie specyficznie polskiej formy przedrozbiorowego parlamentaryzmu, który należy brać pod uwagę przy analizie okresu międzywojennego, jest niewątpliwie słuszne. Ciekawa jest również próba przeciwstawienia koncepcji niemieckiej — w której idea państwa górowała nad pojęciem społeczeństwa — koncepcji polskiej, w któ-

rej zdaniem Roosa, społeczeństwo miało prymat nad państwem. Skupiając swą uwagę, na tradycji dawnej Rzeczypospolitej, historyk niemiecki, moim zdaniem, poświęcił zbyt mało miejsca okresowi porozbiorowemu — a przecież tych sto pięćdziesiąt lat odegrało ogromną rolę w kształtowaniu się polskiej myśli politycznej. Wytknął mu to zresztą w dyskusji Horst Jablonowski. Również, jeśli chodzi o czynnik gospodarczy w dziejach Polski, wydaje się że Roos mógł poświęcić mu nieco więcej uwagi.

O ile referat Roosa jest pewną syntezą i tworzy zamkniętą całość, drugi referat pt. „Idea parlamentaryzmu a polskie partie” pióra Strobla, stanowi szereg przyczynków dość luźno powiązanych. Pierwsza część dotyczy stabilizacji parlamentaryzmu po pierwszej wojnie światowej i autor rozpatruje zagadnienie — sejm czy rady robotnicze, w pojęciu ugrupowań lewicy. Część druga zajmuje się „moralną dyktaturą” (*moralische Diktatur*) Piłsudskiego — termin używany przez Roosa, zapewne w celu lepszego oddania pojęcia „sanacja”. Strobel przeprowadza surową krytykę systemu pomajowego i pokazuje, w bardzo interesujący sposób, rozwój kryzysu parlamentaryzmu w łonie partii politycznych. W Centrolewie na przykład, widzi on zwycięstwo idei walki pozaparlamentarnej nad opozycją legalną w sejmie i w zwycięstwie tym upatruje główne źródło słabości partii lewicy. Jak Strobel podkreśla, lewica walcząc z tendencjami antyparlamentarnymi obozu rządowego, sama zeszała z właściwej drogi i przyjęła walkę na terenie obranym przez przeciwnika.

Pomimo doskonałej znajomości przedmiotu, autor nie uniknął pewnych błędów i nieścisłości. Pisząc o Brześciu stwierdza, że aresztowanych zesłano do Berezy (str. 49), która przecież jeszcze nie istniała. Podobnie myli się pisząc o Legionie Młodych jako powstałym z grup, które odeszły od ONR. Ma tu zapewne na myśli nie tyle Legion Młodych, ile późniejszą młodzieżową organizację OZONu z Rutkowskim, eks-oenerowcem na czele. Podobnie niejasne jest rozróżnienie autora pomiędzy Stronnictwem Narodowym a Narodową Demokracją, którą określa on jako oddzielne, a jak gdyby konkurencyjne stronnictwo. Strobel pisze o próbie puczu Falangi jako o rzeczy znanej i stwierdzonej — nie wydaje się jednak abyśmy mieli aż tak pewne informacje na ten temat.

W swym trzecim podrozdziale, Strobel analizuje procesy radykalizacji wewnątrz partii lewicy i prawicy i wskazuje na głęboki kryzys parlamentaryzmu wśród samych stronnictw. Podkreśla on, że jedyna PPS, pomimo ciężkich tarć wewnętrznych, potrafiła kryzys ten przełamać.

Referat Strobla czyta się z wielkim zainteresowaniem. Zawiera on wiele ciekawych sformułowań i trafnych spostrzeżeń. Szkoda, że autor pominął prawie całkowicie stronnictwa ludowe i nie wspomniał o chadecji i o Froncie Morges. Ale, jak już wspominałem powyżej, rozdział Strobla nie ma pretensji do wyczerpującej syntezy, ale stanowi raczej próbę naświetlenia centralnego

zagadnienia z szeregu pozycji. Jako taki, jest on niewątpliwie poważnym przyczynkiem do tematu, który porusza. Nasuwa refleksje i pobudza do dalszych rozważań.

Ostatni z serii referatów o Polsce — rozdział pióra Breyera — nosi tytuł „polski parlamentaryzm i sprawa narodowościowa”. Autor poświęca szereg ciekawych uwag temu zagadnieniu w ramach układu sejmowego. Podkreśla chęć zmniejszenia roli przedstawicielstw grup narodowościowych ze strony polskiej i omawia politykę formowania bloków wyborczych przez Niemców, Żydów i Ukraińców. Wskazuje na trudność rozwiązania samego zagadnienia i analizuje kryzys, który nastąpił po największym chyba parlamentarnym zwycięstwie mniejszości w roku 1922, zakończony morderstwem prezydenta Narutowicza. Polityka tworzenia bloku nie odniosła skutku z punktu widzenia mniejszości — Brześć i pacyfikacje stanowiły odpowiedź rządu, nie mogącego czy nie umiejącego rozwiązać zagadnienia na drodze legalizmu parlamentarnego. Z kolei, mniejszości weszły na drogę walki pozaparlamentarnej.

Referat Breyera ukazuje, na ogół w przekonywujący sposób, że sprawa mniejszości i większości, istniejąca w każdym układzie demokratycznym, nabiera nowych cech z chwilą gdy mniejszość — w tym wypadku mniejszość narodowa — nie posiada szans przekształcenia się na większość parlamentarną. W powstającym napięciu, obie strony przenoszą walkę na inną płaszczyznę działań. Parlamentaryzm jest podminowywany od wewnątrz.

Wśród głosów w dyskusji, która nastąpiła po wygłoszeniu referatów, znajdujemy ciekawe spostrzeżenia i uwagi. Omawiając całość referatów — a więc także dotyczących Czechosłowacji i krajów bałtyckich — poszczególni mówcy, jak Rothfels i Weiss wysunęli hipotezę, że stosowanie kryteriów zachodnioeuropejskiego parlamentaryzmu w odniesieniu do krajów Europy środkowo-wschodniej może prowadzić do błędnych ocen. Zachodnioeuropejski parlamentaryzm nie jest bowiem jedyną właściwą formą, ani nie stanowi też formy niezmiennej na Zachodzie. Jeden z komentatorów wspominał tu przykładowo Francję gen. de Gaulle'a. Zauważono również, że kraje Europy środkowowschodniej pozbawione były w okresie dwudziestolecia pomocy zewnętrznej — zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej — z jakiej korzystają dziś kraje „rozwijające się” (*developping countries*). A przecież w wielu wypadkach położenie gospodarcze tych państw zasługiwało na to, aby pomoc tego typu była im udzielona. Sprawa mniejszości narodowych w państwie parlamentarnym była również szeroko komentowana.

Książka *Die Krise des Parlamentarismus*, zasługuje na uważną lekturę. Z wieloma jej tezami można się nie zgadzać, ale ogólny jej ton i poziom odpowiadają wymogom naukowym. Poszczególni autorzy podchodzą do zagadnień z perspektywy niemieckiej, co jest w pełni zrozumiałe. Jest to perspektywa bliska, która daje dobry wgląd w całokształt omawianych zagadnień, ale

też i pewne skrzywienia. Książka jest adresowana do czytelnika niemieckiego i podkreśla konieczność pogłębienia znajomości tematyki środkowowschodnioeuropejskiej ze strony Niemców. Ogólnie trzeba ją ocenić pozytywnie.

Piotr WANDYCZ

Piotr WANDYCZ

NA MARGINESIE HISTORIOGRAFII KRAJOWEJ

Leży przede mną szereg wydawnictw historycznych, wydanych w Polsce na przestrzeni 1966 i 1967 roku. Są to różnego typu prace: eseje i syntezy, podręczniki naukowo-popularne, monografie i wydawnictwa źródeł. Wiele z nich nie doczekało się żadnego omówienia lub chociażby wzmianki na łamach pism emigracyjnych; niektóre były przedmiotem krytyki z „pozycji niezłomnej”, krytyki świadczącej nieraz o braku zorientowania w prądach i kierunkach historiografii polskiej i brzmiącej nader naiwnie. Przeciętny czytelnik *Kultury* czy *Wiadomości* wydaje się mało interesować tymi pracami, choć szereg z nich to nie studia przeznaczone wyłącznie dla specjalistów, ale książki, które tak zwana szersza publiczność mogłaby a nawet powinna przeczytać.

Obszerna recenzja tych rozlicznych pozycji nie jest możliwa w ramach krótkiej notatki. Celem moim jest jedynie zwrócenie uwagi na duży wachlarz tych wydawnictw i podkreślenie rozmaitych ich walorów. Jest rzeczą oczywistą, że istnieje w Polsce cenzura i że podlegają jej także książki historyczne. Nie trzeba chyba też powtarzać raz jeszcze o wpływie obowiązujących interpretacji procesów historycznych. Jeśli wspominać o tym tutaj to jedynie dlatego, aby z góry uprzedzić ewentualną krytykę, którą interesuje bardziej wyłapywanie „interpretacji marksistowskich” i płynącej z nich sformułowań, czy przeinaczeń, niż ocena istotnych walorów wielu historycznych prac, ukazujących się w kraju.

Wśród istnej lawiny książek pragnąłbym wybrać tutaj kilka tytułów — z różnych dziedzin — i zwrócić na nie uwagę czytelnika.

Dwie książki dotyczące historii Polski powinny wzbudzić duże zainteresowanie; są to: *Rzeczpospolita obojga narodów: srebrny wiek* Pawła Jasienicy, oraz Tadeusza Łepkowskiego *Polska, Narodziny nowoczesnego narodu*, obie wydane przez PWN w 1967 roku. Pierwsza z nich stanowi dalszy ciąg *Polski Piastów i Polski Jagiellonów* i obejmuje okres od śmierci Zygmunta Augusta do 1648 roku. Druga stanowi część cyklu czterotomowej historii narodu polskiego i obejmuje lata 1764 do 1870. Obie te prace mają z sobą i mało i dużo wspólnego. Nie są to studia ściśle naukowe, ale są oparte na wielkiej znajomości tematu i ogromnej erudycji autorów. Jasienica określa swoje prace jako eseje. Łepkowski pisze w przedmowie, że książka jego jest dyskusją z czytelnikami i z samym sobą. Obaj mają spojrzenie ciekawe i nowe, na szereg zagadnień. Jasienica, którego wielkie, może naj-

większe osiągnięcie stanowi fakt, że przywrócił zainteresowanie historią wśród czytelników znużonych wypraną całkowicie z kolorytu i zafałszowaną historią okresu stalinowskiego, jest wielkim stylistą. Książki jego czyta się nie tylko z zainteresowaniem ale i z przyjemnością jaką daje doskonała polszczyzna autora. Miarą jego popularności jest fakt, że książki Jasienicy są natychmiast rozchwytywane. Tom Łepkowskiego nie posiada tych walorów. Daje on jednak czytelnikowi próbkę socjologicznej interpretacji historii narodu i pobudza do myślenia i dyskusji.

Do zupełnie innej kategorii zaliczyć trzeba popularno-podręcznikowe opracowania historii naszych sąsiadów, Węgrów i Litwinów. Wydane w pięknej szacie graficznej przez Ossolineum, *Historia Węgier* (1966) pióra Wacława Felczaka i *Historia Litwy* (1967) Jerzego Ochmańskiego są szczególnie ważne dla tego, że przeciętny czytelnik polski, zorientowany jako tako w historii państw zachodnich, wie minimalnie o dziejach krajów sąsiednich. Praca Felczaka była przedmiotem krytyki, wołałbym użyć słowa napaści, Erki w jednym z numerów *Kultury*. Krytyka ta wydała mi się wybitnie nie *fair* i uważna lektura *Historii Węgier* utwierdziła mnie w tym przekonaniu. Krytyk nie tylko obszedł się lekceważąc z pierwszymi 300 stronami książki, skupiając swe uwagi na kilkunastu stronach tekstu, ale popełniając pewne nieścisłości wykazał brak znajomości warunków pracy historyków krajowych. Jeśliby przyjąć jego zastrzeżenia — bardzo polskie zresztą — że albo nie pisać wcale, albo pisać tak jak pisało się przed 1939 rokiem, równałoby się to skazaniu na zagładę większości polskich wydawnictw historycznych.

Szczególne miejsce zajmują obecnie liczne publikacje, dotyczące polityki międzynarodowej okresu międzywojennego dwudziestolecia. Ukazujące się w niedużych nakładach, monografie te są przeznaczone dla specjalistów, ale sama ich tematyka jest fascynująca dla każdego czytelnika zainteresowanego tymi latami. Wśród nowych pozycji wymienić tutaj można, Wiesława Balceraka, *Polityka zagraniczna Polski w dobie Locarna* (Ossolineum, 1967); Aliny Szklarskiej-Lohmannowej, *Polsko-czechosłowackie stosunki dyplomatyczne w latach 1918-1925* (Ossolineum, 1967, wydawnictwa PANu, oddział w Krakowie), Michała Pułaskiego, *Stosunki dyplomatyczne polsko-czechosłowacko-niemieckie od roku 1933 do wiosny 1938* (Poznań, 1967) oraz o nieco innym charakterze Piotra Łossowskiego, *Stosunki polsko-litewskie w latach 1918-1920* (Książka i wiedza, 1966) i Henryka Batowskiego, *Pierwsze tygodnie wojny* (Poznań, 1967). Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że prace te są pisane w trudnych warunkach technicznych i w specyficznym klimacie polskim, należy wyrazić radość, że wnoszą one wiele ciekawego materiału, są niejednokrotnie rzetelnie opracowane i — pomijając pewne tabu — dają wnikliwy obraz dyplomacji Drugiej Rzeczypospolitej. Sylwetka Skrzyńskiego jako ministra spraw zagranicznych, narysowana przez Balceraka jest wysoce przekonująca. Uwzględnienie przez autorów szerokiej bazy źródłowej i archiwalnej, pozwala im spojrzeć na całokształt zagadnień w sposób naukowy. Ton tych wszystkich prac można porównać jedynie z ostatnimi wydawnictwami czechosłowackimi (Kvacek, Gajanova, etc.), które stanowią realny przyczynek do badań historii stosunków międzynarodowych pomiędzy wojnami. Czytając te książki można stwierdzić jak daleką drogę przebyła polska historiografia od roku 1956. Wśród wielu cieni są zatem i blaski i te należy zauważać.

W zakończeniu parę uwag na temat wydawnictw źródłowych. Roczniki *Najnowsze Dzieje Polski*, seria 1914-39 i druga poświęcona drugiej wojnie światowej, zawierają niejednokrotnie ciekawe materiały archiwalne. Przykładowo, tom IX (1967) z pierwszej serii podaje dwa dokumenty z powstania wielkopolskiego, pełny tekst konwencji wojskowej francusko-polskiej z lutego 1921 roku, oraz interesujący memoriał gen. Stachiewicza w sprawie kredy-

tów na sześćdziesięcioletni plan rozbudowy polskich sił zbrojnych. *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich* doprowadzono obecnie (tom VI) do roku 1938. Choć wydawnictwo to budzi poważne zastrzeżenia, chociażby przez sam fakt, że jest przygotowywane do druku pod zbiorową polsko-sowiecką redakcją i że archiwalia ze strony sowieckiej są więcej niż skąpe, nie można przejść nad nim do porządku dziennego. Pod wielu względami użyteczniejszy dla historyka jest dwutomowy zbiór dokumentów wydany przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, *Sprawy polskie na konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 roku* (PWN, 1965-67). Wobec tego, że monumentalne *Akty i dokumenty dotyczące sprawy granic Polski na Konferencji Pokojowej w Paryżu*, wydane w Paryżu w 1926 roku są prawie nieosiągalne, to nowe wydawnictwo zasługuje niewątpliwie na uznanie.

Powyższe uwagi o kilku pozycjach, wybranych bądź co bądź w dość przypadkowy sposób, nie pretendują bynajmniej do wyczerpującej analizy nowych dzieł historycznych, ukazujących się w Polsce. Brak nuty polemicznej nie oznacza też bynajmniej, że autor niniejszej notatki podziela wszystkie poglądy w nich wyrażane lub uważa, że stoją one poza wszelką krytyką. Tak z pewnością nie jest i autor, jako częsty recenzent historycznych prac polskich na łamach zawodowych periodyków, polemizuje z nimi lub wyraża słowa krytyki. Wydaje mi się jednak, że niezależnie od słusznej zasady korzystania z wolności słowa na Zachodzie celem krytyki i negacji wypażeń i fałszerstw historycznych (te ostatnie są na szczęście rzadkie w porównaniu z okresem „minionym”) należy doceniać w pełni osiągnięcia polskiej historiografii dnia dzisiejszego. Wiele bowiem prac zasługuje na poważną lekturę, wiele wnosi nowe fakty i oceny, wiele koryguje pewne uproszczenia i jednostronny nieraz punkt widzenia zawarty w opracowaniach dawniejszych.

Piotr WANDYCZ

Stanisław BÓBR-TYLINGO

W KRĘGU WIELOWIEKOWEJ PRZYJAŹNI

Na jesieni 1807 roku trzech młodych ludzi, którzy mieli odegrać niebawem wielką rolę w historii swych przybranych krajów, spotkało się po raz pierwszy na pokojach salonów paryskich. Łączyło ich wspólne niemieckie pochodzenie, wyróżniał fakt, iż wszyscy trzej byli na obcej służbie, lojalność ich jednak do nowych monarchów nie podlegała najmniejszej wątpliwości. Byli młodzi, bogaci, oficjalne pozycje otwierały im wszędzie szeroko najwyższe podwoje; nieprzeciętna uroda dwóch z nich otwierała im także i niezbyt przesadnie strzeżone sypialnie pięknych paryżanek. Ze wśród zdobyczy znalazły się i klejnoty ze szkatuły cesarskiej trudno się dziwić¹. Uroda Małgorzaty była nieprzeciętna². Wśród dyplomatów rosyjskich

1. Małgorzata Józefa Weymer, aktorka Teatru Francuskiego. Blizsze o tym szczegóły w jej pamiętnikach.

2. *L'harmonie de son corps est une perfection, son visage à la noblesse et la régularité des formes grecques* — oświadczy pierwszy konsul po zobaczeniu jej po raz pierwszy na scenie.

nad Sekwaną powstała myśl nakłonienia „Wenus Paryża”³ do wyjazdu do Petersburga. Miano nadzieję, iż zdoła ona swoim zjawieniem się odciągnąć Aleksandra I od jego związków z Marią Czetwertyńską⁴. Jaką rolę odegrał w tym jeden z trzech młodych ludzi trudno jest ustalić. Gdy więc cesarz ją opuścił⁵, piękna aktorka w maju 1808 opuściła Paryż by przez Wiedeń przybyć w początkach czerwca nad Nową. Wkrótce podążył za nią Aleksander Benckendorff. Próba oplatania cara nie udała się, na domiar została wstrzymana tak pięknie się zapowiadająca kariera młodego człowieka. Na pociechę została mu piękna Małgosia. Wkrótce i drugi z naszej trójki opuścił Paryż, by objąć tekę ministra spraw zagranicznych cesarstwa austriackiego. Trzeci, Karol Nesselrode, przebywał w stolicy napoleońskiej aż do jesieni 1811 roku. Obowiązki dyplomatyczne zobowiązywały go do stałej korespondencji z Metternichem, od roku 1819 stykał się stale i z Benckendorffem, który był właśnie mianowany dowódcą pierwszej dywizji kirasjerów gwardii cesarskiej. Ten ostatni nie utrzymywał żadnej łączności z kanclerzem austriackim, wiadomości o nim i do niego przekazywała mu siostra, księżna Lieven, żona ambasadora rosyjskiego w Londynie, która była w częstej i zażyłej korespondencji z kierownikiem dyplomacji rakuskiej.

Objęcie tronu przez Mikołaja zmieniło całe życie Benckendorffa. Mianowany kierownikiem trzeciego departamentu, stał się na następne dwadzieścia lat najbliższym współpracownikiem cara, współpracą niemal cesarstwa. Towarzyszył swemu monarsze, wraz z Nesselrodem, na zjazd do Münchengerätzu. Ponowne spotkanie tych trzech dawnych przyjaciół zakończyło się przyrzeczeniem współpracy przeciwko konspiracjom polskim. Kanclerz katolickiego cesarstwa Habsburgów umawia się z głównym policjantem moskiewskim, iż wspólnie będą tropić wszelkie zamierzenia odbudowania polskiej monarchii i komunikować sobie wzajemnie zebrane wiadomości. Obie strony skrupulatnie dotrzymały przyrzeczenia. Korespondencja przetrwała szczęśliwie do naszych czasów w archiwum wiedeńskim. Ostatnio zainteresował się nią i opracował młody historyk angielski⁶.

Pierwszy list Metternicha z lutego 1834 roku podaje szczegóły o polskim planie zamordowania cara. Następne listy mówią o polskich związkach poza Rosją, szczególnie w Turcji (na Wołoszy). Benckendorff odpowiada od razu i obaj ustalają bezwzględnie, iż wysła specjalnych agentów do Bukaresztu dla śledzenia Polaków. Dalsze losy tej sprawy są niestety nieznanne. We wrześniu obydwaj mężowie spotykają się w czasie zjazdu dwóch cesarzy w Teplicach a następnie w Wiedniu. Tym razem rezultatem ich rozmów było wysłanie pułkownika Jakowa Ozereczkowskiego do Wiednia by ten osobiście zapoznał się w jaki sposób Austria ma zorganizowany nadzór polskich poczynań niepodległościowych. Wiadomości dostarczane przez Metternicha usprawiedliwiały, według Benckendorffa, „postępowanie Rosji wobec Polaków”. Drugim punktem współpracy, poza odcinkiem polskim, było wpływanie na prasę europejską w duchu „porządku”. Rosjanie oddali do dyspozycji swych przy-

3. Tak nazwał ją Napoleon po pierwszym jej zobaczeniu i pod tą nazwą znana była w epoce pierwszego cesarstwa.

4. Ambasador francuski podkreślił w swych pamiętnikach, iż Maria była „la plus irresistible femme du monde entier, avec cela, jolie, très jolie. spirituelle, maligne, capricieuse; bonne musicienne, chantant à merveille, et coquette à incendier tous les cœurs”.

5. „Il m'a quitte pour se faire empereur”.

6. P. S. Squire: *The Metternich-Benckendorff Letters, 1835-1842*. „The Slavonic and East European Review”, Londyn, vol. XLV, 1967, str. 368-390.

jaciół barona Schweitzera, który na terenie Niemiec był już zdobył praktyczne umiejętności kierowania niektórych dziennikarzy w pożądanym kierunku.

W roku 1839 kanclerz austriacki specjalnie dziękuje za szczegóły o działalności „niejakiego Konarskiego”, dodając proroczo, iż to nie jest koniec polskich usiłowań; „ci ludzie są niepoprawni”. Dość często w jego listach są wzmianki o „akcji dywersyjnej” polskiej emigracji. Wyraźnie ta garstka wolnych Polaków go irytowała. Benckendorff ze swej strony wypowiadał te same żale, stwierdzał, iż „w prowincjach polskich nie udało się jeszcze pokrozić ducha rewolucyjnego szlachty”.

Korespondencja urwała się w grudniu 1842 r. z powodu ciężkiej choroby Benckendorffa, której uległ kilkanaście miesięcy później. Jest ona drobnym ale ciekawym wycinkiem austriacko-rosyjskiej współpracy skierowanej przeciwko polskim dążeniom wolnościowym, współpracy trwającej nieprzerwanie od początków wieku XVIII, a mogącej nawiązać do tradycji pierwszych związków przeciw polskich z końca XV wieku⁷.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

7. Pierwszy antypolski sojusz wiedeńsko-moskiewski datuje się z r. 1491.

Roman KRÓLIKOWSKI

WOJSKO POLSKIE

Na półkach księgarskich ukazał się piąty tomik z cyklu „Wojsko Polskie w latach II wojny”, pt. „Regularne jednostki wojska polskiego na Zachodzie: formowanie, działania bojowe, organizacja oraz metryki dywizji i brygad”.

Wydany przez Wojskowy Instytut Historyczny w Warszawie a opracowany przez historyka Witolda Biegańskiego, tomik ten, jak wydawcy sami podają, jest tylko informatorem historycznym.

Jako opiniodawca wydawnictwa figuruje gen. bryg. dr Franciszek Skibiński, hasła o Wojsku Polskim we Francji i o walce podziemnych organizacji polskich we Francji opracował płk. dypl. Tadeusz Szumowski b. szef Wydziału Specjalnego M.O.N. w Londynie, o walkach S.B.S.K. i 3 D.S.K. wiele uwag napisał płk. Stanisław Gliwicz, b. dowódca artylerii w Brygadzie Karpackiej.

W przedmowie komitet redakcyjny podkreśla, że przy opracowaniu nie oparto się o źródła archiwalne które w większości znajdują się w Londynie w Instytucie im. gen. Sikorskiego, lecz wykorzystano dostępne w kraju wydawnictwa.

Wojsko Polskie. Krótki informator historyczny o Wojsku Polskim w latach II wojny — Witold Biegański, wyd. MON 1967. 284 str.

Jak wynika z przypisów, głównymi źródłami informacji były wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej” oraz „Na obcej ziemi”.

Poza tym wykorzystano szereg prac opublikowanych w Bellonie i w Wojskowym Przeglądzie Historycznym. Nie pominięto takich wydawnictw jak np. „Saga Brygady Podhalańskiej” Jana Meysztowicza, „Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich w dziesięciolecie jej powstania”, „Od podwoły do czołga” gen. S. Maczka, „1. Dywizja pancerna” gen. Grudzińskiego, „Najkrótszą drogą” gen. S. Sosabowskiego. I wiele innych.

Ciekawe są źródła, nieznanne na zachodzie jak np. „Udział Polaków w wojnie narodowowyzwoleńczej Jugosławii” Mieczysława Juchniewicza oraz informacje o wojskowym i konspiracyjnym wysiłku polskim we Francji w r. 1939/44, wydane przez Polską Misję Likwidacyjną we Francji, 1944.

Informator dzieli się na trzy działy:

- 1) Formowanie regularnych jednostek Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w latach 1939/1945,
- 2) Ważniejsze działania bojowe regularnych jednostek W.P. na obczyźnie w latach 1940/45,
- 3) Metryki dywizji i brygad.

W części pierwszej autor przedstawił ewakuację żołnierzy przez Rumunię, Węgry i Litwę na Zachód, powstanie Wojska Polskiego oraz udział Polaków w walce podziemnej we Francji.

Hasła o udziale Polaków w walce z bronią V, Akcja Kontynentalna i Plan Bardsea zawierają wiele informacji przemilczanych dotychczas przez historyków londyńskich.

Rywalizacja między dwoma ośrodkami dyspozycyjnymi A. Kawałkowskiego i A. Zdrojowskiego wpłynęły, że niestety wysiłek ruchu podziemnego polskiego we Francji nie został wykorzystany w planowanych zakresach.

Po wojnie publikacje brytyjskie, nawet oficjalne, omawiają temat udziału Polaków w bardzo ograniczony sposób.

Z wycofanej na żądanie władz francuskich książki M.R.D. Foot'a „S.O.E. in France” wiemy że archiwa odnośnie działalności Polaków w tym okresie wojny uległy zniszczeniu lub zostały wyłączone od wglądu historyków. Wiele w tym zaważyło zdanie naszego b. ministra spraw wojskowych który w poczuciu lojalności wobec aliantów zamknął ten dział archiwów Instytutu im. gen. Sikorskiego.

Książka Foot'a jest obecnie ponownie opracowywana i po „skurtyzowaniu” ma się niedługo ukazać w sprzedaży.

Drugie wydawnictwo brytyjskie na ten temat „Inside S.O.E.” opracowane przez E. H. Cookridge'a o wyczynach i losach Polaków we Francji mówi bardzo mało. Na 450 cytowanych źródłach bibliograficznych jest tylko jedno polskie: Garby-Czerniawski „The Big Network”. Stara zasada że o nieobecnych się nie mówi i nie pisze — zastosowana wyłącznie z winy naszych londyńskich „historyków”.

Ciekawe i dotychczas nieznanne są dzieje udziału Polaków w walkach w Jugosławii, z początku po stronie Michajłowicza a potem po stronie Tity. Pierwszym oficerem polskim zrzuconym do Jugosławii 9 maja 1943 był kpt. Józef Maciąg, oficer Brygady Karpackiej; miał on razem z por. Zygmuntem Katuszewskim ps. Nesz, zapewnić łączność z krajem, odbudowując sieć i placówkę ZZW zlikwidowaną w roku 1942 w Belgradzie (major Zadora) oraz mieli ochraniać misję wojskową brytyjską.

Historia Polskich Sił Zbrojnych w W. Brytanii, powstanie 2. Korpusu oraz lotnictwa i marynarki polskiej podana jest zwięźle i przejrzysto.

Po raz pierwszy natrafiłem na opis „oficerskich obozów odosobnienia” we Francji i w Szkocji oraz poznałem nazwiska oficerów-komendantów. Jest to

bodajże najciemniejsza plama naszej historii w czasie II wojny światowej.

Może za skromna wzmianka została poświęcona Legii Oficerskiej w Egipcie (słuszne, bo był to batalion a nie brygada), ograniczając się do zdania „że pełniła służbę wartowniczą przy ochronie cennych obiektów wojskowych i pilnowała jeńców”. Tak nie było! Oddziały L.O. były użyte kilkakrotnie przy osłonie lotnisk w Egipcie w obawie przed desantem nieprzyjaciela. W linii zafrontowej (Sidi Barrani) ochraniały one wielkie składy sprzętu wojennego. Ale L.O. równocześnie się szkoliła. Była to jednostka, na prawach batalionu piechoty, licząca około 500 oficerów, którzy pod kolejnym dowództwem płk. Emisarskiego, Eplera i Łakińskiego przeszli szkołę walki i później dali doskonałą kadrę oficerską oddziałom 2 Korpusu.

W dziale drugim i trzecim, historia działań wojennych jest podana obiektywnie, tak samo jak Metryki dywizji i brygad.

Do usterek należy zaliczyć brak indeksu nazwisk oraz błędne używanie przyjętych i znanych skrótów: MSW oznacza ministerstwo spraw wewnętrznych a tymczasem na str. 23 i 279 oznacza to ministerstwo spraw wojskowych; Y.M.C.A. oznacza Young Men's Christian Association, a nie *CATHOLIC*.

Roman KRÓLIKOWSKI

Lipiec 1968.

ERKA

GENERAŁ JÓZEF ZAJĄC

Po trzyletniej przerwie VERITAS w roku 1967 wydał II tom pamiętników generała Zająca, opisujących jego dowodzenie na Środkowym Wschodzie, poprzedzone krótką relacją o pobycie na stażu w 5 dywizji brytyjskiej w Szkocji. Obejmują one okres od września 1940 do marca 1943.

Autor kilkakrotnie podkreśla że wspomnienia jego są głównie przeznaczone dla żony i córki. Pamiętniki wydano już po śmierci autora i dlatego mają one większą wartość dla historyków, że nie zostały poprawione czy też uzupełnione zależnie od wymogów chwili.

Opracowaniem I tomu pamiętników pt. „Dwie wojny”, wydanego również przez VERITAS w roku 1964 zajął się redaktor Jan Bielatowicz. W myśl zapowiedzi tom II pt. „W Szkocji i na Środkowym Wschodzie” miał się ukazać w rok później. Niestety w roku 1963 generał Zając nagle zmarł na serce, następnie w roku 1965 zmarł Jan Bielatowicz. Na skutek starań wdowy, redakcją II tomu zajął się generał Antoni Szymański a poprawki i korekty przeprowadziła pani Alicja Kisielnicka.

Generał Zając był jednym z nielicznych polskich wyższych dowódców który łączył ścisłą wiedzę naukową ze znajomością sztuki wojskowej.

Urodził się 14 marca 1891 w Rzeszowie. Po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim w roku 1915 otrzymał stopień doktora filozofii za pracę o widzeniu przestrzennym, w roku 1923 opublikowaną przez Polską Akademię Umiejętności w Paryżu. Służbę wojskową zaczął w „Strzelcu” w Krakowie w roku 1912. W Legionach odbył w 3 pp. leg II. Brygady kampanię karpacką, besarabską i wołyńską. Po bitwie pod Rarańczą przedarł się na stronę ro-

* W *Szkocji i na Środkowym wschodzie*, Część II pamiętników, Józef Zając — Veritas 1967.

syjską gdzie w II korpusie dowodził 15 pp. W roku 1918 z Rosji przybył do Francji skąd w roku 1919 wrócił do kraju z armią generała Hallera. W latach 1919/20 studiował w Wyższej Szkole Wojennej w Paryżu, po czym objął stanowisko szefa sztabu 3 armii. W latach 1922/26 był szefem oddziału I. Sztabu głównego a w roku 1926 objął dowództwo 23 dywizji piechoty w Katowicach i na tym stanowisku przebył bez awansu 10 lat. W lipcu 1936 został mianowany dowódcą Okręgu Korpusu we Lwowie, po czym Inspektorem Obrony Powietrznej Państwa. Po kampanii wrześniowej ewakuował część personelu lotniczego i artylerii przeciwlotniczej do Rumunii i Węgier a stamtąd do Francji. Generał Sikorski mianował go dowódcą Polskich Sił Powietrznych we Francji, a potem w W. Brytanii. Będąc zastępcą Dowódcy I Korpusu w Szkocji otrzymał rozkaz mianujący go dowódcą Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie, które to stanowisko objął 1 grudnia 1940 roku.

Tak się złożyło, że w grudniu 1940 rtm. Bohomolec adiutant generała został ranny w akcji pod Bardią a jego następca w tym czasie, por. Kurnicki, zachorował na zapalenie płuc. Byłem wówczas w Dztwie Legii Oficerskiej w Egipcie i zostałem wyznaczony na stanowisko adiutanta generała.

Przebyłem razem z generałem Zającem tylko kilka miesięcy, od stycznia do lipca 1941. Celowo piszę „przebyłem” gdyż stosownie do panujących wówczas w Kairze zwyczajów, generał Zajac jako dowódca Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie miał przydzielony 6-pokojowy umeblowany apartament, w którym mieszkał razem z adiutantem i korespondentem wojskowym, por. W. Sikorskim. Do moich obowiązków (pozasłużbowych) należało zajmowanie się naszym gospodarstwem. (Mieliśmy kucharza i troje służby. Musiałem dawać kucharzowi dyspozycje i dokonywać zakupów. Z końcem miesiąca wydatki na dom były dzielone na nas trzech z tym, że generał pokrywał dodatkowe koszty za zaproszonych gości).

Zwyczaj że wyżsi dowódcy mieszkali w Kairze prywatnie, a nie na kwartach oficerskich, został zmieniony dopiero przez generała Alexandra gdy ten objął dowództwo wojsk na Środkowym Wschodzie.

Generałowi towarzyszyłem w wyjazdach służbowych i inspekcjach, zaś w każdą niedzielę wolną, wyjeżdżaliśmy w okolice na zwiedzanie zabytków. Wieczory spędzaliśmy na rozmowach na tematy aktualne. Generał tematów politycznych unikał za to interesował się życiem podległych mu oddziałów, zwłaszcza Brygady Karpackiej. Zdarzało się, kiedy Brygada była w Libii, że do Kairu przyjeżdżali w sprawach służbowych oficerowie brygady. Zawsze starałem się zameldować ich generałowi, który potem prosił na skromny lunch podczas którego przybysz mógł przedstawić bezpośrednio wiadomości o sytuacji na froncie i o życiu oddziału. W pożyciu prywatnym generał był bardzo bezpośredni i umiał pozyskać sobie zaufanie tak oficerów jak i żołnierzy. Wieczorami generał spędzał wiele czasu na pisanie w swoim pokoju; nie wiedziałem że wtedy pisał swój pamiętnik. Stale uczył się angielskiego i dbał o tężyznę fizyczną grając często w tenisa. W życiu codziennym był człowiekiem skromnym.

W kwietniu 1942 generał Zajac wyjechał z por. Kurnickim, który w międzyczasie wyzdrowiał, z Kairu do Teheranu objąć kierownictwo przyjmowania z Rosji sowieckiej ewakuowanych żołnierzy i osób cywilnych. Ja zostałem w Kairze jako Oficer łącznikowy szefa oddziału II dowództwa armii, płk. Zimmala.

W maju 1942 generał Zajac został mianowany generałem dywizji i dowódcą II Korpusu. W tym czasie generał Anders jako generał dywizji był dowódcą Armii Polskiej w Rosji.

Po drugiej ewakuacji oddziałów polskich z ZSSR, we wrześniu 1942, połączono jednostki Armii Polskiej ewakuowane z Rosji z oddziałami Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie, tworząc Armię polską na wschodzie, której dowódcą został gen. Anders, a jego zastępcą gen. Zając.

Mając powierzoną organizację armii i II korpusu gen. Zając starał się ją przeprowadzić mimo stale zmieniających się koncepcji Naczelnego Wodza i dowództw brytyjskich. Ze strony polskiej wielką rolę wówczas odgrywały personalia wyższych dowódców.

Po przejściu Dowództwa A.P.W. do Iraku generał Zając miał coraz mniej do decydowania. Notuje to pod datą 5. X. 1942: „Nie mogę powiedzieć żebym nie przechodził pewnej depresji z tego powodu, że rola moja w tworzeniu i reorganizacji armii została zredukowana do minimum, a właściwie do zera”.

Ze spraw organizacyjnych dążył on m.in. do uporządkowania sprawy Pomocniczej Służby Kobiet, chcąc je odseparować od męskich oddziałów wojska. Niestety plany jego nie znalazły aprobaty wyższych dowódców polskich.

Wśród spisywanych przeżyć, spostrzeżeń i dociekań przebija jeden cel — wykorzystanie doświadczeń zagranicznych przy odbudowie armii polskiej. Rzeczowe i umiarkowane traktowanie poruszanych spraw daje tym wspomnieniom wartość dokumentarną.

12 marca 1943 gen. Zając otrzymał depezę mianującą go dowódcą I Korpusu pancerno-motorowego. Oto jego reakcja: „Nie wiem jak mam się do tego ustosunkować. W każdym razie uczucie jest mieszane, tak jak w chwili mianowania mnie dowódcą W.P. na Środkowym Wschodzie”.

W roku 1948, po demobilizacji, gen. Zając powrócił do swoich dawnych zainteresowań naukowych. Zaczął studiować na uniwersytecie w Edynburgu psychologię i historię sztuki i w roku 1951 otrzymał po raz drugi stopień doktora filozofii. W październiku 1957 wyjechał do córki do Kanady gdzie po czterech dniach choroby zmarł nagle na serce w roku 1963.

ERKA

PRZEDPŁATA NA DZIEŁO
PROF. STANISŁAWA KOŚCIAŁKOWSKIEGO

Spółeczność Akademicka Uniwersytetu Stefana Batorego ogłasza przedpłatę na monumentalne dzieło prof. Stanisława Kościałkowskiego o Antonim Tyzenhauzie, podskarbin nadwornym litewskim. Jest to praca, której prof. Kościałkowski poświęcił blisko 35 lat życia. Określił ją sam, jako studium nad wewnętrznymi dziejami Litwy w pierwszym 15-leciu panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego (1765-1780). Dzieło to będzie obejmować ok. 900 stron druku w dwóch tomach i będzie zawierać w przypisach wyciągi z nieistniejących już przeważnie akt archiwalnych.

Apelujemy gorąco do wszystkich miłośników dziejów ojczystych, oraz do wszystkich, którym jest drogą pamięć prof. Kościałkowskiego, zwłaszcza do wszystkich Jego uczniów rozsianych po świecie, o czynne poparcie naszego zamierzenia, które podjęliśmy z pełną wiarą w Waszą pomoc.

CENA w przedpłacie za całość dzieła, które ukaże się w pierwszych miesiącach 1969, z przesyłką i opakowaniem wynosi:

egzemplarz zwykły: W. Brytania £.6.0.0, U.S.A. \$.14,50, Francja 72 F., N.R.F. 58 DM.

egzemplarz w płóciennej oprawie: W. Brytania £.7.10.0, U.S.A. \$.18,00, Francja 90 F., N.R.F. 72 DM.

egzemplarz w płóciennej oprawie, numerowany, z imieniem i nazwiskiem nabywcy: W. Brytania £.10.0.0, U.S.A. \$.24,00, Francja 120 F., N.R.F. 96 DM.

Prosimy wysyłać zamówienia oraz czeki, Postal Order'y bądź Money Order'y, wystawione na „U.S.B. Academic Community”, pod adresem:

Mr. A. Urbański, 3, St. Mark's Terrace, Peel Road,
London, N.W.6.

**Spółeczność Akademicka
Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie
z siedzibą w Londynie**

LISTY I POLEMIKI

Londyn, 5 kwietnia 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* (Nr 13 — 1968) ukazała się wypowiedź Sabina Popkiewicza pt. „Szczegóły Łączności Radiowej Między Londynem i Warszawą”. Autor nawiązuje do mojej książki, wydanej w roku 1966, której część pierwsza dotyczy łączności radiowej pomiędzy polskimi władzami wojskowymi, działającymi w kraju, w konspiracji, a polskimi władzami wojskowymi we Francji a później w W. Brytanii. Ten rozdział dał tytuł całej książce: „Między Londynem i Warszawą”. Popkiewicz w swej wypowiedzi stara się udowodnić, że w tym pierwszym rozdziale popełniłem szereg błędów.

Ponieważ książka moja ma charakter dokumentalny, winien jestem Czytelnikom kilka wyjaśnień.

Rozdział dotyczący łączności radiowej został przeze mnie opracowany, niezależnie od dokumentów, przede wszystkim w oparciu o relacje dwóch kolegów i przyjaciół, oficerów łączności: Konrada Bogackiego i Sabina Popkiewicza. Zanim ukazała się moja książka, przygotowałem z nimi i nagrałem audycję radiową dla R.W.E. Wydrukowano ją później w całości w miesięczniku „Na antenie” (*Bitwa w eterze*, Nr 4(13) z 3 maja 64 r.). Wówczas opracowaliśmy wspólnie i sprawdziliśmy wszystkie ważniejsze szczegóły dotyczące tej łączności i Popkiewicz żadnych zastrzeżeń nie zgłaszał. Te same szczegóły znalazły się w mej książce tyle tylko, że w obszerniejszej formie.

Rozpatrzmy po kolei najważniejsze zarzuty Popkiewicza.

1) „A więc kurier czy kurierzy wysłani z Francji przewieźli elementy ruchu do Warszawy, Budapesztu i Bukaresztu a nie jak twierdzi Garliński na str. 12, że było odwrotnie”. (Popkiewicz oparł się na wspomnieniach ppłk. Józefa Srebrzyńskiego, szefa łączności technicznej AK, str. 18, 19 i 20).

Skontaktowałem się w tej sprawie z Bogackim i otrzymałem wyciąg ze wspomnień ppłk. Srebrzyńskiego (właśnie ze stron 18, 19 i 20) wraz z dodatkowym naświetleniem, najzupełniej autorytatywnym (Bogacki był tym oficerem łączności, który zmontował i uruchomił w Warszawie pierwszą tajną wojskową radiostację).

Interesujący nas tekst ppłk. Srebrzyńskiego brzmi następująco: „... Prosiłem jednocześnie o zorganizowanie kontaktu z przedstawicielami odpowiednich komórek korespondencji radiowej z zagranicy celem ustalenia elementów ruchu... Pewnej nocy na przełomie styczeń-luty 1940 r. zostałem skontaktowany na Placu Zbawiciela u Metodystów. Spędziliśmy na roz-

mojemu szeregowi ustalając elementy ruchu dla korespondencji radiowej i przekazując sobie wzajemnie wiadomości..." Czy z tego ma wynikać, że kurier z Francji przywiózł do Warszawy elementy ruchu? Trzeba ponadto pamiętać, że bezpośrednia radiowa łączność z Francją w ogóle nie została nawiązana. Bogacki nadal podtrzymuje swe twierdzenie, że elementy ruchu zostały wymienione na początku roku 1940 pomiędzy Warszawą i Budapesztem bez inicjatywy i pomocy polskich władz wojskowych we Francji.

2) Popkiewicz twierdzi, że błędnie przedstawiłem fakty dotyczące centrali radiowej pod Londynem, pracującej na rzecz kraju. Ja, na podstawie relacji Bogackiego, podałem, że pomysł ten zrodził się w kraju, a tymczasem było odwrotnie. Pomysł ten powstał na Zachodzie.

W tej sprawie oddaję głos samemu Popkiewiczowi. W audycji radiowej, po wypowiedzi Bogackiego odnośnie pomysłu stworzenia pośredniczącej centrali radiowej dla potrzeb Komendy Gł. AK poza granicami kraju, i po moim zapytaniu o jego naświetlenie, własnymi ustami powiedział co następuje: „Sztab naczelnego wodza w Londynie zrozumiał od razu wagę propozycji krajowej i ustosunkował się do niej w sposób rzeczowy, zwłaszcza, że potrzeby łączności rozrosły się niebawem i na innych terenach. Mieliliśmy przecież nasze jednostki bojowe na Bliskim Wschodzie, w Afryce i w pustyni oraz wielu agentów prawie we wszystkich krajach Europy. Koncepcja takiego systemu łączności była nowa i wymagała niespotykanego nigdzie indziej rozwiązania technicznego. Zdecydowano, że należy zbudować nie jedną ale dwie centrale radio-komunikacyjne, wyzyskując wszystkie najnowsze zdobycze techniczne”.

Tę wypowiedź Popkiewicza, zgodną z faktami, pragnę uzupełnić dwoma dokumentami. Pierwszy to depecha gen. „Grota” nr 585 z dn. 15. 4. 43. odebrana w Londynie dn. 19. 4. 43. (L.dz. 1846), w której dowódca AK domaga się stworzenia centrali pośredniczenia; drugi to odpowiedź szefa Oddziału VI Sztabu N.W. (depesza szyfr, L.dz. 2429 (tj. 43 z dnia 24. 5. 43) z doniesieniem o wydaniu zarządzeń wykonawczych.

3) Popkiewicz twierdzi, że błędnie podałem jakoby we Francji była tylko jedna radiostacja pracująca na kraj, podczas gdy w rzeczywistości były dwie.

Znowu oddaję głos samemu Popkiewiczowi. W referacie wygłoszonym w Szkocji w r. 1944 (maszynopis znajduje się w Studium Polski Podziemnej w Londynie) sam, własnymi ustami, powiedział: „W Paryżu a później w Angers pracowała z krajem jedna radiostacja”.

4) Po wymienieniu szeregu problemów technicznych Popkiewicz wyjął z mej książki jedno zdanie: „Kto wie czy w ogóle powstałaby we Francji radiostacja” i połączył je z nimi, stwarzając wrażenie, że miałem wątpliwości odnośnie poziomu ludzi, którzy mieli te problemy rozwiązać. W mojej książce zdanie powyższe znajduje się w kontekście następującym: „... Od razu okazało się jak szczęśliwą była decyzja połączenia dwóch krajowych funkcji w jednym ręku. Gdyby na czele komitetu stał polityk a na czele ZWZ-tu wojskowy, poczęto by sobie wydierać elementy łączności, poczęto by ze sobą konkurować i toczyć bój kompetencyjny, czego by nikt w kraju nie potrafił wówczas zrozumieć. Kto wie czy w ogóle powstałaby we Francji radiostacja i czy wystarczająco wcześniej zaczęłaby działać. Do wszystkich tych komplikacji nie doszło, bo obydwu instytucjom przewodził generał Sosnkowski”.

Jasne, że chodzi o nominację generała na dwie funkcje a nie o jakiegokolwiek problemy techniczne.

Z wyrazami poważania,

Józef GARLIŃSKI

Płk. dypl. Leon Mitkiewicz w „odpowiedzi” swej „Smutne Post-Factum” (*Zeszyty Historyczne* Nr 13) na moje wspomnienie „17 Września 1939 r. w Sztapie Naczelnego Wodza” (*Zeszyty Historyczne* Nr 12), zaszczycił mnie, na początku, pochlebną wzmianką „jako wybitnego znawcę taktyki i operacji wojskowych”, aby następnie, „w imię prawdy historycznej” zdruzgotać mnie argumentami, mającymi wykazać moją ignorancję operacyjną, „albowiem w rzezonym artykule płk. Jaklicz przedstawia fakty, które wydawały mu się wtedy istotnymi, a okazały się oparte na przesłankach nierealnych”. W zakończeniu, kreśląc sylwetkę Marszałka E. Śmigłego-Rydza, poklepał mnie dobrotliwie po ramieniu „I na tym właśnie polega wielka wartość pracy pułkownika Jaklicza”.

We wspomnieniu moim postawiłem sobie jako temat i cel (str. 156) poszukiwanie przesłanek, na temat czasu i miejsca, powzięcia przez Marszałka Rydz-Śmigłego decyzji przejścia do Rumunii.

W 1-szej części (str. 140-156), przedstawiłem, na podstawie kartek mego dziennika wojennego, wydarzenia od 15 września, aby wprowadzić czytelnika w atmosferę pracy Sztabu Nacz. Wodza, końcowych dni Kampanii Wrześniowej i doprowadzić do dnia 17 września, w którym to dniu zapadła i została wykonana decyzja przejścia Marszałka do Rumunii.

W części 2-giej (str. 157-161), analizowałem rozbieżność Jego decyzji w dniu 17 września: przedpołudniowa — przejścia do Rumunii, wieczorowa — pozostania w Polsce, celem dołączenia do oddziałów walczących pod Stryjem.

Omawiając decyzję pierwszą sięgnąłem do niepisanej myśli przewodniej Planu Operacyjnego, wynikającej z przekonania Marszałka, że armia polska stanowi straż przednią armii francuskiej, mającej wytrzymać napór niemiecki, celem wygrania czasu, niezbędnego dla ukończenia mobilizacji i ruszenie ofensywy francuskiej. Ta myśl podyktowała tu prawdopodobnie, początkowe rozwinięcie.

Przedstawiłem następnie Jego decyzję z dn. 8 września, przesunięcia punktu ciężkości do obszaru Małopolski Wschodniej, aby w tej decyzji znaleźć może odpowiedź, że myśl ewentualnego przejścia do Rumunii, powstała w Jego umyśle już wtedy, gdyby obrona operacyjnego obszaru Małopolski Wschodniej, nie wytrzymała naporu niemieckiego.

Omawiając decyzję drugą (wieczorową), oparłem ją wyłącznie na czynnikach psychicznych.

Płk. Mitkiewicz nie trzymał się jednak mego tematu. Dosiadł gorącego rumaka, tak modnego po klęsce wrześniowej, krytyki Planu operacyjnego i „zgubnych skutków naszej wstępnej koncentracji armij” (str. 224 al. 3 od góry).

W tych warunkach, jakakolwiek dyskusja, czy polemika natury operacyjnej z płk. Mitkiewiczem jest wykluczona.



Boleję nad samym sobą. Okazałem się nieudolnym profesorem, skoro nie zdołałem wpoić w mego dawnego słuchacza Wyższej Szkoły Wojennej, płk. dypl. Mitkiewicza, zasad prawidłowego czytania, rozumienia i interpretowania myśli wojskowej.

Pisze on:

str. 221 al. 1 od dołu — „Dlaczego więc 6 września 1939 r. — zgodnie, jak podaje płk. Jaklicz — z planem przedwojennym, nie nakazał marszałek Śmigły natychmiastowego odwrotu-opóźniania na przedmoście rumuńskie...”

str. 222 al. 9 od góry — „Przecież, jeżeli istotnie istniała jakaś myśl wycofania się na rumuński przyczółek, jak podaje płk. Jaklicz, w razie niepowodzeń na pierwszej linii...”

str. 222 al. 5 od dołu — „Jeśli, jak podaje płk. Jaklicz, istniał plan wycofania armii aż na Dniestr-Stryj-Karpaty...”

str. 223 al. 3 do góry — „Jeśli płk. Jaklicz był w posiadaniu, jak o tym pisze, pierwotnej decyzji odwrotu na Rumunię...”

Uważny czytelnik nie znajdzie ani jednego z tych przypisywanych mi przez płk. Mitkiewicza twierdzeń, w moim wspomnieniu. Znaleźć ich nie może. Albowiem myśl stworzenia przedmościa, czy przyczółka rumuńskiego, w planie przedwojennym nie istniała. Jej istnienie byłoby operacyjnym nonsensem — kapitulacyjnym. Podobnie jak, wbrew wszelkiej logice operacyjnej, byłoby przygotowanie umocnień tego przyczółka i ubezpieczenie go 1-2 Dyw. Piech. „już w lipcu 1939 r.”, jak pragnie płk. Mitkiewicz (str. 222 al. 2 od góry), chyba po to, aby odkryć ewentualne przewidywania nieprzyjacielowi.

Decyzja zorganizowania przyczółka i wycofania nań wojsk zapadła dn. 13 września we Włodzimierzu, a nie jak „sądzi, a nawet jest przekonany” płk. Mitkiewicz (str. 222 al. 5 od góry), w dniu 7 września w Brześciu. W jakich warunkach nastąpiła (pytanie płk. Mitkiewicza str. 222 al. 8 od góry) nie wiem. Otrzymałem ją gotową do rozpracowania.

Natomiast, jak pisałem na str. 158, w nocy z 8 na 9 września zapadła decyzja Marszałka, przesunięcia punktu ciężkości do Małopolski Wschodniej. I w tej decyzji dopatrywałem się myśli Marszałka obrony operacyjnego obszaru Małopolski Wschodniej — nie zaś jakiegoś drobnego przedmościa czy przyczółka — jako ostatecznego i decydującego wkładu polskiego, przed ruszeniem ofensywy francuskiej. I w tym celu skierował Marszałek dn. 9 września gen. Sosnkowskiego do Lwowa, dla zorganizowania obronnego tego obszaru (str. 158-159).

Odwracając powiedzonko płk. Mitkiewicza „Dlatego też wydaje mi się, że uwagi o 'przedmościu rumuńskim' powzięte przed wojną są przesłowiową 'musztardą po obiedzie'” (str. 222 al. 5 od góry), ze swej strony sędzę, że uwagi płk. Mitkiewicza o tym przedmościu są nie przysłowiową, lecz musztardą — *tout court*.

Józef JAKLICZ



Waszyngton, 9 czerwca 1968 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Edwarda Puacza pt. „Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia”, ogłoszony w Zeszycie trzynastym *Zeszytów Historycznych*, składa się z dwóch części: własnego wstępu p. Puacza i wybranych przez niego wyjątków ze wspomnień Adama Bienia. Jeśli chodzi o krótki wstęp, to zawiera on parę błędów już w pierwszym zdaniu. Edward Puacz mówi w nim o autorze wspomnień: „Adam Bień... cieszący się zaufaniem Wincentego Witosa, był w czasie okupacji przedstawicielem PSL w Polskim Komitecie Politycznym (PKP)...”.

Powiedzieć o kimś „cieszącym się zaufaniem Wincentego Witosa” to bardzo wiele. Osobiście odważyłbym się obdarzyć tym określeniem tylko dwie osoby, a mianowicie: Władysława Witka, przyjaciela i równieśnika Witosy i Stanisława Mierzwę, jego politycznego wychowanka, poza tym ani Macieja Rataja, ani Stanisława Thugutta, ani Stanisława Mikołajczyka, ani Władysława Kiernika, ani Kazimierza Bagińskiego, mimo że ci w Stronnictwie Ludowym stali najbliższymi Witosy. Wystarczy przeczytać trzy tomy jego pamiętników, by się zorientować, jak był nieufny, podejrzliwy, wymagający i bezwzględny w sądach. W pamiętnikach tych nie znajdzie się nazwiska Bień, czego, jak na człowieka „cieszącego się zaufaniem Wincentego Witosy” należałoby się spodziewać. Natomiast Adam Bień cieszył się zaufaniem Józefa Niecki z podziemnego kierownictwa Stronnictwa Ludowego i temu zawdzięczał swą nominację na ministra.

Poza tym we władzach podziemia nie istniał Polski Komitet Polityczny. Ze skrótu, jakiego używa p. Puacz (PKP) można się domyślać, że chodzi tu o pierwszą naczelną władzę polskiego podziemia — Polityczny Komitet Porozumiewawczy (PKP), powołany do życia w dniu 7 lutego 1940 roku, ale w tym Adam Bień nigdy nie zasiadał i z pewnością tego w swych wspomnieniach nie twierdzi. Bień zjawiał się we władzach podziemia dopiero po aresztowaniu Delegata Rządu, profesora Jana Piekałkiewicza i mianowaniu Delegatem Rządu Jana Stanisława Jankowskiego, którego został pierwszym zastępcą, a więc w roku 1943.

Wreszcie, w podziemiu działało Stronnictwo Ludowe („Trójkąt”), które dopiero na Kongresie w Warszawie, w dniach 19-21 stycznia 1946 roku, dodało do swej nazwy „Polskie”, co zresztą na plenum Kongresu referował niżej podpisany, jako przewodniczący komisji statutowej Stronnictwa Ludowego.

— Jeśli chodzi o wspomnienia Adama Bienia, to narzuca się w nich tendencyjne przedstawienie pewnych spraw, niewątpliwie w części podyktowane tym, że — jak to stwierdza Edward Puacz — wspomnienia te zostały napisane w okresie stalinowskim i za namową prorządowego Str. Ludowego, w części zaś chęcią Adama Bienia wyolbrzymienia własnej roli.

Z tego pierwszego powodu chyba zrodziły się takie „bojowe” pytania Bienia skierowane rzekomo do Bora, obliczone na usprawiedliwienie bezczynności armii sowieckiej w czasie Powstania, jak: „Czy wiadomo panu, że według opowiadań naocznych świadków, w dniu 1 sierpnia Niemcy skoncentrowali na wschód od Warszawy znaczne siły i rozpoczęli natarcie na Siedlce?” (Str. 100 Zeszytu trzynastego).

Kim byli ci naoczni świadkowie? Oto, jak o tym mówi sam Bień: „Przypominam sobie, że kiedy 31 lipca jechałem rano kolejką do Warszawy, to ludzie w wagonach opowiadali, że właśnie rozpoczęło się silne natarcie Niemców od Pułtuska w kierunku na Siedlce”. (Str. 97 Zeszytu trzynastego).

Bień dojeżdżał do Warszawy Elektryczną Kolejką Dojazdową (EKD). Jest wręcz nieprawdopodobne, by pasażerowie w podmiejskiej kolejce, kursującej na linii Grodzisk-Milanówek-Warszawa, posiadali tak precyzyjne informacje o posunięciach wojskowych na odległym froncie po drugiej stronie Wisły.

Z tego też pewnie powodu Bień stawia w innym miejscu retoryczne pytanie, w którym właściwie mieści się perfidne oskarżenie Komendy Głównej AK: „Czy to zaskoczenie i rozbięcie Delegatury nie było czasem jednym z celów Powstania?” (Str. 97 Zeszytu trzynastego).

Te ornamenty pomniejszają wartość historyczną wspomnień Bienia, powiedzmy łagodnie, z przyczyn wyższej natury. Natomiast jego własnym pomysłem jest tendencyjne przedstawienie sprawy przewodnictwa w Krajowej Radzie Ministrów w czasie Powstania.

A więc Bień twierdzi, że ta Rada Ministrów została powołana do życia na jego wniosek w dniu 30 lipca 1944 roku, tymczasem została ona utworzona przez Delegata Rządu w oparciu o dekret Prezydenta Rzeczypospolitej z 26 kwietnia 1944 r. już w dniu 3 maja 1944 r. W dalszym ciągu Bień stara się stworzyć pozory, że Delegat Jankowski, udając się wraz z przewodniczącym Rady Jedności Narodowej, Kazimierzem Pużakiem, do kwatery Komendy Głównej AK, i oddając jemu, Bieniowi, swą cywilną władzę, usunął się jak gdyby od kierownictwa, składając wszystko na jego, Bienia, barki. Odpowiedni ustęp zresztą zawiera dwie wyraźne sprzeczności. Z jednej strony Bień mówi, że „Delegat oświadcza dalej, że w związku z tym faktem (wybuchem Powstania — przypisek mój) natychmiast przestaje urzędować Delegatura”, a dwa wiersze dalej dodaje: „Całą swą cywilną władzę w Delegaturze przekazuje na moje ręce, prosi mnie, bym natychmiast objął urzędowanie...” (Str. 95 Zeszytu trzynastego). W istocie sprawa miała się zupełnie inaczej. Delegat Jankowski, na mocy porozumienia z Pużakiem i Generałem Borem, udał się do kwatery tego ostatniego właśnie w charakterze Delegata Rządu i wicepremiera pełniącego swe funkcje, po to by w trójkę i w stałym z sobą kontakcie, bez ryzykowania przerw w komunikowaniu się, pobierać łączne decyzje i kierować całokształtem spraw związanych z Powstaniem. Gdyby było prawdą, co twierdzi Bień, a mianowicie — że Delegat przelał na niego całą swą cywilną władzę, wówczas na kwatery Bora byłby on tylko prywatną osobą.

Decyzja Delegata Jankowskiego odcięcia się od trzech ministrów była podyktowana okolicznościami, o jakich pisałem już w mej książce „W Imieniu Rzeczypospolitej” czternaście lat temu, a więc nie na użytek polemiki z p. Puaczem czy też wspomnieniami Bienia. Gdy po aresztowaniu „szesnastu” rozważaliśmy sprawę odbudowy Krajowej Rady Ministrów, zaniechaliśmy tego, kierując się następującymi przesłankami:

„Narada natomiast nie wypowiedziała się za odbudową Krajowej Rady Ministrów, w której to instytucji, z odstępstwem od reguł konspiracji, nie istniała funkcja zastępców, automatycznie zajmujących stanowiska aresztowanego. Odegrało tu może pewną rolę przeświadczenie, że poza politycznym znaczeniem, jakie miało samo istnienie w kraju Rady Ministrów, instytucja ta w życiu organizacyjnym podziemia nie zaznaczyła niczym poważnym swego istnienia. Ministrowie nie kierowali poszczególnymi departamentami, lecz je tytularnie nadzorowali, przy czym departament prasy i informacji kierowany przez Dołęgę, oraz departament spraw wewnętrznych i Kierownictwo Walki Cywilnej prowadzone przez mnie, nie podlegały kontroli żadnego z ministrów, a były zależne wprost od Delegata. W praktyce, Krajowa Rada Ministrów dublowała Prezydium Rady Jedności, odgrywając przy Delegacie Rządu rolę doradczą i opiniodawczą”. (Str. 428 pierwszego wydania „W Imieniu Rzeczypospolitej”).

W warunkach powstańczych Delegat Rządu uważał za lepsze rozwiązanie „Tryumwiratu” Jankowski-Pużak-Bór, niż konsultowanie trzech ministrów. Powierzył zatem reszcie Krajowej Rady Ministrów tak niewinne zadania, jak wydawanie Dziennika Ustaw itp., ale sam, z pełnią władzy Delegata Rządu i wicepremiera, przeniósł się do kwatery Generała Bora. O tej decyzji Delegata Jankowskiego można być różnego zdania, niemniej była ona faktem.

Odwiedziłem kiedyś Bienia w czasie Powstania. Pokazał mi z nieukrywaniem zadowoleniem świeżo wydrukowany numer „Dziennika Ustaw”, będący dokładną kopią przedwojennego, w formie i treści. Kontrast między tą treścią a rzeczywistością, która na podstawie wiadomości z prawego brzegu Wisły zapowiadała okupację sowiecką, był tak wielki, że spojrzawszy na Bienia jak na człowieka który tylko co przybył z innej planety.

Mija się również Bień z prawdą, gdy stwierdza dosłownie, że „... w praktyce więc Powstanie zlikwidowało prace wszystkich departamentów”. Po Powstaniu, departament spraw wewnętrznych z siedzibą w Milanówku odbudował przy pomocy paru inspektorów łączność z Delegaturami okręgowymi i funkcjonował w dalszym ciągu, aczkolwiek w mniejszym zakresie niż przed Powstaniem. Działał także departament prasy i informacji pod kierownictwem Stanisława Kauzika (Dołęgi), który wydawał w dalszym ciągu organ Delegatury „Rzeczpospolitą”, a także sprawozdania informacyjne, biuletyny i nasłuchy radiowe. Wreszcie, departament opieki społecznej pod kierownictwem Franciszka Białasa chyba osiągnął wówczas punkt szczytowy w swej działalności, rozciągając opiekę nad około dwustu zaimprovizowanymi w podmiejskich willach szpitalami dla rannych i chorych z Powstania. Funkcjonowała poza tym Izba Kontroli, na czele z b. senatorem Wacławem Januszewskim.

Ma rację natomiast Bień, gdy na podstawie po-powstaniowej rozmowy z Kazimierzem Banachem, obecnym członkiem Rady Państwa, stwierdza, że w podwarszawskich kołach politycznych uważano już centralne ośrodki stronnictw, Delegatury i AK za przepadłe. Natomiast przemilczał on fakt, że w oparciu o to przeświadczenie ambitny Banach, okręgowy delegat rządu na Wołyń urzędujący w Warszawie, objął samorzutnie funkcje głównego Delegata Rządu, których czym prędzej się wyzbył, gdy się okazało, że Delegat Jankowski żyje i wy dostał się z Warszawy.

Na tym kończę w przekonaniu, że należało sprostować wspomnienia Bienia przede wszystkim, jeśli chodzi o rolę Delegata Jankowskiego w czasie Powstania, którą Bień przedstawił błędnie i pomniejszył.

Stefan KORBONSKI



Londyn, w maju 1968.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie kilku słów wyjaśnienia, nie sprostowania, w związku z listem p. S. Niedbala na str. 232/3 w Nrze 13 *Zeszytów Historycznych*.

Pisząc historię Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich opierałem się na źródłach archiwalnych pisanych, rozkazach, meldunkach, sprawozdaniach itd., wyjątkowo na źródłach wtórnych, pamiętnikach, relacjach i opracowaniach historycznych.

Linia frontu tobruckiego na „wyłomie”, zwanym krótko Medauarem wynosiła około sześciu kilometrów i obejmowała nie mniej, niż 16 gniazd oporu z najważniejszym z nich na panującym wzgórzu 209, zwanym Ras-el-Medauar. Najbliżej tego punktu na północnym narożniku wyłomu zajmował pozycję 3 batalion i jemu przypało najważniejsze zadanie zdobycia tego wzgórza. Na południowo-wschodnim narożniku wyłomu stał 2 batalion, a między tymi batalionami pułk karpackich ułanów.

Zgodnie z rozkazem dowódcy brygady w nocy z 9/10 grudnia 1941 oba bataliony miały uderzyć na Medauar i działając dośrodkowo wyklinować pułk ułanów, dla którego przewidziane było inne zadanie bojowe.

O godz. 20.25 drugi batalion zdobył gniazdo oporu R 7, a nieco później dalsze. Trzeci batalion zdobył pierwszy punkt oporu o godz. 23, a po północy resztę. O godz. 5.30 dowódca pierwszej kompanii kapitan 3 batalionu Adam Zieliński zatknął na wzg. 209 flagę polską.

Pułk ułanów, który wysłał na Medauar swoje patrole meldował o godz. 2.30, że nieprzyjaciel się wycofuje.

W tych działaniach drugi batalion stracił 6 zabitych i 14 rannych, trzeci — dziesięciu rannych, a pułk ułanów miał jednego rannego, który wyleciał na minie.

O patrolu ppor. Niedbala nie ma wzmianki, ani w meldunkach sytuacyjnych pułku, ani w dzienniku działań dowództwa pułku. W komunikacie informacyjnym pułku Nr 61 zanotowano, że w nocy 9/10 grudnia pułk wysłał pięć patroli, w tym dwa pod dowództwem oficerów (ppor. Mentel i ppor. Witowski). Prawdopodobnie w ostatniej chwili został wysłany jeszcze jeden patrol. P. Niedbal notuje, że „dobrze po północy przyjechał dowódca pułku ppłk. Bobiński, który wydał rozkaz wysłania patrolu oficerskiego”. Jest także możliwe, że ppor. Niedbal (nawiasem mówiąc był już ranny w czasie wypadku w dniu 12 października) objął dowództwo w miejsce jednego z wyznaczonych poprzednio imiennie oficerów. Jest w moim posiadaniu jego meldunek o przypadkowym postrzeleniu się „w czasie działań bojowych dnia 10 grudnia o godz. 4.15 rano” ułana Zdzisława (nie Zbigniewa, jak w meldunku) Jurasza.

List p. Niedbala jest interesującym uzupełnieniem tego, co już wiemy o przebiegu wydarzeń tej nocy, w której zakończyło się osmiomiesięczne oblężenie Tobruku. Bardzo słusznie podkreślił brawurę saperów. Zginęło ich tej nocy przy rozbrajaniu min — pięciu. Wspomniany w liście karpal Piotr Wiatr (r. 1891) spod Krakowa, poległ w pierwszej fazie bitwy o Ankone pod Numaną w dniu 13 lipca 1944.

Łączę wyrazy poważania,

Mieczysław R. MŁOTEK



Brisbane, 16 maja 1968 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Otrzymałem „Odezwę Komitetu Depiśsudskizacji” podpisaną przez pana J. Giertycha i przyjaciół. Nie byłoby to istotne, ale Autorzy chcą odezwę rozsyłać szeroko i organizować akcję informacyjną potępienia... Piśsudskiego.

Utknąłem na samej nazwie Komitetu, która mi przez gardło przejść nie chciała. „Odpisudczenie” byłoby lepsze, ale równie niepotrzebne, jak i próba uderzania w legendę, a więc mit niezniszczalny.

Prawda wraz z kłamstwem została tak przemieszana przez P.T. Autorów, że przypomina ludową potrawę groch z kapustą, nie nadającą się do spożycia, ale tak wypyrczoną w Londynie, że może przynieść zaszczyt kuchni PRLu.

Choć Piśsudski był krypto-dyktatorem umieszczenie go wśród najbardziej znieprawionych w świecie tyranów, morderców Polski, jest bardziej śmieszne niż krzywdzące. Ponieważ ten chwyt wydał się Autorom niewystarczający,

porównali przyjazd Piłsudskiego do Warszawy w 1918 r. z dostarczeniem Lenina do Rosji. Uderzające podobieństwo polegało na użyciu tego samego środka lokomocji.

Niechęć przyłączenia do Polski ziem zaboru pruskiego staje się jasna przy uświadomieniu sobie zupełnej nieorientacji Piłsudskiego w rozwoju sytuacji. Razem z Sosnkowskim siedzieli w twierdzy, skazani na ułamkowe i rzadkie wieści. Mogło to chwilowo przerastać jego osąd realizmu żądań.

Dalej odezwa przypisuje Piłsudskiemu złe rozwiązanie wschodnich granic i mówi o jego większej dbałości o Litwę i Ukrainę niż o Polskę. — Gdyby plany stworzenia silnej Ukrainy i Litwy związanych sojuszem z Polską powiodły się Piłsudskiemu, odpadłyby problemy mniejszości, nie byłoby wojny z Ukrainą, a powstałaby siła, której nam wciąż brakło.

Ledwie wyszłemu z niewoli, bez wojska, które dopiero powstawało, płańcące wokół granice mogły czasowo mącić rachunek prawdopodobieństwa. Nie decydował o powstańczych akcjach, które stwarzały fakty dokonane, trudne do poparcia bez siły. Ale od początku scalał Rzeczpospolitą walcząc z trudnościami polityki wewnętrznej i agresji z zewnątrz.

Bitwa Warszawska w 1920 r. jest przedstawiona w sposób tradycyjny dla obozu, który chwałę zwycięstwa wypychał w ręce francuskie, byle pomniejszyć o nią Piłsudskiego.

Nawet słuszny zarzut morderstwa gen. Zagórskiego lepiej było przemilczeć. Na stole historii fatalnym dźwiękiem odzywają się nożyce. Zjawia się widmo Prezydenta zabitego w Zachęcie. Rzucać kamieniem mogą ci bez winy.



Godne ubolewania są wnioski „praktyczne”, które odezwa wyciąga:

1. dążyć do rozpętania walki z cieniem Piłsudskiego, dla pośmiertelnego obdarcia go z chwały,
2. stworzyć zamieszanie w głowach dzieci i młodzieży przez próby zmiany podręczników historii,
3. informowanie obcych o niezwykle potrzebnym obtłukiwaniu pomnika Marszałka z brązu.

Jest to odezwa nienawiści nabożnie wydana „w Dzień Matki Boskiej Gromnicznej”. Nie ma w niej elementów pozytywnych. Usiłuje walczyć z przeszłością już pradawną, przy szybkim obrocie spraw bieżących.

Osobiście najwięcej mnie oburzyło zapowiedziane zwracanie się z poprawkami „historycznymi” do obcych. Czy P.P. Autorzy nie mają godności własnej?

Ważniejsze jest zaatakowanie, wstrętne w gloryfikowaniu siebie, resztek obozu piłsudczyków, b. legionistów, sanatorów i senatorów. Ukazujące się prace historyczne, przyczynki i materiały są dobierane starannie dla załgania i zamalowania na własny kolor przeszłości. Klęska wrześniowa i klęska Powstania, obie wykazujące ponad wątpliwość brak rozsądku i elementarnej wiedzy wojskowej mówią o nocy narodowej, a nie o zastudze rządzących. Żałować należy, że pióro p. Giertycha napadło na tego, który przerósł całe pokolenie i choć błędy czynił, stał się synonimem Polski. Zaopiekowanie się pamiętnikarzami bez wad, ale i bez prawdy to piękne zadanie.

Wobec zapowiedzi o wezwaniu „całej prasy emigracyjnej” do przedruku odezwa jest na biurku Pana. Chociaż jestem sympatykiem programów narodowego obozu tym bardziej uważam za swój obowiązek piętnowanie chybionych celów i nieodpowiednich dróg.

Łączę uścisk dłoni,

S. ŻOCHOWSKI

SPIS TREŚCI

Redakcja: <i>Do Czytelników</i>	3
Kazimierz Iranek-Osmecki: <i>Polacy i Żydzi 1939-1945</i>	5
Maximilian Tauchner: <i>W bolesną rocznicę</i>	38
Tadeusz Nowacki: <i>Generał Kazimierz Sosnkowski</i>	43
Stanisław Biegański: <i>Rozkaz Nr 19 Generała Sosnkowskiego i kryzys polityki polskiej</i>	61
Franciszek Kalinowski: <i>Lotnictwo polskie w bitwie o Atlantyk</i>	100

WSPOMNIENIA

Stanisław Kot: <i>Wspomnienia (Dok.)</i>	123
Roman Królikowski: <i>Operation Polejumps</i>	150

DOKUMENTY

Józef Frejlich: <i>Trybuna</i>	189
--------------------------------------	-----

RECENZJE

Anna M. Cienciąła: <i>Interpretacje historyczne: Józef Beck</i> ..	207
Piotr Wandycz: <i>Kryzys polskiego parlamentaryzmu w II-ej Rzeczypospolitej</i>	216
Piotr Wandycz: <i>Na marginesie historiografii krajowej</i>	220
Stanisław Bóbr-Tylingo: <i>W kręgu wielowiekowej przyjaźni</i>	222
Roman Królikowski: <i>Wojsko Polskie</i>	224
ERKA: <i>Generał Józef Zajac</i>	226
<i>Przedpłata na dzieło prof. St. Kościatkowskiego</i>	229

LISTY I POLEMIKI

Józef Garliński	230
Józef Jaklicz	232
Stefan Korboński	233
Mieczysław R. Młotek	236
S. Żochowski	237

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 9 SEPTEMBRE 1968
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 3^e trim. 1968

**KSIĄZKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: *Kontra* (7 F)
- Tadeusz Katelbach: *Rok złych wróżb* (8 F)
- Stanisław Kot: *Jerzy Niemiryż* (7 F)
- Paweł Zaremba: *Historia Polski, Tom I* (20 F)
- Józef Czapski: *Na nieludzkiej ziemi* (Wydanie drugie)
(15 F)
- Bernard Singer: *Od Witosza do Ślawka* (18 F)
- Milovan Dzilas: *Rozmowy ze Stalinem* (9 F)
- Jerzy Mond: *6 lat temu... (Kulisy polskiego
Października)* (10 F)
- Maria Czapska: *Polacy w ZSSR (1939-1942)
Antologia* (16,50 F)
- Wiold Jedlicki: *Klub Krzywego Koła* (10 F)
- Stanisław Mackiewicz: *Polityka Becka* (12 F)
- Wincenty Witos: *Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III*
(87 F)
- Wiktor Sukiennicki: *Biała księga* (12, 75 F)
- Gustaw Herling-Grudziński: *Inny świat* (13,50 F)
- Borys Lewickij: *Terror i rewolucja* (15 F)
- January Grzędziński: *Maj 1926* (9 F)
- Wacław Lednicki: *Rosyjsko-polska entente cordiale
1903-1905* (9 F)